

Łazar Łagin

Patent AV

Przełożył Józef Brodzki

Część pierwsza

Wstęp

Moje biurko stoi przy samym oknie. Piszę i widzę, jak przy skrzyżowaniu ulicy, na rogu uliczki Błagowieszczęńskiego kilku przechodniów czyta gazetę nalepioną na parkanie. Nieco dalej, na tle zimowego pochmurnego nieba piętrzą się mury nowych, jeszcze nie otynkowanych domów na ulicy Dużej Sadowej. Niekiedy chodnikami mojej małej uliczki kroczą przechodnie z podniesionymi kołnierzami. Bardzo rzadko przejeżdża z łoskotem samochód i znów panuje cisza. Leniwie pada suchy śnieg.

Ale wystarczy, abym się zamyślił, i oto znów widzę skwarne od słońca ulice dalekiego Bakbuku, misterne mosty i nie kończące się nabrzeże portowe Miasta Wielkich Żab, głównego handlowego aportu i stolicy republiki — Argentei.

Oto znów w mojej pamięci przesuwają się postacie bohaterów tej powieści. Niektórych z nich lubię, niektórych nie tylko lubię, lecz i szanuję, dla innych żywię uczucie pogardy, są i tacy, których nienawidzę. Ale o wszystkich zamierzam napisać prawdę tylko prawdę.

Niech czytelnicy nie mają mi za złe, że nie wyjawilem nazwiska i zawodu człowieka, który opowiedział mi wszystkie szczegóły niejakiej historii doktora Popffa i jego wynalazku. Nie wolno mi narażać tego odważnego i bezinteresownego człowieka na niebezpieczeństwo.

Ogłaszając w druku swój rękopis, raz na zawsze uniemożliwiam sobie ponowny przyjazd do Argentei. Ministerstwo Spraw Wojskowych tego kraju, nie mówiąc już o panu Primo Padrele i innych wpływowych osobistościach, uczyni wszystko, by do tego nie dopuścić. Możliwe, że komuś przyjdzie ochota przedsięwziąć bardziej agresywne kroki w stosunku do autora 4ej opowieści. Zdaję sobie wszakże sprawę z tego, na co się narażam.

Rozdział pierwszy

Doktor Stephen Popff przybywa do Bakbuku

Parę słów o pogodzie, jaka panowała tego dnia w Bakbuku. W okolicznościach, o których czytelnik dowie się później, dopatrywano się w niej groźnych przepowiedni zwiastujących to wszystko, co zaszło w tym mieście parę miesięcy później.

W ciągu trzech dni, które poprzedziły przybycie małżeństwa Popffów do Bakbuku, deszcz lał jak z cebra. Potem deszcz ustał, ale niebo w dalszym ciągu było zasłonięte nisko wiszącymi chmurami, które jak gdyby na zawsze przyrosły do ponurego widnokręgu. Niekiedy rozlegał się łoskot dalekich grzmotów, blade błyskawice zapalały się nad zachodnią dzielnicą miasta. Było duszno jak w pralni.

Jednak autorzy głupich plotek o tych wszystkich rzekomych przepowiedniach zapominają, że właśnie o godzinie szóstej wieczorem powiał niespodzianie silny wiatr i chmury poczęły się szybko rozpraszać. Złociste snopy słonecznych promieni zalały Bakbuk — i ekspres, którym przybyli Stephen Popff i jego żona Berenika, mignął na tle gorejącego zachodu jak dziecinna zabawka. W mieście zrobiło się jasno, przewiewnie i świątecznie.

Po upływie piętnastu minut do zamkniętej willi zmarłego doktora Prado podjechała taksówka. Wsiadły z niej dwie osoby: rosły, dobrze zbudowany mężczyzna około trzydziestu lat w szarawym kapeluszu nasuniętym na tył głowy i zgrabna brunetka z miłą, lecz niewyrazistą twarzyczką. Na pierwszy rzut oka można było jej dać nie więcej jak dwadzieścia dwa lata, mimo że w rzeczywistości miała już dwadzieścia sześć.

Mężczyzna ów zapłacił szoferowi, który pomógł mu wnieść kilka dużych, choć niezbyt eleganckich kufrów i waliz. Następnie Żartobliwie uchylił kapelusza, z przesadną galanterią podał swej damie ramię i wyraźnie nadržając miną, powiedział:

— Zechce czcigodna pani przekroczyć próg swego pałacu.

Ale „czcigodna pani” albo nie rozumiała żartu, albo nie miała zamiaru podtrzymywać żartobliwej rozmowy, gdyż zamiast odpowiedzieć, głęboko westchnęła.

— Nic się; nie martw, staruszko — mówił dalej jej towarzysz, nie tracąc werwy — domek jest wcale niczego, i zdaje się, że będziemy mieli niezłych sąsiadów.

Z tych niewielu słów można bez trudu wywnioskować, że nowoprzybyłych łączyły legalne

związki małżeńskie. Do tego samego, całkiem słusznego wniosku doszła również i małżonka aptekarza Bambolego. Apteka znajdowała się naprzeciwko domu zmarłego doktora Prado.

Pani aptekarzowa od pewnego czasu z wielkim zainteresowaniem obserwowała, jak nowi mieszkańcy oglądali dom ze wszystkich stron, po czym zawołała swego małżonka, który był czymś zajęty przy stole z lekarstwami

— Spójrz, Morgue, nareszcie przyjechali.

Po chwili odezwała się krytycznie:

— Nigdy bym nie myślała, że damy ze stolicy tak wyglądają! Pan Morgue Bamboli, którego zawód i sytuacja społeczna zobowiązywały do stateczności i mówienia z namysłem, nie odpowiedział od razu:

— Bo i on, właściwie mówiąc, bardziej wygląda na tragarza owego aniżeli na doktora.

Małżonkowie roześmieli się z widocznym ukontentowaniem.

Byłoby wszelako rzeczą wielce niesprawiedliwą na podstawie tej rozmowy twierdzić, iż małżeństwo Bambolowie żywili nieprzyjazne uczucia dla swych nowych sąsiadów. Oczywiście, aptekarzowej byłoby znacznie przyjemniej, gdyby żona doktora Popffa była nieco starsza i... nieco mniej ładna. Co się zaś tyczy — aptekarza Bambolego — zawsze zazdrościł szczęśliwym posiadaczom lekarskiego dyplomu.

Po złożeniu należnej daniny swym pierwszym refleksjom pan Bamboli i jego małżonka przyznali, iż zarówno doktor jak i jego najprawdopodobniej ludźmi zasługującymi na szacunek.

Przy uzgadnianiu tego stanowiska małżeństwo Bambolowie wychylili się nieco przez otwarte okno apteki i zostali zauważeni przez doktora Popffa. Doktor uważał za właściwe uchylić kapelusza. I w ten sposób dokonana się pierwsza wymiana powitań między sąsiadami.

By uczynić zadość konwenansom, aptekarz Bamboli dopiero po paru godzinach zapukał do drzwi domku, jak będziemy po prostu nazywali skromną, willę doktora Popffa.

— Mam zaszczyt być pańskim najbliższym sąsiadem — rzekł przyjaźnie do doktora, który mu otworzył drzwi — i poczytuję sobie za miły obowiązek zapytać, czy mógłbym być panu w czymkolwiek pomocny.

Aptekarz odczuł prawdziwe zadowolenie z powodu swej krótkiej, lecz dobrze wypowiedzianej przemowy, i jego błada zazwyczaj twarz nabrała rumieńców, przy czym zarysowały się na niej w sposób przyjemny jego niewielkie niebieskie oczy.

W pokoju, do którego doktor wprowadził swego gościa, przepraszając go za panujący w nim

nieład, stały na pół rozpakowane skrzynie, a stoły były zavalone mnóstwem epruwetek, szklanych słoików, retort i wszelkich innych laboratoryjnych naczyń. Widok ten nasunął aptekarzowi trwożliwe myśli: czyżby ten nowoprzybyły lekarz zamierzał pozbawić go chleba, przygotowując własnoręcznie lekarstwa dla swoich pacjentów?

Milczeli parę sekund, studiując się nawzajem. Doktor Popff — barczysty, wysportowany szatyn z szarymi oczami, z twarzą szczerą a jednak nie pozbawioną pewnej przebiegłości — był mniej więcej tego samego wzrostu co Bamboli, aczkolwiek wydawał się niższy od niego. Tłumaczyło się to niezwykłą zaiste chudością aptekarza. Ogromnie długie nogi, niemal takie same długie ręce, długa blada twarz i długie włosy koloru popiołu, spadające kosmykami na przedwcześnie pomarszczone czoło — wszystko to czyniłoby aptekarza Bamboli niemal upiornie brzydkim człowiekiem, gdyby nie ów wyraz szczerzej życzliwości, który nie schodził z jego twarzy.

— Bardzo trafnie wybrał pan nasze miasto jako teren swojej pracy — odezwał się wreszcie, przerywając milczenie. — Bakbuk ma przed sobą wielką przyszłość. Cena na place wciąż wzrasta.

Doktor, którego bynajmniej nie interesowała spekulacja placami, uważał za stosowne milcząco wyrazić przyjemne zdziwienie.

— A poza tym, doktorze, udało się panu z tym domem — mówił dalej aptekarz — jest bardzo suchy, ciepły, moc słońca i powietrza i co najważniejsze: nie ma szczurów.

— Może nie będzie tak źle — wyraził optymistyczny pogląd doktor — mam nadzieję, że można będzie tego dostać, ile się zechce.

— Ma pan na myśli domy? — zapytał ostrożnie pan Bamboli.

— Nie — odpowiedział Popff — mam na myśli szczury.

Rozdział drugi

w którym doktor Popff opowiada aptekarzowi o sobie tyle tylko, ile uważa za stosowne

— Tak, mam na myśli szczury — potwierdził doktor Popff patrząc na twarz aptekarza, na której malowało się bezgraniczne | zdumienie.

Co prawda doktor nie bardzo znał się na ludziach, zrozumiał jednak od razu, że musi natychmiast wytłumaczyć aptekarzowi, co mu są potrzebne szczury, i jednocześnie opowiedzieć o sobie coś niecoś. Nie ma bowiem nic gorszego, aniżeli trzymać swego „bliźniego w niepewności co do spraw, które go najwidoczniej ogromnie interesują.

W takich wypadkach bliźni zaczyna zazwyczaj snuć własne domysły, które uważa już za fakty, i pod sekretem opowiada o nich swoim znajomym. Po dwóch dniach w całym mieście roi się od plotek jak w bajorku od wszelkich bakterii. Dlatego właśnie doktor Popff uważał za wskazane udzielić aptekarzowi Bambolemu pewnych mniej lub więcej ścisłych, ale bądź co bądź wiarygodnych informacji o sobie.

— Szczury, drogi panie Bamboli, są mi potrzebne do moich prac — rozpoczął doktor Popff usadawiając się na brzeżku stołu. — W wolnych chwilach prowadzę badania naukowe, a do tego potrzebne mi są szczury.

— Czy pan je tnie na kawałki? — zapytał aptekarz.

— Niekiedy. Pan zapewne wie, co to jest *hipofiza*, czyli przysadka mózgowa.

— Doktorze — z godnością odpowiedział pan Bamboli — Jestem farmaceutą.

— Jednym słowem — ciągnął dalej doktor — szczury są mi potrzebne do moich prac. I nie tylko szczury. Przede wszystkim jest mi potrzebny spokój, cisza, muszę mieć wolne wieczory, aby różni znajomi nie zawracali mi niepotrzebnie głowy i abym nie musiał myśleć jedynie o pracy zarobkowej. Zastanawiałem się z moją żoną i doszliśmy do przekonania, że nie znajdziemy bardziej odpowiedniego dla nas miasta od Bakbuku.

O tym, że jest synem redaktora pewnego prowincjonalnego pisma, a Berenika jest jedyną córką czcigodnego profesora literatury, o tym, że są już od pięciu lat po ślubie, że nie mają dzieci, nad czym bardzo ubolewają, o tym, że zarówno on jak i ona nie znoszą polityki, i o wielu innych rzeczach, które mogłyby zainteresować mieszkańców Bakbuku, doktor Popff opowiedział mimochodem i zręcznie, nie zmuszając aptekarza Bambolego do zadawania niedyskretnych pytań.

Było już dość późno, gdy aptekarz niezmiernie zadowolony ze swojej wizyty pożegnał się i wrócił do domu, gdzie oczekiwała go żona mdlejąca z ciekawości.

Natomiast doktor Popff pogwizdując wesoło, wszedł do sypialni, gdzie zastał swą małżonkę szlochającą, z twarzą wetkniętą w poduszkę.

— Cóż to ci się stało, staruszko — zaniepokoił się doktor Popff. — Czy jesteś chora?

— Ja nie chcę mieszkać w tym obrzydliwym miasteczku! Nie chcę spotykać się więcej z tym obrzydliwym aptekarzem! Nie chcę spać w tym obrzydliwym starym domu! Chcę wrócić do naszego domu!

— Żoneczko — rzekł łagodnie Popff siadając obok niej — nie płacz. Zobaczysz, wszystko ułoży się jak najlepiej. Spędzimy tu rok, a może dwa, czas przeleci, ani się zdążymy obejrzeć.

— Rok albo dwa? — Berenika zanosła się płaczem. — Obiecałeś przecież, że to nie potrwa dłużej niż rok. Teraz widzę, że nie można ci wierzyć!

— A może nawet krócej niż rok — powiedział w zamyśleniu doktor Popff. Praca posuwa się bardzo szybko naprzód.

— I wrócimy do domu?

— Naturalnie. Z triumfem! We wszystkich gazetach fotografie: pani Berenika Popff, małżonka znakomitego wynalazcy, doktora Stephena Popffa. Niezłe, co?

— Wiesz co, Steph? — przemówiła Berenika. — Chodźmy jutro do teatru.

— Będziemy musieli, kochanie, trochę się ponudzić — mówił doktor Popff głaszcząc czule rączki wciąż jeszcze szlochającej małżonki. — W Bakbuku nie ma teatru. Jest siedem kinematografów i jedno bardzo zabawne muzeum figur woskowych. Chcesz, pójdziemy jutro do tego muzeum?

Rozdział trzeci

O wdowie Gargo, jej synach i pierwszej wizycie lekarskiej doktora Popffa

Wczesnym rankiem doktora Popffa obudziło głośne pukanie drzwi. Doktor wychylił głowę przez otwarte okno i ujrzał wysoką kobietę lat czterdziestu, walącą bez przerwy w drzwi

— Czy pan jest nowym doktorem? — zapytała kobieta. — Na miłość boską... mój chłopak jest ciężko chory!

— No i widzisz, staruszko, zaczęło się! — rzekł doktor do swej małżonki ubierając się pośpiesznie. — Jesteśmy tutaj dopiero jeden dzień, a już mam praktykę.

— Powodzenia, Steph — mruknęła przez sen Berenika cmoknąwszy męża w policzek, po czym odwróciła się na drugi bok i niezwłocznie zasnęła.

Po paru minutach wdowa Gargo — tak bowiem nazwała siebie kobieta, która o tej wczesnej godzinie wyciągnęła doktora z łóżka — zaprowadziła go do swego bardzo skromnego mieszkania. Po drodze wdowa zdążyła opowiedzieć doktorowi o tym, jak źle jej się teraz wiedzie i jak dobrze było za życia nieboszczyka męża, i o tym, jak niezwykłym był człowiekiem, jak dobrym mechanikiem, że miał „złote ręce”, jak dobrze zawsze zarabiał i jak kochał ją i dwoje dzieci. Chwalić Pana Boga, dobrzy ludzie, parafianie, pomogli jej umieścić małego synka Pedro w sierocińcu. Bardzo to pięknie z ich strony, bo przecież Pedro ma matkę, a do sierocińca przyjmują tylko zupełne sieroty. Jeździ teraz dwa razy do roku, by go odwiedzić, a także, by chłopiec nie zapominał o tym, że ma matkę, no i po to, by mogła przytulić małego synka, który jest jak dwie krople wody podobny do swojego ojca. Powodziło jej się bardzo źle, a teraz na dobitkę wszystkiego, jej starszy syn Ignas zachorował. Dostał jakiejś czerwonej wysypki i jeżeli okaże się, że to jest szkarlatyna, to chyba umrą z głodu, bo przecież żadna gospodyni nie da jej bielizny do prania obawiając się zarazków.

Niewielki pokój, w którym leżał Ignas, był zalany słońcem, a to jeszcze bardziej podkreślało niezmierną czystość i schludność ubogiego mieszkania. Jedyne duża fotografia odświętnie ubranego, wesołego młodego mężczyzny, wisząca na ścianie w złoczonej ramie i maszyna do prania pobłyskująca emalią i niklem w sąsiednim pokoju mówiły o tym, że kiedyś rodzinie Gargo wiodło się nienajgorzej.

Popff podszedł do chłopca. Chory nawet nie obejrzał się na odgłos jego kroków. Patrzył do góry

na szary, dawno nie bielony sufit nieruchomym, obojętnym wzrokiem umierającego.

Niezwykła chudość małego ciała zrobiła na doktorze duże wrażenie. Czerwona wysypka pokrywała twarz chorego tak gęstymi plamami, że zdawała się płonąć.

— Dzień dobry, Ignasiu — powiedział doktor, ale chłopczyk przeniósł na niego wzrok apatycznie i nic nie odpowiedziawszy odwrócił się do ściany.

— Dlaczego nie odpowiadasz panu doktorowi, Ignasiu? — strofowała go matka. — Powiedźże „dzień dobry”. To pan doktor. Wyleczy ciebie. To bardzo dobry doktor.

— Dzień dobry — przemówił chłopiec tak słabym i cienkim głosem, że matka nie wytrzymała i rozplakała się.

— A teraz obejrzymy sobie tego młodego człowieka — powiedział doktor.

Jama ustna pełna była krwawiących ranek. Popff podniósł głowę chłopca i zobaczył powyżej karku to, co spodziewał się zobaczyć: dwie duże, miedzianoczerwone plamy, połączone ze sobą niby skrzydła motyla.

Może pani śmiało brać bieliznę do prania — powiedział doktor opuszczając ostrożnie głowę chorego chłopca na poduszkę — ta choroba nie jest zaraźliwa. Trudno się nią zarazić — jest to choroba biedaków. Czy słyszała pani o takiej chorobie, która nazywa się bardzo mądrze po łacinie *pellagra*, a zwyczajnie — szkorbut.

Gargo nie wiedziała, co to jest szkorbut. Nie było w tym nic dziwnego, tym bardziej że i miejscowi lekarze w Bakbuku również mieli bardzo słabe pojęcie o tej chorobie.

Doktor Popff wziął z okna kilka flaszeczek z różnokolorowymi etykietkami i z rozdrażnieniem postawił je na dawnym miejscu: te lekarstwa tyleż mogły zapobiec stwierdzonej przez niego chorobie, co... trzęsieniu ziemi.

— Przede wszystkim niech pani wyrzuci do stu diabłów te wszystkie lekarstwa — powiedział do wdowy Gargo. Biedna kobieta zapłakała rzewnymi łzami, bo przecież trudno jej było pogodzić się z tym, że wydała tyle pieniędzy na te wszystkie bezużyteczne leki. — Pani chłopiec nie potrzebuje lekarstw. Potrzebne mu jest mleko, jarzyny i świeże mięso.

Doktor Popff posłał ją po suche drożdże, kazał zrobić z nich wywar i dawać choremu po dwie stołowe łyżki dziennie. Wdowie Gargo wydało się dziwne, że doktor nie zapisał żadnego lekarstwa. Cóż to bowiem za doktor, który nie zapisuje lekarstw! Pozwooliła więc sobie poprosić go, by jednak zapisał jakieś lekarstwo, a wtedy doktor skrzyczał ją, że sam wie, co należy w takich wypadkach robić. Całe szczęście, że w porę rozpoznał chorobę, bo inaczej ci partacze swoimi

idiotycznymi lekarstwami byliby chłopca doprowadzili do obłądu i do mogiły.

Zdawał sobie wprawdzie sprawę z tego, że źle robi besztając tę nieszczęśliwą kobietę, którą nieudolni lekarze oszukiwali, ale nie mógł się powstrzymać. Był po prostu oburzony, gdyż po raz pierwszy zetknął się ze strasliwym przypadkiem choroby nędzarzy, której dotychczas czytał jedynie w podręcznikach lekarskich. Pokazał wdowie, jak przyrządzać drożdże, i prosił, by powiadomiła go o dalszym przebiegu choroby.

Na pożegnanie podał jej rękę i poczuł w swej dłoni kilka srebrnych monet.

— W żadnym razie nie przyjmę — znów rozgniewał się. — Pieniądze przydadzą się pani na mleko... i niech pani więcej tego nie robi.

Ale wdowa Gargo powiedziała, że nigdy by sobie nie wybaczyła, gdyby doktor odszedł bez honorarium. Nie wiadomo, czym by się skończyła ta dość przykra rozmowa, gdyby doktor Popff nie usłyszał naraz przejmującego pisku, który rozległ się pod łóżkiem.

— Pewno znów szczur złapał się w pułapkę — rzekła wdowa, jakby usprawiedliwiając się. — One nas chyba kiedy zagryzą!

— Niech no mi pani zawinie tego szczura razem z pułapką w gazetę — ucieszył się doktor. — Bardzo mi są potrzebne szczury. Będzie to moim honorarium. Za pół godziny może pani przyjść po pułapkę.

Z pułapką w ręce doktor Popff wracał do domu. Berenika jeszcze leżała, otworzyła zaspane oczy i zapytała:

— No i jak, najdroższy?

— Znakomicie — odpowiedział doktor — pierwsze trzy centaury zapracowane w Bakbuku.

Pokazał jej banknot trzycentaurowy, który już od tygodnia spoczywał w jego pugilaresie. Nie chciał drażnić małżonki: z pewnością uważałyby tę pierwszą bezpłatną wizytę za zły prognostyk. Zresztą doktor Popff sam również nieco wierzył w dobre i złe przepowiednie.

Rozdział czwarty

z którego wynika, że pozory niekiedy mylą

Tego samego dnia aptekarz Bamboli z całą uprzejmością dopomógł swojemu nowemu sąsiadowi w nabyciu kilku szczurów i morskich świnek po cenach nader umiarkowanych. Doktor Popff do późnej nocy krzątał się urządzając swe laboratorium w niewielkiej komórce przylegającej do kuchni. Podśpiewywał pod nosem jakąś modną piosenką, fałszując co prawda niemiłosiernie, z hałasem przesuwiał stoły, wbijał gwoździe w przepierzenie z desek i był tak zadowolony, że nawet nie zauważył, iż w ciągu całego dnia ani jeden pacjent nie zapukał do jego drzwi.

Zresztą najbardziej przesądny lekarz nie mógłby się dopatrzeć w tym złowroziej przepowiedni. Nie wszyscy przecież mieszkańcy Bakbuku wiedzieli, że do miasta przybył nowy lekarz, a nawet gdyby wiedzieli, czekali by raczej, dopóki się nie zgłosi do niego pierwszy pacjent, dopiero wtedy oceniliby, czy warto korzystać z jego usług.

Doktor Popff zdawał sobie z tego sprawę, więc też bynajmniej nie odczuwał żadnej trwogi i w oczekiwaniu przyszłych pacjentów całkowicie zajął się pracą, dla której właściwie przybył do tej zapadłej dziury.

W tym miejscu wypada podać kilka uzupełniających wiadomości do tego, co doktor Popff powiedział o sobie aptekarzowi Bambolemu.

„Pewne badawcze prace”, o których doktor Popff zaledwie napomknął, nie tylko powodując się skromnością, lecz również ostrożnością, zasługują na to, by je omówić obszerniej.

Niestety, niejakię względy dość poważnej natury nie pozwalają nam nawet teraz, gdy minął znaczny okres czasu od chwili opisywanych tu zdarzeń, na ujawnienie naszym czytelnikom treści i charakteru badań, dzięki którym doktor Popff, młody lekarz i biolog, znalazł rozwiązanie jednego z najbardziej skomplikowanych zagadnień biologicznych, a mianowicie sztucznego przyspieszenia rozwoju organizmu zwierzęcego.

Czytelnicy, którzy uważnie przeczytają tę powieść opartą na faktach, zrozumieją przyczynę naszej powściągliwości w tej sprawie.

Jedynie uważamy za możliwe na razie powiedzieć o pracach doktora Popffa to, że przy pomocy odpowiedniego chemicznego preparowania przysadki mózgowej oraz gruczołu tarczycowego doktor Popff usiłował stworzyć pewien preparat, przyspieszający wielokrotnie proces wzrastania

młodego organizmu do rozmiarów dojrzałego osobnika.

Udało mu się już znaleźć odczynniki, które odpowiednio działają na przysadkę mózgową młodych organizmów; obecnie pracował nad zahamowaniem oddziaływania hormonów, a więc nad tym, by w pewnej z góry określonej fazie rozwoju powstrzymać burzliwe i nadmierne działanie tego niewielkiego gruczołu — nie większego od ziarnka fasoli — który w medycynie nosi nazwę przysadki mózgowej.

Mówiąc prawdę, doktor Popff w głębi duszy był nawet bardzo rad, że nic go nie odrywa od pracy w laboratorium. Przywiózł trochę pieniędzy, które powinny były wystarczyć na prawie dwa miesiące spokojnego życia. Gdy jednak w ciągu następnego sześciu dni nie zgłosił się do niego ani jeden pacjent, ogarnęła go pewna obawa — przejeść posiadane oszczędności jest bardzo łatwo.

Najwidoczniej nie obejdzie się bez pomocy reklamy. Wszakże tego samego dnia, gdy doktor Popff zamierzał udać się do redakcji miejscowego pisma, żeby dać ogłoszenie o swoim przyjeździe, objawiły się już rezultaty reklamy, którą zrobiła mu wdzięczna wdowa Gargo. Opowiedziała wszystkim licznym znajomym i klientom o tym, jak znakomitym lekarzem jest ten nowoprzybyły i jak szybko, niemal z godziny na godzinę, poprawia się jej Ignas — i przy tym bez żadnych lekarstw — że przedtem wydawała bezskutecznie masę pieniędzy na lekarzy i lekarstwa.

Co prawda wdowa Gargo nie wszystkim opowiedziała, że doktor Popff nie chciał wziąć od niej pieniędzy i że zamiast honorarium wziął zwykłego szczura. Nie mówiła o tym po prostu dlatego, że krępowało ją podkreślanie swego ubóstwa. Chwalić Boga, pracuje i zarabia na utrzymanie dla siebie i swego syna. O szczurze opowiedziała tylko niektórym najbliższym znajomym i to w największej tajemnicy.

Zapewne dlatego historia niebywałego honorarium obiegła całe miasto nie od razu, a dopiero po upływie tygodnia. I właśnie wtedy do niewielkiej i dość ciemnej poczekalni doktora Popffa zaczęły napływać całe procesje pacjentów.

Przeważnie byli to ludzie, których nie stać na drogich lekarzy i kosztowne lekarstwa. Gdy doktor Popff spojrział na ich skromne odzienia, na biedne, a niekiedy wręcz nędzne mieszkania, zgadzał się na każde honorarium, choćby i najniższe. Sprawiedliwość wszakże wymaga, by dodać w tym miejscu, że żaden z pacjentów doktora Popffa nie udawał ubóstwa i nie uchylał się od zapłacenia temu dziwnemu doktorowi takiej kwoty, na było stać. Nikt wszakże nie mógł dać mu więcej aniżeli centaury, podczas gdy zazwyczaj w Bakbuku płacono za wizytę co najmniej trzy centaury.

Chorzy bynajmniej nie krępowali się i prosili, by doktor zapisał im najtańsze lekarstwo, i nieraz musiał się doktor Popff niemało nagłowić, by zapisać tanie i jednocześnie skuteczne lekarstwo.

Trafiali się niekiedy i bardziej zamożni pacjenci, ale ci uważali za coś nie licującego z ich godnością wyczekiwanie wśród „pospólstwa” w poczekalni lekarza. Są dość bogaci, aby zasięgać porad droższych lekarzy lub też wzywać ich do domu. Tacy pacjenci z pogardą opuszczali poczekalnię doktora Popffa.

A jednak praktyka doktora Popffa, pomimo mizernych honorariów, rozwijała się wcale nieźle. Pacjentów było coraz więcej. Było ich tak wielu, że niekiedy dopiero późnym wieczorem udawało mu się zamknąć w laboratorium i wtedy opuszczał je dopiero nad ranem, by przekąsić coś niecoś, przespać się ze dwie godziny i znów zająć się swoimi chorymi.

Zarabiał już wtedy tak dużo, że mógł bez uszczerbku posłać swemu bezrobotnemu bratu sto centaurów, o czym ani on, ani jego brat dawniej nie mogli nawet marzyć.

Od czasu przybycia doktorostwa Popff do Bakbuku minął zaledwie miesiąc, gdy pewnego dnia otrzymali zaproszenie na doroczny obiad stowarzyszenia miejscowych lekarzy. Nie wiadomo dlaczego, ale w tym roku owa uroczystość wypadła znacznie wcześniej niż zazwyczaj.

Rzecz prosta, ani doktor Popff, ani jego żona nie domyślali się istotnego celu owego zaproszenia. Berenika, która nudziła się jak na bezludnej wyspie, bardzo się ucieszyła i naradzała się bez końca ze swoim mężem, jaką ma włożyć suknię, jakie pantofle i jak ma się uczesać.

Doktor Popff z kolei zamierzał po obiedzie, gdy wszyscy będą przy kawie, cygarach i likierze, pokazać kolegom parę bardzo dowcipnych magicznych sztuczek z kartami do gry.

I rzeczywiście wszyscy goście byli zachwyceni jego „czarną magią” i tak długo i ochoczo oklaskiwali go, że doktor Popff nabrał animuszu i zaśpiewał obecnym parę wesołych studenckich piosenek. Berenika była w siódmym niebie, rozpieiała ją duma z posiadania takiego męża — był przecież duszą całego zebrania.

Później zaczęły się tańce i szczęśliwa Berenika zawirowała w takt walca z młodym i dość przyjemnym synem czcigodnego doktora Loysa, który tymczasem zaprosił „kolegę Popffa” do sąsiedniego pokoju dla odbycia poważnej i nie cierpiącej zwłoki rozmowy.

Doktor Popff usiłował odłożyć tę rozmowę, dotyczącą najwidoczniej spraw zawodowych. Chciał potańczyć, a ponadto przygotował jakieś nowe niespodzianki dla biesiadników. Musiał jednak ustąpić wobec uprzejmych, ale dość energicznych nalegań doktora Loysa.

Był to wychudły —starzec z tak pomarszczoną twarzą, że przypominała skorupę włoskiego

orzecha. W ciągu swojej czterdziestoletniej praktyki doktor Loys nabył umiejętności obcowania z ludźmi i był uważany powszechnie za autorytet we wszystkich konfliktach, jakie od czasu do czasu wynikały między miejscowymi eskulapami. Było więc rzeczą zrozumiałą, że to właśnie jego obarczono misją przeprowadzenia dzisiejszej rozmowy.

Usiedli w fotelikach i doktor Loys, nie śpiesząc się, przystąpił do spełnienia swego drażliwego obowiązku.

Przede wszystkim wyraził niekłamany zachwyt z powodu szybkiego wyleczenia syna tej — jakże się ona nazywa? — wdowy Gargo, i przyznał otwarcie, że osobiście uważał stan chłopca za beznadziejny. Następnie wyraził taki sam zachwyt z powodu godnej najwyższych pochwał bezinteresowności doktora Popffa, który nie przyjął pieniędzy ofiarowanych mu przez wspomnianą wdowę.

Ten postępek, jak wyraził się doktor Loys, prawdziwie chrześcijański, przynosi zaszczyt każdemu lekarzowi, wszakże — tutaj uśmiechnął się znacząco — niewiele ma się pożytku z podobnych chrześcijańskich uczynków. Niestety, lekarz obarczony liczną rodziną, pomimo najlepszych chęci, nie może spełniać złożonej przy przysiędze lekarskiej obietnicy niekierowania się chęcią zysku, jeżeli nie chce wraz z rodziną znaleźć się na bruku. I właśnie dlatego został upoważniony przez wszystkich lekarzy w Bakbuku do skierowania pod adresem czcigodnego doktora Popffa prośby, by zechciał poważnie zastanowić się nad tym, w jak drażliwym, by nie powiedzieć ciężkim, położeniu stawia swych pozostałych kolegów obniżając lekkomyślnie normalne honoraria.

Co prawda, do czcigodnego kolegi rzadko zwracają się po porady bogaci, a nawet średniozamożni chorzy, ale doktor Popff powinien liczyć się z tym, że biedaków jest więcej i że częściej chorują.

— Ależ moi chorzy płacą mi tyle, ile mogą! — naiwnie zawołał doktor Popff, który bynajmniej nie przypuszczał, że rozmowa będzie dotyczyła tak nieciekawej sprawy.

Wtedy doktor Loys zaczął mu cierpliwie tłumaczyć, że jest jeszcze młody, że nie zna ludzi i że przecież wszyscy jego pacjenci jakoś znajdują pieniądze potrzebne na lekarstwa. Niechże więc postękają trochę i znajdą owe nieszczęsne trzy centaury, które należą się lekarzowi za poradę. Znajdowali je przecież, do licha, zanim doktor Popff przyjechał! I jeżeli już jest mowa o tym, to ta — jakże się nazywa? — wdowa Gargo nigdy nie odważyłaby się zaproponować jemu, doktorowi Loysowi, mniej aniżeli trzy centaury, nawet gdyby musiała cały miesiąc robić oszczędności na

chlebie lub mleku! Chodzi o to, żeby lekarz umiał się postawić wobec chorego, który przecież tylko szuka wymówki, żeby jak najmniej zapłacić doktorowi, a chce wydobyć od niego jak najwięcej recept i porad.

Doktor Popff siedział zasępiony i myślał w duchu: „Ależ szubrawiec z tego pocziwego, starego doktorzyny, który wygląda jak wyschnięty i ogolony święty Mikołaj!”

Później znudziło mu się dalsze słuchanie i zapytał, jak należy postępować z takimi chorymi, którzy w ogóle nie mają pieniędzy na leczenie.

Doktor Loys wyjaśnił mu, że nigdzie nie jest powiedziane, aby tacy chorzy w ogóle musieli się leczyć, i że za dużo jest już na świecie tej biedoty i byłoby lepiej, gdyby powymierali zamiast męczyć się w pogoni za kawałkiem chleba. Są to, zdaniem doktora Loysa, ludzie niepełnowartościowi, nie przygotowani do życia i społeczeństwo nie ma z nich żadnych korzyści. Co więcej — te elementy właśnie dostarczają wszelkiego rodzaju buntowników, z nich rekrutują się strajkujący i agitatorzy komunistyczni.

Wtedy doktor Popff rozgniewał się na serio i oświadczył, że być może istotnie wśród jego pacjentów znajdują się strajkujący i agitatorzy, ale to jego nic nie obchodzi, bo nie jest policjantem, lecz lekarzem, i że nigdy nie pozwoli sobie na to, by miał zdzierać ostatnią skórę z chorych, nawet gdyby dziesięć razy byli komunistami.

Doktor Loys zmarszczył się i rzekł, że z prawdziwym smutkiem przychodzi mu słuchać podobnie lekkomyślnych słów i że na miejscu czcigodnego kolegi zastanowiłby się co najmniej trzydzieści razy, zanim zdecydowałby się działać wbrew interesom własnego zawodu.

Doktor Popff w odpowiedzi powiedział mu jakąś impertynencję.

Jednym słowem, przyjemny nastrój wieczoru został całkowicie pogrzebany. Wkrótce wszyscy rozeszli się. Postanowiono nie spotykać się więcej z Popffami, nie przyjmować ich u siebie i nie bywać w ich domu. „Niech spróbują żyć w całkowitym osamotnieniu. Może nabiorą rozumu! A jeżeli nie nabiorą — pal ich diabli!”

Rozdział piąty

O tym, jak doktor Popff spotkał się z Tomaso Magarafem

Cały następny miesiąc po tym nieudanym obiedzie doktor Popff spędził zamknawszy się w swoim laboratorium. Wychodził z niego niekiedy przygnębiony z powodu niepowodzeń, kiedy indziej wesoły, gdy wszystko szło dobrze, ale nigdy na dłużej jak na piętnaście lub dwadzieścia minut, po czym pomimo nalegań żony znów zamykał się na długie godziny.

Wreszcie pewnego pochmurnego letniego ranka, nieoczekiwanie wybiegł z laboratorium, podskoczył do żony i pocałował ją mocno całować.

— Hura! — Chwycił na ręce Berenikę i zaczął z nią tańczyć po pokoju. — Teraz mi jest na gwałt potrzebny liliput! Królestwo za liliputa! Staruszko najdroższa, czy ty wiesz, kim jest twój mąż?

— Jeżeli mnie pamięć nie myli — odpowiedziała Berenika śmiejąc się — moim mężem jest doktor Stephen Popff. Zresztą nie rękę za to, bo od miesiąca nie widziałam go.

— Nic podobnego! Stanowczo się mylisz! — grzmiał podniecony małżonek. — Twój mąż jest czarodziejem, magiem, cudotwórcą, żywioty słuchają jego rozkazów... Ponadto jest dobroczyńcą ludzkości! A ty jesteś moją żoną! Żoną dobroczyńcy ludzkości! To jest większy zaszczyt niż być żoną Rivery i Padrele! Powiedz, czego chcesz, a złożę wszystko do twych stóp!

— Chcę pójść i przygotować ci śniadanie — odpowiedziała spokojnie Berenika. — Nie jadłeś przecież jeszcze nic. Co by ci takiego przyrzadzić na śniadanie?

— Przyrządź mi liliputa! — zawołał w podnieceniu doktor Popff uwalniając żonę ze swych objęć. — Młodego, zdrowego liliputa, który marzy o tym, by urosnąć!

— Przestań żartować. Co sądzisz o jajecznicy z szynką?

Berenika udała się do kuchni, by przyrzadzić obiecaną jajecznicę z szynką, natomiast podniecony i szczęśliwy doktor Popff przemierzał wzdłuż i wszerz jadalnię, nie mogąc sobie znaleźć miejsca. Udał się schodami do swego gabinetu i nie wiadomo po co zaczął przesuwać swe biurko na inne miejsce. Gdy już je ustawił, przekonał się, że było mu wygodniej na dawnym miejscu, przesunął więc biurko z powrotem, rozsiadł się w fotelu, wziął arkusz papieru i zaczął pisać list. Nie skończył go jednak odkładając dalszy ciąg na później. Sięgnął po jakąś książkę w jaskrawej okładce i po chwili odłożył ją. Nagle przypomniał sobie, że co najmniej od trzech

tygodni nie zajrzał do pism. Przysunął więc do siebie imponujący plik gazet, który zdążył nagromadzić się przez ten czas, i zaczął je w roztargnieniu przerzucać.

Naraz jego uwagę przyciągnęło duże ogłoszenie music-hallu „Złoty Paw”:

TEGO JESZCZE NIE BYŁO!
Największa światowa sensacja!
Wszyscy powinni widzieć! Wszyscy powinni słyszeć!
Najmniejszy i najwszechstronniejszy artysta
TOMASO MAGARAF
Wszyscy powinni widzieć.
Wszyscy powinni widzieć i słyszeć
TOMASO MAGARAF!
Występuje jedynie w pierwszorzędnym music-hallu
„ZŁOTY PAW”

Doktor Popff przeczytał to ogłoszenie kilka razy, zastanawiał się nad czymś, bezdźwięcznie poruszał wargami, po czym zerwał się z fotela, pośpiesznie zapakował niewielką walizkę, starannie zawinął w watę parę szklanych ampułek z zielonkawym płynem, schował je do portfela i zszedł do jadalni, gdzie już czekała na niego jajecznicza.

— Ciekawe, co? — powiedział pokazując żonie gazetę z ogłoszeniem.

— Bardzo! — z westchnieniem zgodziła się Berenika. — Niestety nie jest to w naszym przeklętym Bakbuku, ale w Mieście Wielkich Żab.

— Co też ty mówisz? — z udanym przerażeniem zawołał Popff. — Niemożliwe! W takim razie będziemy musieli, uroczą moja staruszko, pojechać na parę dni do Miasta Wielkich Żab.

Po trzech godzinach małżonkowie Popff jechali już pociągiem, a następnego dnia z rana przybyli do Miasta Wielkich Żab, o dziewiątej zaś wieczorem niepomniemie szczęśliwa Berenika siedziała obok swojego męża na zalanej światłem widowni wspaniałego music-hallu „Złoty Paw”. Wszystko ją cieszyło, wszystko bawiło — wszystko bowiem było inne aniżeli w „przeklętym Bakbuku”.

— Prawda, że to jest cudowne? No, proszę, powiedz sam, przecież to jest nadzwyczajne! — zwracała się raz po raz do swojego męża, którego niemal zupełnie nie interesowało to, co się dzieje

na scenie.

— Tak, naturalnie — odpowiadał roztargniony — nadzwyczajne! — i znów pogrązał się w swych rozmyślaniach.

Ale gdy na scenie ukazał się wreszcie Tomaso Magaraf, doktor Popff nie mógł oderwać od niego oczu. Był to maleńki, ale bardzo proporcjonalnie zbudowany młody człowiek o niezwykle sympatycznej twarzyczce, zachowujący się z ogromną pewnością siebie, jak przystało na znającego swoją wartość, stołecznego artystę.

Był istotnie wszechstronnym artystą: bardzo poprawnie zagrał na maleńkich dziecięcych skrzypczkach menueta Mozarta, później na saksofonie wykonał popularną piosenkę pod tytułem: „Mój stary samochód rozleciał się na kawałki”, wystukując przy tym zabawnie takt podeszwami maleńkich lakierowanych pantofelków, a na zakończenie odśpiewał żalonym, cieniutkim głosikiem jeszcze jedną piosenkę o małym chłopczyku, który się bał, że go porwie Murzyn z grubymi wargami. Piosenka ta wywołała burzę oklasków i niemałe wzruszenie wśród widzów.

Po złożeniu niskiego ukłonu publiczności lilipuci artysta zniknął za kulisami i po krótkiej chwili wrócił jadąc na kucyku. Teraz Magaraf nie miał już na sobie fraka, lecz malowniczy strój kowboja. W prawej ręce trzymał malutki karabinek, z którego, galopując co siłą, celnymi strzałami trafił w pół tuzina niewielkich fajansowych talerzyków, podrzucanych w górę przez umundurowanych dryblasów.

Zeskoczył później zręcznie ze swego kuczka, szpicrutą kazał mu się położyć na ziemi i ukrywając się za jego grzbietem rzucił na salę błyszczący bumerang. Pocisk zakreślił w powietrzu piękny łuk i wrócił posłusznie do Magarafa, kładąc się bezszelestnie u jego nóg jak spadający jesienny liść. Następnie Magaraf popisywał się zonglowaniem na galopującym kucyku. Szczególnie efektownie wypadła zonglerka płonącymi pochodniami i dwunastoma chińskimi mieczami.

Z wielką powagą przyjął zasłużone oklaski, uniósł do góry malowniczym ruchem kowbojski kapelusz i pogalopował za kulisy.

Przy drzwiach garderoby Tomaso Magarafa już oczekiwał woźny teatralny z wizytowym biletem niejakiego doktora Stephena Popffa z Bakbuku.

Na odwrotnej stronie biletu były skreślone ołówkiem następujące słowa:

Wielce Szanowny Panie!

Jeżeli będzie Pan miał trochę wolnego czasu jutro pomiędzy godziną dwunastą a pierwszą w południe — będę bardzo rad spotkać się z Panem w sąsiedniej restauracji. Chcę porozmawiać w pewnej bardzo ważnej sprawie, która Pana niewątpliwie zainteresuje.

„A niech go diabli porwą! — pomyślał w duchu Magaraf. — Zapewne znów jakaś propozycja nowego kontraktu. Będzie mnie namawiał, żebym zamienił «Złotego Pawia» na «Srebrne—go Lisa». Chociaż właściwie, skądżeby — przecież to lekarz”.

— Dobrze — powiedział woźnemu — proszę powiedzieć, że będę jutro o dwunastej w restauracji.

I rzeczywiście, następnego dnia w restauracji punktualnie o godzinie dwunastej nastąpiło spotkanie: cieszącego się ogromną popularnością artysty estradowego, Tomaso Magarafa, z ni komu nie znanym lekarzem z prowincji, Stephenem Popffem.

— Drogi panie Magaraf — zaczął niezbyt pewnie Popff po zamienieniu uścisków dłoni i powitaniu. — Eeee, jakby to panu powiedzieć... Chciałbym panu zaproponować pewien... eee... eksperyment, który na pierwszy rzut oka może się panu wydać dość nieprawdopodobny... Co by pan na to, drogi panie, powiedział, gdybym pomógł panu urosnąć?

Rozdział szósty

*w którym jest mowa o tym, jak Tomaso Magaraf z początku obraził się,
a doktorostwo Popff wrócili do Bakbuku*

— Myślałem, że będę miał do czynienia z dżentelmenem — z oburzeniem odpowiedział Magaraf na propozycję doktora Popff a i zszedł z krzesła — myślałem, że pan jest przyzwoitym człowiekiem, a tymczasem naraża mnie pan na wysłuchiwanie pańskich niemądrych dowcipów na temat mojego kalectwa! Żegnam pana...

Ale doktor nie pozwolił mu odejść, niemal przemocą posadził z powrotem na krzesło karzełka dygocącego z oburzenia. Po chwili mówił dalej:

— Nonsens! Jestem bardzo daleki od tego, dalszy, aniżeli pan przypuszcza! Nie mam zamiaru żartować z pana! A w ogóle, któryż to normalny człowiek będzie się trząsł dwadzieścia cztery godziny w pociągu jedynie po to, aby pozwolić sobie na wątpliwej wartości dowcipy wobec cudzego nieszczęścia. Niechże pan zrozumie — jestem lekarzem, a oprócz tego zajmuję się naukowymi badaniami. Studiuję zagadnienie rozrostu organizmów, a w szczególności zagadnienie przyspieszenia działalności przysadki mózgowej. Pan oczywiście wie, co to jest przysadka mózgowa? Tak zwana hipofiza?

— Hipofiza? Oczywiście wiem — odpowiedział Magaraf, nie mając zielonego pojęcia, o co właściwie chodzi.

— Otóż to! — ucieszył się Popff. — Wobec tego wszystko będzie dla pana zrozumiałe. W rezultacie dość skomplikowanej i długotrwałej serii doświadczeń udało mi się wynaleźć pewien preparat, który nazwałem „Eliksirem Bereniki”. Mojej żonie jest na imię Berenika — wyjaśniał z pewnym zmieszaniem. — Zastrzykując ten eliksir zwierzętom, w szczególności ssakom, uwielokrotniam wydzielność przysadki i, jak pan to sam rozumie, organizm zaczyna rozwijać się w znacznie szybszym tempie, organizm rośnie, aż w krótkim czasie osiąga rozmiary zupełnie dojrzałego okazu. Sprawdziłem już działanie mojego preparatu na szczurach i morskich świnkach, królikach i szczeniakach. Wydaje mi się, że nadeszła pora wypróbowania go na ludzkim organizmie. Nie mogą panu gwarantować całkowitego powodzenia, ale wszystko przemawia za tym, że i w tym wypadku, rezultaty będą dodatnie. A wtedy — zawołał doktor Popff i począł wymachiwać rękami — wtedy przed ludzkością otwierają się najpiękniejsze perspektywy. Jeżeli

natomiast — dodał posmutniały — doświadczenie nie uda się, pańska strata polegac będzie na paru bezsennie spędzonych nocach, nie licząc oczywiście zupełnie zrozumiałego uczucia rozczarowania.

Doktor Popff zamilkł i wyczekująco patrzył na Magarafa.

Magaraf był blady. Po prostu nie mógł uwierzyć w to, co mówił do niego ten człowiek o tak szczerzej a jednocześnie przebiegłej twarzy.

— A czy drogo będzie mnie to kosztowało? — przerwał wreszcie po dość długiej chwili milczenia.

— Nie będzie to pana absolutnie nic kosztowało — szybko odpowiedział doktor Popff.

— Albo pan jest patentowanym oszustem... — zaczął powoli Magaraf, a w jego głosie czuło się walkę pomiędzy podejrzliwością a skrętnie ukrywaną nadzieją.

— Albo? — uśmiechnął się doktor Popff.

— ...albo jest pan człowiekiem, który nie ma pojęcia o robieniu interesów.

— Jestem lekarzem i naukowym badaczem.

— Lekarze lubią pieniążki nie mniej od sklepikarzy — zauważył Magaraf — wszyscy pańscy profesorowie także.

— Okazuje się, że nie wszyscy.

— Gdybym ja był doktorem — rzekł Tomaso Magaraf — zbesztalbym pana porządnie. Oczywiście, jeżeli to wszystko nie jest fantazją.

— Już mnie zbesztano — roześmiał się Popff czując, że lody nieufności powoli topnieją — mógłbym nawet panu po cenie kosztu oddać sporą porcję cięgow, które już oberwałem. No i cóż? Zgadza się pan?

— Oho! — zawołał Magaraf jawnie uchylając się od odpowiedzi. — Więc już pan zdrowo oberwał od swoich koleżków?

— Nie ma pan pojęcia, panie Magaraf, z jaką przyjemnością sprawiłbym panu teraz lanie — z niekłamaną szczerością w głosie odpowiedział Popff. — Niechże mi pan odpowie na moje pytanie.

— Co pan sobie myśli? — znów rozgniewał się karzełek. — Nie jestem żaden szczur ani też żadna morska świnka czy jakiś królik. Raz, dwa i gotowe? A co, jeżeli mi pan zastrzyknie truciznę? — przecież ja pana zupełnie nie znam!

— Jestem doktor Stephen Popff! — z kolei rozgniewał się przybysz z Bakbuku. — Za pół roku będzie pan dumny z tego, że mnie pan poznał. Nie ma pan za grosz oleju w głowie!

Po chwili opamiętał się jednak, uśmiechnął i jak gdyby przeprasząc rzekł:

— Zresztą ma pan rację. Niech się pan zastanowi. Przypuszczałem, że ta propozycja będzie panu odpowiadała... Przecież pan na pewno całe życie marzył o tym, aby urosnąć...

— Nie śmiałem nawet marzyć o tym—przemówił smutnym głosem karzełek. — Kiedyś w dzieciństwie śniły mi się takie sny... zgodziłbym się być ostatnim nędzarzem, byleby...

Nie skończył tego zdania, napił się kawy, która zdążyła wystygnąć, i odsunął od siebie filiżankę.

— Widzi pan tę strzykawkę?—zapytał Popff otwierając małą walizeczkę leżącą tuż obok na krześle. — Ta strzykawka zawiera dwie dawki mojego eliksiru. Więc połowę tej zawartości zastrzyknę w pierw sobie. Chyba nie wyglądam na samobójcę?

— Ale jeszcze mniej na uczonego — przyciął mu Magaraf z tak zabawną miną, że obydwaj roześmiali się.

Karzełek usiłował protestować, ale doktor Popff korzystając z tego, że dokoła nie było żywej duszy, szybkim i sprawnym ruchem zastrzyknął sobie połowę zawartości strzykawki.

— Chwała Allachowi — powiedział — żem już dostatecznie wyrósł, na mnie więc eliksir nie wyrwie żadnego wpływu, a pan będzie spokojniejszy. No, proszę dać rękę!

Zawinął Magarafowi rękaw na lewej ręce powyżej łokcia, posmarował watką, którą zwilżył eterem i po paru sekundach cała ta nieskomplikowana operacja, o której w przyszłości zapewne zostaną napisane dziesiątki grubych tomów, była zakończona.

W pół godziny później doktor Popff i Tomaso Magaraf mocno uścisnęli sobie ręce opuszczając restaurację.

— Więc do pojutra — powiedział Popff. — Postaram się załatwić wszystko w ciągu jednego dnia.

Późną nocą doktor Popff wraz z żoną wracał do domu. Spieszyli do Bakbuku, by załatwić najpilniejsze sprawy i wrócić do Miasta Wielkich Żab, gdzie doktor Popff musiał otoczyć swą opieką Tomaso Magarafa, przeprowadzając jednocześnie najskrupulatniejsze badania, aż do chwili kiedy proces przyspieszonego rozrostu karzełka nie zostanie zakończony.

W wagonie było gorąco i duszno, ale Berenika usnęła od razu. Była w doskonałym humorze, cieszyło ją powodzenie męża, lecz jeszcze bardziej to, że bodaj na pewien czas wyrwie się z Bakbuku i będzie mieszkała w mieście, gdzie są teatry i przyzwoite towarzystwo. Ale jej mąż nie

mógł zasnąć. Długo przewracał się na swoim pościeliu, później wstał, wyszedł na korytarz i otworzył okno, by odetchnąć świeżym powietrzem.

Zimny deszcz walił w szyby wagonu, a doktor Popff był w leciutkiej piżamie. Była to lekkomyślność nie do darowania, zwłaszcza dla lekarza — ale doktor Popff miał głowę zaprzątą czym innym aniżeli swoim zdrowiem. Marzył o tym, jakie wrażenie wywoła w naukowym świecie jego praca pod tytułem: „Podstawy i metody przyśpieszenia rozrostu ssaków”, jak wszyscy będą musieli przyznać, że to on dokonał epokowego odkrycia. Tak, epokowego!

Stał w korytarzu wagonu, po którym hulał zimny wiatr, i marzył o sławie, o tym, jak osiągnie dobrobyt, urządzi sobie piękne laboratorium, w którym będzie można na serio pracować nie tracąc czasu na troskę o chleb codzienny.

Wreszcie poczuł, że się wyziębził, wrócił więc do swego przedziału, ale zasnąć nie mógł.

Gdy następnego dnia z rana zszedł do jadalni, by naprędce zjeść śniadanie, Berenika zwróciła uwagę na jego rozpaloną twarz i zmusiła go do zmierzenia temperatury. Okazało się, że ma trzydzieści dziewięć i pięć kresiek.

Wylękniona Berenika z trudem namówiła go, by się położył, aczkolwiek Popff uważał, że to drobnostka, i sama pobiegła po lekarza. Mimo że usiłowała się opanować, rozplakała się, po pierwsze dlatego, że doprawdy kochała męża, a poza tym było jej ogromnie przykro, że już tak prędko nie pojedą do Miasta Wielkich Żab.

Trzeba było dość długo czekać na przyjście lekarza, który najwidoczniej opóźniał swe przyjście, by podkreślić, że niechętnie udaje się do tego szaleńca Popffa, który potrafił narazić się wszystkim miejscowym kolegom. Diagnoza brzmiała krótko: zapalenie płuc, przy czym lekarz nie zaniedbał okazji zapisania najdroższego lekarstwa.

— Zdaje się, że ten bałwan nie omylił się — wystękał doktor Popff, gdy lekarz odszedł. — Mam takie wrażenie, jak gdybym się najadł mokrej gliny. Usiądź, staruszko moja najmilsza, przy mnie i pisz, póki nie stracę przytomności.

Doktor Popff podyktował list do Magarafa. Były to bardzo szczegółowe instrukcje o tym, jak ma się odżywiać w okresie swego przyśpieszonego rozrostu, jaki winien być tryb jego życia, jak długo powinien spacerować, jak długo spać, a przede wszystkim, jak ma prowadzić szczegółowe badania swego pulsu, temperatury, zwiększenia wagi, wzrostu oraz wiele innych, niezmiernie ważnych dla doktora Popffa szczegółów tego niezwyklego eksperymentu.

— Napisz mu, że to jest bardzo ważne, że jego notatki będą najlepszym honorarium dla mnie za to, co dla niego uczyniłem. Napisz, że to właśnie będzie moim honorarium!

Rozdział siódmy

O tym, jak Tomaso Magaraf zaczął rosnać i co z tego wynikło

Nigdy nie sądził, że naraz może nabrać tak szalonego apetytu. Jadł cały dzień i wciąż był głodny. Przestał stołować się w restauracji, bo przecież trudno było siedzieć cały dzień przy restauracyjnym stoliku.

Wdowa, u której wynajmował pokój, nie mogła sobie formalnie dać rady pitrasząc mu skomplikowane i obfite menu zalecone przez doktora Popffa. Z początku prawie cały jego zarobek pochłaniało jedzenie, później nawet więcej, ponadto zaś cały wolny czas, którym rozporządzał. Bez przerwy żuł coś i w domu, i na ulicy, i w kolei podziemnej, i nawet na scenie. Jadł i rósł, przy czym codziennie był wyższy o dwa centymetry.

Już po paru dniach ubrania były na niego za małe i zbyt wąskie. Obstałował sobie nowy frak na scenę i nowy kostium kowboja z pewnym zapasem, tak aby można było poszerzyć go w miarę tego, jak z niego wyrastał. Żeby nie zwrócić uwagi na dokonujące się w nim zmiany, zamawiał sobie ubrania u coraz innego krawca. Gorzej było z obuwiem: mniej więcej co cztery dni musiał kupować sobie nowe. Krawcy i szewcy zjedli wszystkie oszczędności, a jego bieżący rachunek w banku topniał z dnia na dzień.

Z początku w „Złotym Pawiu” nie zauważono, że Magaraf robi się coraz wyższy i szerszy. Przypuszczano, że to jest optyczne złudzenie, tak dalece nieprawdopodobne musiało się wydać, że karzełek rośnie.

Dopiero później wszyscy zrozumieli, że nie jest to żadne złudzenie optyczne, że Tomaso Magaraf w trzydziestym pierwszym roku swego życia istotnie zaczął rosnać, nikt jednak nie śmiał poinformować o tym niezwykłym fenomenie właściciela „Złotego Pawia”, niejakiego pana Suuke. Po prostu nikt nie chciał robić przykrości miłemu koledze. Kto wie, może przestanie rosnać i wtedy jakoś się to wszystko załatwi.

Ale Magaraf robił się coraz dłuższy, aż pewnego razu podczas przedstawienia wybuchnął skandal.

Kiedy Magaraf, jak zwykle, wyjechał na scenę na swoim kucu, rudy widz siedzący w pierwszym rzędzie, nieco podchmielony, ziewnął i głośno na całą salę zakomunikował swojemu sąsiadowi.

— U mnie na farmie mam ze trzydziestu takich liliputów... ale ten chyba największy.

Na widowni rozległy się przyciszone śmiechy.

— Nie gadaj głupstw — odpowiedział mu sąsiad — twoje dryblasy nie mają przecież takich cienkich głosów jak Magaraf. Ten śpiewa cieniutko jak pisklę.

Konferansjer udał, że nie słyszał tej rozmowy, wyszedł przed kurtynę i uroczyście zapowiedział:

— A teraz Tomaso Magaraf wykona piosenkę: „Mamo, ja się boję Murzyna”.

Był to przebojowy numer programu Magarafa. Gdyby się zamknęło oczy, można by uwierzyć, że to śpiewa pięcioletni pędrak. Tomaso chrząknął i naraz usłyszał z przerażeniem, jak z jego krtani wydobył się wcale soczysty barytonowy głos:

Mamo, mamo, tak się boję Murzyna,
Niech mnie mamusia mocniej trzyma...

Wybuch głośniego śmiechu i przeraźliwe gwizdanie zagłuszyły ostatnie słowa refrenu. Nie dojedzone pomarańcze i skórki od bananów poleciały jak grad na scenę. Trzeba było opuścić kurtynę. Dopiero wtedy sam pan Suuke zavezwał do swego gabinetu Tomaso Magarafa.

Właściciel „Złotego Pawia” ubrany był w czarny surdut, a jego kapelusz z wielkim rondem wyglądał na biurku jak świeżo usypana mogiła. Wyglądem swym pan Suuke raczej przypominał misjonarza aniżeli właściciela rozrywkowego przedsiębiorstwa. Nie było w tym zresztą nic dziwnego. Zanim pan Suuke kupił „Złotego Pawia”, uprawiał w przeciągu dwudziestu lat dość rentowny handel słowem bożym w charakterze misjonarza w tropikalnych krajach. Pozostałością jego dawnego zawodu było uczucie lekkiej pogardy, jaką żywił dla grzesznych popisów w music-hallu, a już najmniej lubił te, które powodowały materialne straty.

— Pan, zdaje się, pozwala sobie rosnać? — zapytał pan Suuke tonem, jakim zwykło się karcieć rzezimieszka.

Cóż mógł na to odpowiedzieć Magaraf? Milczał opuściwszy wzrok ku ziemi.

— Pan, zdaje się, zna treść tego dokumentu? — rzekł pan Suuke pokazując kontrakt, na którym widniał własnoręczny podpis Magarafa. Były karzełek tym razem również nic nie odpowiedział i pan Suuke słusznie uznał jego milczenie za znak zgody.

— W tym kontrakcie wszystko jest najwyraźniej przewidziane — mówił dalej pan Suuke i czytał z zabójczą dobitnością: — ...”Tomaso Magaraf, artysta estradowy, wzrostu dziewięćdziesiąt trzy centymetry...” — a jaki jest obecnie pański wzrost?

Wobec tego, że Magaraf tym razem również nic nie odpowiedział, pan Suuke wy dostał z szuflady swego biurka sprężynową miarę i osobiście dokonał pomiaru swego pracownika.

— Sto dwadzieścia jeden i pół centymetra! — zawołał głosem, w którym brzmiało całkowicie usprawiedliwione oburzenie. — To niesłychane!

Ale Magaraf wciąż milczał.

— Właściwie mówiąc, nie jest już pan liliputem — z boleścią w głosie stwierdził pan Suuke — jest pan po prostu człowiekiem małego wzrostu. Powinien pan natychmiast zaprzestać rosnąć, dopóki jeszcze nie jest za późno.

— Nie mogę zaprzestać rosnąć — odezwał się nareszcie Magaraf — to nie ode mnie zależy.

— W takim razie złamał pan warunki kontraktu. Zawarliśmy z panem kontrakt na dwa sezony. Skoro pan rośnie, kontrakt jest nieważny. Wyrośnięty liliput nie robi kasy. Chyba pan sam to rozumie?

— Rozumiem — zgodził się Magaraf.

— Więc niech pan nie łamie warunków kontraktu.

— Niestety, to nie zależy ode mnie.

— W takim razie oddam sprawę do sądu.

— Jak pan uważa...

Zaraz następnego dnia pan Suuke oddał sprawę do sądu, oskarżając estradowego artystę, liliputa Tomaso Magarafa o złamanie kontraktu zawartego ze „Złotym Pawiem”.

Rozdział ósmy

w którym jest mowa o tym, jak sądzono Tomaso Magarafa za to, że urósł

Magaraf nie miał już pieniędzy na adwokata. Zebrali je między sobą jego koledzy—artyści. Adwokat od razu zrozumiał, jaką reklamę może mu zrobić podobny proces, i dlatego nie domagał się wielkiego honorarium. W czasie szczerzej rozmowy, którą odbył ze swym klientem, dowiedział się, że pewien nieznany lekarz zrobił Magarafowi za jego zgodą zastrzyk jakiegoś płynu i że po tym zastrzyku liliput zaczął raptownie rosnać.

— Na miłość Boską! — przestraszył się adwokat. — Ale pan chyba nikomu o tym zastrzyku nie opowiadał?

— Lekarz zabronił mi opowiadać o tym aż do pewnego czasu — zapewnił go Magaraf.

— Mądrała ten pański doktor! — ze szczerym zachwytem odrzekł adwokat. — Jeżeli ktokolwiek dowie się o tym doktorze i o tym eliksirze, będzie pan odpowiadał nie tylko za złamanie kontraktu, ale i za świadome naruszenie warunków umowy.

Rozmowa ta była bardzo pożyteczna, gdyż sędzia śledczy, który również zamierzał zrobić karierę na tym procesie, rozpytywał ogromnie szczegółowo Magarafa o wszystkie okoliczności, jakie towarzyszyły jego raptownemu wzrostowi. Oczy sędziego błyszczały przy tym takim podnieceniem, jak gdyby on sam chciał za wszelką cenę urosnąć.

Ale sprawa przedstawiała się znacznie prościej. Sędzia śledczy miał około pięćdziesiątki i doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że oto nadarza mu się, być może, ostatnia w życiu szansa wyróżnienia się, może nawet awansu na stanowisko podprokuratora, i że nie mając żadnych stosunków powinien się na głowie postawić i zabłysnąć swoimi prawniczymi zdolnościami.

Ale Magaraf z uporem obstawał przy swoim.

Trudno opisać hałas, jaki powstał dookoła tego niesłychanego procesu.

Reporter pewnego brukowca, który przypadkowo był obecny na przedstawieniu w „Złotym Pawiu” podczas skandalu, jakim skończył się występ Magarafa, stał się bogatym człowiekiem w ciągu dwóch dni. Zamierzał napisać reportaż o całym incydencie, prześliznął się za kulisy, aby dowiedzieć się dalszych zabawnych szczegółów o karzełku, który przestał być karzełkiem, i pierwszy dowiedział się o tym, że sprawa oprze się o sąd.

Sprytny reporter zrozumiał, jaką dojną krowę znalazł w tym sensacyjnym wydarzeniu. Dokonał kilku fotograficznych zdjęć:

„Tomaso Magaraf wychodzi z gabinetu dyrektora”,

„Tomaso Magaraf po raz ostatni opuszcza wejście dla artystów”,

„Tomaso Magaraf opowiada swoim kolegom o nieszczęściu, które go spotkało”.

Wkrótce potem reporter udał się do mieszkania naszego bohatera i zanim ten wrócił, zdążył zaskarbić sobie zaufanie czcigodnej wdowy i uzyskał od niej bardzo ciekawy wywiad o jej sublokatorze.

Gdy wreszcie Magaraf, wytrącony całkowicie z równowagi i przygnębiony, Wrócił do domu, reporter brukowca nie tylko zdołał wyciągnąć od niego najbardziej sensacyjne szczegóły dotyczące zarówno jego życia jak i życia jego najbliższych krewnych, lecz również dowiedział się, jaki jest jego pogląd na możliwości dalszego rozwoju sztuki estradowej.

Przy pożegnaniu z Magarafem reporterowi udało się skraść okazały album z fotografiami rodziny i znajomych byłego karzełka, który zresztą następnego dnia został mu zwrócony wraz z pachnącym jeszcze drukarską farbą numerem brukowca, całkowicie poświęconym sensacyjnej sprawie Tomaso Magarafa.

Brukowiec wydawał dwanaście razy specjalne dodatki, które publiczność rozchwytywała w mgnieniu oka. Gdy zaś tłum reporterów innych gazet wtargnął do mieszkania Magarafa, przedsiębiorczy reporter brukowca, z oczyma zaczerwienionymi po nieprzespanej nocy, już dyktował w najwyższym pośpiechu stenotypistce ostatnie zdania broszury pt. „Bomba Tomaso Magarafa”, która rozeszła się w przeciągu dwu dni w ilości trzech i pół miliona egzemplarzy.

Po prostu niepodobieństwem jest opowiedzieć treść, a nawet wyliczyć ilość wszystkich artykułów i felietonów, jakie w ciągu tych dni ukazały się na łamach prasy całej Argentei. Wymagałoby to co najmniej kilkuset stronic okazałego tomu.

Ograniczymy się przeto do przytoczenia tylko najbardziej charakterystycznych tytułów tych niezliczonych artykułów, wzmianek i sprawozdań sądowych:

LILIPUT STANAŁ PRZED SĄDEM ZA TO, ŻE URÓŚL

TOMASO MAGARAF

udając się do sądu, ogolił się po raz pierwszy w życiu!

Wszyscy tańczą modnego fokstrota

„JAKIŚ TY DUŻY, MÓJ MALEŃKI TOMMY!”

„MAM SZALONY APETYT”

— powiedział Tomaso naszemu reporterowi

„KONTRAKT — JEST KONTRAKTEM!”

— powiedział pan Borros, wiceprzewodniczący Związku

Właścicieli Przedsiębiorstw Rozrywkowych.

Magaraf będzie miał czarną brodę!

„TOMASO MAGARAF JEST IDEALNYM SUBLOKATOREM!”

Obrona oskarżonego uzyskała zezwolenie Trybunału, poparte opinią lekarzy, na dostarczenie Magarafowi odpowiedniego pożywienia w czasie trwania rozprawy sądowej

TOMASO MAGARAF I SPÓŁKA

HANDEL KOLONIALNY, 78 PLAC POMYŚLNOŚCI

nie ma nic wspólnego z byłym liliputem, noszącym to samo nazwisko. Firma Tomaso Magaraf i Spółka skrupulatnie wywiązuje się ze wszystkich zawartych przez nią umów.

Instytucjom filantropijnym udziela się rabatu,

Artyści, koledzy Tomaso Magarafa, uważają, że jest on niewinny,

KAŻDY ROŚNIE JAK MOŻE!

PAN BÓG WIEDZIAŁ, CO ROBIŁ STWARZAJĄC LILIPUTÓW

Magaraf z apetytem zjada na obiad trzy befsztyki!

„Pierwszy raz słyszę, że lilipuci mają normalnych rodziców” — powiedziała

GWIAZDA EKРАНU RITA DRENN

TRZEBA POSKROMIĆ KOMUNISTÓW

SĄD NAD MAGARAFEM TO POLICZEK DLA NASZEJ CYWILIZACJI!

Pan Suuke po mistrzowsku gra w golfa!

Sąd zapytuje: „CZY MAGARAF ZAMIERZA ROSNĄC DALEJ?”

Magaraf odpowiada: „NIE WIEM!”

Profesor PROCORPS nie znajduje odpowiedzi

CZŁOWIEKA SĄDZĄ ZA TO, ŻE PRZESTAŁ BYC POTWOREM!

Nowy przebój: „TANGO Z LILIPUTEM”

KTO WRESZCIE POSKROMI KOMUNISTÓW?

Rozprawa sądowa trwała trzy dni. Po krótkiej przerwie rozpoczęły się przemówienia stron.

Ogromnie żałuję, że nie byłem obecny na procesie Suuka contra Magarafa. Powiadają, że przedstawiciele powództwa i oskarżonego błysnęli w swoich mowach prawdziwymi perłami krasomówstwa. Żelazną logikę wywodów urozmaiciły wspaniałe fajerwerki paradoksów, a grzmiąca miedź wspaniałego patosu szła w parze z subtelną liryką wzruszających dygresji.

Był to jeden z najbardziej wstrząsających popisów krasomówstwa, z jakim kiedykolwiek miało się do czynienia na rozprawach sądowych, i nic dziwnego, że obszernie cytaty z wygłoszonych przemówień zostały na zawsze utrwalone w podręcznikach dla młodych prawników.

Nie było żadnej winy adwokata, broniącego Magarafa, w tym, że wyrok sądowy został wydany na korzyść pana Suuke. Sędziowie bowiem nie mogli nawet dopuścić myśli, by można uniewinnić człowieka, który złamał kontrakt.

I tak sprawy na giełdzie wyglądają niezbyt różowo i człowiek budzi się codziennie z obawą, czy bank, w którym ulokował swoje oszczędności, nie zbankrutował, czy akcje ulokowane w tym lub owym przedsiębiorstwie nie spadły na łeb na szyję?

Nic dziwnego więc, że ludzie rozsądni wiedzieli z góry, iż wyrok sądu jest przesądzony, chyba że stałoby się coś nadzwyczajnego. Ale nic nadzwyczajnego się nie stało i sąd przyznał panu Suuke odszkodowanie w wysokości pięciu tysięcy centaurów za złamanie przez Magarafa warunków umowy z zamianą na dwa lata więzienia w razie odmowy zapłacenia. Termin uiszczenia wymienionej kwoty opiewał na dwa dni.

Rozdział dziewiąty

w którym jest mowa o odszkodowaniu i w którym po raz pierwszy występuje Aureliusz Padrele

Pięć tysięcy centaurów. Z równym powodzeniem można była zażądać od niego i pięć milionów, i nawet pięćset centaurów! Magaraf miał bowiem w ogóle tyle pieniędzy, że wystarczyłyby mu najwyżej na trzy dni, a pożyczyć nie miał u kogo.

Źle! Bardzo źle! Tomaso zmierzał do wyjściowych drzwi sądu jak we mgle. Podeszedł do niego adwokat, wziął go pod ramię, mówił coś, by go pocieszyć, a także coś na swoje usprawiedliwienie, wreszcie o możliwości rewizji procesu — ale Magaraf jedynie potrząsał przecząco głową. Nie mógł przecież powiedzieć adwokatowi, że nie ma pieniędzy na zapłacenie mu honorarium za dalsze prowadzenie sprawy. Potrząsał więc tylko głową, adwokat zaś pożegnał się z nim obiecując, że wpadnie do niego wieczorem, gdy Magaraf nieco przyjdzie do siebie.

Zbliżyła się do niego poczciwa pani Mran, u której wynajmował pokój, rozplakała się i powiedziała, aby nie krępował się i przyjął od niej pięćset trzydzieści centaurów, czyli wszystko, co ma — gdyby miała więcej, dałaby mu z pewnością. Ona tych pieniędzy nie potrzebuje, bo ma na prowincji siostrę, u której może spokojnie mieszkać do samej śmierci. Wzruszony Magaraf ucałował poczciwą panią Mran i powiedział:

— Dziękuję pani, bardzo pani dziękuję! Ale pieniądze pani nie uratują mnie od więzienia. — Znów pokiwał głową i wyszedł z budynku sądowego na przyległy plac.

Tu o mało go nie rozerwali na kawałki zbieracze autografów, a później odepchnęli ich reporterzy, zasypując Magarafa najbardziej nieoczekiwanymi pytaniami:

— Który numer obuwia pan nosi?

— Na razie trzydziesty siódmy.

— Czy pańska teściowa jest blondynką?

— Nie jestem żonaty.

— Jaką markę samochodów pan woli?

— „Sylwida”.

— Wiele kotletów zjada pan na obiad?

— Kotletów? — rozgniewał się Tomaso. — Dwadzieścia osiem tysięcy sztuk. Sensacja, co?

Reporterzy ocenili dowcip tej odpowiedzi, zaczęli rechotać ze śmiechu, poklepywać go po plecach i naraz jemu samemu zrobiło się bardzo wesoło.

Tak szybką zmianę nastroju wywołało być może owe przyjazne poklepywanie po plecach, a może nieoczekiwana poprawa pogody, gdyż cały plac był zalany słońcem. Możliwe, że jedno i drugie. W każdym razie, gdy zapytano go, co zamierza robić dalej, odpowiedział zadzierzyście:

— Będę rósł!

Ta odpowiedź już po godzinie była wydrukowana ogromnymi Czcionkami na czołowym miejscu wszystkich wieczornych pism.

Otoczony reporterami Magaraf przeciskał się przez tłum ludzi, którzy patrzyli na niego ze współczuciem pomieszanym z odrobiną pogardy. Wreszcie i reporterzy, i gapie uliczni dali mu spokój i Magaraf powoli zdązał do domu, by odpocząć i zastanowić się nad swą niewesołą przyszłością — a poza tym musiał przecież zjeść obiad.

Gdy był już przy domu, zatrzymał go jakiś młody człowiek z różowymi policzkami, robiący wrażenie zadowolonego z siebie urzędnika.

— Nie chciałem rozpoczynać rozmowy przy wszystkich — powiedział poufnym tonem. — Ale jeżeli to jest możliwe, panie Magaraf, zechce mi pan udzielić paru minut dla omówienia pewnej bardzo ważnej sprawy.

— Dobrze — zgodził się Tomaso — ale tylko parę minut, bo jestem naprawdę bardzo zmęczony.

— Tak jest, nie dłużej — potwierdził młody człowiek. — Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, przejdźmy się trochę.

Mówiąc to wziął pod ramię Magarafa i ciągnął dalej półgłosem:

— O ile mi wiadomo, nie ma pan pieniędzy na zapłacenie odszkodowania.

— Nie mam — posępnie zgodził się Tomaso, czując, że znowu ogarnia go ponury nastrój. — Ale co to pana obchodzi?

— Owszem, obchodzi mnie — łagodnie zaprzeczył młody człowiek. — Pan nawet nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo mnie to obchodzi. Chcę panu ofiarować pieniądze na zapłacenie odszkodowania.

Tomaso z nietajoną ironią spojrział na młodego człowieka.

— Pan jest albo pijany, albo przebrany księżę!

— Ani jedno, ani drugie — odpowiedział spokojnie młody człowiek. — Niestety nie wyglądam na bogacza, którego stać na wy—rzucanie takiej sumy. Zechce pan jednak spojrzeć.

Zatrzymał się, wyjął z pugilaresu wypisany na okaziciela czek na pięć tysięcy centaurów i pokazał go Magarafowi.

— Jeżeli nie jest fałszywy, jest to rzeczywiście dość niezwykła historia. I pan zamierza ofiarować mi go? Jest to szlachetny, ale zupełnie niezrozumiały dla mnie postępek. Ot tak, ni z tego ni z owego, ofiaruje mi pan pięć tysięcy centaurów?

— Wcale nie „ni z tego ni z owego”, ale w zamian za pewną przysługę — rzekł z naciskiem młody człowiek.

— Jeżeli tylko będę mógł — szybko odpowiedział Magaraf.

— Owszem, będzie pan mógł — odpowiedział mu młody człowiek z takim przekonaniem, że Magaraf zgodził się wsiąść do oczekującego już samochodu.

Po pewnym czasie samochód zatrzymał się przy wejściowych drzwiach bardzo wytwornego pałacyku. Młody człowiek rzekł:

— Przyjechaliśmy — i prowadził onieśmiałego Magarafa marmurowymi schodami, na których leżał tak piękny i puszysty dywan, jaki może się przyśnić jedynie we śnie. Wprowadził Magarafa do ogromnego gabinetu, który z początku wydał mu się pusty. Ale młody człowiek powiedział cichym głosem: — Panie Aureliuszu, przyprowadziłem go — i wtedy Magaraf zauważył w głębi przyciemnionego gabinetu maleńkiego człowieczka w jedwabnym szlafroku, spoczywającego na ogromnej kanapie.

„Dziewięćdziesiąt cztery, a może i dziewięćdziesiąt pięć centymetrów — określił w myślach jego wzrost Tomaso Magaraf. — Mógłby od razu dostać engagement!”

— Czy pan Magaraf? — zapytał człowieczek w szlafroku cieniutkim, lecz władczym głosikiem, po czym uniósł się na kanapie i poprosił Magarafa, by usiadł. Młody człowiek, który go tu przyprowadził, stał w pełnej uszanowania pozie przy drzwiach.

— Jestem Padrele, Aureliusz Padrele. Bardzo mi przyjemnie — powiedział człowieczek w szlafroku nie podając jednak ręki. — Czy pan doprawdy tak urósł?

— Jeżeli pan nie ma nic przeciwko temu, owszem, urosłem — odpowiedział Tomaso.

— Zdaje się, że pan na gwałt potrzebuje pięciu tysięcy centaurów — mówił dalej Aureliusz Padrele bez owijania w bawełnę. — Mój sekretarz powiedział panu zapewne, że może pan otrzymać te pieniądze. Czy powiedział panu?

— Owszem, powiedział — odrzekł Tomaso — a nawet pokazał mi czek.

— Czy poinformował pana, pod jakim warunkiem może pan otrzymać ten czek?

— Uważałem za stosowne zaczekać, aż pan sam powiadomi o tym pana Magarafa — wtrącił z respektem młody człowiek. — Pan Magaraf wyraził obawę, że czek może być fałszywy, przywiozłem więc go tutaj, aby się przekonał, że ma do czynienia z bogatym człowiekiem.

— Z bardzo bogatym człowiekiem — poprawił go Padrele i naraz, wybuchając gniewem, wygłosił całą tyradę:

— I cóż mi z mojego bogactwa? Mam pić wino zamknawszy się tu w tym gabinecie? Ale mnie mdli po winie. Powie pan: podróże. Ale nie wiadomo, kto kogo będzie oglądał w czasie tych podróży, czy ja tubylców, czy tubylcy mnie! A właściwie wiem z całą pewnością, że będą się za mną włóczyły całe procesje gapiów jak za jakąś małpą. Gdziekolwiek się zjawię, wszędzie gapią się na mnie. Ja nie chcę, żeby się na mnie gapili! Jestem Aureliusz Padrele, współwłaściciel firmy „Bracia Padrele i Spółka”, i sam chcę cieszyć się widokiem cudzego kalectwa. Proszę, tylko niech się pan nade mną nie lituje! Nienawidzę tego! Jestem dostatecznie bogaty, by litować się nad innymi. Proszę, niech się pan ze mną nie sprzecza! — zawołał w końcu, aczkolwiek nikt nie miał zamiaru z nim się sprzeczać.

W gabinecie zapanowało dłuższe milczenie. Padrele uspokoił się.

— Pan zapewne chciałby wiedzieć, jakie są warunki otrzymania tego czeku. Proszę: musi mi pan opowiedzieć, w jaki sposób pan urósł.

— Jest mi dość trudno odpowiedzieć na to pytanie — odrzekł Magaraf. — Po prostu naraz zacząłem rosnać...

— Niech pan nie udaje! — zaczął znów krzyczeć Padrele. — To się nie mogło stać tak od razu, ni z tego ni z owego. Nie jestem dzieckiem, aby mi opowiadać podobne bajki. Przeczytałem mnóstwo książek na ten temat. Nie było jeszcze ani jednego człowieka małego wzrostu (najwidoczniej unikał wyrazu „liliput”), który osiągnąwszy podobny wiek zacząłby naraz rosnać. Jeżeli pan chce mieć pięć tysięcy centaurów, musi mi pan powiedzieć, jaką drogą to pan osiągnął. Nie zechce mi pan powiedzieć — niech pan idzie do więzienia!

— Powiedziałem, że trudno mi dać panu odpowiedź na to pytanie — mówił powoli Tomaso Magaraf robiąc znak w stronę sekretarza, który niezwłocznie wysliznął się z pokoju. (Był to doskonale wyszkolony sekretarz).

Tymczasem Tomaso Magaraf usiadł bliżej i zapytał cicho, tak by nikt w sąsiednim pokoju nie mógł go usłyszeć, czy pan Padrele obiecuje zachować w tajemnicy to, co usłyszysz.

Padrele przysiągł na pamięć swego ojca, swej matki, na szczęście, którego pragnie dla siebie. Wtedy Magaraf zastanowił się i zażądał, by Padrele również obiecał, iż nie będzie upierał się na wypadek, gdyby doktor, do którego go skieruje, odmówił mu swej pomocy, a tym samym pozbawił go możliwości osiągnięcia wyższego wzrostu.

Padrele znów przysiągł, wtedy Magaraf podał mu adres doktora Popffa, otrzymał w zamian czek na pięć tysięcy centaurów i opuścił gabinet.

Padrele nie lubił widocznie odkładać do jutra tego, co powinno być zrobione natychmiast. Wezwał do siebie sekretarza i kazał mu przygotować wszystko do podróży.

— Ale ani słowa nikomu o tym, dokąd jadę i po co — rozkazywał sekretarzowi. — Nikomu, nawet memu bratu! Niech mój powrót będzie dla niego niespodzianką. Liczę na to, że pan zastosuje się do mojego zlecenia.

Ostatnie zdanie zostało powiedziane tonem nie budzącym wątpliwości, że sekretarza czekają bardzo surowe represje na wypadek, gdyby wypaplał cokolwiek.

Pan Primo Padrele znajdował się w tym czasie na posiedzeniu dyrektorów pewnego towarzystwa, o czym szczegółowo będzie mowa dalej. Aureliusz zatelefonował do swego brata, zakomunikował mu, iż wyjeżdża na jakieś trzy tygodnie nad morze, i złożył mu życzenia wszelkich pomyślności.

Było rzeczą dość niespodziewaną, że w piskliwym głosiku młodszego Padrele rozległy się nieoczekiwane serdeczne i ciepłe akcenty. Jego zła, poźółkła twarzyczka nabrała naraz łagodnego i dobrodusznego wyrazu. Primo Padrele bowiem był jedynym człowiekiem, którego ten rozkapryszony i chorobliwie dumny karzełek prawdziwie kochał.

— Dobrze, mój drogi — odpowiedział mu czule Primo — jedź, rozerwij się. Nie żałuj pieniędzy. Wstąp do mnie jadąc na pociąg.

Mniej więcej po upływie godziny młodszy Padrele wstąpił na chwilę do swego brata i w salonce wyjechał do Bakbuku na spotkanie swego szczęścia.

Rozdział dziesiąty

O tym, jak Tomaso Magaraf przekonał się, że żyć można wcale nieźle

Magaraf powiedział panu Suuke te oto słowa:

— Ma pan tu swoje śmierdzące centaury!

. Otrzymał pokwitowanie i wyszedł nie pożegnawszy się i umyślnie nie zamknąwszy za sobą drzwi, aby wszyscy widzieli, że on gwizdże sobie na tego niesprawiedliwego i bezwzględnego człowieka.

Gdy się znalazł na ulicy, ogarnęło go przygnębienie, nie wiedział, czy będzie miał pracę, z czego będzie żył i za co kupi sobie jutro ubranie i obuwie. W ciągu trzech dni urósł porządnie, buciki były za ciasne, a ubranie również było za krótkie. W takim stanie trudno ubiegać się o nową pracę.

Gdy jednak Magaraf przypomniał sobie, że nie jest już liliputem, że jest takim człowiekiem jak inni, a nawet przystojnym (tak przynajmniej pisano w którejś gazecie), życie wydało mu się znów piękne. Powiedział sobie: „Było — nie było!” Wobec tego zaś, że mu dokuczał głód, wstąpił do pierwszej napotkanej restauracyjki, postanawiając nie liczyć się z pieniędzmi i zjeść jak należy.

Kelner przyjął zamówienie i powiedział:

— Wszystko będzie w porządku, panie Magaraf, będzie pan zadowolony.

Tomaso zdziwił się, skąd kelner zna jego nazwisko, nigdy bowiem nie bywał w tej restauracji, ale kelner zdążył już zniknąć za drzwiami i po chwili zjawił się z jakimś grubasem na bardzo cienkich nóżkach. Był to właściciel restauracji.

Wyszedł ze swego pokoiku trzymając gazetę w ręce. Spojrzał wpierw na Magarafa, później na jego dużą fotografię umieszczoną w gazecie, uśmiechnął się, powiedział coś kelnerowi i podbiegłszy do stolika naszego bohatera rzekł:

— Pozwoli pan, szanowny panie Magaraf, że polecę panu indyka z jabłkami i doskonały francuski szampan.

— Dziękuję — odpowiedział Magaraf ogromnie zmieszany. — Dziękuję, nie mam ochoty.

Gospodarz widocznie zrozumiał o co chodzi.

— Ależ, panie Magaraf, niech mi pan nie odmawia.... Ja z całego serca — taki honor, taki zaszczyt! Tomaso Magaraf w moim—lokalu! To wielki honor dla mnie!

Wtedy Magaraf odpowiedział:

— Skoro pan nalega... — i po chwili cały stół był zastawiony wspaniałymi potrawami, a właściciel, przysiadłszy się do stolika, bawił swego gościa rozmową i raz po raz dolewał mu wina, szczerze uradowany i promieniejący ze szczęścia.

Wreszcie Tomaso z uczuciem błogości skończył biesiadę i dopiero wtedy zauważył, że w restauracji jest już pełno ludzi, którzy bez żenady mu się przyglądają.

Bynajmniej nie czuł się zmieszany, przeciwnie, sprawiło mu to nawet pewną przyjemność. Rozumiał bowiem, że ludzie gapią się na niego, nie dlatego że był karzełkiem, lecz po prostu, że jest głośnym człowiekiem. Wobec tego zaś, że po raz pierwszy w życiu podpisał sobie i było mu bardzo wesoło na duszy, mrugnął filuternie do gospodarza i razem zaczęli nucić: „Jakiś ty duży, mój maleńki Tommy!” — gospodarz piskliwym tenorkiem, a Tomaso wcale przyjemnym barytonem. Później Tomaso zachęcił ruchem głowy kelnerów i ci również zaczęli śpiewać wraz z nimi, a Tomaso dyrygował. Wszyscy goście byli ogromnie zadowoleni i stwierdzili, że jeszcze w żadnej restauracji nie było tak przyjemnie.

Później gospodarz długo ścisnął rękę Magarafa, zapewniał go o swojej bezgranicznej wdzięczności za to, że przyjął jego zaproszenie, i po prostu go zaklinał, aby przychodził do niego na śniadania, obiady i kolacje, i że to go nic nie będzie kosztowało.

Oczywiście Magaraf doskonale rozumiał, że laki liliput, który przestał być liliputem, jest doskonałą reklamą i że w restauracji będzie się roiło od gości, którzy zechcą zobaczyć, jak posila się Tomaso Magaraf, ten sam, którego skazano za to, że urósł.

Gdy Tomaso zgodził się na błagania restauratora, ten ponownie zaczął potrząsać jego ręką i powiedział, że będzie codziennie przyjeżdżał po niego i później odwoził go do domu.

Tomaso powiedział: — Zgadza się — i wyszedł na ulicę.

Przy drzwiach restauracji stał tłum gapiów, którzy czytali naprędce napisane na dużym arkuszu papieru, przyklejonym do szyby wystawowej następujące słowa:

W tej restauracji

codziennie jada śniadania, obiady i kolacje

ZNAKOMITY TOMASO MAGARAF

Aby się uwolnić od niepożądanego asysty, wszedł do pierwszego napotkanego sklepu. Był to sklep z męskimi ubraniami. Jego właściciel ucieszył się z powodu przyścia Magarafa nie mniej od właściciela restauracji.

— Drogi panie Magaraf! Jakże to szczęście, jaki zaszczyt! Poznałem pana od razu — mówił zachwycony kupiec, nie wiedząc, gdzie posadzić znakomitego klienta. — To nadzwyczajne, że pan przyszedł.. Chciałem zrobić panu niewielki prezent, ale nie miałem odwagi narzucać się, i oto pan sam przyszedł!

Mniej więcej po upływie godziny Tomaso Magaraf wyszedł z magazynu w nowym, eleganckim i znakomicie leżącym na mm ubraniu i pierwszorzędnym palcie.

— Resztę przyślemy panu do domu jutro. Życzę panu wszystkiego najlepszego, panie Magaraf! — wołał za nim właściciel magazynu.

„Reszta” — były to jeszcze dwa ubrania, jedno palto zimowe i jedno jesienne. Za wszystkie te dary Tomaso zostawił właścicielowi swe stare ubranie, które niezwłocznie zostało wywieszane na wystawie magazynu wraz z następującą reklamą:

W naszym magazynie
ZNAKOMITY TOMASO MAGARAF
zostawił to ubranie, z którego wyrósł w przeciągu trzech
dni swojego procesu!
W NASZYM MAGAZYNIE
ubrał się w nowe, najlepszego gatunku ubranie i palto!

Do sklepu z bielizną, a później do sklepów z kapeluszami i obuwem Tomaso wszedł z pewnym z góry powziętym przekonaniem i trzeba przyznać, że się nie omylił.

Następnego dnia z rana restaurator przyjechał po niego samochodem i Tomaso zjadł doskonałe śniadanie w restauracji przepełnionej gośćmi.

Tam również zjadł obiad i kolację, a w przerwach pomiędzy tymi przyjemnymi czynnościami spacerował po ulicach, eskortowany przez gromadę ciekawskich, lub też odpoczywał we wspaniałym pokoju pierwszorzędnego hotelu, dokąd jeszcze poprzedniego wieczoru przeprowadził się na zaproszenie dyrekcji, która uważała, że będzie on znakomitą przynętą dla przyjezdnych.

..Wcale nieźle! — rozmyślał zacierając z optymizmem ręce. — Można żyć!”

Przeżył w ten sposób około trzech tygodni, aż wpadło mu na myśl, że warto przejechać się na wybrzeże i tam w pełni wykorzystać wszystkie uciechy życia. Pieniądze były mu niepotrzebne. Chodziło tylko o to, aby nie zatrzymać się niechcący w jakimś drugorzędym hotelu. Byłoby bowiem bardzo nieprzyjemnie, jeśli by go chciano za wszelką cenę zatrzymać, gdy tymczasem jakiś pierwszorzędny hotel zapraszałby go do siebie.

Magaraf liczył się z tym, że sprawi przykrość swojemu restauratorowi i dopiero po długich wahaniach powiedział mu, że wyjeżdża na wybrzeże. Była to zaiste scena wysoce dramatyczna.

— Teraz, gdy mój lokal stał się najmodniejszą restauracją w całym mieście, pan, panie Magaraf, chce mnie porzucić? Pan jest bez serca! Niechże pan powie, że to był tylko żart, że pan nie wyjeżdża! O mój Boże, ja chyba zwariuję!

Biegał po swoim gabinecie załamując z taką rozpaczą ręce, że Tomaso postanowił: — Pal diabli wybrzeże, zostaję!

Ale nie zdążył jeszcze wypowiedzieć tej swojej decyzji, która była dowodem szlachetności jego uczuć, gdy restaurator zaczął krzyczeć i tupać nogami.

— Dobrze! Jedź sobie! Niewdzięczne zwierzę! Szkoda, że ciebie wtedy nie przytknęli! Precz — pisał i chwyciwszy zaskoczonego tym wybuchem gniewu Magarafa za kark usiłował go wyrzucić. — Wynoś się, żebym cię więcej na oczy nie oglądał!

Magaraf niezwłocznie wyszedł, a restaurator przerażony tym, co zrobił, pobiegł za nim błagając o wybaczenie i prosząc, by wrócił. Obiecał, że będzie mu płacił regularnie pensję, byleby tylko nadal jadał u niego. Usiłował nawet pocałować go w rękę. Przecież w ciągu tych trzech tygodni restauracja przyniosła temu grubasowi, który płakał teraz jak dziecko, więcej dochodu aniżeli poprzednie trzy lata.

Ale Tomaso był teraz nieprzejednany. Po upływie kilku godzin pędził ekspresem ku błogosławnym przestrzeniom luksusowego wybrzeża.

Dwa dni podróży minęły bardzo szybko. Rankiem trzeciego dnia Tomaso pogwizdując wesołą piosenkę wysiadł na zalanym słońcem peronie. W ręce miał tylko niewielką walizczkę. Nie miało przecież sensu zabierać ze sobą bagażu, skoro wystarczyło wejść do sklepu, gdzie nie tylko za darmo otrzyma wszystko, czego potrzebuje, lecz jeszcze wysłucha mnóstwa podziękowań.

Wyszedł na plac przed dworcem, ujrzał rzędy palm, ocean i mewy unoszące się nad wodą.

„Warto żyć! — zawołał Magaraf w duchu, przejęty otaczającym go pięknem i dźwiękami dolatującej zewsząd muzyki, jak również atmosferą jakiejś odświętności, która go ogarnęła. — Warto żyć!”

Trzeba było teraz wybrać najlepszy hotel. Siadł do taksówki spytał szofera:

— Powiedz mi, przyjacielu, który hotel jest najlepszy?

— „Astoria” — powiedział szofer — ale ja bym radził „Pałace”. Tam jest teraz bardzo interesująco.

— Dlaczego? — zapytał Tomaso.

— Dlatego, że tam teraz mieszka Tomaso Magaraf.

— Tomaso Magaraf? — zdziwił się nasz bohater. — Któż to jest Tomaso Magaraf?

— To pan nie wie? — zdziwił się z kolei szofer. — To ten. Którego niedawno skazano za to, że urósł.

Rozdział jedenasty

O tym, jak Tomaso Magaraf postanowił nie czynić żadnych kroków

Gdy Tomaso usłyszał odpowiedź, roześmiał się sądząc, że szofer go poznał z fotografii w pismach i żartuje, ale szofer spojrzał i takim zdumieniem na niego, że zrobiło mu się nieprzyjemnie.

— Tu coś jest nie w porządku. Widocznie mylicie się. To niemożliwe. — Szofer nic nie odpowiedział uważając najwidoczniej, że nie warto wdawać się w dyskusję.

Wkrótce zatrzymali się przy marmurowych schodach hotelu „Pałace”. Pierwszą rzeczą, którą Magaraf ujrzał, gdy wysiadł z samochodu, były olbrzymie witryny magazynu męskich ubrań „Dandy”, a w każdym z nich plakaty:

TOMASO MAGARAF ubiera się tylko u nas
--

Wszedł do hotelowego hallu, podobnego jednocześnie i do rzymskiej łaźni, i do hangaru, podszedł do portiera, który siedział przy swoim kontuarze jak sędzia Sądu Najwyższego

— Ogromnie żałuję — rzekł portier — ale nie mamy wolnych pokoi.

— Zgadza się na byle jaki.

— Niestety, pomimo najszczerzych chęci nic nie mogę na to poradzić. O ile się nie mylę, chciałby pan zobaczyć pana Magarafa.

— Tak jest. Mam bardzo pilną sprawę do mego.

— Obawiam się, że to będzie niemożliwe. Pan Magaraf jest ogromnie zajęty. Wątpię, czy znajdzie wolną chwilę dla pana, zresztą nie ma go teraz w hotelu.

Tomaso odpowiedział:

— W takim razie zaczekam — i rozsiadł się wygodnie w fotelu. Właściwie sam nie wiedział, dlaczego nie powiedział od razu, że to on jest tym prawdziwym Tomaso Magarafem i że najwidoczniej jakiś oszust podszywa się pod jego nazwisko. Siedział w wygodnym fotelu zdecydowany stoczyć choćby najzaciętszą walkę o swoje prawa. Myśl, że jakiś jegomość, który

skradł mu jego sławę, korzysta na razie z jej dobrodziejstw i nawet nie domyśla się, kto go tutaj oczekuje, sprawiała mu przyjemność.

„Poczekaj, braciszku, potańczymy sobie — myślał Tomaso pełen oburzenia. — Odechce ci się podobnych dowcipów”.

Siedział w chłodnym hallu, snuł plany zemsty, aż wreszcie znudziło mu się. Wtedy wyszedł na ulicę i zaczął bez celu wałęsać się po mieście.

Za długą palmową aleją rozlegał się jakiś monotony szum: to łagodne fale oceanu szemrały u wybrzeża, zwiastując niedaleki przyływ. Na plaży było pełno ludzi. W parku położonym tuż na brzegu śpiewały ptaki i brzęczały owady. Na widnokręgu nieruchomo zastygły śnieżnobiałe trójkąty żaglówek i Tomaso czuł, jak rośnie w nim gniew na myśl, że być może na jednej z nich w tej oto chwili bawi się cudownie jego przedsiębiorczy sobowtór.

Pięć razy wracał Tomaso do hotelu, by dowiedzieć się, czy ów pan już wrócił, i pięć razy znudzony portier, nie patrząc na niego, odpowiadał:

— Przecież panu już mówiłem, że pan Magaraf jeszcze nie wrócił.

Gdy późnym wieczorem Tomaso otrzymał tę samą odpowiedź, zawołał pełen gniewu:

— Jeżeli pan będzie w dalszym ciągu kręcił, tak was urządzę, że cały hotel diabli wezmą!

Portier przestraszył się nie na żarty: „Tego by brakowało, taki może i bombę rzucić!” Odrzekł więc:

— Niech się pan na mnie nie gniewa, zabroniono mi puszcząć obce osoby do pana Magarafa. Jest teraz na górnym tarasie, na dachu. Właśnie odbywa się przedstawienie i żywe obrazy.

Tomaso rzucił na kontuar swą walizkę i płaszcz i pobiegł do windy, portier zaś z ubolewaniem pomyślał: „Do czego może doprowadzić człowieka mania zbierania autografów!”

Był bowiem przekonany, że to chęć zdobycia autografu byłego liliputa jest powodem całej awantury.

Na górnym tarasie hotelu jego mieszkańcy, młodzi ludzie i panie, bawili się urządzeniem żywych obrazów. Przed niewielką estradą, zasłoniętą aksamitną kurtyną, siedziało w fotelach rozbawione towarzystwo.

Lekki wiaterek wiał nad miastem kołysząc rozczapierzonymi liśćmi palm i przynosząc miły chłodek. W ciemni nocnego nieba jaśniały napęczniałe i naiwne gwiazdy, jakie można zobaczyć tylko na pocztówkach noworocznych. Na dole, po obu stronach ogromnego hotelu, oczom

patrzących ukazywała się promenada słynnej miejscowości kąpielowej, zalana powodzią elektrycznego światła.

Ze wszystkich stron dolatywały przytłumione dźwięki orkiestr.

Magarafa rozdrażniły te rozkosze życia, których chciał go pozbawić jakiś oszust.

Podszedł do kelnera, roznoszącego zimne napoje, i zapytał:

— Powiedz mi, przyjacielu, gdzie tu jest pan...

Nie zdążył skończyć zdania, gdy zewsząd rozległy się sykania: „ciszej, ciszej!”

Kelner odszedł bezszelestnie jak nietoperz, a Tomaso musiał wystawić swą cierpliwość na dotkliwą próbę czekając, aż skończą się jakieś „żywe obrazy”, które właśnie rozpoczęto pokazywać na scenie.

Gdy te produkcje wątpliwej artystycznej wartości skończyły się wreszcie, na scenę wybiegł młody człowiek z chryzantemą w klapie fraka i o manierach zepsutego powodzeniem ulubieńca publiczności. Uniósł z nonszalancją prawą rękę do góry i gdy gwar nieco uciszył się, zawołał:

— A teraz poprosimy pana Magarafa, by nam coś zagrał.

Rozległy się głośne oklaski i Tomaso ujrzał, jak na scenę wszedł młody człowiek, nieco podobny nawet do niego, chociaż wyższy i szczuplejszy i prawdę powiedziawszy, o bardziej inteligentnym wyrazie twarzy. W rękach miał skrzypce.

Młody człowiek z chryzantemą znów podniósł rękę do góry i zapowiedział:

— Giovanna Magaraf przepięknie akomponuje swojemu bratu. Bardzo prosimy! — i pierwszy zaczął bić oklaski.

Na scenę wyszła gładko uczesana panna lat około dwudziestu czterech, usiadła przy fortepianie i zagrała parę akordów. Zrobiło się zupełnie cicho i ten, który podawał się za Tomaso Maagarafa cichym głosem oznajmił:

— Canzonetta ze skrzypcowego koncertu Czajkowskiego.

Giovanna zagrała wstęp, skrzypek podniósł smyczek, przymknął oczy, zrósł się jak gdyby ze skrzypcami i połały się z nich tak czyste i przejmujące tony, że Tomaso zastygł w zachwycie. Sam grał na skrzypcach i nawet dotychczas uważał się za dobrego skrzypka.

Teraz słuchał zachwycony, zazdroszcząc skrzypkowi jego wielkiego talentu, jak gdyby zapomniawszy o tym, że to gra człowiek który mu skradł nazwisko.

Tomaso rozkoszował się precudownymi melodiami koncertu Czajkowskiego i nie zauważył, że siedzący w pierwszym rzędzie milioner z Miasta Wielkich Żab, którego głowa już przedtem

pochylała się coraz niżej, naraz opuścił ją zupełnie i począł chrapać wysunawszy przy tym w sposób arcyzabawny dolną wargę.

Wszyscy byli tym ogromnie zgorzeleni, rozległy się śmiechka niektórzy zaczęli głośno chrząkać tuż nad uchem śpiącego milionera chcąc go w ten sposób obudzić, ale ten jak na złość nie tylko się nie obudził, lecz zaczął coraz głośniejsze chrapać. Wtedy jedna z pań, nie mogąc powstrzymać się z oburzenia, powiedziała do swego sąsiada głośno:

— Tacy ludzie powinni spać z tłumikiem na nosie!

Było to bardzo dowcipne i ci, którzy usłyszeli te słowa, zaczęli chichotać.

Tomaso odwrócił się i zobaczył, że już nikt nie słucha skrzypka, natomiast wszyscy zaśmiewają się. Skrzypek zaczerwienił się, szepnął coś swej siostrze i kilkoma pociągnięciami smyczka zakończył zřęcznie canzonettę, aczkolwiek odegrał zaledwie jej połowę.

Nikt prócz Tomaso nie zauważył tego, rozległy się oklaski, które miały świadczyć o tym, że na sali znajdują się prawdziwi sprawcy muzyki. Chrapiący milioner obudził się, głośno ziewnął też zaczął bić oklaski.

— „Mały Tommy”. My chcemy „Małego Tommy”!

Skrzypek jeszcze bardziej się zarumienił, machnął smyczkiem i w jakimś zapamiętaniu zaczął grać szalonego fokstrota: „Jakiś ty duży, mój maleńki Tommy!”

Wreszcie wszyscy poczuli przesyt produkcjami artystycznymi i skierowali swe zainteresowania w stronę bufetu oraz modnych tańców.

Artysta wraz z siostrą powrócił do swego pokoju i tu na schodach pokrytych wspaniałym dywanem Tomaso Magaraf po raz — pierwszy zbliżył się do człowieka, który korzystał z jego sławy.

— Wybaczy pan. Muszę z panem porozmawiać.

— Bardzo pana przepraszam, ale nie mam w tej chwili najmniejszej ochoty rozmawiać z kimkolwiek, choćby to był prezydent republiki — w rozdrażnieniu odpowiedział skrzypek. — Idę spać.

— A jednak musimy koniecznie porozmawiać i to zaraz — mówił Magaraf cedząc powoli słowa. — Nie traćmy czasu na niepotrzebne przekomarżanie się.

— No, wie pan... — oburzył się skrzypek. — Kim pan jest, że on będzie tutaj rozkazywał?

— Dobrze — powiedział Tomaso — powiem panu, skoro pan saki niecierpliw.

Nachylił się do ucha skrzypka i szeptem powiedział: — Jeżeli pan nie ma nie przeciwko temu, jestem Tomaso Magaraf.

Trzeba przyznać, że nie sprawiło mu to najmniejszej przyjemności, gdy skrzypek naraz ogromnie zmieszał się i zupełnie zmienionym głosem powiedział:

— Dobrze, niech pan idzie do mojego pokoju, albo nie, wyjdźmy lepiej na ulicę, nie chcę przedwcześnie martwić mojej siostry

— Dobrze — powiedział Tomaso — chodźmy na ulicę, nie mam zamiaru martwić pańskiej siostry.

— Giovanni — zwrócił się skrzypek do swej siostry, którą jakaś dama zatrzymała, by ją pochwalić za „wyjątkowo piękne wykonanie” — zanieś z łaski swojej skrzypce do pokoju. Chcę porozmawiać z tym panem, wrócę za chwilę.

— Co się stało? — zaniepokoiła się Giovanna z obawą wpatrując się w pobladłą twarz brata.

— Nic się nie stało, kochanie, po prostu muszę porozmawiać z tym panem. Odnieś skrzypce do pokoju.

Skrzypek usiłował nawet uśmiechnąć się, lecz uśmiech wypadł tak blado i niezręcznie, że Giovanna jeszcze bardziej przestraszyła się, chwyciła go za rękę i zawołała błagalnie:

— Na miłość boską, powiedz, o co chodzi? Musisz mi natychmiast powiedzieć.

— Proszę cię, odnieś skrzypce. Później ci powiem. Bardzo cię o to proszę.

— Dobrze — zgodziła się Giovanna — odniosę, ale nie zostawię cię samego, pójdę z tobą. Przecież wolno mi pójść z tobą?

— Wróc do pokoju i czekaj, aż przyjdę. Wróc do pokoju — niemal ze łzami prosił ją skrzypek. — Wrócę niedługo.

Obydwaj panowie Magaraf wyszli na ulicę.

Tomaso, który cały dzień rozkoszował się perspektywą tej rozmowy, czuł, że sprawy zaczynają przybierać przykry obrót. Szli obok siebie, nic nie mówiąc, ulicą, którą przewalały się wyelegantowane tłumy, i nie mogli w żaden sposób nawiązać rozmowy wreszcie całkowicie nieoczekiwanie dla siebie, Tomaso rzekł z niekłamanym zachwytem:

— Znakomicie pan zagrał canzonettę! Szkoda tylko, że pan nie skończył.

— Jestem pewien, że nikt prócz pana tego nie zauważył — odpowiedział skrzypek i dodał po chwili: — ale zdaje się, że mieliśmy mówić o czymś zupełnie innym?

— Oczywiście — zgodził się z nim Tomaso. — Chciałbym wiedzieć, na jakiej podstawie przywłaszczył pan sobie moje nazwisko?

— Z przyjemnością usiadłbym — powiedział skrzypek, — Czuję się ogromnie zmęczony.

— Chętnie — odpowiedział Tomaso, po czym wybrali sobie wolną ławkę w jednej z nadbrzeżnych alei.

Fale przyływu monotonicznie biły o brzeg. Na widnokręgu powoli wypływał nieznośnie biały księżyc. Na gładkiej i ciemnej powierzchni oceanu zarysowała się błyszcząca ścieżka jak srebrna kołysząca się kładka. Długie cienie drzew majaczyły na żwirze alei, a policjant, który spacerował po tej ścieżce, pozostawiał po sobie długi i majestatyczny cień.

—• Bardzo tu pięknie — przerwał wreszcie milczenie Tomaso.

— Owszem — zgodził się obojętnie skrzypek i po chwili, jak gdyby dając upust nagromadzonym myślom, zaczął mówić szybko i bezładnie.

Bynajmniej nie żałuje, że podszyl się pod nazwisko Tomaso Magsrafa. Proszę, niech go bodaj zaraz zabiorą do komisariatu, niech go wpakują do więzienia, bo mu to wszystko potwornie już obrzydło. (Szkoda mu tylko małego Digo i Giovanny, bo to wyjątkowo dobra kobieta i znakomita żona. Dałby Bóg każdemu mieć taką. Oczywiście żona, a nie żadna siostra. Musiał mówić, że to jego siostra, bo inaczej reporterzy zrobiliby z tego nową sensację, trąbiąc na wszystkie strony, że Tomaso Magaraf już zdążył się ożenić, no i wtedy mogłoby to dojść do prawdziwego Magarafa, który oczywiście zrobiłby z tego skandal. Zamknięto by go w więzieniu, a Giovanna i mały Digo zostaliby bez środków do życia. Ostatecznie nie będzie dziury w niebie i prawdziwy Magaraf nie bardzo na tym ucierpi, jeżeli w jednym mieście pojawi się człowiek, który będzie się podawał za niego i przy tym zarobi nieco grosza dla swojej rodziny. Poza tym jest doskonałym skrzypkiem i są takie państwa, gdzie z pewnością nie tylko cieszyłyby się zasłużonym powodzeniem, lecz dostałby jeszcze order. Tak, są takie państwa, gdzie ludziom dają ordery i państwowe nagrody za to, że pięknie grają! Ale cóż mu z tego? Zapomniał już o tym, kiedy występował na prawdziwych koncertach później musiał grać po kawiarniach, zarabiać na chleb. Trudno, skoro się ma rodzinę, trzeba wszelkimi sposobami zarobić na jej utrzymanie!

Następnie skrzypek opowiedział, jak się to wszystko stało. Ktoś przy nim opowiadał, że jest już całe mnóstwo takich spryciarzy, którzy podając się za byłego liliputa wcale nieźle zarabiają. Wtedy pomyślał: czemu ja nie miałbym uczciwą grą na skrzypkach również zarobić? Wyjechał

razem z Giovanną aż tutaj, do tej luksusowej miejscowości, znajdującej się dwa tysiące mil od Miasta Wielkich Żab, no i nie omylił się w swoich rachubach.

Dostał bezpłatny pokój w hotelu, bezpłatne utrzymanie i pięćset centaurów miesięcznie. Cóż to znaczy dla takiego hotelu? Musi przecież codziennie grać, a czy to jest dopuszczalne, aby dobry skrzypek występował za siedemnaście centaurów dziennie razem z akompaniaturką? Hotel doskonale na nim zarabia, nie ma ani jednego wolnego pokoju. Co prawda i on, i Giovanna ubrali się w miejscowych magazynach od stóp do głowy, ale sklepy też nieźle na nich zarobiły.

— Niestety — kończył swą tyradę skrzypek — nie wszystko da się przewidzieć. Któż mógł przypuszczać, że prawdziwemu Tomaso Magarafowi wpadnie do głowy przyjechać właśnie do tego miasta, jak gdyby mało było innych miast w Argentei? Oczywiście teraz skończyło się, wyrzucą go z hotelu i zostanie z Giovanną na bruku, jeżeli prawdziwy Tomaso Magaraf nie zechce go wpakować do więzienia.

— Do więzienia? — rozgniewał się Tomaso. — Mógłby ktoś pomyśleć, że nie mam nic lepszego do roboty, tylko pakować niewinnych ludzi do więzienia! Ogromnie mi na tym zależy! Nonsens!

— Myślałem, że może mi pan mieć za złe — usprawiedliwiać się skrzypek, ale Tomaso przerwał mu rozdrażniony.

— Jeżeli mam panu cokolwiek za złe, to jedynie to, że pan lepiej ode mnie gra na skrzypcach. Chciałbym przynajmniej w połowie być takim artystą jak pan, ale wątpię, by mi się to udało

— Nie sądzę, by to mogło się panu udać! — potwierdził skrzypek. — Straciłem na tę naukę dwadzieścia dwa lata, a poza tym mam podobno duże zdolności. Powiedział mi to sam wielki Leopold Auer. Pan oczywiście słyszał o tym genialnym profesorze gry na skrzypcach?

— Oczywiście, że słyszałem — odpowiedział Magaraf — i sam sobie zdaję sprawę, że teraz jest już za późno, aby się zacząć uczyć

— Za późno i niepotrzebnie! — zawołał skrzypek. — Gdybym mógł dziś obrać sobie jakiś inny zawód, który zapewniałby mi egzystencję, uczyniłbym to chętnie. — Po chwili dodał jeszcze: — Chociaż nie, nie rzuciłbym skrzypiec! Nie mógłbym już chyba ryc bez muzyki!

Magarafowi było bardzo przykro. Rozmowa wywarła na nim przygnębiające wrażenie, zwłaszcza ten bezgranicznie smutny wyraz oczu skrzypka, wstał więc i powiedział:

— Pańska żona zapewne ogromnie denerwuje się w hotelu. Musimy wrócić i uspokoić ją.

— Uspokoić? — zawołał skrzypek. — Pan powiedział „uspokoić”?... Czyżby...

Tomaso Magaraf ogromnie nie lubił czułych scen. Dlatego od razu przerwał mówiąc:

— Czy pan nie wie, kiedy odchodzi pociąg do Miasta Wielkich Żab?

W oczach skrzypka ukazały się łzy i zaczął coś mówić o tym, że jest po prostu wstrząśnięty wspaniałomyślnością pana Magarafa. On, Giovanna, jego maleńki Digo nigdy o tym nie zapomną. To po prostu niezwykle, że istnieją na świecie tacy ludzie! Pan Magaraf może liczyć na niego i z pewnością nie zawiedzie się. A może pan Magaraf chciałby zostać parę dni i być jego gościem? On chętnie udzieli mu kilku lekcji gry na skrzypcach. Koniecznie musi przyjąć od niego autograf największego skrzypka na świecie Kreislera i autograf profesora Auera.

Mówił cały czas bez przerwy, promieniejąc szczęściem, jak gdyby mu przed chwilą zaproponowano koncerty w największych miastach świata, co oczywiście odpowiadałoby mu znacznie bardziej, aniżeli być rozrywką dla tych ignorantów i snobów i być dla nich czymś w rodzaju lepszego kelnera.

Wobec tego, że pociąg odchodził dopiero rano, Tomaso musiał korzystać z gościny skrzypka i jego szczerze wzruszonej małżonki, która patrzyła na niego jak na jakiegoś zaczarowanego księcia z bajki.

Przesiedzieli do samego rana, a skrzypek grał mu najulubieńsze utwory: Kreislera, Paganiniego, Czajkowskiego i Beethovena. Można śmiało powiedzieć, że żaden z najbogatszych mieszkańców tego hotelu nigdy w swym życiu nie słyszał tak pięknego koncertu jak ten, który tej nocy miał jedynego słuchacza — Tomaso Magarafa.

Nad ranem, kiedy pociąg już ruszył, Magaraf nagle przypomniał sobie, że nie zna nawet nazwiska swojego przyjaciela.

Wychylił się z okna wagonu i zawołał do skrzypka, który siedł obok:

— Przecież ja nawet nie wiem, jak się pan nazywa.

— Nazywam się Popff, Filip Popff — odpowiedział przyśpieszając kroku.

— Popff? — zdziwił się Magaraf. — Czy pan przypadkowo nie zna doktora Stephena Popffa z Bakbuku?

— To mój brat! — zawołał za nim skrzypek, pozostając w tyle za coraz szybciej jadącym pociągiem.

Rozdział dwunasty

w którym jest mowa o tym, z jakim namysłem działał Padrele młodszy

Ostatnim przystankiem przed Bakbukiem była stacja Tuberoza. Pociąg, zdążający z Miasta Wielkich Żab, przybył do Tuberozy wieczorem o godzinie szóstej minut trzynastie.

Słońce jeszcze nie zaszło. Jego promienie padały na miasto, które pomimo swej wonnej i poetycznej nazwy było przesycone fetorem wielkiej rzeźni oraz trzech niewielkich, lecz wyjątkowo obrzydliwie cuchnących zakładów garbarskich.

Nie ma właściwie potrzeby, by poświęcać więcej uwagi temu niewiele znaczącemu punktowi geograficznemu, który w naszej opowieści pojawia się, by przemknąć niepostrzeżenie, albowiem nigdy już więcej do owej Tuberozy nie będziemy wracali. Nie chodzi więc o opis tego miasta, lecz jedynie o szczegół, iż słońce jeszcze nie zaszło.

Przybycie przyjeźdnego do jakiegokolwiek małego miasta za dnia rzadko uchodzi niepostrzeżenie, a gdy ów przyjezdny na domiar wszystkiego posiada pewne szczególne i rzucające się w oczy cechy, nie ma takiej siły, która by go mogła uchronić przed żarłoczną ciekawością nudzących się obywateli.

Za takim przypadkowym turystą cały dzień będą się wałęsały chmary dzieciaków. Ich ojcowie, matki, dziadkowie i babki, starsi bracia i siostry będą wychylali się przez okna, otwierali drzwi wychodzili na ulicę, by nacieszyć swe oczy rzadkim widokiem.

Padrele młodszy, który w ciągu z górą trzydziestu lat dźwigał na swych maleńkich barkach gorzkie brzemie wyjątkowej brzydoty i kalectwa — był istotnie bardzo brzydkim karłem — nie mógł nie przewidzieć, że jego zjawienie się w Bakbuku wywoła ogromną sensację, zarówno bardzo przykrą dla niego jak wysoce niebezpieczną dla pomyślnego zakończenia przedsięwzięcia. Dlatego też wolał narazić się na przykre gapiostwo w Tuberozie, skąd dopiero zamierzał wyjechać do Bakbuku.

Eskortowany przez natrętną gromadę dzieci, a nawet dorosłych, Padrele młodszy odbył swą drogę krzyżową od dworca kolejowego do najbliższego hotelu. Gapie zostali przy wejściu do hotelu. Nie mieli zamiaru rozchodzić się, przeciwnie, przyłączały się do nich coraz nowe gromady ciekawskich. Wkrótce przy drzwiach, za którymi zniknął kipiący ze złości karzełek, zgromadził się

spory i hałaśliwy tłum, namiętnie komunikujący sobie wszystkie szczegóły ubrania i wyglądu karzełka oraz domniemane cele jego przybycia do Tuberozy.

Z wytrwałością godną lepszej sprawy mieszkańcy miasteczka oczekiwali chwili, kiedy maleńki człowieczek wyjdzie na ulicę — będzie przecież musiał kiedyś wyjść w czasie takiego upału, by odetchnąć świeżym powietrzem.

Kilku wyrostków z notesami i wiecznymi piórami w rękach przestępowało z nogi na nogę w oczekiwaniu rzadkiego i cennego autografu liliputa.

Reporter, w jednej osobie naczelny redaktor, zecer, metrampaż, drukarz i zarządzający ekspedycją miejscowego pisma, wstrzymał druk ostatniego wydania i udał się do hotelu, gdzie miał zamiar

uzyskać wywiad z odpowiedzi na pytanie, co sądzi jego rozmówca o niedawnym procesie Tomaso Magarafa.

Ale Padrele ani myślał wyjść na ulicę, odmówił udzielenia wywiadu usprawiedliwiając się silnym bólem głowy.

Kazał sobie podać obiad do pokoju, a dania, które zamówił, były tego rodzaju, że od czasu istnienia hotelu nikt nie żądał podobnych, dla tej prostej przyczyny, że milionerzy nie zatrzymywali się tutaj nigdy.

— Ale szanowny pan zamawia sobie drogie potrawy! — z głupawym uśmiechem powiedział gospodarz, nie usiłując ukryć swych wątpliwości co do finansowych możliwości przybyłego.

Padrele w odpowiedzi na tę impertynencję zmierzył właściciela tak druzgocącym spojrzeniem, że wystarczyłoby najzupełniej, by przyprawić o drżenie serca co najmniej tuzin przedstawicieli tego czcigodnego zawodu.

Ale właściciel hotelu ani drgnął. Wtedy drżący z oburzenia Padrele wyciągnął z kieszeni portfel i otworzył go — właściciel hotelu tylko dlatego nie padł na kolana, że zdrętwiały pod nim nogi. Widok okazałego pliku banknotów formalnie nim wstrząsnął. Nie tylko nigdy nie miał w ręku takiej sumy pieniędzy, ale nawet nie widział na oczy.

— Wielce szanowny panie, przepraszam... proszę mi darować! Wszystko natychmiast będzie przyniesione... — mówił cofając się tyłem ku drzwiom, po czym wyskoczył na pół żywy z pokoju i zaalarmował cały, zresztą niezbyt liczny personel hotelu.

Gdy kucharczyk z nieprawdopodobną szybkością obiegł wszystkie sklepy zakupując produkty potrzebne do tego królewskiego zamówienia, kucharz, starając się odkopać w swej pamięci

wszystkie tajniki sztuki kulinarnej, od dawna zapomniane w tej dziurze, celebrował przy kuchni ziejącej żarem. Gospodarz zaś wijąc się w ukłonach, co zresztą uważał za szczyt zawodowego szacunku dla swego znakomitego gościa, usiłował bawić go rozmową:

— Czy szanowny pan długo zabawi w naszym mieście?

— Do wieczora — odpowiedział Padrele rozkoszując się tak tanio odniesionym zwycięstwem.

— Interesy?

Padrele pogardliwie wyduł swe niewielkie wargi dając do zrozumienia, że nie wyobraża sobie, jakie interesy mogłyby skłonił poważnego człowieka do przybycia do takiej dziury.

— Powinienem był wysiąść na poprzedniej stacji... Jak się ona nazywa?

— W Nowym Edenie?

— Tak, ale przespałem. Wieczorem pojedę dalej. Proszę rui lamówić samochód na dziesiątą.

— Jakiej marki ma być samochód?

— Panie... panie ten... Jak się pan właściwie nazywa?

— Rodrygo Aqua, proszę szanownego pana.

— Dureń z pana, panie Rodrygo Aqua!

Właściciel hotelu zachichotał przymilnie, jak gdyby chcąc podkreślić, że ani myśli obrażać się na tak znakomitego i bogatego gościa.

— Ale nikt nie powinien wiedzieć, że wyjeżdżam! — zawołał Padrele. — Nie chcę, aby pańscy niemądry współobywatele gapili się na mnie. Niech pan powie, że położyłem się spać.

— Wszystko będzie, jak sobie pan życzy — z zachwytem odpowiedział pan Aqua, upajając się swoją służalczą.

Wybiegł z hotelu, by osobiście zamówić w garażu najlepszą z maszyn, jakie były w mieście. Jednocześnie w największej tajemnicy zdążył zakomunikować komuś z przyjaciół to, co udało mu się wywnioskować z rozmowy ze swym niezwykłym gościem. Oczywiście do tego, co mu było istotnie wiadome, czcigodny pan Aqua uważał za stosowne dodać parę osobistych domniemań, przy czym przekonywająca moc jego słów była tak wielka, że nie tylko w Tuberozie, lecz w Bakbuku i w Nowym Edenie wiedziano wszystko o pewnym człowieczku w cylindrze i na wysokich, prawie damskich obcasikach, który przypadkowo zatrzymał się w Tuberozie, a powinien był wysiąść w Nowym Edenie.

Wszyscy wiedzieli już, że jest ogromnie bogaty i że jest albo królem Państwa Liliputów, albo synem jakiegoś maharadży i ma wyjechać późnym wieczorem tegoż dnia, aczkolwiek zamierzał zatrzymać się tu dwie doby.

W przeciągu co najmniej dwu tygodni obywatele Nowego Edenu snuli rozmaite przypuszczenia, dlaczego ów udający się do ich miasta tajemniczy liliput wcale nie przybył. Wypytywano długo szofera, który go odwoził, lecz szofer powtarzał wciąż to samo: maleńki jegomość w ostatniej chwili namyślił się, wsiadł na którejś stacji do pociągu i wyjechał gdzieś na północ; zdaje się, że do Miasta Wielkich Żab.

Ta wersja kosztowała Padrele tylko tyle, ile wynosiła reszta, jaką miał mu wydać szofer i pan Aqua po uregulowaniu rachunku. Milczący szofer bał się wnieść ją na swój bieżący rachunek, gdyż suma była tak pokaźna, że mogła ściągnąć na niego podejrzenie, iż zamordował swego pasażera w celach rabunkowych,

Rozdział trzynasty

który przypomina, że doktor Popff był chory na zapalenie płuc

W tym samym czasie, gdy w Mieście Wielkich Żab kilkunastu dżentelmenów, uważających się za ludzi kulturalnych i pełnych wyrozumiałości dla swych bliźnich, sądziło Tomaso Magarafa za to, że przestał być karzełkiem, doktor Popff z Bakbuku powoli przychodził do zdrowia po bardzo silnym zapaleniu płuc i wysięku, który był nieoczekiwaną komplikacją tej choroby.

Podobnie jak wszyscy zdrowi ludzie, którzy nigdy nie chorują, doktor Popff z trudem i dość burzliwie znosił swe dolegliwości: majaczył, rzucał się na łóżku, raz po raz usiłował wstać i pójść do laboratorium lub też żądał, by mu przynieśli ubranie, gdyż musi wyjechać w pilnych sprawach do Miasta Wielkich Żab.

Jedynie wspólnymi wysiłkami Bereniki, która ślaniała się na nogach ze zmęczenia, wdowy Gargo i aptekarzowej, pani Bambolowej, którą mieliśmy przyjemność poznać na samym początku tej powieści, udawało się powstrzymać go od tych zamiarów.

Trzeba oddać sprawiedliwość zarówno pani Bambolowej jak wdowie Gargo, że niezwłocznie zjawiły się u łóża chorego, aczkolwiek ich nie wzywano, i okazywały doktorowej wszelką pomoc przy pielęgnowaniu chorego i w gospodarstwie domowym.

Uczucia, którymi powodowała się pani Gargo, były szczere i nieskomplikowane jak całe jej dotychczasowe postępowanie. Żywiła prawdziwą wdzięczność dla lekarza, który uratował jej syna. Poza tym nie miała wiele do roboty w domu. Udało jej się bowiem otrzymać dla Ignacego, zaraz po wyzdrowieniu, pracę w charakterze podręcznego chłopca w jednej z garbarń w Tuberosie, natomiast młodszy jej syn, Pedro, jak już o tym wiemy, znajdował się nadal w sierocińcu.

Natomiast pobudki, którymi kierowała się nieco zazdrosna i dokuczliwa żona aptekarza, były bardziej skomplikowane. Rzecz prosta, sytuacja, w której znalazła się młodzianka doktorowa nie mająca żadnych przyjaciół w Bakbuku, wzruszyła ją szczerze. W ogóle byłoby rzeczą niesprawiedliwą i niesłuszną, gdybyśmy twierdzili, że pani Bambolowa była złą kobietą — była dobra, ilekroć okoliczności na to pozwalały.

Ale samo uczucie miłosierdzia byłoby w tym wypadku niewystarczające, by pani Bambolowa miała porzucić sprawy związane z własnym domem. Trudno ukryć, że pewną rolę w jej postępowaniu odegrały niejaki skłonności do snobizmu, a nawet względy materialne. Przyjaźń z

rodziną doktora, przy tym tak niezwykłego, imponowała i pani Bambolowej i jej uległemu małżonkowi. Wszak doktor Popff był synem znanego dziennikarza, a jego młoda żona — pomyśleć tylko! — córką prawdziwego profesora uniwersytetu.

Ale nawet powodując się zupełnie zrozumiałą chęcią przypodobania się ani aptekarzowa, ani jej małżonek nie poświęcaliby przecież każdej wolnej chwili choremu doktorowi Popffowi. Działy tu inne jeszcze, bardzo silne pobudki, o których małżonkowie Bambolowie w swych rozmowach nie wspominali. Nie chcąc przedwcześnie wyjawiać pewnej tajemnicy, odłożymy jej wyjaśnienie do jednego z następnych rozdziałów.

Na razie jednak wróćmy do chorego doktora Popffa. Jedną z licznych trosk, które w owym czasie spadły na wątłe barki młodej doktorowej, było odwrócenie za wszelką cenę uwagi jej małżonka od losów owego liliputa, któremu w swoim czasie zastrzyknął „Eliksir Bereniki”.

Sprawy te skomplikowały się jeszcze bardziej, gdy do Bakbuku doszły pierwsze echa procesu Tomaso Magarafa. Mniej więcej w tym czasie zapalenie płuc doktora Popffa było bliskie zlikwidowania, natomiast wynikła poważna komplikacja w postaci zapalenia opłucnej.

Doktor Popff był ogromnie osłabiony, zdenerwowany i sam myślał o tym, że jego nazwisko może figurować w procesie, doprowadzając biedną kobietę do rozpacz. Wyobrażała sobie całe chmary natrętnych reporterów, którzy nie licząc się z chorobą małżonka, zaczęli, w pogoni za sensacyjnymi wiadomościami i szczegółami jego wynalazku, oblegać skromny ich dom i napęlić go nieznośnym gwarem. Będą się dobijać do drzwi i wciskać się do domu przez każdą szparę jak szczury, pluskwy i kurz. Doskonale znała swego męża i niewysłowny lęk ogarniał ją na samą myśl, że zaraz dowie się, iż Magaraf nie tylko stracił pracę i jest biedakiem, ale na domiar złego znalazł się na ławie oskarżonych. Stephena mogło to wszystko doprowadzić do rozpacz.

Toteż Berenika starała się za wszelką cenę odwrócić uwagę męża od wszystkiego, co mogło mieć jakikolwiek związek z osobą Magarafa. Gdy czasopisma zaczęły podawać sprawozdania z procesu, przestała je w ogóle wyjmować ze skrzynki. Gdy skrzynkę na listy i pisma była już wypełniona, układała je w jakimś kącie lub na szafie stojącej w przedpokoju.

Na szczęście doktor Popff nigdy nie był gorliwym czytelnikiem gazet. Poza tym w gorączce zapomniał nazwiska swego pacjenta i wciąż mówił o jakimś Magaranie, który bez jego pomocy zginie i który na pewno nie potrafi nic przyzwoicie zapisać, co mu doktor w swoim czasie polecił.

Gdyby czcigodna pani aptekarzowa usłyszała z jego ust nazwisko Magarafa, i to w okolicznościach tak dalece sensacyjnych, niewątpliwie mogłaby dojść do pewnych bardzo daleko

idących wniosków. Ale nazwisko Magarana nic jej nie mówiło i pani Bamboli nie domyśliła się związku, jaki istnieje pomiędzy głośnym na cały świat procesem w Mieście Wielkich Żab a osobą jej nieco cudaczego sąsiada.

Ale czas mijał i silny organizm Stephena Popffa a zwalczył zapalenie opłucnej. Doktor Popff był teraz na drodze do rekonwalescencji, dużo jadł, dużo się śmiał i cieszył z tego, że z każdym dniem nabierał nowych sił. Niemniej cieszył go widok żony, która była mu coraz bliższą. Oczywiście perspektywa rozpoczęcia wkrótce przerwanej pracy cieszyła go w nie mniejszym stopniu.

Jedna myśl tylko pozbawiała go spokoju: myśl o Magarafie. Był okropnie zaniepokojony brakiem wiadomości od niego. Czy urósł, jak odbiło się to wszystko na działalności jego serca, na jego samopoczuciu i w ogóle na jego zdrowiu? Dlaczego nie pisze? Czy nie przytrafiło mu się coś w okresie raptownego wzrastania lub też później, gdy osiągnął normalny wzrost?

Popff parokrotnie polecał swej żonie, by napisała do Magarafa i dowiedziała się od niego szczegółów jego obecnego życia. Berenika wysłała kiedyś do niego list, ale nie otrzymała odpowiedzi. Magaraf nie miał wtedy głowy do odpisywania. Groziła mu rozprawa sądowa. Czekala jeszcze tydzień na odpowiedź z Miasta Wielkich Żab i zamierzała jeszcze raz napisać, ale tego samego dnia przyszły gazety przynoszące wiadomość o bliskim procesie i żona doktora Popffa zrozumiała, że lepiej na razie poczekać.

Tym samym pociągami, którym do Tuberozy przyjechał Aureliusz Padrele, do Bakbuku przyszedł pierwszy list od Tomaso Magarafa. Berenika wyszła wtedy za sprawunkami do miasta i wdowa Gargo została w domu, by pilnować rekonwalescenta.

— Pan doktor zdaje się oczekuje listu z Miasta Wielkich Żab? — powiedziała pocziwa kobiecina i z rozpromienioną twarzą wręczyła doktorowi kopertę, którą on szybko otworzył i znalazł w niej arkusik papieru, zapisany na pół dziecięcym pismem,

Drogi Panie Doktorze! — czytał Popff. — Wie Pan oczywiście już o wszystkim z gazet. Rosłem, rosłem, aż wyrosłem na oskarżonego w procesie. Żądają ode mnie pięciu tysięcy centaurów odszkodowania za to, że ośmieliłem się urosnąć. Chciałbym, aby Pan wiedział, Panie Doktorze, że nie żałuję tego, iż skorzystałem z Pańskiego wynalazku. Gdyby mi ofiarowano milion centaurów, abym znów stał się karłem, który czerpał dochody ze swego kalectwa, nigdy bym się na to nie zgodził.

Piszę te słowa w przerwie procesu. Za pół godziny lub co najwyżej za godziną sąd ogłosi wyrok. Nie myślę udawać, nie jest mi bynajmniej obojętne, jaki będzie ten wyrok, ale nawet w najgorszym razie, gdyby wyrok był najbardziej niesprawiedliwy, proszę, Kochany Doktorze, wierzyć mi, że zawsze całe życie z wdzięcznością i serdecznością będzie Pana wspominał Tomaso Magarafa, którego Pan uczynił prawdziwym człowiekiem.

Proszę przekazać moje najserdeczniejsze pozdrowienia Pańskiej Małżonce.

Doktor Popff dłuższą chwilą siedział zupełnie oszołomiony. Później tak straszliwym głosem zawołał: „Gdzie są gazety!”, że biedna wdowa od razu zalała się łzami. Przestraszyła się bowiem ogromnie. Nie tyle o siebie, ile o doktora. Był taki zdenerwowany. Zrozumiała, że nie powinna była dawać mu tego listu, że należało poczekać, aż wróci doktorowa. Ale już było za późno.

— Jakie gazety, doktorze? — zapytała ocierając oczy.

— Te, które chowałyście przede mną! Niech was diabli porwą!

— Ależ doprawdy, panie doktorze, ja nie chowałam żadnych gazet — usprawiedliwiała się biedna wdowa takim głosem, że Popff zawstydził się swego grubiaństwa.

— Niechże pani nie bierze tego wszystkiego na swój rachunek — usiłował usprawiedliwić się.

— Panie doktorze — zawołała wdowa, otarła łzy i nawet usiłowała uśmiechnąć się — skądżebym śmiała, ale ja doprawdy nie wiem, gdzie są gazety.

— No to poszukamy! — powiedział doktor najweselszym głosem, na jaki mógł się zdobyć.

Gdy Berenika wróciła z miasta, zastała swego męża siedzącego na łóżku i pogrążonego w lekturze. Dokoła niego leżały sterty gazet, a niemal z każdego numeru spoglądała twarz Tomaso Magarafa w najrozmaitszych pozach i sytuacjach: Magarafa na sali sądowej, Magarafa u siebie w domu, Magarafa podczas porannej toalety, Magarafa je obiad, Magarafa na ulicy, Magarafa rozmawia ze swym adwokatem, Magarafa ściska czyjąś dłoń, Magarafa wesoły i Magarafa smutny, Magarafa ziewający i Magarafa kupujący gazetę, której pierwszą kolumnę wypełnia ogromny portret Magarafa.

Słońce zachodziło, w pokoju panował półmrok, ale doktor Popff był tak pogrążony w lekturze, że zapomniał poprosić wdowę Gargo, by zapaliła elektryczność.

Wystraszona wdowa siedziała w kącie pokoju na brzeжку krzesła przerażona niespodziewanymi rezultatami tego, że po raz pierwszy pozwoliła sobie uczynić coś bez wiedzy doktorowej. Przysięgała sobie w duchu, że nigdy nic podobnego nie zrobi, że nigdy nie przedsięwzięmie

niczego na własną rękę, nawet nie zapali światła elektrycznego. Kto wie? Może lepiej będzie, jeżeli w pokoju ściemni się zupełnie i biedny doktor przestanie czytać.

Berenika weszła do pokoju i przez otwarte drzwi wpadły snopy różowawych promieni zachodzącego słońca, które jednak nie zdołały rozproszyć ciemności, dlatego też przede wszystkim zapaliła światło i przekonawszy się, że jednak nie udało jej się ustrzec męża przed lekturą tych fatalnych gazet, spojrzała z wyrzutem na wdowę. Później skierowała zaniepokojone spojrzenie na swego małżonka. Ale ku jej największemu zdumieniu doktor uśmiechnął się wesoło, wykonał ręką powitalny ruch i rzekł spokojnym głosem:

— Siadaj, starucha, poczytamy sobie razem! Swoją drogą dobrze zrobiłaś ukrywając przede mną te wszystkie obrzydliwości.

Pozorny spokój doktora nie wprowadził jednakże w błąd Bereniki, która postanowiła udawać, że jest zaskoczona.

Gdy wdowa Gargo po zjedzeniu kolacji udała się do domu, porozmawiała z mężem o jakichś błażych sprawach i bez trudu wymogła na nim, że rozmowę o Magarafie odłożą do jutra.

— Zdaje mi się, że najlepiej będzie, jeżeli sobie teraz wypoczniesz — powiedziała takim tonem, jak gdyby nic nowego nie zaszło.

— Jak uważasz, kochanie — odpowiedział pojednawczym tonem.

Berenika pogasiła światła i zamierzała położyć się do łóżka, gdy naraz ktoś cichutko zapukał do drzwi wejściowych.

Rozdział czternasty

*w którym między innymi Padrele młodszy dowiaduje się o zasadniczej różnicy,
jaka istnieje pomiędzy doktorem Stephenem Popffem a panem Rodrigo Aqua*

Rzecz prosta, że Aureliusz Padrele nie miał najmniejszego zamiaru udawać się do Nowego Edenu. Nie miał tam absolutnie nic do roboty.

Jego przyjazd do Tuberozy, rozmowa z właścicielem hotelu o Nowym Edenie, nocny wyjazd z miasta w wynajętym samochodzie — wszystko to stanowiło szczegóły planu zawczasu opracowanego przez Padrele.

Padrele rozumiał, że rozgłos, jaki może wzbudzić jego przybycie do Bakbuku, niewątpliwie przerazi doktora Popffa. Należało więc zachować całkowitą tajemnicę, co zresztą udało mu się osiągnąć stosunkowo nieznacznymi kosztami oraz niewielką stratą czasu.

Mniej więcej po upływie czterdziestu minut od chwili, kiedy wynajęty samochód mknąc z ogromną szybkością wyjechał z Tuberozy, pewien karzełek, z walizką w ręce, ostrożnie zapukał do drzwi domku doktora Popffa.

Zaspiające miasto było już pogrążone w nieprzejrzanym ciemnościach. Spała w swej ubogiej izdebce wdowa Gargo, przewracała się na łóżku aptekarzowa Bamboli, umęczona codziennymi gospodarskimi kłopotami; przeszkadzało jej jedynie nieoczekiwane, mocne chrapanie jej słabowitego męża. Głębokim snem spali zacni lekarze w Bakbuku, którym sen miał przywrócić siły dla dalszego okazywania sownicie opłacanej pomocy ich bliźnim. W słodkim śnie byli również pogrążeni miejscowi obywatele i plotkarze, nie domyślający się nawet, jak niezwykle pacjent w tej chwili pukał do drzwi lekarza—dziwaka.

Gdzieś na sąsiedniej ulicy rozległy się kroki spóźnionego przechodnia. Rozległo się szczekanie psa. Pukający do drzwi karzełek zamarł, przeczekał kilka sekund i znów szybko zapukał maleńkimi paluszkami. Tym razem już głośniejsze i dłużej.

Wreszcie usłyszał niewyraźne głosy: męski i kobiecy, dobiegające z domu. Po chwili młody kobiecy głos zapytał za drzwiami:

— Kto tam?

— Proszę, niech pani otworzy, pani doktorowo — odpowiedział półgłosem Padrele, który domyślił się, iż jest to zapewne żona doktora, o której słyszał od Magarafa. — Przyjechałem z Miasta Wielkich Żab. Przywożę pozdrowienia od kogoś, kim doktor bardzo się interesuje.

— Taka mała dziewczynka sama jedna, późną nocą? — zdziwiła się Berenika, którą w błąd wprowadził cieniutki głos karzełka. Otworzyła drzwi i powiedziała:

— Proszę, wejdź, dziewczynko!

Gdyby w korytarzu było widniej, doktorowa niewątpliwie mogłaby zauważyć, jak pozieleniała ze złości twarz przybyłego. Ale w korytarzu było dość światła, by mogła się przekonać, że ma przed sobą nie dziewczynkę, lecz najwidoczniej kolegę Tomaso Magarafa.

— Ach, przepraszam bardzo — rzekła zmieszana — pan zapewne jest przyjacielem biednego Tomaso Magarafa.

Każdy na miejscu Aureliusza Padrele wybaczyłby doktorowej Popff jej pomyłkę. Ale Padrele młodszy, który sam nie wiedział, co było bardziej obrażające — czy to, że jego, bądź co bądź trzydziestoletniego mężczyznę, wzięto za dziewczynkę, czy też to, że jego, jednego z najbogatszych ludzi w kraju, mogło się uważać za przyjaciela jakiegoś marnego artysty estradowego — z trudem powstrzymał się od powiedzenia kilku impertynencji tej żonie prowincjonalnego lekarzyny.

— Nie miałem zaszczytu go znać — powiedział z przekąsem — ale mógłbym coś niecoś o nim opowiedzieć.

To powiedziawszy ruszył naprzód, dając do zrozumienia, że nie zamierza tracić czasu na rozmowę z jakimiś prowincjonalnymi damulkami.

Berenika obrażona jego szorstkim tonem a jednocześnie zmieszana bezwiednie popełnionym nietaktem szła za nim ku drzwiom, w których ukazał się doktor Popff.

— Ten pan przyjechał do ciebie z Miasta Wielkich Żab, od Magarafa.

— To świetnie! — zawołał Popff. — Bardzo proszę! Pan sobie nawet nie zdaje sprawy z tego, jak bardzo się cieszę z jego przybycia! Jestem ogromnie zaniepokojony dalszymi losami pańskiego przyjaciela.

Padrele, który właśnie usiadł na krześle, nie mógł już po raz drugi znieść obrazy. Jego żółtawa twarzyczka pożółkła jeszcze bardziej. Zeskoczył na podłogę, uklonił się z przesadną grzecznością i nie posiadając się z gniewu, piszczał cienkim głosikiem:

— Miałem już okazję poinformować pańską małżonkę, że nie mam zaszczytu być przyjacielem pana Magarafa. Nazywam się Padrele. Jestem Aureliuszem Padrele, z firmy „Bracia Padrele i S-ka”, jeżeli to panu coś mówi.

— Czy Primo Padrele jest pańskim krewnym? — zapytał zmieszany doktor.

— Jeżeli pan nie ma nic przeciwko temu — to mój brat. Starszy brat i szef firmy! — pyszałkowato odpowiedział Padrele, a potem dodał ironicznie: — Jak widzę, pewne wiadomości docierają jednak i do tej... — chciał powiedzieć „nędznej dziury”, lecz powstrzymał się i powiedział: — do waszego Bakbuku.

Oczywiście wymienienie nazwy firmy Padrele wiele mówiło nawet ludziom tak dalekim od wszelkiej polityki i życia finansjery jak doktor Popff i jego żona. W całej Argentei nie było ani jednego człowieka, który by nie słyszał o koncemie bankowym Padrele, o jednej z tych sześciu firm, które były właściwymi, acz zakonspirowanymi gospodarzami republiki wraz z jej bogactwami, ziemią, lasami, kopalniami, przedsiębiorstwami, uniwersytetami i nocnymi lokalami, liniami kolejowymi, ministerstwami, kościołami i domami wychowawczymi dla sierot.

W którymkolwiek zakątku Argentei by się nie mieszkało, w Mieście Wielkich Żab czy w jakiejś farmie na najbardziej odległej i głuchej prowincji, wszędzie musiano skrupulatnie, nie zdając sobie częstokroć z tego sprawy, płacić należny haracz „Wielkiej Szóstce”, a w tej liczbie potężnemu koncernowi Braci Padrele.

Od chwili urodzenia aż do ostatnich godzin życia każdemu obywatelowi Argentei towarzyszył w sposób nieunikniony jakiś agent lub przedstawiciel jednej z tych firm, a niekiedy wszystkich sześciu od razu.

Oto na przykład pije ktoś z rana kawę z plantacji T-wa Zjednoczonych Plantacji Kawy, których trzydzieści cztery procent akcji znajduje się w rękach banku Braci Padrele. Cukier, który się wrzuciło do filiżanki, jest wyrabiany w cukrowni, która jest stałym klientem tego banku. Płaci się codziennie haracz firmie Padrele zapalając gaz, dorzucając węgla do kominka, idąc do kina lub zjeżdżając w mroczne czeluście kolei podziemnej, czy też nabywając bilet linii lotniczej „Ikar”. Nawet kupując miejsce na cmentarzu lub łożę w teatrze, nabywając w sklepiku paczkę tytoniu lub na stacji benzynowej galon benzyny, stając się posiadaczem pary skarpetek lub wakacyjnego domku na kołach, kupując bilet kolejowy lub polewaczkę do ogrodu, płacąc rachunek za elektryczność, za befsztyk, za obiad, wnosząc opłatę za naukę na uniwersytecie lub wdzierając na siebie ubranie — zawsze i stale płaci się ten haracz.

Nawet podatki, jakie obywatel płacił po to, by Argentea była potężna i mogła stawić opór wrogom, nawet i one tonęły w bezdennych kieszeniach wszędobylskiej „Szóstki”, a to dlatego, że wszystkie obstalunki wojenne z reguły były wykonywane przez fabryki należące do jednego z partnerów potężnego kartelu.

Nawet jeżeli policjant broniący interesów „Szóstki” zbił kogoś za jego radykalne poglądy — nawet w tym wypadku, zmywając z twarzy krew, obywatel dawał zarobić Braciom Padrele lub ich kolegom, gdyż akcje czterech największych fabryk mydła w kraju znajdowały się w posiadaniu banku „Braci Padrele” i banku „Pisarro i Synowie”.

W swoim czasie całą Argenteę obiegiło dowcipne powiedzenie profesora Uniwersytetu św. Daniela, Kamila Spoona: „W Prima Padrele zastanawia mnie nie jego olbrzymie bogactwo, nie jego nieugięty charakter, ogromne stosunki i wpływy, lecz to, że wyrobił on w sobie zdolność wygłaszania słowa «demokracja» bez uśmiechu!”

To jedno zdanie, które Primo Padrele wytrąciło z równowagi na krótką chwilę, profesor Kamil Spoon przypłacił swą dalszą karierą naukową. Koniec swego życia spędził jako mizerny agent jakiegoś towarzystwa asekuracyjnego.

Oto co oznaczały słowa „Bracia Padrele i S-ka”.

Starszy Padrele nazywał się Primo, młodszy — Aureliusz. Primo Padrele osobiście zarządzał olbrzymimi kapitałami, należącymi również do jego brata, i zamieszkiwał stale w Mieście Wielkich Żab. Aureliusz Padrele znajdował się właśnie w Bakbuku, w gabinecie niepozornego prowincjonalnego lekarza i uczonego, Stephena Popffa.

Zadalibyśmy kłam prawdzie twierdząc, że pyszałkowane słowa ich niezwykle gościa nie wywarły żadnego wrażenia na doktorze, a zwłaszcza na jego małżonce. Trudno wyrosnąć w środowisku, w którym pieniądze stanowią wszystko, i nie doznać bodaj lekkiego zawrotu głowy na widok człowieka obracającego miliardami. Ale jeżeli doktor Popff w pierwszej chwili zmieształ się, przyczyną była raczej nieoczekiwana sytuacja, w jakiej się znalazł, aniżeli załęknięcie lub też bałwochwalczy podziw dla pieniędzy.

Zresztą doktor Popff, który lubił być w porządku z sobą samym, musiał przyznać w duchu, że czułby się znacznie swobodniej, gdyby jego gość był mniej bogatym człowiekiem.

— Oczywiście — odpowiedział tonem, w którym brzmiała nuta niezależności — coś niecoś o życiu wielkich sfer finansowych dochodzi również i do nas. Proszę niech pan siada. Czy dawno widział pan Tomaso Magarafa?

— W dniu mojego wyjazdu — odpowiedział ostro Padrele, przyzwyczajony, by w jego obecności zajmowano się wyłącznie jego osobą.

— Na miły Bóg! — zawołał Popff. — Czy zna pan wyrok?

— Skazano go na zapłacenie pięciu tysięcy centaurów za złamanie umowy.

— Skąd weźmie taką sumę? Przecież to biedny człowiek.

— Słusznie, to biedny człowiek! — z przyjemnością zgodził się Aureliusz Padrele.

— Więc będzie musiał odsiedzieć tę grzywnę w więzieniu?

— Owszem, musiałby, gdyby pewien człowiek nie zgodził się zapłacić za niego tej sumy.

— A widzisz, Bereniko, mówiłem ci! — zawołał Popff. — Zbyt pochopnie wydajemy swój sąd o ludziach! Czy zna pan nazwisko i adres tego szlachetnego człowieka? Chciałbym mu posłać telegram z wyrazami najgłębszego uznania.

— Owszem, znam nazwisko i adres — odpowiedział Padrele rozkoszując się efektem własnych słów i pragnąc przedłużyć tę przyjemność. — Znam nazwisko, jak powiadam, i adres, ale sądzę, że to zbyteczne wysłać do niego telegram!

Na twarzy doktora i jego żony odmalowało się zdziwienie, wobec tego dodał po chwili:

— A to dlatego, że ten człowiek nazywa się Aureliusz Padrele i macie go państwo przed sobą.

Popff z promieniejącą twarzą zerwał się i zaczął ścisnąć zimne, nieco wilgotne rączki Aureliusza Padrele, ten zaś z nieukrywanym uczuciem wyższości przyjmował szczerze objawy wdzięczności ze strony małżonków Popffa, jako najbardziej zrozumiały i zasłużony hołd.

Niemalą satysfakcję dało mu już przedtem wrażenie, jakie na małżonkach wywarła potęga reprezentowanej przez niego firmy, obecnie chciał ich zgniebić do reszty, a nawet uczynić powolnymi sługami swej woli. Obawiał się jedynie, że ci „żebracy” (wszystkich ludzi biedniejszych od siebie uważał za żebraków) pod wszelkimi pretekstami zaczną wyciągać od niego pieniądze. Wysłuchał więc dość niecierpliwie dziękczynnej tyrady doktora Popffa i paru słów, jakie powiedziała do niego doktorowa, i postanowił od razu przejść do sprawy — właściwego celu swego przybycia.

— Domyśliłem się od początku, że Tomaso Magaraf nie mógł urosnąć sam. Byłby to cud, a ja nie wierzę w cuda.

Po wyrażeniu tej głębokiej sentencji Padrele zrobił pauzę, jak gdyby chciał dać słuchaczom możliwość oceny głębi swego intelektu.

— Wobec tego, że Magaraf — mówił dalej Padrele — z uporem twierdził na procesie, że urosł bez niczyjej pomocy, zrozumiałem, że ma widocznie poważne powody, aby zachować w tej sprawie całkowitą tajemnicę. Byłoby nonsensem wydobywać od niego ten sekret przed zakończeniem procesu, gdy jednak okazało się, że będzie musiał zapłacić spore odszkodowanie, a pieniędzy nie miał, wtedy — co innego. Zaproponowałem mu pięć tysięcy centaurów za podanie adresu człowieka, który mu dopomógł urosnąć. Trzeba przyznać, że wahał się, i dopiero gdy zapewniłem go słowem honoru, że niezależnie od tego jak skończą się nasze rozmowy z panem, nikomu nie zdradzę tej tajemnicy, zgodził się na moją propozycję. Gdyby ten pański Magaraf miał bodaj trochę oleju w głowie, mógłby wypompować ze mnie znacznie więcej pieniędzy!

Te słowa, w których brzmiał nieukrywany triumf z powodu korzystnej transakcji, wywarły bardzo nieprzyjemne wrażenie na doktorze Popffie. Ale Padrele nie zauważył tego. Był bogaty i uważał za rzecz całkowicie zbyteczną uprawianie jakiegokolwiek dyplomacji, ponadto był szczerze przekonany, że uczucie godności własnej jest obce biednym ludziom.

— Rozumie więc pan chyba dobrze — kontynuował Padrele— że przyjechałem tu do pana do Bakbuku nie po to, aby panu przekazać pozdrowienia od Tomaso Magarafa.

Zatrzymał się oczekując, że zaciekawiony lekarz zapyta go o właściwy cel przybycia. Doktor Popff nie sprawił mu wszakże tej przyjemności i dlatego Padrele mówił dalej:

— Przyjechałem, aby prosić pana, panie doktorze, o dokonanie na mnie takiej samej operacji, jaką wykonał pan na Tomaso Magarafie. — Umilkł pewny, że doktor nie będzie śmiał mu odmówić.

Ale doktor Popff nie śpieszył się z odpowiedzią. Nie jest rzeczą łatwą odmówić człowiekowi, który prosi o wyleczenie go z kalectwa, tym bardziej że systematycznie przeprowadzone obserwacje mogłyby stanowić dla niego ogromnie cenny materiał naukowy.

Nawet najgłupszy człowiek (a doktor przekonał się już, że ma do czynienia z przebiegłym i złośliwym głupcem) tym różni się od najmądrzejszego zwierzęcia, że może jasno odpowiadać na pytania dotyczące jego samopoczucia. Wszakże Popff brał w rachubę coś innego.

Oto siedzi przed nim, myślał w duchu, człowiek nieszczęśliwy od urodzenia, nieustannie czujący na sobie czyjś pogardliwy, W najlepszym razie litościwy i upokarzający go wzrok. Ten człowiek przyszedł do niego jako pacjent. Od tego, jak go potraktuje, w ogromnym stopniu jest uzależniona sprawa pozbycia się kalectwa. Ale nawet w takiej chwili człowiek ten nie jest w stanie

wyżyć się pewności, że za pomocą pieniędzy potrafi zdobyć wszystko i że wszyscy ludzie biedniejsi od niego to jakiś podlejszy gatunek człowieka.

„Wyobrażam sobie — myślał w dalszym ciągu doktor Popff — co ten czcigodny przedstawiciel potężnego trustu bankowego będzie wyprawiał, gdy się go pozbawi fizycznego upośledzenia? Prawo karze robienie eksperymentów na żywych ludziach co najmniej długoterminowym więzieniem. Miałbym więc dla takiego złośliwego karła ryzykować swą przyszłość, szczęście Bereniki, własny honor, wolność i ukochaną pracę naukową? Jest to oczywiście człowiek bogaty i zapewne szczerze mnie wynagrodzi”. — Ale doktor Popff był przekonany, że i bez tego pieniądze wkrótce poczną płynąć do niego szeroką strugą, gdy zacznie masowo stosować zastrzyki eliksiru na zwierzętach.

Doktor Popff postanowił odmówić.

— Niestety — rzekł po pewnej pauzie — ku wielkiemu memu ubolewaniu czuję się jeszcze niezupełnie zdrow. Poza tym mam bardzo wiele bieżącej pracy.

Jako człowiek przebiegły Padrele od razu zrozumiał, że zapewne istnieją inne powody odmowy ze strony doktora. Ale jako człowiek o specyficznej mentalności nie wyobrażał sobie, by na świecie mogły istnieć jakiegokolwiek przyczyny nie związane z kalkulacją materialną.

Spojrzał porozumiewawczo na milczącego Popffa, wyciągnął z kieszeni portfel i podrzucił go na swojej wilgotnej dłoni.

— W tym portfelu jest czterdzieści dziewięć tysięcy centaurów. Powinno by to wystarczyć. — Roześmiał się przy tym w sposób nieprzyjemny, lecz doktor i jego żona milczeli.

Prawie pięćdziesiąt tysięcy w domu, gdzie pozostało zaledwie tyle oszczędności, że mogło wystarczyć na skromne utrzymanie w ciągu tygodnia! Nie jest łatwo wyrzec się takiej sumy. Popff milczał oparłszy się o swe ubogie biurko. Berenika, która aż pobladła ze wzruszenia, patrzyła prosto w oczy mężowi, jak gdyby go namawiała: — „Zgódź się Steph! Zgódź się! Czterdzieści dziewięć tysięcy centaurów! Pomyśl tylko, czterdzieści dziewięć tysięcy! Przecież to są cztery lata życia bez troski!”

Ale Steph milczał uporczywie, a jego żona nie rozumiała, dlaczego jej mąż wyrzeka się takiej sumy.

— Siedemdziesiąt pięć tysięcy! — powiedział Padrele po krótkiej chwili uciążliwego milczenia.

— Pan mnie źle zrozumiał, panie Padrele — powiedział wreszcie doktor. — Tu nie chodzi o pieniądze.

— Sto tysięcy — przerwał mu Padrele. — Czterdzieści osiem tysięcy zaraz, reszta telegraficznym czekiem w dwa dni po moim powrocie do Miasta Wielkich Żab.

Ale i tym razem doktor Popff jedynie wzruszył z irytacją ramionami i wtedy Padrele młodszy stracił panowanie nad sobą.

— Za jedną ampułkę sto tysięcy centaurów — powiedział. — Czyż to nie wystarczy? Niechże się pan zastanowi!

Biedna Berenika, która o mało nie zemdląła słysząc tę ostatnią sumę, nagle doszła do tragicznego wniosku, że Popff jej nie kocha, że raczej wszystkim jest dla niego nauka, która go sprowadziła do tego przekłętogo Bakbuku, że ją, Berenikę, kocha znacznie mniej od nauki, czyli wcale jej nie kocha. Bo przecież gdyby ją kochał, nie zabierałby jej ze sobą do tej przekłetej dziury, lecz zostawiłby w domu u rodziców, w miłym i przyjemnym miasteczku Joujar. A jeżeli już ją tutaj ściągnął, to stanowczo powinien się zgodzić i przyjąć od tego biednego karzelka (Padrele zaczął w niej wzbudzać uczucie litości i sympatii) sto tysięcy centaurów, by można było stąd wyjechać i żyć bez codziennych kłopotów.

Berenika rozumiała, że jeżeli Popff odmawia przyjęcia tak ogromnej sumy pieniędzy, to z pewnością ma poważne ku temu przyczyny. Ale jednocześnie była przekonana — i zresztą najszlachetniej w świecie — że na dziesięć milionów ludzi znalazłby się chyba tylko jeden człowiek zdolny do powodowania się jakimiś „poważnymi przyczynami”. I właśnie ona musiała wyjść za mąż za tego człowieka!

— Niech mi pan nie odmawia — powiedział Padrele złamanym głosem i z pewnym trudem zlął ze swego krzesła. — Tylko pan może uczynić mnie szczęśliwym człowiekiem.

Popff milczał.

— Niechże pan ma litość nade mną, doktorze — mówił dalej Padrele z takim przejęciem, na jakie go tylko było stać. Jego cienki głosik był podobny do pisku szczura, który znalazł się w kocich łapach.

Aureliusz Padrele płaszczył się coraz bardziej przed doktorem Popffem, ale jednocześnie zaprzysięgał w duszy stokrotnie większą zemstę później, gdy już urośnie. Był przekonany, że doktor nie tylko chce wywindować w górę cenę, ale i korzysta z okazji, by poniżyć człowieka, którego szczęście znajdowało się w jego rękach.

Prawdziwychn przyczyn odmowy nie był w stanie zrozumieć. Nawet gdyby je znał. Gdyby je zrozumiał, nienawidziłby jeszcze bardziej tego nędznego prowincjonalnego lekarzynę.

Ale cokolwiek przeżywał w duszy Padrele, jego błagania były coraz żałośniejsze w miarę tego, jak zdawał sobie sprawę z niezłomności postanowienia doktora Popffa.

Nie wspominał już o pieniądzach, nie myślał już o tym, by uczynić doktora powolnym narzędziem swej woli. Jak wszyscy ludzie z jego środowiska, Padrele umiał albo rozkazywać, albo płaszczyć się. Więc też i teraz z największym patosem odwoływał się do— wzniosłych uczuć doktora i błagalnymi spojrzeniami nakłaniał Berenikę, by mu pomogła. Nigdy jeszcze nikt z dynastii Padrele nie wygłaszał takich mów!

Usiłował poruszyć serce doktora Popffa opisem tych wszystkich upokorzeń, jakie znosił w ciągu trzydziestu lat życia. Opowiadał o tym, jak musi zadawać sobie gwałt, by wejść do salonu we własnym domu, jak samotne i pozbawione wszelkiej nadziei i radości życie musi pędzić, jak nie może czytać książek bez bólu, nie potrafi patrzeć na filmy i chodzić do teatru, dlatego że i w książkach, i w filmach, i teatrze mówi się o szczęściu, które jest dla niego nieosiągalne.

— Może mi pan wierzyć — powiedział przejmującym głosem — że jechałem do pana nie tylko po to, by wreszcie zrzucić tę nędzną powłokę z siebie. Tak bardzo chciałem uradować mego brata Primo. Gdyby pan wiedział, jak on strasznie cierpi nie mogąc poratować mnie w tym strasznym nieszczęściu!

Słowa te zostały powiedziane szeptem i Popff odniósł wrażenie, że ten stojący przed nim żółty człowieczek o pomarszczonej twarzy najwidoczniej bardzo kochał swego starszego brata. Było to nad wyraz wzruszające. Ponadto zapewne schlebiała mu również perspektywa okazania przysługi obydwom na raz właścicielom słynnego banku.

„Pal ich diabli! — pomyślał z humorem. — Ulituję się nad nimi!” Wszakże wyrażenie natychmiastowej zgody uważał za niewskazane i dlatego rzekł po namyśle:

— Ostatecznie mogę panu zrobić zastrzyk eliksiru... ale nie będzie miał pan gdzie mieszkać u nas w pierwszym okresie po tym zabiegu.

Wtedy Padrele, w którego wstąpiła otucha, zaczął gorąco prosić, by mu pozwolono pozostać w domu wielce szanownego doktora aż do chwili, kiedy wszystko będzie skończone, gdyż chce zrobić swemu bratu ogromną niespodziankę i pokazać mu się jako już zupełnie normalny człowiek. Możliwe, że uda mu się osiągnąć normalny wzrost do dnia czwartego września, a to jest właśnie dzień urodzin Primo!

— Ależ my tu nie mamy miejsca — ociągał się doktor Popff radując się jednocześnie w duszy, że będzie mógł obserwować i poczynić niezbędne spostrzeżenia w okresie skomplikowanego procesu przemiany liliputa w normalnego człowieka.

Padrele zaczął znów zapewniać Popffa, że nie będzie nikogo krępował. Miał zamiar użyć znów całej swojej wymowy, ale nagle przerwała mu Berenika, która przysłuchiwała się w milczeniu tej niezwyklej rozmowie.

— Mylisz się — wstając z krzesła powiedziała do męża stanowczym tonem — mnie się zdaje, że jeżeli panu Padrele będzie to odpowiadało, moglibyśmy go ulokować w narożnym pokoju na dole... a spać mógłby na kanapce. Mam wrażenie, że pan Padrele zmieści się na niej...

Rozdział piętnasty

*w którym Padrele młodszy przeważnie rośnie, podczas gdy doktor Popff
zajmuje się innymi, niemniej ważnymi sprawami*

Oficjalnie dla całego Bakkuku doktor Popff był jeszcze chory. Miał dość roboty i bez przyjmowania pacjentów.

Cały swój czas dzielił teraz pomiędzy Padrele a ostatecznymi przygotowaniem do rozpoczęcia masowych zastrzyków „Eleksiru Bereniki”, ale tym razem już nie ludziom, lecz zwierzętom. W ten sposób w domu doktora Popffa zaistniały od razu aż dwie tajemnice, z których każda mogłaby wystarczyć, by całe miasto, nie mówiąc już o skromnym domku doktora, było oblegane przez całą armię reporterów.

A wtedy — żegnaj, nauko, żegnajcie systematyczne obserwacje nad jedynym w swoim rodzaju zjawiskiem, jakim był raptowny przełom dokonujący się w szybko rosnącym organizmie Padrele młodszego! Żegnajcie systematyczne badania nad masowymi zastrzykami eliksiru!

Dlatego też zarówno panu Bambolemu jak i jego małżonce zakomunikowano nie szczędząc wyrazów najszczerzej wdzięczności, iż na szczęście minął trudny okres, kiedy Berenice potrzebna była ich przyjazna pomoc. Zapraszano ich oczywiście do dalszych odwiedzin zaznaczając, że dopiero za jakieś trzy tygodnie doktor Popff zacznie zapewne przyjmować swych przyjaciół.

Obdarzona darem domyślności pani aptekarzowa wywnioskowała zupełnie słusznie, iż dopiero za miesiąc można odwiedzić doktora, jeżeli się nie chce być narażonym na zarzut natręctwa.

Wdowa Gargo zgodziła się z ochotą nadal pomagać pani Popff w gospodarstwie, uprzedzono ją jednak, że pod żadnym pozorem nie wolno jej nikomu mówić o tym, co się dzieje w domu doktora.

Wdowa, aczkolwiek nikt ją o to nie prosił, uważała za stosowne wzmocnić obietnicę dochowania tajemnicy uroczystą przysięgą i było rzeczą zupełnie oczywistą, że raczej pozwoli sobie uciąć język, aniżeli w najlżejszy bodaj sposób napomknąć o powierzonej jej tajemnicy.

Padrele młodszego, jak to owej pamiętnej nocy zaproponowała Berenika, ulokowano na kanapie w narożnym pokoju pierwszego piętra, wychodzącym na ogród. Zastrzyk eliksiru został dokonany następnego dnia i wszystko odbyło się bez komplikacji, aczkolwiek pacjent był ogromnie zdenerwowany.

Już po upływie kilku godzin dostał niebywałego apetytu. Padrele młodszy zastanawiał się przedtem, jak da sobie radę bez swego kucharza. Chodzi o to, że od najwcześniejszego dzieciństwa miał bardzo zły apetyt aż do chwili, kiedy jego brat Primo Padrele (co w swoim czasie zyskało niemały rozgłos i nawet trafiło na szpalty brukowej prasy) nie przekupił u któregoś z milionerów, zdaje się, że nawet u samego Morgana, pewnego kucharza, któremu wyznaczył pensję dwukrotnie przewyższającą pensję ministra. Otóż ten kucharz wynajdywał niezwykle kombinacje węglowodanów, białka i tłuszczu, które w pewnym stopniu pobudzały do funkcjonowania nad wyraz wężle narządy trawienia Padrele młodszego.

Po zastrzyku okazało się, że pacjentowi najzupełniej wystarcza prymitywna sztuka gotowania wdowy Gargo. Z ogromną żarłocznością rzucał się na każdą potrawę i połykał ją z taką szybkością, że doktor Popff musiał go uprzedzić, aby starannie żuł, jeżeli nie chce na całe życie mieć chorego żołądka.

Zaledwie Padrele zdążył zjeść obfite śniadanie, gdy już z niecierpliwością czekał na obiad, a po obiedzie leżąc na kanapce lub spacerując po pokoju marzył o kolacji, spoglądając raz po raz na zegarek.

Natychmiast po dokonaniu zastrzyku, doktor Popff na poliniowanym arkuszu papieru umieścił wszystkie dane dotyczące pacjenta: wiek, wagę, wzrost, objętość klatki piersiowej, położenie serca itd. Sfotografował nagiego Padrele na tle białych drzwi jego pokoju zarówno z profilu jak en face, oddzielnie twarz, oddzielnie tułów i wręczył mu opracowany przez siebie rozkład dnia podkreślając przy tym, iż w interesie nauki i jego własnym powinien ściśle trzymać się tych instrukcji.

Cała żywnościowa strona eksperymentu została powierzona wdowie Gargo. Była ona nieustannie zajęta gotowaniem, z trudem znajdując czas na udanie się wraz z Bereniką na targ, gdzie rozmiary dokonywanych zakupów budziły niemałą sensację.

Trzeba było usprawiedliwiać się w ten sposób, że przychodzący do zdrowia doktor ma wilczy apetyt, ale jednocześnie jest tak kapryśny w wyborze dań, że jego żona musi przygotowywać dla niego co najmniej pół tuzina rozmaitych potraw, z których doktor wybiera to, co mu przypadnie do smaku.

Z początku to naiwne kłamstewko uspokoiło właścicieli sklepów, a za ich pośrednictwem i resztę miejscowych plotkarzy. Radzi byli dowiedzieć się, iż ów doktor Popff nawet podczas

choroby zachowuje się równie dziwacznie jak i wtedy, gdy był zdrow. Z podziwu godną humanitarnością wyrażano zaocznie biednej pani Popff swe szczere współczucie.

Następnym zagadnieniem niemniej trudnym do rozwiązania była sprawa ubrania, Padrele bowiem rósł i to tak szybko, że ani doktorowa, ani wdowa Gargo nie mogły wspólnymi siłami zapewnić mu mniej więcej wygodnego odzienia. O doskonałości kroju ubrania nie było mowy i oto po raz pierwszy od czterech pokoleń przedstawiciel dynastii Padrele, który żył otoczony królewskim przepychem, dowiedział się o tym, że ubranie może być przenicowane lub też przerobione z innego.

Na pierwszy ogień poszły stare ubrania doktora Popffa. Gdy ich zabrakło, namówiono wdowę Gargo, by za bajońską sumę, która ją po prostu przeraziła, sprzedała trzy ubrania i letni płaszcz pozostałe po jej zmarłym mężu. Doktorowa i wdowa Gargo nabrały już wtedy takiej wprawy, że od biedy mogły uszyć zupełnie przyzwoite ubranie, ale i te zapasy również się wyczerpały. Nabywanie materiałów w miejscowych sklepach było rzeczą ryzykowną, dość bowiem już było plotek na temat zakupów żywności, których rozmiary rosły z dnia na dzień.

Gdy zabrakło męskich ubrań do przerobienia, sięgnięto po stare suknie i żakiety pani Popff. Ostatni tydzień Padrele paradował w jakimś skróconym szlafroku doktora.

Trzecie zagadnienie — obuwie — zostało nie rozstrzygnięte. Padrele cały czas spędzony w domu doktora Popffa dreptał w rannych pantoflach pani domu, a później samego doktora, przymocowanych tasiemkami.

Na ulicę, rzecz prosta, Padrele nie wychodził. Nawet do ogródka (trzy jabłonie, dwa drzewka śliwkowe i kilka krzaczków agrestu) znajdującego się na tyłach domu wypuszczano go jedynie przy zachowaniu nadzwyczajnych środków ostrożności i to tylko nocami, po uprzednim zbadaniu całej okolicy.

Przeważną część czasu Padrele młodszy spędzał w towarzystwie żony doktora. Wdowa Gargo, która od rana do nocy miała pełno roboty w kuchni, niekiedy w chwilach wolnych przychodziła do narożnego pokoju, by posłuchać niezwykłych opowieści przybyłego.

Wszystko, co opowiadał, zakrawało na bajkę: rodowy pałac w Mieście Wielkich Żab, marmurowe wille w najpiękniejszych miejscowościach nad oceanem, luksusowe kabiny na najwspanialszych parowcach, na których odbywał swe podróże po dalekich morzach, apartamenty w najdroższych hotelach, w których zatrzymywali się jedynie milionerzy i osoby panujące.

Wszystko to było dla Bereniki, nie mówiąc już o wdowie Gargo, jakąś precudowną i wymarzoną podróżą w inne światy, nęcącą, lecz niedostępną jak Mars. Trudno było przyzwyczać się do myśli, że tuż obok w narożnym pokoiku niewielkiego domku doktora Popffa siedzi żywy przedstawiciel tych pięknych, niedostępnych światów, niczym żywy mieszkaniec Marsa, który wkrótce na zawsze powróci na swą planetę. Padrele upajał się przejęciem, z jakim słuchały go kobiety. Nie był na tyle głupi, aby wywołane wrażenie przypisać jedynie swemu darowi słowa, ale krasomówstwo w tym wypadku było zbyt skuteczne. Ogromną bogactwa, władza, luksus i słodkie nieróbstwo przemawiały same przez się do tych kobiet, które musiały bądź co bądź myśleć o codziennych potrzebach.

Dopiero teraz Padrele zrozumiał, że ludzi nie można wprawdzie kupić za pieniądze, ale można ich zgłębić i upokorzyć opowiadaniem o pieniądzu i o tym wszystkim, co za niego nie można otrzymać. Ta świadomość dodawała mocy jego słowom. Zasypywał swoje słuchaczki lawiną wspomnień i cieszył się jak zepsute dziecko widząc, jakie to na nich robi wrażenie.

Po raz pierwszy w życiu Padrele czuł się naprawdę szczęśliwy. Codziennie jego wygląd zewnętrzny zmieniał się na lepsze. Cera stopniowo traciła swój niezdrowy żółty odcień, zmieniały się rysy i proporcje jego twarzy, coraz bardziej zbliżając się do typu prawdziwego mężczyzny, który nie miał w sobie nic nadzwyczajnego, ale w porównaniu z poprzednim wyglądem karzełka był przyjemniejszy.

Co parę dni wyrastał ze swego ubrania i gdy po raz pierwszy wyszedł w spodniach sięgających zaledwie do kostek i w bluzie z krótkimi rękawami — obraził się nawet widząc rozbawione twarze doktora Popffa, jego żony i wdowy Gargo. Później sam pokładał się razem z nimi ze śmiechu i wołał w radosnym uniesieniu: „Rosnę! Ależ rosnę!”

Cały czas znajdował się w jakimś podnieceniu, które obydwie kobiety brały za objawy wdzięczności. Nie mógł usiedzieć na miejscu. Niejednokrotnie usiłował dopomóc wdowie Gargo w kuchni lub też doktorowej Popff, gdy szła. Wszystko to było bardzo zabawne i chłopięco szczerze.

Do gabinetu doktora Popffa raz po raz dolatywały wybuchy śmiechu i było mu nad wyraz przyjemnie, że Berenika przynajmniej nie nudzi się.

„Zaczekaj, kochanie — myślał w duchu — jeszcze miesiąc, dwa, a rozpoczniemy nowe życie. Będziemy mieli wszystko. Sławę, pieniądze i dużo wolnego czasu! Chociaż, co się tyczy tego ostatniego, to nie sądzę, czy go będę miał nawet później zbyt wiele”.

Doktor Popff przeżywał obecnie okres najbardziej intensywnej pracy, takiej właśnie, o której marzył, gdy był studentem. O świcie zrywał się z łóżka, kładł się spać po północy.

Trzy razy dziennie opukiwał i badał, ważył, mierzył coraz bardziej rosnącego Padrele, obmyślał rację żywności dla niego na dzień następny i spędzał długie godziny w swoim gabinecie, doprowadzając do porządku notatki dotyczące obserwacji nad Padrele i trzema innymi obiektami, o których w swoim czasie pomówimy obszernie. Również trzy razy dziennie bardzo pilnie badał w chlewiku owe trzy tajemnicze objekty.

Gdy wreszcie pozwalał na to czas i siły, pracował w swoim laboratorium, zadowolony, że nikt mu nie przeszkadza i że Berenika nie nudzi się bez niego.

Doktor Popff był strasznie szczęśliwy. Jego cudotwórczy preparat, nad którym pracował tyle lat, przestał być mrzonką, stał się rzeczywistością. Już nie lata, lecz tygodnie i dni dzieliły go od chwili, kiedy będzie mógł stosować eliksir masowo, a tym samym zdobędzie ogromną, światową sławę.

Doświadczenia i rezultaty tych doświadczeń z Magarafem i Padrele były dostateczną podstawą, by stworzyć nowy rozdział w historii nauk przyrodniczych. Każdą swą obserwację, każdą notatkę dotyczącą procesu zachodzącego w szybko rosnącym organizmie Padrele i owych trzech innych obiektach doktor Stephen Popff zapisywał teraz w swoim pamiętniku z takim uczuciem, jakie musi odczuwać poszukiwacz złota, któremu wreszcie udało się odnaleźć złotodajną żyłę.

Rozdział szesnasty

*w którym jest mowa o gwałtownej rozmowie pomiędzy
doktorem Popffem i Aureliuszem Padrele*

Musimy wrócić wstecz do trzeciego miesiąca pobytu doktora Popffa w Bakbuku i opisać to poruszenie, które w swoim czasie na miejscowym rynku wywołało skupowanie przez przyjezdnego doktora cielęcych, świńskich i baranich głów. Doktor zakupywał to wszystko w takich ilościach, jak gdyby chciał zapewnić sobie galaretkę z głowizny przynajmniej na całe życie.

Ale doktor Popff nie kupował tego wszystkiego w celach spożycia. Z całej sterty mięsa i kości zatrzymał dla siebie zaledwie kilka gramów niewielkich gruczołów, które wycinał z nasady mózgu. Setki kilogramów nietkniętego mięsa rzeźnicy przyjmowali od doktora Popffa z powrotem za połowę ceny i zarówno rzeźnicy, jak i doktor byli jednakowo zadowoleni z tej transakcji. Tarczykowe gruczoły baranie, wieprzowe i krowie doktor Popff otrzymywał od rzeźnika bezpłatnie w charakterze premii.

Minęło zaledwie parę tygodni i doktor Popff dostarczył nowego tematu dla plotek. Kupił naraz prosiaka, cielę i jagnię.

— Ten nasz doktor to chyba jest w główkę stuknięty! — zaśmiewali się mieszkańcy miasteczka.
— To niebezpieczny człowiek! Kto wie, taki ni z tego ni z owego może ugryźć!

Inni natomiast mówili oględnie:

— To zawsze tak bywa po skończeniu uniwersytetu. Człowiek się miota, szuka. To coś w rodzaju odry, którą każdy musi przejść.

Opowiadano sobie o tych wszystkich retortach i epruwetkach, które doktor Popff przywiózł ze sobą, i każdy z przyjemnością przewidywał, że prowincjonalne życie wciągnie z biegiem czasu doktora, podobnie jak to uczyniło z innymi, gdy również marzyli o poświęceniu się czystej nauce.

— To nic — mówili — usatkuje się!

Doktor Popff nikogo nie pokąsał, ale też nie usatkował się. W ciągu paru dni nabył i przywiózł na swe podwórze około tony siana i innego pożywienia dla swego bydelka. Tyle tego wszystkiego dla trzech maleńkich zwierzątek, które jeszcze nawet nie potrafią żuć?

Można sobie wyobrazić, jak miejscowe kumoszki porodziawiałyby gęby ze zdziwienia, gdyby się dowiedziały, że doktor Popff sam chodzi dokoła swoich bydłatek, sam je karmi i po parę razy dziennie waży nawóz, który własnoręcznie zbiera w chlewiku.

Niepozorne ściany owego chlewiku, który doktor Popff własnoręcznie przebudował z drewnianego garażu, w ciągu następnych dziesięciu dni były milczącymi świadkami magicznej przemiany małego prosiaka w utuczoną świnię, jagniątko w okazałego barana, a cielęcina w niczego sobie byczka.

Pewnego razu, gdy słońce już zachodziło, w chlewiku rozegrała się scena, która mogła poważnie zaniepokoić nawet tych nielicznych obywateli, którzy jeszcze wierzyli w normalność władz umysłowych naszego bohatera. Oto doktor Popff tańczył pośrodku chlewika, klaskał w dłonie i pogłosem, by go nie dosłyszano na ulicy, podśpiewywał:

Nie rosną! Nie rosną! Tram-ta-ta-ta! Nie rosną! Nie rosną!

Jeżeli sobie przypomnimy, że przed dziesięciu dniami w tym samym chlewiku doktor Popff wyrażał równie burzliwą radość z powodu tego, że jego wychowankowie rosną, to można było żywić obawę, że na skutek wyczerpującej umysłowej pracy i systematycznego niedosypiania doktor Popff zwariował.

W istocie zaś jego radość w pierwszym i w drugim wypadku była usprawiedliwiona.

Zadanie naukowe, jakie postawił przed sobą doktor Popff, było zuchwałe: przyspieszyć proces wzrastania żywych organizmów, ale kontrolować go i doprowadzić tylko do rozmiarów normalnego osobnika. Dotychczas, od chwili przyjazdu do Bakbuku, doktorowi Popffowi udawało się spreparować w swym laboratorium jedynie taki rozczyń, który wzmagił proces wzrastania żyjących organizmów bez końca. Dwudniowa morska świnka, w ciągu tygodnia urosła do rozmiarów rocznego buldoga, a ślepe mysiątko w ciągu tego samego czasu zamieniło się w obrzydliwego drapieżnika, rosnącego z taką szybkością jak morska świnka.

Doktor Popff wypróbował swój eliksir kilkadziesiąt razy na myszach i szczurach i każde z tych stworzonek zawsze niezmiernie szybko urastało do rozmiarów normalnego okazu, a później trzykrotnie większego. Nadmiernie wyrosłe okazy trzeba było uśmiercać za pomocą cyjanku, ale doktor Popff zachowywał i konserwował ściągniętą z nich skórę, by wypchać ją, po czym znów na długie godziny i dni zamykał się w laboratorium, sprawdzając swe obliczenia, przeprowadzając nowe badania, które miały na celu odnalezienie błędu unicestwiającego jego właściwe zamierzenia.

I dlatego radość doktora była zupełnie zrozumiała, gdy wreszcie osiągnął to, że i myszy, i morskie świnki przestawały rosnać po uzyskaniu rozmiarów przewidzianych przez samą naturę.

W ten sposób zakończył się pierwszy etap jego pracy. Doktor Popff zabrał ze sobą, jak już o tym wiemy, do Miasta Wielkich Żab swą żonę, poznał tam Tomaso Magarafa, zastrzyknął mu eliksir, a w powrotnej drodze do Bakbuku przeziębził się i zachorował.

Później, gdy był już na drodze do wyzdrowienia, na scenie zjawia się Padrele młodszy, a w niewielkim chlewie zamieszkały trzy stworzonka poddane eksperymentowi.

Jak widzimy więc, doktor Popff, jak każdy prawdziwy badacz, był bardzo ostrożny i przed przystąpieniem do masowych zastrzyków chciał jeszcze raz przekonać się o skuteczności swojego preparatu.

Doświadczenia dokonane na Padrele młodszym i pozbawionych daru słowa innych stworzeniach wypadły nad wyraz pomyślnie. Na półkach laboratorium stała cała bateria ampulek z eliksirem zabarwionym na kolor żółty, niebieskawy i zielony. Ale w sposób zgoła dla doktora Popffa nieoczekiwany okazało się, że opracowanie planu masowego zastosowania eliksiru, o czym marzył od tylu lat i sądził, że obmyślił wszystko do najdrobniejszych szczegółów, nie było rzeczą łatwą i nastęczało dużo trudności.

Spora sterta listowego papieru na jego biurku stopniała w przeciągu dwóch dni, pozostawiając po sobie jeden tylko arkusik i rozczarowanie doktora Popffa, o ile chodziło o jego zdolności pisarskie.

Pewnego ranka w końcu sierpnia poprosił Berenikę, by po śniadaniu przyszła do jego gabinetu. Była zdumiona tym zaproszeniem, gdyż doktor Popff o tej porze nikomu nie pozwalał przerywać swojej pracy.

— Nabazgrałem tutaj coś — powiedział pokazując jej arkusz papieru zapisany dużymi literami.
— Przeczytaj, staruszko, i powiedz, co o tym sądzisz.

Barenika czytała półgłosem:

jeśli macie prosiaka i chcecie, by w przeciągu 10 dni stał się normalnym wieprzkiem,
jeśli macie jagniątko i chcecie, by po 10 dniach wyrósł z niego spory baran,
jeśli macie cielątko i chcielibyście, by w przeciągu 10 dni wyrósł z niego byczek lub jałówka,
zwróćcie się do doktora Stephena Popffa (ulica Księżycowej Pełni, naprzeciwko apteki Bamboli). Doktor Stephan Popff zastrzyknie waszemu prosiakowi, cielakowi lub jagnięciu

wynaleziony przez niego „Eliksir Bereniki”. Ci, którzy nie wierzą w skuteczność wynalazku doktora Popffa, mogą zapłacić za zastrzyk (pół centaury) dopiero później, gdy przekonają się o pomyślnych wynikach. Zastrzyki dokonywane będą codziennie, prócz niedziel, począwszy od dnia 1 września br. od godz. 11 z rana do 3 p. p.

— No i co sądzisz? — zapytał Popff.

— Na twoim miejscu dałabym ten tekst do przeczytania Padrele — odpowiedziała Berenika tak szybko, jak gdyby od dawna miała przygotowaną odpowiedź. — Zna się na interesach i na reklamie.

— Jestem pewien, że zna się lepiej ode mnie — zgodził się z humorem doktor. — Chodźmy na naradę z przedstawicielem sfer finansowych!

Chwycił Berenikę za rękę i hałaśliwie zbiegli schodami zalanymi teraz słońcem.

Nikt by nie poznał w roslym, młodym mężczyźnie o rumianych policzkach, wystającym podbródku i nieco spłaszczonym nosie — była to rodowa cecha wszystkich członków dynastii Padrele — karzełka o poźółklej, pomarszczonej twarzy, który niedawno późnym wieczorem pukał do doktora Popffa.

Padrele leżał na kanapce trzymając w ręce jakieś romansidło. Nie mieścił się już na niej, ulokował więc nogi na przysuniętym krześle.

Padrele młodszy rozkoszował się życiem. Wszystko sprawiało mu przyjemność: i to, że zjadł śniadanie ze znakomitym apetytem, i to, że nie mieści się już na kanapce, i to, że interesują go romanse, że czyta je jak prawdziwy mężczyzna, i że za mniej więcej dziesięć dni opuści tę dziurę i wróci do Miasta Wielkich Żab, gdzie w całej swej okazałości stanie przed ukochanym bratem, jedyną istotą, która jest mu bliska i droga na świecie.

Chociaż właściwie mówiąc, ów brat nie był już jedyną istotą tak bardzo mu bliską — był już jedną z dwu istot, które kochał.

Padrele młodszy rozkoszował się życiem i całe jego jestestwo przepelniała ta pobłażliwa obojętność dla wszystkiego, co go otaczało, jaką zwykle się uważać w bogatych ludziach za dowód duchowej równowagi, a która w gruncie rzeczy nie była niczym innym jak rezultatem dobrego trawienia.

— Co pan sądzi o tym? — zapytał doktor pokazując mu tekst swego ogłoszenia.

Padrele rozsiadł się wygodnie na kanapce, przebiegł oczyma tekst, spojrzął z początku na Berenikę, później na doktora i cedząc słowa mówił powoli:

— Sądzę, że tekst ten zawiera pewną, dość dużą, a powiedziałbym nawet — niedopuszczalną absurdalność!

— Absurdalność? — zapytał obrażony Popff, który był dobrego zdania o swoim dziele. — Ale może pan powie konkretnie, o co chodzi?

— Owszem, mogą powiedzieć — odpowiedział Padrele i spojrzął przy tym na Berenikę. — Jestem zdumiony ceną, którą pan wyznaczył.

— Zaledwie pokrywa koszty produkcji — usprawiedliwiał się Popff. — Wpakowałem moc pieniędzy w to wszystko i stanowczo nie mogę brać mniej niż pół centaury.

— Niech mi doktor zechce wybaczyć — z pobłażliwością uśmiechnął się Padrele, ale pan jest całkowicie pozbawiony praktycznego zmysłu. Któż pana zmusza, aby pan brał pół centaury? Niech pan bierze więcej. Niech pan weźmie... — W tym momencie Padrele po raz trzeci spojrzął na Berenikę, która wprawdzie wciąż jeszcze trzymała pod rękę swego męża, ale z rosnącym szacunkiem patrzyła na byłego karzełka. — Niech pan bierze za swój eliksir pięć milionów centaurów!

— Więc pan mi proponuje?... — zaczął doktor Popff usiłując zachować panowanie nad sobą.

— Proponuję panu pięć milionów jedynie za to, że pan sprzeda swój eliksir naszej firmie — dokończył Padrele zachwycony swoją ofertą.

Była to pierwsza w jego życiu transakcja, której zamierzał dokonać samodzielnie jako przedstawiciel słynnego banku, i już z góry cieszył się na to, z jakim zachwytem przyjmie ją brat, szef firmy.

— Pańskiej firmie? — zapytał Popff.

— Nie mojej tylko naszej, drogi doktorze, naszej wspólnej z panem firmie! — poprawił go Padrele zacierając ręce. — Proponuję panu, a sądzą, że brat zaakceptuje tę ofertę, pięć milionów gotówką za to, że patent pańskiego eliksiru będzie stanowił własność nowoutworzonej firmy „Bracia Padrele i Popff. Rzeźnie, garbarnie i zakłady włókiennicze”. „Bracia Padrele i Popff”, jak to brzmi, co? — Zerwał się na równe nogi i mówił dalej a niebывалym uniesieniem: — Za pomocą pańskiego eliksiru nasza firma opanuje wszystko: hodowlę bydła, rynek mięsny, produkcję konserw, mleczarstwo, włókiennictwo i mnóstwo innych gałęzi handlu i przemysłu! Niech pan będzie spokojny, miałem dość czasu, aby przemyśleć dobrze tę sprawę. Nie znam się być może na

literaturze i jestem ignorantem, jeśli chodzi o naukę, ale odziedziczyłem talent do interesów. Mój prapradziadek zaczął swoją karierę jako subiekt w małym prowincjonalnym sklepie z papierosami. Czuję zresztą, że moja mózgowica pracuje teraz wcale nieźle. Z początku zalejemy cały rynek tanim mięsem, tanimi konserwami, tanią skórą, tanią wełną i mlekiem prawie za bezcen. Zrujnujemy wszystkich królów mleka, skóry, mięsa i konserw. A później, kiedy będą leżeli na obu łopatkach, będziemy dyktowali na rynkach takie ceny, jakie sami będziemy uważali za stosowne. Niech no spróbuje któryś z konkurentów pojawić się znów na rynku, a my puszczamy w ruch nasz eliksir i stajemy się jedynymi panami rynku, królami, cesarzami, dyktatorami: mięsa, mleka, wełny i skóry! Czy nie odczuwa pan zawrotu głowy na samą myśl o tej perspektywie?

To Berenika doznała zawrotu głowy. Zbladła, puściła ramię męża, usiadła na brzeжку kanapy i wylęknionymi oczyma wpatrywała się w swego męża, który z jakąś dziwną obojętnością wysłuchiwał tego planu ograbienia całego kraju za pomocą jego wynalazku.

— Pan zbuduje sobie wspaniały, własny instytut! — perorował Padrele wymachując rękami — najwspanialszy instytut, jaki kiedykolwiek istniał! Pod pańskim kierownictwem będą pracowały największe sławy naukowe nie tylko Argentei, ale całego świata! Zostanie pan obrany honorowym członkiem wszystkich naukowych stowarzyszeń i uniwersytetów! Biorę to na siebie!

— Mam nadzieję, że wybiorą mnie bez pańskiej pomocy — przerwał mu ambitnie Popff.

— Niech pan nie będzie dziecinny! — zawołał Padrele. — Pan doskonale wie, że te sprawy wyglądają inaczej. Może być pan przekonany, że nawet najwybitniejszy profesor nie otrzyma w Argentei czegokolwiek, jeżeli nie będą sobie życzyli Bracia Padrele, Pissarro, Dechapeau, Krüger, MacMahon lub Diego Alwares de Rivera!

Wykrzykiwał nazwiska członków słynnej „Wielkiej Szóstki” z taką dumą i takim patosem jak czarnoksiężnik, który przed tłumem drżących półdzikich ludzi wzywa pomocy potężnych bożyszcz.

Doktor Stephen Popff miał dość doświadczenia, by wiedzieć, jak ogromny wpływ ma owa „Szóstka” na wszystko, co się dzieje w Argentei, nie wyłączając dziedziny nauki.

Od dzieciństwa był jednak wychowany w przekonaniu, iż nie należy mówić o tym otwarcie, zwłaszcza z ludźmi, którzy są w jakikolwiek sposób związani z tymi sferami rządzącymi krajem.

Wszystko to było tak poniżające i obrażające godność przeciętnego obywatela; że niekiedy po prostu odbierało ochotę do życia.

— Czy wszyscy wymienieni przez pana dżentelmeni są tak wielkimi autorytetami w nauce? — zapytał nie posiadając się z gniewu i starając się nie spotkać z wzrokiem Bereniki.

Jakże pogardzała nim w tej chwili, a jednocześnie nienawidziła za to, że sprowadzał rozmowę na inne tory, że odsuwał moment zawarcia umowy proponowanej przez Padrele, a tym samym oddalał bogactwa, które miały na nich spłynąć! W duszy była przekonana, że Popff jej nie kocha, jeżeli jakaś tam niezależność naukowa jest dla niego droższa od szczęścia własnej żony.

— Ci dżentelmeni są największymi autorytetami finansowymi! — krzyknął Padrele i z taką siłą wyrzwał pięścią w stół, że stojąca na nim, dość zresztą tania, filiżanka spadła na podłogę i stłukła się. — Mogę pana zapewnić, że to jest więcej warte aniżeli naukowy autorytet!...

— Niech pan się liczy ze słowami! — cichym i spokojnym głosem odrzekł doktor Popff, ale Padrele już nie panował nad sobą.

— ...Uczeni! Myślałby kto! Pigularze, mistrze od lewatywy, którzy chodzą w dziurawych portkach!

W pokoju zapanowała nagle cisza, którą dopiero po chwili przerwał spokojny głos doktora Popffa.

— Panie Padrele — mówił z wolna doktor. — Proszę niezwłocznie opuścić mój dom! Niech się pan wynosi stąd!

Otworzył drzwi, zawołał wdowę Gargo i powiedział do niej:

— Mam do pani prośbę, pani Gargo. Pan Padrele dziś wyjeżdża. Niech pani kupi w sklepie ubranie, płaszcz, kapelusz i obuwie. Powie pani, że to dla mnie. Pieniądze dostanie pani od pana Padrele.

Doktor wyszedł i zamknął się w swoim gabinecie.

Na godzinę przed swoim wyjazdem, Padrele przesłał mu przez wdowę Gargo kopertę zawierającą czterdzieści osiem tysięcy centaurów i pisemne zobowiązanie nadesłania następnych pięćdziesięciu dwóch tysięcy nie później niż piątego września.

Doktor Popff zwrócił mu zarówno pieniądze jak i zobowiązanie załączając kartkę, w której pisał, iż nie bierze pieniędzy od tych, na których przeprowadza swoje doświadczenia, niezależnie od tego, czy jest to przedstawiciel słynnego banku „Bracia Padrele”, czy też zwyczajna świnka morska lub szczur.

Nie chcąc więcej spotkać się z Padrele, doktor Popff pozostał w swym gabinecie aż do chwili, kiedy były karzeł udał się na dworzec. Dopiero potem, gdy przekonał się o jego wyjeździe, zszedł na dół. Spotkała go zapłakana wdowa Gargo i pokazała list leżący na stole.

Berenika Popff, z domu Michelly, powiadamiała swego męża o tym, iż dłużej nie może z nim żyć i wyjeżdża do Miasta Wielkich Żab.

Rozdział siedemnasty

*w którym jest mowa o tym, jak Padrele młodszy i Berenika Popff
przybyli do Miasta Wielkich Żab*

Rankiem następnego dnia z wagonu pociągu, który przybył do Miasta Wielkich Żab, wysiadł rumiany młody człowiek około trzydziestu lat ze spleśzczonym, nosem i wystającym podbródkiem. Był wesoły jak ptaszek, bez przerwy coś mówił, nachylał się czule do swojej młodej towarzyszkii, lecz ta była milcząca, zamyślona i smutna.

Pogoda, jaką ich powitała stolica Argentei, była po prostu okropna. Nie chciało się wierzyć, że to dopiero ostatnie dni sierpnia. Był przenikliwy chłód. Lał deszcz, niemal typowy październikowy deszcz, zimny i przygnębiający, jak płacz chorego dziecka za ścianą.

Taksówka mknąc poprzez mokre jezdnie wiozła ich ulicami, obok wielkich domów upstrzonych szyldami, dużych kiosków z gazetami, na których jak źle wyprana bielizna wisały płachty wilgotnych pism, mijała ciemne czeluście podziemnej kolei, w których ginęli przemoknięci przechodnie z determinacją samobójców. Przed oczyma szybko przemknęły opustoszałe skwery z mokrymi ławkami, jakieś trzeciorzędne kina otwarte całą dobę. Jak cienie przesuwali się za oknami samochodu ociekający wodą policjanci, mokre drzewa, mokre samochody, otoczone kałużami drewniane kioski, w których śmiertelnie nudziły się sprzedawczynie kwiatów, czyściciele obuwia i sprzedawcy lodów i owoców w cukrze.

Później taksówka skręciła na prawo i powoli zaczęła przemykać się pomiędzy mnóstwem samochodów wypełniających plac, na którym widniał ogromny posąg z granitu. Posąg wyobrażał młodą kobietę w lekkim stroju, który granitowymi fałdami otaczał jej kształty ociekające w tej chwili strugami wody. Zgodnie z intencją rzeźbiarza i Rady Miejskiej owa kobieta miała być symbolem demokracji, ale jej obecny wygląd nasuwał przypuszczenie, iż raczej nieszczególnie czuje się w stolicy Argentei.

Z placu samochód wy dostał się na obszerne bulwary i już po chwili zatrzymał się przy wejściu najlepszego w Mieście Wielkich Żab hotelu „Cortez”. Portier przywitał wchodzącą parę tym uprzejmym uśmiechem nie pozbawionym lekkiej pogardy, z jakim dobrze wytresowana służba hotelowa zwykła patrzeć na panie w skromnych prowincjonalnych sukniach i panów ubierających się w magazynach gotowej męskiej konfekcji. Ale ton, jakim przemawiał Padrele młodszy, mimo

iż zachował swoje incognito, był tak naturalny, a sam Padrele czuł się w atmosferze przesadnego luksusu tak swobodnie, że portier swym niezawodnym instynktem byłego lokaja od razu odgadł, że ma do czynienia z grubą rybą. Wątpliwości, które mógł jeszcze żywić, rozwiały się doszczętnie, gdy Padrele niedbale wręczył mu do zmiany na drobne banknot o kilku zerach. Teraz portier stał się uosobieniem służalczości i uprzejmości.

W księdze przyjezdnych Berenika zapisała swe panięskie nazwisko, Michelly, a Padrele — pospolite nazwisko Etu (tak nazywała się pielęgniarka w sierocińcu, gdzie wychowywał się młodszy syn pani Gargo). Kiedyś w jego obecności wspomniała tę osobę i Padrele zapamiętał to nazwisko.

Nowoupieczony pan Aureliusz Etu odprowadził Berenikę do jej apartamentów. Tam zjedli śniadanie. Po śniadaniu zamówili samochód i nie tracąc czasu udali się do sklepów po zakupy.

Niebywały przepych apartamentów, w których Berenika miała zamieszkać aż do uzyskania rozvodu z doktorem Popffem i do dnia ślubu z Padrele, wspaniały magazyn mód i perspektywa zostania wkrótce jedną z najbogatszych kobiet Argentei — wszystko to mogło oszołomić osobę nawet bardziej rozsądną aniżeli Berenika. Czyż mogła o czymś podobnym marzyć jeszcze przed dwoma dniami?

— Ach, Steph! — zawołała w zachwycie, gdy zaczęto przed nią rozwijać szeleszczące fale jedwabów i barwnych materiałów. — Popatrz! Jakie to piękne!

Zapomniała, że obok niej stoi Aureliusz Padrele, zdawało się Berenice, że to doktor Popff jest jej towarzyszem. Padrele wytrzeszczył oczy, a później roześmiał się.

— Droga Bereniko! Zdaje się, że byłaś łaskawa nazwać mnie Stephelem?

Nie był dość taktowny, by przemilczeć ten epizod. Był nawet przekonany, że rozbawił ją tak samo jak siebie. Jakże mogła zapomnieć bodaj na chwilę o tym, że jest narzeczoną Padrele młodszego, tak, Padrele młodszego! Pokładał się ze śmiechu klepiąc się po udach.

— Zapomnij o tym, Bereniko! Ale to pyszne! Nazwałaś mnie imieniem swego byłego męża, tego niepoczytalnego dziwaka!

Berenika zarumieniła się, usiłowała uśmiechnąć się, ale jakoś jej się to nie udało. Przestała mówić, straciła na humorze, jednym słowem była znów w takim nastroju, jak w czasie podróży z Bakbuku.

Padrele był niezmiernie zdziwiony, że zamówiła sobie tylko trzy suknie i usprawiedliwiając się bólem głowy prosiła, by odwiózł ją do hotelu.

Gdy wieczorem przyniesiono już gotowe suknie, znów się ożywiła i długo przeglądała się w lustrze. Ubrała się w piękną wieczorową suknię, gdyż wieczorem mieli pójść do opery. Było jej bardzo do twarzy w nowej toalecie, wiedziała o tym i to czyniło ją jeszcze piękniejszą.

Padrele był zachwycony tym, że wszyscy zwracają na nią uwagę, niemniej wszakże cieszyło go, że w łóżach sąsiednich, gdzie miał mnóstwo znajomych, nikt go nie poznał.

Pod koniec przedstawienia Berenika znów wpadła w zły humor, a Padrele, który usiłował wpłynąć na jego poprawę, wreszcie rozgniewał się. Co prawda postarał się ukryć to i nie nalegał, gdy po powrocie do hotelu Berenika, znów usprawiedliwiając się bólem głowy, wymówiła się od kolacji i udała się do siwych apartamentów. Padrele zjadł sam kolację w hotelowej restauracji i znów był w doskonałym humorze.

Tymczasem Berenika Popff, z domu Michelly, nasunąwszy kołdrę na głowę zalewała się łzami w swej luksusowej sypialni. Nie mogła darować doktorowi Popffowi, że nie usiłował zatrzymać jej i nie przybiegł na dworzec.

„Nie kocha mnie. To jasne, że mnie nie kocha”.

Rozdział osiemnasty

O pierwszej niespodziance, która spotkała Aureliusza Padrele

W rannych godzinach drugiego września dzwonek telefoniczny obudził Ogastesa Carba, tego samego młodego człowieka, który mniej więcej przed sześciu tygodniami przyprowadził Tomaso Magarafa do Padrele młodszego.

Nie można powiedzieć, by ta długa rozłąka z szefem sprawiała przykrość Ogastesowi. Rumieńce nadal kwitły na policzkach tego niedużego wzrostem (Padrele nie lubił w swoim otoczeniu ludzi dużego wzrostu), pulchnego blondyna z zimnymi i mętnawymi niebieskimi oczkami. Rozkoszował się wypoczynkiem, który był szczególnie przyjemny po całodziennym bieganiu dokoła złośliwego karzelka, jego szefa, którego w myślach nazywał niezbyt poetycznym mianem: „Kleszcz”.

Ale to bynajmniej nie świadczyło, że Carb zapomniał o nim. Przeciwnie, nie było dnia, by nie wspomniął o „Kleszczu”, by z trwogą nie usiłował odgadnąć, jaki będzie rezultat tej niezwyklej podróży. Czy czarodziej, do którego się udał, pomoże mu urosnąć? A jeżeli zgodził się — jak odbije się to na zdrowiu jego szefa? Wiele czasu potrwa, nim urośnie i wróci do domu?

W takich wypadkach Ogastes Carb wyobrażał sobie, że sam jest tym tajemniczym czarodziejem i marzył o tym, co by to było, gdyby on — Ogastes Carb — był posiadaczem tajemniczego wynalazku. Z pewnością potrafiliby go wykorzystać! Zażądałby od swego karzelkowatego szefa co najmniej dwa albo trzy miliony! A może nawet postawiłby za warunek uczestniczenie w charakterze udziałowca w firmie „Bracia Padrele i Carb”! Byłby więc jednym z członków potężnej „Szóstki”.

Na pierwszy rzut oka może się to wydać rzeczą dość dziwną, ale Ogastesa Carba doprawdy ogromnie niepokoiło przypuszczenie, iż ten nikomu nie znany geniusz może przegapić całą sprawę i wyciągnie z Padrele znacznie mniej pieniędzy, aniżeli należy. Niekiedy Carb czuł, że gotów zwariować, jeśli coś podobnego istotnie się zdarzy. Jeżeli doznawał tych uczuć, to wcale nie dlatego, że czuł jakąś sympatię do człowieka, który wynalazł ten cudowny eliksir — przeciwnie, nienawidził go i całą duszą mu zazdrościł.

I nie chodziło w tym wypadku o samą niechęć, jaką żywił do swego nieznośnego szefa. W grę wchodziły tu inne uczucia: Ogastesa Carba wyprowadzała z równowagi perspektywa

wypompowania z kogoś możliwie największej sumy pieniędzy bez względu na to, czyje to były pieniądze i kto z nich miał skorzystać. — Że podobną okazję musi umiejętnie wykorzystać, było dla niego najważniejsze! Trudno, jeżeli człowiekiem, któremu uśmiechnął się los, nie jest on, Ogastes Carb — niechże więc przynajmniej ten ktoś inny potrafi wykorzystać tę niezwykłą okazję!

Ogastes Carb był jednak praktycznym człowiekiem i od marzeń szybko przechodził do na wskroś realnych rozważań, w których najważniejsze miejsce zajmowała inna troska: jak, mianowicie, na jego własnych losach może się odbić cudowna przemiana jego szefa?

Rozmyślając nad tym raz po raz przychodził do bardzo przyjemnego stwierdzenia, że sytuacja osobistego sekretarza Padrele młodszego w jego nowej postaci będzie znacznie korzystniejsza od poprzedniej, kiedy lilipuci szef niczym się nie zajmował, stał z dala od interesów i nie pokazywał się w towarzystwie. Z powyższego wynika, iż Ogastes Carb był osobiście zainteresowany tym, aby Aureliusz Padrele urósł.

Od pewnego czasu niepokoił go bardzo brak jakichkolwiek wiadomości—od szefa. Zbliżał się dzień czwartego września, dzień urodzin Primo Padrele, i byłoby rzeczą zgoła nieprawdopodobną, gdyby Padrele młodszy miał o tym dniu zapomnieć.

Dlatego też pierwszą myślą, która mu zaświtała w głowie, gdy w rannych godzinach drugiego września zadzwonił telefon, było wrócił jego szef. Posmutniał od razu — kończyły się piękne dni spokojnego życia bez „Kleszcza”!

Sięgnął po słuchawkę i usłyszał czyjś nieznajomy barytonowy głos:

— Czy to pan Carb?

— Tak, Carb — odpowiedział oschle.

Był rozczarowany, że to nie telefon od jego szefa. „Co się z nim dzieje?”

— Może by pan grzeczniej odpowiadał, panie Carb — upomniał go nieznajomy baryton.

— Kto mówi? — zapytał Carb opryskliwie.

— Z polecenia pana Aureliusza Padrele zawiadamiam pana..

— Szef wrócił?! — zapytał Carb z jawnym niepokojem.

— Zwracani panu uwagę, że to nie jest zbyt grzecznie przerywać komuś, gdy mówi! — strofował go surowo baryton.

— Bardzo przepraszam. Z kim mam zaszczyt mówić? — zapytał Ogastes tym razem bardziej uprzejmie.

— Powiedziałem już panu, panie Carb...

— Nazywam się Carb, a nie Crab — poprawił nieznajomego Ogastes.

— Powiedziałem już panu, panie Carb — z naciskiem powtórzył baryton — że mówię z panem z polecenia pańskiego szefa, pana Aureliusza Padrele. Zdaje się, że to nazwisko jest panu znane.

„Nowy sekretarz! — z przerażeniem pomyślał Carb i wszystko w nim zamarło. — Oczywiście, «Kleszcz» urósł i zaangażował sobie nowego sekretarza”.

Carb poczuł się w położeniu człowieka, który z trudem wdrapywał się na wysoką drabinę i oto naraz drabina pochyliła się i zaczęła spadać.

— Proszę wybaczyć, szanowny panie! — wystękał. — Słucham pana.

— Możliwe, że nie powiem pańskiemu szefowi, aby pana wypędził — wielkodusznie obiecał mu baryton.

— Najmocniej pana przepraszam — bełkotał Ogastes Carb, który, podobnie jak jego szef, umiał rozmawiać albo służalczo, albo w sposób pyszałkowaty.

— Oczekuję pana za pół godziny w restauracji hotelu „Cortez” — powiedział baryton.

— Ale jak pana znajdę? Przecież nie mam przyjemności znać pana.

— Niech pana o to głowa nie boli. Zatrzyma się pan w drzwiach, a ja zawołam pana. Znam pana doskonale. Pan Padrele prosił mnie również, aby nikt, nawet jego brat, nie wiedział o naszej rozmowie — zakończył baryton i odłożył słuchawkę.

Po upływie pół godziny wystraszony Carb przybył do imponującej restauracyjnej sali hotelu „Cortez”. Po chwili zbliżył się do niego z manierami mistrza ceremonii kelner i zaprowadził do stojącego w rogu sali stolika, przy którym siedział nie znany mu trzydziestoletni mężczyzna z wystającym podbródkiem i nieco spłaszczonym nosem oraz młoda, dość ładna brunetka, która spojrzała na niego z nietajoną ciekawością.

— Czy to pan był łaskaw telefonować do mnie? — zapytał Ogastes Carb usiłując przypomnieć sobie, gdzie i kiedy widział tego nieznajomego, który mu jednakże kogoś przypominał.

— Z przyjemnością stwierdzam — odezwał się nieznajomy barytonowym głosem — że jest pan, jak zazwyczaj, bardzo punktualny.

— Nie mam zaszczytu znać pana — rzekł zmieszany Carb. — Niestety, nie przypominam sobie...

— Ma pan zaszczyt znać mnie co najmniej od sześciu lat — oschle odparł nieznajomy, ale już po chwili nie wytrzymał i twarz jego rozplynęła się w szerokim uśmiechu. Cała ta scena najwidoczniej go ubawiła.

— Doprawdy bardzo żałuję, ale nie mogę sobie przypomnieć abym pana znał — upierał się coraz bardziej zmieszany Ogastes. Zabawa, którą najwidoczniej jego kosztem urządził sobie nieznajomy, wprowadzała go w coraz większe zakłopotanie.

— Spotykaliśmy się w Melburn — odpowiedział mu nieznajomy spojrzawszy na swą damę, jak gdyby zapraszał ją do wzięcia udziału w tej zabawie. Na twarzy młodej kobiety ukazał się ledwo widoczny uśmiech.

— Ja doprawdy... proszę mi wybaczyć, ale...

— Spotykaliśmy się codziennie podczas naszego pobytu w Paryżu — przypominał mu w dalszym ciągu nieznajomy — w Genewie, w Wenecji, w Londynie, w Nowym Jorku, w Monte Carlo w Pradze Czeskiej i w Kalkucie...

— Niech się pan na mnie nie gniewa — ze skrucą mówił Ogastes Carb — ale doprawdy w żaden sposób nie mogę sobie przypomnieć, bym miał kiedykolwiek zaszczyt spotykać się z panem. Czy mogę panu zadać jedno pytanie?

— Proszę — zgodził się nieznajomy nieco urażony, że mu kto przerywa przyjemną zabawę.

— Chciałbym się dowiedzieć, czy mój szef wrócił już z podróży?

— A czy pan bardzo tęskni za nim? — ironicznie parsknął nieznajomy.

— Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego — odrzekł Ogastes głosem, w którym brzmiała nuta szlachetnego protestu. — Mam zaszczyt być jego osobistym sekretarzem od sześciu prawie lat.

Wtedy dopiero nieznajomy zawołał:

— Carb, nie poznaję pana! Gdzież pańska osławiona dokładność? Teraz jest wrzesień, zaczął pan pracować czwartego maja czyli razem jest sześć lat i cztery miesiące.

— Szef! Pan Aureliusz! — zawołał Ogastes Carb i na jego porcelanowej twarzyczce odbiło się tak bezgraniczne zdumienie, że Aureliusz Padrele roześmiał się z zadowoleniem.

Nawet na niezbyt wesołej twarzyczce jego damy również na chwilę zakwitł przyjemny uśmiech.

Podczas gdy Padrele młodszy napawał się efektami tej sceny, Storą niejednokrotnie usiłował sobie wyobrazić, Ogastes Carb przypominał sobie w końcu, kogo mu przypomina tak bardzo zmieniona twarz jego szefa: brakowało tylko niewielkich bokobrodów, a byłby zupełnie podobny do swego pradziada Uriasza, syna założyciela firmy, którego portret wisiał w gabinecie Primo Padrele.

Prócz tego Carb zdążył zrekonstruować w swojej pamięci wszystkie swe poprzednie odpowiedzi i z przyjemnością stwierdzał, że na ich podstawie Padrele młodszy mógł przekonać się zarówno o tym, jak bardzo jest mu oddany jego sekretarz, jak i o tym, że zmienił się ogromnie.

W ślad za tymi przyjemnymi rozważaniami Ogastesowi przyszło jednak na myśl, że poza gołosłownym oświadczeniem nieznanego (i być może jego przypadkowym podobieństwem z jednym ze zmarłych właścicieli firmy) nie posiada żadnego miarodajnego dowodu na to, iż ma przed sobą prawdziwego Padrele młodszeo, a nie jakiegoś mistyfikatora.

— Mój Boże! — zawołał wtedy Ogastes Carb z największą szczerością, na jaką mógł się zdobyć. — Mój Boże! Nigdy bym nie przypuszczał, że można się do tego stopnia zmienić w przeciągu sześciu tygodni, nie zdziwiłbym się, gdyby nawet znikła bez śladu blizna na pańskim palcu!

Chodziło o bliznę na dużym palcu lewej ręki, która pozostała po skaleczeniu się ośmioletniego Aureliusza, usiłującego zatemperować ołówek. Jego guwernantka przypłaciła to skaleczenie utratą posady i zwichnięciem całej swej kariery,

— Żąda pan zbyt wiele od nauki — nieoczekiwanie stanął w obronie wiedzy Aureliusz. — Blizna oczywiście pozostała. I pieprzyk za uchem też pozostał! Pamięta pan, jak pan wziął go za plamkę i chciał go zetrzeć?

Uśmiechnął się przy tym znacząco i zademonstrował swemu sekretarzowi półokrągłą bliznę na palcu i pieprzyk za prawym uchem.

— Wielki Boże! — znów zawołał z wyraźnym pochlebstwem oddany Ogastes.

Wyobrażam sobie, jak ucieszy się pański brat, pan Primo! Cóż to za niezwykła niespodzianka dla niego w dniu urodzin!

— Umyślnie tak wyliczyłem! — wtajemniczał go Padrele młodszy. — Primo dowie się o wszystkim dopiero pojutrze. Liczę na pańską dyskrecję.

Ogastes milcząco skłonił głowę dając do zrozumienia, że dyskrecja jest nie tylko rysem właściwym jego charakterowi, lecz również powinnością służbową.

Aureliusz Padrele szczegółowo wypytywał Ogastesa o stan zdrowia swego brata i z rozpromienionym obliczem dowiedział się, że jest ono kwitnące. Następnie przedstawił go swej narzeczonej i z dumą człowieka, który sam zabiera się do robienia wielkich interesów, zakomunikował swemu sekretarzowi, że ma na widoku pewną wyjątkowo korzystną transakcję, która w ciągu dwóch, trzech lat może dać olbrzymie zyski przy zainwestowaniu jakichś głupich

pięciu lub sześciu milionów. Najwyżej dziesięciu. Co prawda wynikły pewne trudności, ale, jego zdaniem, da się je usunąć.

Padrele młodszy był co prawda ogromnie upojony własną osobą i swymi finansowymi planami, nie mógł jednak nie zauważyć, że Ogastes Carb chce mu zadać jakieś pytanie, lecz nie może się zdecydować.

Kiedy indziej nie bardzo by się z tym liczył, ale obecnie czuł się tak szczęśliwy, że chciał okazać wiernemu sekretarzowi swą wyrozumiałość.

— Niech pan mówi...

— To zwykła ciekawość — usprawiedliwiał się Carb wiedząc, iż cudze zmieszanie sprawia jego szefowi największą przyjemność. — Zapewniam pana, że to tylko ciekawość. Chciałbym zapytać, jeżeli oczywiście nie jest to tajemnicą... czy drogo to pana kosztowało?

Pytanie Ogastesa Carba wywołało taką wesołość w panu Padrele i tak gwałtowny wybuch śmiechu, że zwrócono nawet na to uwagę przy innych stolikach. Padrele zrobił się purpurowy, krztusił się, wycierał łzy, które w tym ataku wesołości poczęły mu spływać po twarzy, wreszcie odsapnąwszy powiedział:

— Nigdy mi pan nie uwierzy! Niech mnie diabli porwą, jeżeli w ogóle ktokolwiek jest w stanie w to uwierzyć. Ale niech pan nie spadnie z krzesła! To wszystko nie kosztowało mnie ani grosza!

— Ani grosza? — wystękał Ogastes czując, że mu zabrakło oddechu. — Dlaczego pan sobie tak żartuje ze mnie?

Berenika spojrzała ze zdziwieniem na Padrele śmiejącego się bez przerwy i wzruszyła ramionami. Tego jeszcze brakowało! Ten człowiek kłamie nie licząc się z jej obecnością.

— Wcale nie żartuję! — zwycięskim tonem oznajmił Padrele. — Jeżeli nie liczyć kosztów podróży i utrzymania, wszystko to nic mnie nie kosztowało! Zero!

I różową dłonią narysował w powietrzu koło, jak gdyby chcąc w ten sposób mocniej podkreślić to, co powiedział.

— Więc rozumie pan — zaczął mówić już spokojniejszym głosem — to było tak: z początku wytargowaliśmy się z doktorem na sto tysięcy...

Gdyby Padrele nie był tak pochłonięty opowiadaniem, może zauważyłby, że Berenika skrzywiła się, gdy Padrele użył słowa „wytargowali”. Była przecież świadkiem sceny, która dziś wydawała się czymś niezmiernie dalekim.

— ...czterdzieści osiem tysięcy zobowiązałem się wpłacić gotówką, a resztę miałem wysłać z Miasta Wielkich Żab zaraz po powrocie. Życie płynęło cicho i spokojnie. Mieszkałem w jakiejś klitce, ale się nie skarżyłem. I oto ostatniego dnia pokłóciliśmy się z doktorem z powodu jakiegoś głupstwa. Doktor stanął w obronie swoich kolegów, o których miałem jakoby odezwać się bez należnego respektu. Ależ może pan sobie stawiać swoich bogów, na jakich się panu podoba piedestałach, ale wypraszam sobie, by miał pan zmuszać mnie, Aureliusza Padrele, do uznawania tych bożyszcz nauki, nie mających często pieniędzy nawet na kupienie doświadczalnego płynu.

Padrele spojrział na Berenikę. Nie uważał za potrzebne liczyć się ze słowami wyrażając swoją opinię o środowisku, które porzuciła na zawsze. Należy teraz do jego sfery, a przeszłość powinna w niej wywoływać uczucie pogardy lub litości. Spodziewał się, że Berenika całkowicie zaaprobuje jego słowa; Berenika jednak milczała, a na jej twarzy malowała się jakaś niezrozumiała obojętność.

— Oczywiście postanowiłem natychmiast wyjechać. Posyłam mu w kopercie czterdzieści osiem tysięcy i jeszcze raz na piśmie potwierdzam, że resztę przyślę z domu. I niech pan sobie wyobrazi, że ten prowincjonalny doktorzyna pozwala sobie na niesłychany gest! Człowiek, który nie ma grosza przy duszy, rzuca mi w twarz moje pieniądze. Przez służącą zwraca mi kopertę, gdyż nie ma zamiaru brać ode mnie jakichkolwiek pieniędzy! Ach, tak? Dobrze. Nie chce pan pieniędzy, nie trzeba! Aureliusz Padrele nikomu nie pozwoli na odgrywanie przed nim jakiejś pseudoklasycznej tragedii! Pieniądze zresztą mi się bardzo przydały, gdyż postanowiłem zachować incognito aż do pojutrze. Innych pieniędzy przy sobie nie miałem, a chcąc zachować incognito nie mogłem od nikogo pożyczyć.

Wygląd Ogastesa Carba mógł wzbudzić prawdziwą litość. Siedział jak ogłuszony pionem, nie mogąc wykrztusić z siebie ani słowa. Rozumiał, że Padrele może wytłumaczyć sobie jego milczenie negatywnym sądem o jego zachowaniu się, ale nic na to nie mógł poradzić.

Ogastesa Carba tak boleśnie dotknęło nie postępowanie Padrele, lecz to, co uczynił doktor Popff. Pogardzał nim, nienawidził „tego idioty”, który już od pierwszej chwili palnął kapitalne głupstwo (zgodził się na taką niską sumę), a później w ogóle nie przyjął pieniędzy za rzecz, która mogła w jego, Ogastesa Carba, doświadczonych rękach stać się podwaliną nowej finansowej dynastii. Tak zmarnować podobną okazję! Ogastes Carb odczuwał to niemal jako własną katastrofę.

Ale jeszcze bardziej przygnębiające wrażenie wywarło to chępliwe opowiadanie na Berenice. Zdążyła już nieco poznać charakter swego narzeczonego i rozumiała, że to, co mówi, jest w jego głębokim „przeświadczeniu najoczywistszą prawdą. Zabrakłoby mu po prostu fantazji, aby wymyślić podobną historię. Tego, że ukazywała jego osobę w najgorszym świetle — po prostu nie rozumiał. Popff zwrócił mu pieniądze, a on najspokojniej je przyjął. I nie tylko przyjął, ale nawet ukrył przed nią ten fakt.

Nie tylko nikczemność Aureliusza Padrele denerwowała teraz Berenikę — jedyna słaba pociecha, którą usiłowała uspokoić sumienie po opuszczeniu domu, a więc to, że mąż jej ma przynajmniej sporo pieniędzy i na dłuższy czas będzie miał spokój, okazała się złudzeniem. A więc Steph został w Bakbuku sam, bez pieniędzy, porzucony przez kobietę, którą kochał, okradziony i obrażony przez człowieka, którego wybawił z kalectwa.

Ludzie cieszący się dobrym zdrowiem zdolni są ocenić je dopiero wtedy, gdy im coś pocznie dolegać. Nikt przecież budząc się z rana nie woła z zachwytem: „Jak to dobrze, że mam obydwie nogi, ręce, oczy i uszy!”

Dopiero teraz, po trzech dniach pobytu w Mieście Wielkich Żab w towarzystwie Aureliusza Padrele, Berenika zrozumiała wielkość i bezinteresowność intencji swego męża, głębokie znaczenie jego odkrycia i wartość moralną tego ubogiego prowincjonalnego lekarza, Stephena Popffa. Dopiero teraz pokochała go „tak, jak na to zasługiwał. Jeżeli brakowało jeszcze czegoś, by dokładnie zrozumiała wartość męża, którego opuściła, to słowa które słyszała przed chwilą z ust Padrele, dopełniły reszty.

Berenika siedziała przy stole wyprostowana, nieco blada, lecz spokojna i patrzyła na Padrele z ciekawością, z jaką odwiedzający zoologiczne ogrody zwykli patrzeć na silnego, lecz niebezpiecznego i potwornego w swojej brzydocie goryla, przypominającego istotę ludzką.

Stan Bereniki nie mógł pozostać niepostrzeżony dla Aureliusza obdarzonego wycuciem, które często głupim, lecz, przebiegłym ludziom zastępuje rozum, i zdał sobie sprawę, iż nie wszystko układa się tak, jakby pragnął. Nie rozumiał i nie mógł zrozumieć tego, co się dzieje w duszy Bereniki, był na to za głupi i zbyt mało subtelny, wiedział tylko, że święci się coś niedobrego.

Padrele zmieszał się, wydostał z pugilaesu kartkę, którą mu doktor Popff przesłał w odpowiedzi na jego list, nie wiadomo dlaczego dał ją do czytania Carbowi, a później pokazał Berenice. Nie zdając sobie sprawy Berenika uważnie przeczytała kartkę i położyła na stole.

— To nie ma znaczenia! — odezwał się Padrele — gdy będzie potrzebował pieniędzy, spuści z tonu i sam napisze. Zna przecież adres. Co pan o tym sądzi?

Ogastes zdążył już ochłonąć i powiedział:

— Ależ tak, zgadzam się z panem najzupełniej.

Padrele spojrział na Berenikę. Wyglądała tak, jakby siedziała w teatrze na nudnym przedstawieniu.

— Chociaż zresztą — powiedział Padrele — po co ma się biedak męczyć. Niech mi pan przypomni, panie Ogastese, pojutrze, to mu wyślemy sto tysięcy, nie czekając na pismo od niego. Ostatecznie to nie jego wina, że jest dumny, choć go nie stać na to. Jak pan sądzi?

— Ależ tak, zgadzam się z panem najzupełniej.

Na tym zakończyła się pierwsza niespodzianka Padrele młodszego. Wraz ze swą damą wstał od stołu i skierował się do wyjścia. Nieco dalej za nimi szedł Ogastes Carb.

W kieszeni miał zapomnianą przez swego szefa kartkę doktora Popffa.

Rozdział dziewiętnasty

*w którym jest mowa o drugiej niespodziance Aureliusza Padrele
i o pierwszej niespodziance jego brata Primo*

Ogastesa Carba szukano po całym mieście. Wzywał go Primo Padrele. Trzeba trafić, że w przeciągu ostatnich sześciu tygodni Primo Padrele przypomniał sobie o istnieniu osobistego sekretarza swego brata właśnie w chwili, gdy ten był nieobecny.

— Jakże się pan miewa — z nieoczekiwaną serdecznością powitał Primo Padrele Ogastesę, który po zebraniu całej posiadanej odwagi wreszcie wszedł do jego gabinetu.

Zazwyczaj Primo bywał zimny i nieprzystępny. Owe uprzejme akcenty zjawiały się w jego głosie dopiero wtedy, gdy był rozdrażniony. Wszyscy, którzy mieli z nim do czynienia, wiedzieli o tym wiedział również i Ogastes Carb.

— Moje uszanowanie — niepewnie odpowiedział Ogastes. Bał się starszego Padrele tak samo, jak pogardzał młodszym.

— Czy otrzymał pan jakąś wiadomość od mego brata? O mnie widocznie zupełnie zapomniał.

— Nie otrzymałem — odpowiedział Ogastes. — Ale sądzę, że ma się doskonale.

— Bardzo mnie cieszy pański optymizm. W pańskim wieku jest on zupełnie zrozumiały. Mój brat wyjechał z górą miesiąc temu

— Wczoraj minął siódmy tydzień.

— Siódmy tydzień i ani jednej wiadomości! Cóż to za maniery! Wyjeżdża, nie mówiąc dokąd i na jak długo!

Padrele starszy gniewnie przemierzał gabinet. Był to dość korpulentny szatyn, nieco łysawy, w okularach w grubej oprawie, z krzaczastymi brwiami, podobny raczej do przeciętnego adwokata w małej miejscinie aniżeli do najbogatszego niemal człowieka w Argentynie, jednego z tych, co decydują o jej losach.

Z ram portretu wiszącego na ścianie z surowością patrzył na swojego prawnuka owiany sławą genialnego finansisty, kroczącego do bogactwa po trupach, i wielkiego filantropa — Uriasz Padrele, syn założyciela i patriarcha potężnego rodu Padrele.

Z niemiejszą służalczością patrzył na wzburzonego szefa firmy Ogastes Carb. Żał mu było Primo Padrele. Istnieje rodzaj ludzi, w których cierpienia ich bliźnich stojących na niższym

szczeblu drabiny społecznej nie budzą najmniejszego uczucia litości lub współczucia, lecz którzy gotowi się wzruszać, gdy spadnie na nich honor być świadkiem duchowej rozterki ludzi bogatszych i znakomitszych od nich.

Widok Padrele starszego, który teraz w podnieceniu chodził po gabinecie, do tego stopnia wzruszył Carba, a jednocześnie chęć okazania przysługi temu potentatowi była w nim tak wielka, że zrobił kilka kroków naprzód i rzekł:

— Jeżeli pan pozwoli, mam panu coś do zakomunikowania..

— Jeżeli to dotyczy mego brata — odezwał się Primo — to proszę. Jeżeli chodzi o inne sprawy — niestety nie mogę panu udzielić więcej czasu.

— To dotyczy pańskiego brata — odpowiedział Ogastes Carb.

— Słucham pana — odparł Primo Padrele i spojrzał z zainteresowaniem na Ogastesa, z którego policzków tak nagle znikły rumieńce, jak gdyby je kto starł watą.

— Jest mi bardzo przykro widzieć, że pan się denerwuje... — zaczął Ogastes Carb jękając się — i dlatego postanowiłem złamać obietnicę, którą dałem pańskiemu bratu. Bardzo pana proszę, niech mnie pan nie zdradzi. Oczywiście, postąpi pan, jak sam będzie uważał za właściwe.

Primo Padrele kiwnął głową na znak zgody. Ogastes Carb zrozumiał, że dzięki szczerości może się zasłużyć głównemu kierownikowi firmy, nie czyniąc żadnej krzywdy swemu bezpośredniemu szefowi, który się o niczym nie dowie.

Ogastes Carb poczuł się znacznie pewniejszy, humor poprawił mu się wyraźnie i w ciągu następnych piętnastu minut zakomunikował swemu naczelnemu zwierzchnikowi to wszystko, co go w tej sprawie mogło interesować.

Opowiedział mu więc o swoich rozmowach z Tomaso Magarafem, o celach podróży Padrele młodszego, o dzisiejszej telefonicznej rozmowie, o spotkaniu w restauracji i wreszcie o tym, jak obecnie wygląda Aureliusz Padrele. Nie omieszkął również wspomnieć, jak prezentuje się dama, którą zastał w jego towarzystwie, że jest to narzeczona Aureliusza Padrele, że nazywa się Berenika Michelly. Dodał też, że młoda dama najwidoczniej posiada wielki wpływ na swego narzeczonego — w każdym razie jest rzeczą widoczną, że Aureliusz Padrele liczy się z jej zdaniem.

Kończąc tę opowieść Ogastes Carb nadmienił, iż Padrele młodszy ma na widoku jakąś niezmiernie korzystną finansową transakcję, która będzie wymagała wkładu najwyżej dziesięciu milionów, i że w przeciągu paru lat kapitały firmy zostaną jakoby potrojone. Ogastes Carb

opowiedział również o tym, z jaką miłością i czułością rozpytywał go Aureliusz o zdrowie swego ukochanego brata i jak go ucieszyła wiadomość, że jest zdrow.

Jednym słowem Ogastes Carb nie ukrył najmniejszego szczegółu. Jediną rzeczą, o której nie wspomniał, był ów konflikt Aureliusza Padrele z nieznanym doktorem. Tym samym Ogastes w tajemnicy zachował sprawę owego listu, który w tej chwili znajdował się w bocznej kieszeni jego marynarki.

Z owym listem Ogastes Carb wiązał swoje własne, dalsze plany. Na razie uważał, że nie należy nikogo w nie wtajemniczać. Ten list — tak to sobie wy kalkulował — powinien mu przynieść co najmniej pięćdziesiąt tysięcy, czyli połowę tych pieniędzy, które pojutrze miały być przesłane owemu nieznanemu lekarzowi.

Primo Padrele wysłuchał opowiadania Carba z tak nieprzeniknionym wyrazem twarzy, że nie powstydziliby się go bożek buddyjski. Od czasu do czasu tylko bezwiednie postukiwał nogą o puszysty dywan, ale gdy sam się na tym łapał, niezwłocznie przerywał. Gdy Ogastes Carb skończył, Primo Padrele wstał. Również i Carb podniósł się ze swego krzesła.

— Bardzo panu dziękuję za szczerość. Oszczędził mi pan wielu godzin niepewności — mówił Padrele starszy. — Może pan być spokojny — treść tej rozmowy zostanie między nami.

Na zakończenie Padrele podał rękę Carbowi. Ten uściśnął ją z uczuciem bezgranicznej lojalności i niemal z nabożeństwem. Na twarzy Ogastesa znów zagościł rumieniec. Odszedł uspokojony i szczęśliwy, że udało mu się zaskarbić wdzięczność jednego z nie—koronowanych władców Argentei. Teraz jego kariera była zapewniona! Byle tylko nie przegapić!

Primo Padrele został sam w swoim gabinecie. Oświadczył, że nikogo nie przyjmuje i pogрузzył się w głębokich rozmyślaniach. Niekiedy wzrok jego padał na portret wiszący na ścianie i wtedy wydawało mu się, że pradziad patrzy na niego z szyderym uśmiechem.

Resztę dnia i cały następny dzień Padrele starszy spędził na zwykłych zajęciach. O godzinie piątej wieczorem czwartego września podano mu kopertę. W kopercie była kartka. Ktoś nie podpisany prosił o audiencję z polecenia Aureliusza Padrele. Pismo kartki było mu nieznanne. W każdym razie nie było to pismo jego brata. Primo wzruszył ramionami i kazał prosić petenta.

Po chwili do gabinetu wszedł Aureliusz. Nogi ugięły się pod nim ze wzruszenia. Twarz to bladła, to czerwieniała. Był szczęśliwy ponad miarę: oto bowiem nadeszła chwila, o której marzył od rozstania ze swym ukochanym bratem. Za chwilę Primo otrzyma najbardziej nieoczekiwany z prezentów, jakie kiedykolwiek otrzymał w dniu swoich imienin.

Aureliusz powoli zbliżał się do biurka i zatrzymał się w połowie drogi. Primo Padrele, chociaż również był ogromnie wzruszony, zachował całkowite panowanie nad sobą. Przybyły stanął tuż pod portretem pradziadka i Primo ze zdumieniem stwierdził, że istnieje pomiędzy nimi ogromne podobieństwo. Jak gdyby nic wierząc swoim oczom spojrzął przelotnie na portret i znów wydało mu się, że pradziad uśmiechnął się szyderczo.

Tymczasem Aureliusz opanował wzruszenie i nie czekając na zaproszenie rozsiadł się w fotelu. Zauważył na biurku swą kartkę i uśmiechnął się z zadowoleniem: to był doskonały pomysł, by kartkę napisała Berenika. Inaczej, cóż by to była za niespodzianka?

— Czym mogę panu służyć? — zapytał Primo Padrele po dość długim milczeniu.

Aureliusz Padrele nic nie odpowiedział. Rozparł się wygodnie w fotelu, założył nogę na nogę i nie spuszczać oczu patrzył na swego brata.

— Czym mogę panu służyć? — powtórzył swe pytanie Primo Padrele. — Zdaje się, że pan przyszedł z polecenia mego brata?

Aureliusz potakując kiwał głową. Bał się przemówić, by nie wybuchnąć śmiechem i dlatego siedział w dalszym ciągu z oczyma wlepionymi w swego brata.

— Gdzie znajduje się obecnie mój brat?

— W Argentei — mruknął przez zęby Aureliusz. Czuł, że lada chwila wybuchnie śmiechem.

— Czy nie zechciałby pan powiedzieć dokładniej, gdzie właściwie? Argentea jest dość dużym krajem.

— Jest obecnie w Mieście Wielkich Żab! — znacząco odrzekł Aureliusz.

— Dostanie ode mnie porządną burę! — zawołał Primo Padrele dając tym samym do zrozumienia, że ta ostatnia wiadomość ogromnie go ucieszyła. — Więc gdzie jest teraz mój brat marnotrawny?

„Jak on mnie kocha — myślał z rozczuleniem Aureliusz. — Jakie to szczęście być kochanym przez tak mądrego człowieka, jakim jest mój brat Primo!”

— Jest tutaj, w tym domu — odpowiedział Aureliusz bej przerwy patrząc w oczy swemu bratu i licząc na to, że wreszcie zostanie bez cudzej pomocy poznany przez niego.

— W tym domu? — zdziwił się Primo. — Dlaczego mi od razy nie powiedziano o tym?

Sięgnął ręką po słuchawkę telefoniczną, lecz Aureliusz zatrzymał go.

— Czy ma pan zamiar telefonować do jego apartamentów? Nie ma go teraz.

— Czy jest pan tego pewny?

— Najzupełniej.

— Więc gdzie jest? — zapytał Primo wyraźnie rozdrażniony.

— Niech pan zgadnie! — zawołał Aureliusz Padrele zrywając się z miejsca i chwytając Primo w swe objęcia. — Właśnie ściska cię i całuje, kochany braciszku! — wołał płacząc i śmiejąc się na przemian ze szczęścia. — To właśnie on stoi teraz przed tobą, twój marnotrawny brat, ten karzełek nieszczęsny! Ale na szczęście w ostatnich czasach udało mu się nieco urosnąć!

Aureliusz gorąco obejmował ramionami swego brata, który pomimo wszystko zachował lodowaty spokój. Całował go, walił po plecach, obracał na wszystkie strony, gładził jego łysinę i pulchne dłonie z krótkimi palcami.

— Oto, mój braciszku kochany, moja niespodzianka w dniu twoich urodzin! Dlaczego milczysz? Powiedz coś swemu Aureliuszowi.

Szef firmy „Bracia Padrele” uwolnił się wreszcie z objęć, przyglądził rozwichrzone resztki włosów i rzekł:

— Najwidoczniej zachodzi tu jakieś nieporozumienie. Nie znam pana!

— On mnie nie zna! — pisał z zachwytu Aureliusz, pokładając się ze śmiechu. — On nie zna swojego jedyne go brata! Jak można być tak mało domyślnym! Będzie pan musiał poznać mnie na nowo! Pan pozwoli, że się przedstawię: pański brat i sługa uniżony — Aureliusz Padrele!

— Drogi panie! — pohamował ten wybuch radości Primo Padrele. — Pan mówi zbyt szybko i ma tak porywcze ruchy, że z trudem pana rozumiem. Zdawało mi się, że pan nazwał siebie moim bratem.

Aureliusz Padrele spojrział na niezmaconą twarz swego brata i sytuacja wydała mu się tak bezgranicznie komiczna, że znów zaczął pokładać się ze śmiechu. Primo cierpliwie wyczekał, aż Aureliusz przestanie się śmiać, i rzekł:

— Nabieram coraz większego przekonania, że zarówno pan jak i ja padliśmy ofiarami pewnego dość niemądrego nieporozumienia. Przeżyłem z bratem około trzydziestu lat i byłoby rzeczą nieprawdopodobną, gdybym miał go nie poznać po sześciotygodniowej rozłące. A poza tym, gdyby każdy przychodzący do mnie z polecenia mojego brata Aureliusza zechciał wmawiać we mnie, że jest moim bratem, miałbym dość liczną rodzinę.

— Primo! — przerwał mu Aureliusz — doskonale ciebie rozumiem! Będąc na twoim miejscu również bym nie uwierzył. Ale to jest fakt! Jestem Aureliusz, tylko że urosłem! Urosłem tak samo, jak tamten Tomaso Magaraf. Zaraz ci to wszystko opowiem.

— Bardzo chętnie wysłucham pana — odpowiedział Primo z uprzejmością cechującą rozmowy szefów wielkich banków z klientami, których pragnęłoby się pozbyć jak najszybciej.— Mam nadzieję, że to nie zajmie zbyt wiele czasu.

— Proszę!—zawołał zdumiony Aureliusz — nigdy jeszcze nie widziałem człowieka tak opanowanego. Tym razem będziesz musiał zdobyć się na cierpliwość, ale za to usłyszysz najbardziej nieprawdopodobną historię przypominającą jakąś fantastyczną powieść!

Przeładowując swe opowiadanie niepotrzebnymi szczegółami i licznymi wspomnieniami o niedoli lilipuciego żywota, Aureliusz opowiedział Primo nadzwyczajną historię znaną już naszym czytelnikom. Nie zapomniał wspomnieć o spotkaniu z Ogastesem Carbem, którego pochwalił mimochodem za jego dyskrecję, wspomniał o bliźnie na palcu i o plamce za uchem i o Berenice, z którą ma zamiar się ożenić, gdy tylko zostanie formalnie przeprowadzony jej rozwód z doktorem Popffem — i o tym, że ma na widoku pewną bardzo korzystną transakcję, która z pewnością podwoi, a może potroi bogactwa ich firmy. Aureliusz opowiadał, spodziewając się, że za chwilę zniknie niedowierzanie, które wyczuwał w uważnych, lecz spokojnych oczach swego brata.

Ale Primo Padrele słuchał jak przedtem, niewzruszony i niezmacony, jak gdyby oczekując, kiedy wreszcie skończy się ta zabawna a jednocześnie niedorzeczna, a nawet trochę męcząca wizyta.

— Czego więc pan sobie życzy, drogi panie? — zapytał Primo gdy Aureliusz zamilkł.

— Niczego sobie nie życzę — odpowiedział mu Aureliusz, rozpromieniony i szczęśliwy. — Teraz chciałbym jedynie, abyś poznał moją Berenikę, a ja pojedę się przebrać na dzisiejszy bankiet. Mam nadzieję, że osobiście ją zaprosisz.

Primo Padrele milczał.

— Więc doprawdy nie masz mi nic do powiedzenia? — zapytał wreszcie Aureliusz po dłuższej chwili milczenia.

— Owszem, chcę panu zadać jedno pytanie — z naciskiem odrzekł Primo.

— No, chwalić Pana Boga! Nareszcie zaczynasz się nieco interesować moją osobą! — zawołał z ulgą Aureliusz. — Proszę, pytaj!

Primo Padrele wstał, oparł się o biurko, pochylił nieco swe ciało ku przodowi i wlepiwszy spokojny i przenikliwy wzrok w uśmiechającego się wciąż Aureliusza, mówił cedząc słowa:

— Zechce mi pan, drogi panie, powiedzieć, co pan zrobił z moim nieszczęśliwym bratem Aureliuszem?

Rozdział dwudziesty

który wyjaśnia całkowicie, iż Primo Padrele jest prawdziwym „człowiekiem interesu”

Dwadzieścia dwa lata dzieliły datę urodzin Primo Padrele od owego dnia, kiedy na świat przyszedł jego młodszy brat Aureliusz. W tym czasie matka Primo Padrele urodziła jeszcze dwóch braciszków i siostrzyczkę, którzy wszakże nie zabawili długo na tym padole i zmarli w wieku niemowlęcym. Po śmierci ostatniego braciszka Primo w ciągu sześciu lat był jedynym synem i spadkobiercą olbrzymiego majątku rodu Padrele. Matka, która była kobietą chorą i sentymentalną, ubóstwiała go. Babki i dziadek w ciągu tych sześciu lat wpajali w niego, iż oczekuje go wspaniała przyszłość i że niewątpliwie zasługuje na nią, gdyż jest niezwykłym młodzieńcem.

Gdy Primo miał dwadzieścia trzy lata, nieoczekiwanie na świat przyszedł nowy braciszek, co miało napełnić go radością, stało się dla niego niemal osobistą katastrofą. Pojawienie się nowego spadkobiercy i perspektywa podziału wielkich majątków po śmierci ojca, które przywykł już być uważać za swą wyłączną własność, przeraziła go. Pozostawała jedynie nadzieja, iż noworodek wkrótce podąży w ślad za swymi braciszkami i siostrzyczką w zaświaty, gdzie sprawy spadku nikogo nie interesują. Lecz wbrew oczekiwaniu dziecko, aczkolwiek chorowało bez przerwy i dwukrotnie niemal cudem zostało przywrócone życiu, rozwijało się mniej więcej normalnie, budząc coraz większą radość swych nianiek i coraz głębszą gorycz swego brata.

Minęło jeszcze parę lat i stało się rzeczą oczywistą, że maleńki Aureliusz nigdy nie urośnie. Nowy członek rodu Padrele stał się jego hańbą.

Trudno wyliczyć wszystkie plotki, które w najbardziej arystokratycznych salonach Argentei kursowały na temat przyjścia na świat potworka w jednej z najbogatszych rodzin kraju.

W plotkach tych nie było ziarenka prawdy, gdyż nikt nie zbadał przyczyn, które sprawiają, iż najnormalniejsi rodzice mający normalne potomstwo naraz wydają na świat karzełka. Ale nic nie zdołało powstrzymać lawiny plotek i wzbudzać sympatię rodziny do nowoprzybyłego członka.

Minęło parę lat, po kolei zeszli do grobu przedstawiciele starszego pokolenia Padrele i bracia Primo i Aureliusz zostali jedynymi właścicielami potężnej firmy.

Z biegiem czasu Primo wyrobił w sobie pogląd, który nieco pogodził go z istnieniem lilipuciego braciszka. Kalectwo Aureliusza stało się do pewnego stopnia okolicznością łagodzącą. Trudno było mówić o współczuciu, jakie los Aureliusza mógł wzbudzić w Primo — starszy brat w zbyt

dużym stopniu był „człowiekiem interesu”, by to uczucie mogło się w nim zrodzić. Chodziło o to, że Aureliusz nie mógł założyć własnej rodziny i zostawić po sobie potomków, którzy rościliby sobie prawo do udziałów w firmie. Czyli to, co posiadał obecnie Aureliusz, w przyszłości stałoby się własnością Primo lub jego dzieci na wypadek, gdyby Aureliusz przeżył swego brata.

Osobiste wydatki Aureliusza w niczym nie mogły zaważyć na finansowej potędze firmy. Natomiast niechęć, jaką Padrele młodszy żywił na skutek swojego kalectwa do obcowania z ludźmi, doprowadziła w końcu do tego, że Aureliusz stał się zupełnym odludkiem i zrzekł się swego udziału w kierownictwie firmy na rzecz swego brata Primo.

Primo ze swej strony był dostatecznie mądry i ostrożny i wszędzie, ilekroć nadarzyła się ku temu okazja, podkreślał swą miłość i tklive uczucia dla swego nieszczęśliwego brata. Znajdował zawsze czas, by bawić się z Aureliuszem, gdy ten był jeszcze dzieckiem, i przyjacielsko pogwarzyć z nim, gdy był już młodzieńcem.

Nic przeto dziwnego, iż żyjący w ciągłym osamotnieniu i niewątpliwie bardzo nieszczęśliwy karzelek, przeżywający boleśnie swą ułomność, odczuwał głęboką miłość do jedynej osoby, który okazywał mu troskliwość i przyjaźń.

Niekiedy nocą starszy Padrele budził się cały zlany zimnym potem. Śniło mu się, że Aureliusz postanowił brać czynny udział w sprawach firmy, co gorsze, że kategorycznie zażądał podziału spadku.

Następnego dnia Primo bywał szczególnie troskliwy i uważny. Zazwyczaj nie odmawiał mu niczego rozumiejąc, że nawet największe wydatki na zaspokojenie jego kaprysów nie dadzą się porównać z marnotrawstwem, jakie cechowało życie jego rówieśników z tej sfery. Aureliusz ze swej strony widząc, że wszystkie jego kaprysy są zaspokajane, nie myślał o interesach i coraz bardziej kochał swego brata.

Trzydzieści lat, które Primo Padrele spędził pod jednym dachem z Aureliuszem, nie pozostały bez śladu. Odkąd przekonał się, że Aureliusz niczego od niego nie żąda prócz braterskiej miłości i pokrywania niewielkich stosunkowo wydatków, Primo niejednokrotnie dziwiąc się sobie samemu stwierdzał, iż mimo wszystko lubi swego brata. Uczucie to, oczywiście, nie było tym, cośmy zwykli nazywać miłością, było w nim jednak więcej serdeczności, aniżeli się można było po Primo spodziewać.

Gdy Primo Padrele wezwał do siebie Ogasteses Carba dla przeprowadzenia znanej już nam rozmowy, szef firmy „Bracia Padrele” istotnie odczuwał pewien niepokój o los swego

niedorozwiniętego brata. Ten niepokój pogłębił się, zwłaszcza iż nieobecność Aureliusza na urodzinowym bankiecie, który miał zgromadzić liczne towarzystwo, mogła wywołać niepożądane komentarze. Tym bardziej iż był to zazwyczaj jedyny dzień w roku, kiedy obydwaj bracia ukazywali się razem przed światem i kiedy starszy brat mógł zademonstrować całkowitą harmonię, miłość i zgodę panującą pomiędzy obydwojma właścicielami firmy.

Łatwo więc sobie wyobrazić, jakie wrażenie wywarła na Primo ta niesłychana wiadomość zakomunikowana mu przez sekretarza Aureliusza.

W pierwszej chwili Primo nie wierzył ani jednemu słowu tej fantastycznej opowieści, jednak historia Tomaso Magarafa, o której wspomniał Carb, podsunęła Primo przypuszczenie, iż niezwykle przeobrażenie jego brata jest bezpośrednio związane z tym samym doktorem Popffem z Bakbuku, o którym w tych dniach złożył mu obszerną relację jeden z dyrektorów Akcyjnego Towarzystwa „Hamulec” (o czym będzie jeszcze mowa).

Gdy Primo Padrele doszedł do tego wniosku, nie było już potrzeby potwierdzania wiarygodności opowiadania Ogastesa Carba. Stała się rzecz okropna. Najgorsza ze wszystkich, jakie mogły spaść na jego głowę: Aureliusz przestał być karłem, stał się prawdziwym mężczyzną i już zamierzał przeprowadzać jakoweś transakcje, a na dodatek miał narzeczoną.

Skończyły się więc dni, kiedy bez niczyjej kontroli mógł kierować interesami firmy. Oto na scenę wkracza człowiek mający prawo do połowy majątku, który starszy Padrele przy wykł uvažać za swą wyłączną własność.

Wszystko to było podobne do jakiegoś koszmarne go snu, a nazwa firmy: „Bracia Padrele” po raz pierwszy nabierała realnego znaczenia.

Słuchając uważnie szczegółowej relacji Ogastesa Carba, Primo Padrele gorączkowo zastanawiał się nad nowowytworzoną sytuacją. Gdzieś, w jakimś najdalszym zakątku jego świadomości, na krótką chwilę rozbiły się uczucie radości z powodu szczęśliwej przemiany, jaka dokonała się w życiu jego brata, lecz był to moment przelotny i nigdy już nie powrócił. Natomiast w duszy zrodziło się uczucie żalu. Wkrótce po nim przyszło ubolewanie z powodu tego, że Aureliusz przetrzymał ostatnią ciężką chorobę, jaka go nawiedziła. Było to skomplikowane zapalenie płuc, które by mogło wpędzić do grobu niejednego najzdrowszego człowieka.

Primo Padrele przypomniał sobie, jak w pewnej chwili chciał skrócić cierpienia chorego mikroskopijną dawką trucizny. Nikt by nie podejrzewał, że Aureliusz został otruty. A gdyby nawet ta myśl zrodziła się w kimkolwiek, któż śmiałyby ją wyrazić? Aż do ostatniej chwili, do momentu

kryzysu chorego Primo liczył na to, że brat nie zdoła jej przemóc. Tylko dlatego nie zdecydował się na użycie trucizny.

W ciągu dwudziestu z górą lat kierowania interesami firmy uczynił nędzarami parę tysięcy ludzi, wielu doprowadził do samobójstwa i wielu pchnął na drogę przestępstwa, ale sumienie miał dotychczas spokojne: to trudno — interes przede wszystkim. Ludzie grający na giełdzie powinni być przygotowani na najgorsze. Wyrzucając na bruk podczas lokautów dziesiątki tysięcy robotników, skazując na głód i nędzę ich rodziny Primo Padrele tłumaczył sobie, że takie są już surowe prawa życia, że tak było i tak będzie. Że może być zabójcą — tego sobie nie wyobrażał.

Gdy Primo pożegnał się z Carbem, był daleki jeszcze od powzięcia jakiegokolwiek postanowienia. Co najmniej pół godziny chodził po swoim gabinecie, ale do żadnej konkluzji nie doszedł. Zupełnie wyczerpany położył się na kanapce i uświadomił sobie, że przede wszystkim musi opanować swe nerwy i odpocząć. I oto wtedy właśnie w jego umyśle zrodziła się prosta, lecz jakże olśniewająca myśl: Aureliusz zmienił się nie do poznania. Tym gorzej dla Aureliusza. Primo Padrele postanowił nie poznawać swego brata.

Zadzwoił do Towarzystwa Akcyjnego „Hamulec”, dowiedział się, jaki przebieg ma „sprawa Bakbuku”, i utwierdziwszy się w powziętym zamiarze, zajął się swymi bieżącymi sprawami.

A jednak mimo wszystko myśli jego wciąż biegły do chwili, kiedy znów spotka się ze swym bratem. Przygotowywał się do tej rozmowy z uczuciem człowieka, któremu za chwilę mają wyrwać ząb.

W ciągu czterdziestu ośmiu godzin, które minęły od chwili rozmowy z Ogastesem Carbem aż do spotkania ze swym bratem, Primo Padrele zdążył przyzwyczaić się już do powziętego postanowienia. Gdyby kontynuować powyższe porównanie, można by powiedzieć, że z początku denerwowała go perspektywa bólu, wszakże później, gdy Aureliusz wchodził do gabinetu swego brata, Primo już przeżywał ów błogi stan, który następuje bezpośrednio po usunięciu chorego zęba.

Nawet gdyby w swej zmienionej postaci jego brat Aureliusz nie był tak uderzająco podobny do pradziadka Uriasza Padrele, Primo musiałby na dźwięk pierwszych słów wypowiedzianych przez nieznanego uznać, iż jest to istotnie jego rodzony brat. W każdym geście, w intonacji głosu, nie mówiąc już o charakterystycznych okrzykach — dawał się poznać dawny Aureliusz.

W pewnej chwili Primo poczuł nawet litość dla biednego Aureliusza. Tak by się żyło przyjemnie... gdyby nie to, że urósł!

Ale tego co się stało nie podobna było zmienić, i Primo zaczął wprowadzać w czyn te postanowienia, które zapewniały mu utrzymanie w swoich rękach wszystkich bogactw.

I właśnie dlatego, jak już wiemy o tym z poprzedniego rozdziału, Primo Padrele wstał ze swojego krzesła, oparł się o biurko, pochylił się nieco naprzód i wlepiwszy spokojny i przenikliwy wzrok w uśmiechającego się Aureliusza Padrele zapytał:

— Zechce mi pan, drogi panie, powiedzieć, co pan zrobił z moim nieszczęśliwym bratem, Aureliuszem?

Rozdział dwudziesty pierwszy

zawierający niezbite dowody dobroci serca Primo Padrele i łatwości Ogastesa Carba

Aureliusz nie od razu zrozumiał sens pytania skierowanego do niego przez brata. Zmrużył oko, uśmiechnął się i szukał na kamiennym obliczu Primo cienia przyjaznej odpowiedzi. Ale tej odpowiedzi nie było. Szef firmy „Bracia Padrele” patrzył na niego jak sędzia śledczy patrzy na przestępcę, którego potrafił zaskoczyć swym pytaniem.

— Ależ przepraszam — zawołał Aureliusz. — Pytasz, co zrobiłem ze sobą samym?

— Pytam, co pan zrobił z moim bratem, Aureliuszem — prostował Primo.

— Ależ to ja jestem twoim bratem Aureliuszem! — odparł Padrele. — Przecież od godziny ci to tłumaczę!

— Tłumaczyć można co się komu podoba — odpowiedział spokojnie Primo. — Ja na przykład mogę twierdzić, że jestem Franciszkiem z Assyżu. Najbardziej łatwowierny człowiek zażądałby ode mnie dowodów.

— A blizna na palcu? A plamka za uchem?

— Medycyna robi teraz większe cuda. — Zwłaszcza jeżeli nagrodą jest połowa majątku banku „Bracia Padrele”.

— Nigdy nie przypuszczałem, że jesteś taki naiwny! — zawołał Aureliusz. — Siadaj więc i zadawaj mi pytania. Odpowiem ci na każde pytanie dotyczące twojego życia lub mojego. Jeżeli chcesz, możemy obejść cały dom i opowiem ci o każdym pokoju, o każdym naszym służącym takie szczegóły, które mogą być znane jedynie człowiekowi blisko związanemu z naszą rodziną.

— Każdy z naszych służących... — przerwał mu Primo — mógłby również opowiedzieć wiele nieznanych szczegółów z życia naszej rodziny. Mógłby je opowiedzieć ludziom, którzy chcieliby te wiadomości wykorzystać. Rzecz prosta, nie opowiedzieliby tego za darmo.

Aureliuszowi pociemniało w oczach. Dopiero teraz zrozumiał całą grozę sytuacji, w której się znalazł. To, co mówił Primo, było logiczne, uzasadnione i okrutne jak wyrok śmierci.

Primo Padrele w zamyśleniu mówił dalej:

— Przyznam się, że nie rozumiem, dlaczego nie zawezwałem natychmiast komisarza policji i nie kazałem pana aresztować.

— Tego jeszcze brakowało — krzyknął Aureliusz cały czerwony z gniewu. — Dobrze, niech mnie aresztują jako oszusta!

— Kto wie — mówił Primo, jak gdyby głośno wypowiadając swe myśli — kto wie, może pan jest rzeczywiście mym bratem? I ja miałbym pana wsadzić do więzienia! Wielki Boże! Szef Firmy „Bracia Padrele” wpakował do więzienia swego własnego brata i prawego współwłaściciela firmy! I dlaczego to zrobił? Podejrzewał go o oszustwo? Ależ byłby to skandal na cały świat! Nie, muszę tysiąc razy przekonać sam siebie, że to, co zamierzam uczynić, jest słuszne. Nie mogę przecież pozwolić pismakom, by szargali imię mojego ukochanego i nieszczęśliwego brata po gazetach.

— Wiem już co należy zrobić! — zawołał Aureliusz i zerwał się w radosnym podnieceniu. — Zawołaj tutaj Ogastesa! Jeździliśmy razem po całym świecie. Tu nie może być mowy o jakimś przekupionym lokaju... Opowiem takie szczegóły, jakie mogły być wiadome tylko jemu i mnie.

— Czy pan ma na myśli Ogastesa Carba, osobistego sekretarza mojego brata? — zapytał Primo Padrele.

— Tak, mówię o moim sekretarzu — wybuchnął Aureliusz — o którym niejednokrotnie mówiłeś mi, że jest wcieleniem wszystkich ludzkich cnót.

— Mój Boże, jakim gadułą był jednak mój brat! — powiedział Primo podnosząc oczy do góry. — To, co mu kiedyś powiedziałem na osobności, jest znane zupełnie obcym ludziom... Dobrze, zawołamy Ogastesa Carba.

Ogastes Carb od dawna kręcił się w poczekalni. Wszedł do gabinetu rozradowany, pełen gotowości służenia swemu panu, co stanowi tak charakterystyczną cechę wszystkich osobistych sekretarzy, usiłujących zaskarbić sobie względy swych szefów. Obiecywał sobie bardzo wiele po tej rozmowie braci Padrele. Ponadto w kieszeni miał ów list doktora Popffa. Gdy wreszcie jutro zostaną przekazane telegraficznie pieniądze — sto tysięcy centaurów! — temu lekarzowi, dowie się kim jest i gdzie mieszka. Wtedy można będzie, zwolniwszy się na dzień lub dwa, pojechać do niego i pokazać mu list własnoręcznie pisany.

Kartka zawierała bowiem potwierdzenie tego, że doktor dokonywał doświadczeń na ludziach, i doktor Popff byłby głupcem, gdyby nie zgodził się oddać połowy swego honorarium za otrzymanie z powrotem tak kompromitującego dokumentu.

Wechodząc więc do gabinetu szefa firmy Ogastes Carb był ożywiony najbardziej promiennymi nadziejami — jednak zimny i oficjalny wyraz twarzy Primo, a także wzburzone oblicze Aureliusza zaprzeczało temu, na co liczył. W duszy nakazywał sobie: „Trzymaj się, Ogastesie, abyś nie palnął

jakiegoś głupstwa, które mogłoby na zawsze przeszkodzić twej dalszej karierze! Tu coś jest nie w porządku!”

Aureliusz rzucił się na spotkanie swego sekretarza, lecz Primo powstrzymał go.

— Zechce pan na razie zaniechać rozmowy z sekretarzem mojego brata!

Aureliusz opadł na krzesło.

„Zechce pan... z sekretarzem mojego brata...” — zawirowało w umyśle Ogastesa Carba. — To coś niezwykłego! Czyżby w przeciągu pół godziny Primo nie poznał swego brata? Co to ma znaczyć...”

Na twarzy Ogastesa Carba malował się bezgranicznie naiwny, a nawet głupawy uśmiech, co zdarzało się zawsze ilekroć jego mózg pracował z dużym wysiłkiem. .

— Wezwałem pana, drogi panie Ogastesie — mówił Primo — by zechciał pan przyjrzeć się temu panu. Niech mu się pan dobrze przypatrzy i powie, czy go pan zna.

Gdyby na miejscu Primo był kto inny, Carb mógłby pomyśleć, że są to żarty, lub że Primo chce przedłużyć swemu bratu męczące chwile oczekiwania po to jedynie, by po chwili wybuchnąć śmiechem i przycisnąć go do swojej piersi. Ale Primo Padrele nie należał do ludzi, których trzymały się żarty.

Nie przestając na jedną chwilę gorączkowo zastanawiać się nad tym, jaką drogę postępowania należy obrać w tym wypadku, Ogastes Carb udał, że przygląda się twarzy Aureliusza, po czym rozłożył ręce i rzekł:

— Niestety, nie mam przyjemności znać tego pana.

Na razie Aureliusz Padrele nie miał mu tego za złe. Ogastes obiecał mu przecież, że nic nie opowie o ich spotkaniu i o tym, że już wie o cudownej przemianie, jakiej uległ jego szef. Z roli, jaką wziął na siebie, wypadło nawet, by nie od razu go poznał.

— Zechce pan przyjrzeć się lepiej temu panu — z naciskiem mówił do niego Primo. — Otóż ten pan twierdzi, że jest pańskim dawnym szefem.

Zazwyczaj zwykło się twierdzić, że prawdziwą karierę w tak zwanym świecie interesów można zrobić jedynie wtedy, gdy prócz szczęścia i elastycznego sumienia posiada się również zawczasu opracowany plan działania. Okazuje się, że jest inaczej: w karierze Ogastesa Carba decydującą rolę odegrała intuicja!

Jak nagle olśnienie w umyśle Ogastesa zrodziło się przypuszczenie: „Czyżby starszy Padrele nie chciał poznać swego brata?” Jego były szef, Aureliusz, znalazł się w całkowitej zależności od

tego, co zechce uznać jego brat Primo. Jeżeli zechce — uzna w nim brata, jeżeli nie zechce — Aureliusz Padrele nie jest w stanie udowodnić, iż jest istotnie jego bratem, a nie jakimś aferzystą! W braterską miłość Primo do Aureliusza Carb, podobnie jak wszyscy, którzy znali bliżej stosunki rodzinne rodu Padrele, nie wierzył zbyt. Korzyści płynące z nieuznania Aureliusza były oczywiste i mogły popchnąć do podobnego kroku ludzi w rodzaju szefa firmy „Bracia Padrele”.

Ton, jakim przemówił do niego Primo, dał Ogastesowi wiele do myślenia. W jednej chwili powziął postanowienie, które decydowało o przyszłej świetnej karierze: postanowił zdradzić swojego dawnego szefa Aureliusza, nie poznać go, a o dalszych konsekwencjach tak nagle obranej drogi postępowania na razie nie myślał.

Co prawda ryzyko było dość duże. Aureliusz mógł przecież dogadać się z Primo, a Primo mógł w końcu poznać Aureliusza — w jednym i drugim wypadku Ogastesowi Carbowi groziła utrata posady. Natomiast jeżeli istotnie odgadł utajoną myśl Primo Padrele — oczekiwała go wspianiała przyszłość!

— Niestety — odpowiedział zwracając się do Primo z wyrazem niekłamanego zdumienia na twarzy — Niestety, nie mogę w tym panu poznać mojego byłego szefa. Chociażby dlatego, że mój były szef, Aureliusz Padrele był znacznie mniejszy... jeśli wolno mi tak się wyrazić, nawet był miniaturowy...

— Możesz się już przyznać, Ogastesie! Pozwalam ci — przerwał mu Aureliusz przechodząc na bardziej familiarny ton. — Mój brat już wie o naszym spotkaniu, opowiedziałem mu!

Ogastes Carb pobladł i patrząc w oczy Primo Padrele, powoli, cedząc słówko po słówku, gotowy do niezwłocznego wycofania się powiedział:

— Wybacz pan, ale nie wiem, o jakim spotkaniu pan mówi. Widzę pana po raz pierwszy w życiu.

Wbił wzrok w nieruchomą twarz Primo, lecz nie mógł wyczytać w niej nic takiego, co mogłoby mu podpowiedzieć dalsze postępowanie. Natomiast Aureliusz pobladł jak płótno.

— Do licha! — zawołał nieoczekiwanie piskliwym głosem. — Przecież spotkaliśmy się w sobotę w restauracji hotelu „Cortez”!

Ogastes Carb uniósł do góry swe wypłowiałe brwi.

— Niestety, szanowny panie, moje zasoby pieniężne nie pozwalają mi na odwiedzanie podobnie luksusowych restauracji. Byłem tam jedynie raz, ubiegłej zimy towarzysząc mojemu

szeffowi. Trudno mi mówić o sobie, lecz przywiązanie i uczucie lojalności, jakie mnie łączą z firmą...

Czyżby Carb istotnie zapomniał o tym spotkaniu? Aureliusz Padrele usiłował odgadnąć powody, jakimi kierował się jego były sekretarz, i nie mógł ich zrozumieć.

— Ogastessie! Nie udawaj! — karcącym tonem przerwał mu Aureliusz. — Dlaczego zaprzeczasz, że spotkaliśmy się? Znudziło ci się pracować u mnie, głupcze?

— Może zechce mnie pan obronić — zawołał Ogastes, zwracając się do Primo niemal płaczącym głosem — przed napaściami tego zupełnie nie znanego mi człowieka.

— Ma pan słuszość — odpowiedział Primo. — Proszę się liczyć ze słowami! — rzekł patrząc surowo na Aureliusza.

— Jest mi niewymownie przykro — tłumaczył się Ogastes. — Czy mógłbym odejść?

— Chodzi o to, drogi panie — odezwał się do niego Primo głosem pełnym słodyczy — że ten pan na potwierdzenie swych dziwacznych uroszczeń...

„«Dziwacznych uroszczeń... Ten pan...» — radował się w duszy Ogastes Carb. — Więc zgadłem!»

— Nie mamy o czym mówić — rzekł wreszcie zmęczonym głosem Aureliusz. — Niech sobie stąd idzie czym prędzej...

— Będzie mi pan jeszcze potrzebny — powiedział Primo do Ogastesa, który zmierzał ku drzwiom. — Niech pan do mnie wpadnie za dwadzieścia minut. A teraz — zwrócił się do Aureliusza — chciałbym panu powiedzieć parę słów, zanim się rozstaniemy. Szczerze mówiąc, gdyby się pan u mnie zjawił przed trzema miesiącami, bez wahania kazałbym zamknąć pana w więzieniu. Po tej wszakże fantastycznej historii, która przytrafiła się z Tomaso Magarafem, nie mogę się zdobyć na odwołanie się do policji. Dziewięćdziesiąt dziewięć dowodów na sto świadczy o tym, że jest pan jeszcze nie dość wprawnym aferzystą, aczkolwiek muszę przyznać, że nie jest pan pozbawiony aktorskich zdolności. Ale pozostaje panu jedna jeszcze szansa, jeden dowód na sto. Niech pan mnie zrozumie i wejdzie w moje położenie. Zjawia się u pana jakiś nieznamy młody człowiek, który ani wzrostem, ani głosem, ani twarzą nie przypomina pańskiego brata. Człowiek ten oświadcza, że jest pańskim bratem. Czym popiera swoje twierdzenie? Wątpliwego pochodzenia znakami szczególnymi i jakimiś szczegółami, które bez trudu mógł zdobyć albo u któregoś z naszych służących, albo nawet u tego Carba, z którym obszedł się pan tak niegrzecznie. Niech pan przyzna, że gdyby Carb nawet potwierdził wszystkie pańskie uroszczenia, ja osobiście

nie miałbym powodów uwierzenia panu. Nie jestem już młody, mój panie, zdaję sobie sprawę, jak potężny jest wpływ pieniądza na sumienie ludzi ubogich, zwłaszcza jeżeli są to ludzie ambitni. Wbrew oczekiwaniom Ogastes Carb okazał się jednak człowiekiem uczciwym, szczerym i lojalnym.

— Ależ to łajdak! — zawołał Aureliusz drżąc z oburzenia. — Jak możesz tak się mylić, Primo! Zapewniam cię, że to skończony łajdak!

— ...Jak powiadam... uczciwym, szczerym, lojalnym człowiekiem — z naciskiem powtórzył Primo Padrele — i bardzo jestem rad, że nie zawiodłem się na nim. Proszę, niech mi pan nie przerywa — ciągnął dalej, podnosząc nieco głos, spostrzegłszy, że Aureliusz chce mu przerwać.

— Mój brat jest nieobecny od siedmiu tygodni. Cały czas nie miałem żadnej wiadomości od niego. Co prawda niezbyt lubił pisać, ale nigdy nie wątpiłem i nie wątpię, że kochał mnie. Z górą sześć tygodni nieobecności — i ani jednego listu. Naraz zjawia się pewien młody człowiek, który twierdzi, że jest moim bratem. W pierwszej chwili podejrzewałem pana o to, że zabił pan Aureliusza lub w jakiś sposób usunął go ze swej drogi. Teraz jestem innego zdania. Wierzę, że Opatrzność nie zechce odebrać mi u schyłku życia mego najukochańszego brata. Coś podpowiada mi, że pan nie jest mordercą — proszę mi nie przerywać — nie jest pan mordercą! Wierzę w głos serca, który rzadko mnie myli, i dlatego sądzę, że pan po raz pierwszy wstąpił na drogę występku. Jestem dobrym chrześcijaninem i nie chcę pana unieszczęśliwiać. Niech pan się opamięta! Pieniądze zdobyte nieuczciwymi środkami palą! Dziś jest dzień moich urodzin. Odwołuję się do pańskiego sumienia i powiadam: Niech pan się opamięta! Niech pan idzie z Bogiem i niech Opatrzność skieruje pana z powrotem na drogę uczciwej pracy i uczciwego życia!...

Primo Padrele westchnął, dając do zrozumienia, że nawet najbardziej przykre rozmowy mają swój koniec i że najwyższy czas, by Aureliusz opuścił jego gabinet.

Ale Aureliusz Padrele wciąż jeszcze nie rozumiał, w jak beznadziejnym znalazł się położeniu. Przygnębiała go świadomość że jest bezradny, że nie może niczym przekonać swego ukochanego brata o prawdziwości swych słów. Bolało go, że nie będzie mógł wziąć udziału w dzisiejszej rodzinnej uroczystości. Wyprowadzało go z równowagi, że Primo Padrele sam z własnej woli pozbawiał się najradośniejszej niespodzianki, którą on, Aureliusz, przygotował dla niego w dniu jego urodzin. Przez chwilę nie przychodziło mu na myśl, że Primo Padrele postanowił za wszelką cenę nie poznać w nim swego rodzzonego brata.

Aureliusz zdawał sobie sprawę z tego, że po tym, co zaszło między nim a doktorem Popffem w Bakbuku, byłoby rzeczą jak najmniej właściwą zwrócić się o pomoc do niego. Teraz jednak widział, że będzie musiał uciec się do tego. Po chwili milczenia rzekł:

— W najbliższych dniach przedstawię ci niezbite dowody. Padrele starszy nachmurzył się:

— Więc pan jednakże obstaje przy swoim?

— A jeżeli przedstawię ci pisemne potwierdzenie doktora Popffa i zdjęcia fotograficzne?

Doktor fotografował mnie codziennie.

— Dałbym bardzo wiele za to, by te słowa okazały się prawdą — odpowiedział Primo. — Niestety, zbyt długo żyję na świecie, by wierzyć w cuda.

Primo wstał, a jego rzadkie rudawe włosy na tle promieni zachodzącego słońca, które wpadały przez wielkie okno, świeciły prawie jak aureola dokoła głowy świętego.

Aureliusz również wstał, ubrał się, włożył płaszcz i kapelusz, nie mógł jednak zdobyć się na opuszczenie gabinetu swego brata — wciąż bowiem nie wierzył, że będzie musiał opuścić dom rodzinny nie biorąc udziału w tradycyjnej uroczystości, która miała się już wkrótce zacząć.

— Żegnam pana — powiedział Primo nie podając mu jednak ręki.

Wysunął niewielką szufladę w swym biurku, wyjął z niej pudełko z miętowymi pastylkami i włożył jedną do ust. (Lekarze zabronili mu palić).

— Z tej samej szufladki dałeś mi kiedyś czekoladową laleczkę — odezwał się melancholijnie Aureliusz. — Pamiętasz? To było wtedy kiedy nasza matka umarła.

Primo nic nie odpowiedział i Aureliusz Padrele ruszył powoli ku drzwiom. Na progu odwrócił się mówiąc:

— Przepraszam cię bardzo... zapomniałem złożyć ci życzenia. Primo kiwnął w odpowiedzi głową, a Aureliusz wyszedł z gabinetu swego brata.

Primo Padrele westchnął z ulgą: ząb był wyrwany.

Po chwili znów był przy biurku, bębnił po nim w zamyśleniu palcami, później zatelefonował do Towarzystwa Akcyjnego „Hamulec” oświadczając, że za piętnaście minut przybędzie tam Ogastes Carb, któremu należy wręczyć w zamkniętej kopercie wszystkie materiały dotyczące „sprawy Bakbuku”. Spisu dokumentów można nie robić, nie trzeba ich również segregować. Wystarczy przesłać je tak, jak zostały doręczone z Bakbuku.

Następnie przywołał do siebie Ogastesa Carba i polecił mu możliwie najprędzej przywieźć owe dokumenty.

— Natychmiast to zrobię — oświadczył Ogastes Carb i zamierzał wyjść.

Primo Padrele zatrzymał go jeszcze.

— Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, drogi panie Ogastesie, chciałbym, aby do chwili powrotu mego brata pełnił pan zlecenia, które ja będę panu wydawał.

— Uważam to za wielki zaszczyt dla mnie — odpowiedział Ogastes kłaniając się nisko.

— Jeszcze coś. Jeżeli jest pan wolny dziś wieczorem, rad będę widzieć pana u siebie.

Ogastes Carb omal nie zemdlął ze szczęścia. Nie mógł nawet wyrazić słowami swej wdzięczności, przycisnął jedynie swoją prawą rękę do serca i niemal płacząc z radości i przepelniającego go uczucia wierności, zniknął za drzwiami.

Primo udał się do swych apartamentów, aby się przebrać.

Po upływie pół godziny Carb przywiózł zalakowany pakiet Primo znów zszedł do swego gabinetu, otworzył pakiet ważący co najmniej pięć kilogramów, uważnie przestudiował jego zawartość, po czym spalił w kominku część dokumentów oraz sporą paczkę fotografii” i fotograficznych błon, pozostałe zaś materiały zamknął w swej ogniotrwałej kasie.

Teraz mógł spokojnie obchodzić uroczystość dnia swych urodzin.

Rozdział dwudziesty drugi

zawierający fakty, bez których nie można byłoby przejść do drugiej części naszej opowieści

Z Miasta Wielkich Żab w stronę Bakbuku udają się codziennie trzy pociągi: o jedenastej z rana, o czwartej czterdzieści po południu i o dziesiątej dwadzieścia wieczorem.

Czwartego sierpnia w każdym z tych trzech pociągów jechał jakiś bohater tej opowieści.

Pierwszym pociągiem wyjeżdżał człowiek, którego imię w przeciągu z górą dwóch miesięcy nie schodziło ze szpalt wszystkich pism Argentei. Wysoki, wspaniale zbudowany brunet, z energiczną twarzą, był znany niemal każdemu z licznych zdjęć w pismach. Konduktor wagonu, w którym zajął miejsce, uklonił mu się grzecznie i zapytał:

— Bardzo pana przepraszam, jeżeli się nie mylę, pan Tomaso Magaraf? — Gdy przekonał się, że nie zachodzi pomyłka, opowiedział wszystkim pasażerom o niezwykłym spotkaniu.

Wszakże żaden z pasażerów nie zadał sobie trudu, by popatrzeć na Magarafa. Tomaso Magaraf co najmniej od dziesięciu dni przestał już być sensacją. Jego miejsce na szpaltach pism i w sercach obywateli Argentei zajęły pięcioraczki, które przyszły na świat w rodzinie nikomu nie znanego dotąd buchaltera w małym mieście An.

Tomaso Magaraf, który wracał właśnie ze swej niefortunnej podróży do luksusowej kuracyjnej miejscowości, dowiedział się o pięcioraczkach po drodze, ale dopiero w stolicy zrozumiał, jak fatalny wpływ na jego osobiste losy potrafi wyrzucić niezwykły ewenement w rodzinie buchaltera. Nikt już nie zdradzał chęci karmienia za darmo byłego liliputa w swej restauracji, nikt nie ofiarował mu bezpłatnego pokoju nawet w trzeciorzędnym hoteliku, a w sklepach traktowano go jako zwykłego klienta. Właściwie mówiąc, Magaraf nie mógł być nawet zwykłym klientem — nie miał bowiem wcale pieniędzy. Nie potrafił w okresie, kiedy jego imię było pierwszorzędną sensacją, zebrać bodaj trochę pieniędzy i narodziny pięcioraczków, które przyniosły dostatek buchalterowi i jego żonie, podcięły całkowicie dobrobyt naszego bohatera.

W przeciągu dziesięciu długich dni Tomaso Magaraf daremnie poszukiwał zajęcia. To wszystko, co potrafił robić jako artysta–karzelek, było zgoła niewystarczające dla normalnego artysty teatrów rozrywkowych. Dawniej wybaczano mu naiwność popisów, natomiast obecnie żądano od niego doskonałości, której nie posiadał. Aby ją zdobyć, trzeba było mieć czas i pieniądze, a Magaraf, choć miał wiele czasu, nie miał pieniędzy.

W mieszkaniu swojej dawnej gospodyni spędził dziesięć dni i po wyczerpaniu wszelkich zasobów postanowił zwrócić się o pomoc do doktora Popffa. Znał go dobrze i był pewien, że mu jej nie odmówi.

Pociągiem czwarta czterdzieści po południu wyjechała z Miasta Wielkich Żab do Bakbuku Berenika Popff, z domu Michelly. U portiera hotelu „Cortez” zostawiła list do Aureliusza Padrele następującej treści:

Szanowny Panie Padrele! Przepraszam, że tak tchórzliwie, nawet nie pożegnawszy się z Panem, wyjeżdżam z Miasta Wielkich Żab. Miałam czas zastanowić się nad wszystkim w ciągu tych kilku dni rozłąki z moim mężem i czuję teraz całym sercem, że kocham tylko jego i że powinnam być przy nim, jeżeli on zechce wybaczyć mi ból, który mu sprawiłam swym niepoczytalnym postępkami.

Jest Pan jednym z najbogatszych ludzi w kraju i tysiące najpiękniejszych dziewcząt z radością oddadzą Panu swą rękę i serce i będą szczęśliwe.

Niech mi Pan wybaczy, że wybrałam, tę drogę. Inaczej postąpić nie mogę. Zegnam Pana.

Gdy Aureliusz Padrele odczytał ten list, uczuł ogromną ulgę. Po spotkaniu z Primo Berenika przestała dla niego istnieć. Był całkowicie pochłonięty jedną myślą: musi udowodnić swemu bratu prawa, jakie ma do jego miłości i do tej części majątku, która mu się należy.

Rozmyślając na ten temat, Aureliusz bez szczególnego zdziwienia stwierdził, że gotów jest zrezygnować z miłości swego brata, byle nie stracić swego majątku.

Załatwiwszy rachunki w hotelu spakował się pośpiesznie i pociągiem odchodzącym o godzinie dziesiątej minut dwadzieścia wyjechał do Bakbuku.

Część druga

Rozdział pierwszy

O tym, co zrobił doktor Popff, gdy został sam, a ponadto o aptekarzu Bamboli i jego żonie

Musimy cofnąć się o pięć dni wstecz, aby opowiedzieć, co przedsięwziął doktor Stephen Popff, gdy został sam po wyjeździe Bereniki.

Parę razy uważnie i powoli, usiłując zrozumieć sens słów, przeczytał list, który mu podała zapłakana wdowa Gargo. Po czym, nic nie mówiąc, włożył list do kieszeni.

Szlochając wdowa Gargo powiedziała do niego:

— Pociąg odchodzi o drugiej z minutami. Doktor zgodził się machinalnie:

— Tak, podobno.

Wtedy wdowa powiedziała:

— A teraz dopiero wpół do drugiej.

— Tak — potwierdził doktor Popff.

Ale wbrew oczekiwaniom poczciwej wdowy, doktor nie popędził na dworzec, aby zatrzymać Berenikę. Ciężko stąpając poszedł schodami na górę do swego gabinetu i siedział tam tak długo, aż według jego obliczeń pociąg odszedł do Miasta Wielkich Żab.

Wtedy zszedł na dół milczący, przygnębiony, z głęboką zmarszczką na czole. Na dole spotkała go wdowa Gargo, chciała mu powiedzieć coś pocieszającego, ale on jedynie mocno ścisnął jej rękę i powiedział:

— Nie trzeba, nie trzeba.

Podczas gdy rozczulona do ostateczności wdowa gotowała dla niego obiad, doktor był zajęty w chlewiku swymi zwierzakami.

Niepostrzeżenie zbliżył się wieczorny zmrok, począł padać drobny, zimny deszcz, którego krople dudniły po dachu chlewika — zaszumiały więdnące krzewy w ogrodzie. Popff wrócił do domu, umył się, przebrał, podlubał kotlet, wypił nieco wina, powiedział kilka słów do szczerze zasmuconej wdowy Gargo i poszedł z wizytą do aptekarza Bambolego i jego żony.

Nie spodziewano się wprawdzie jego wizyty, lecz powitano go bardzo serdecznie. Powiedział, że Berenika musiała nagle wyjechać do swojej chorej matki i nie zdążyła pożegnać się z nimi, za co

w jej imieniu przyszedł przeprosić. Małżonkowie Bambolowie wyrazili nadzieję, że mamusia pani Bereniki zapewne wkrótce wróci do zdrowia, a oni będą mogli powitać swą czarującą sąsiadkę.

Pozwólmy doktorowi i małżonkom Bambolim czynić zadość ceremoniałowi wyszukanej uprzejmości, a tymczasem opowiemy czytelnikowi o małżonkach Bambolich i tych tajemniczych przyczynach, które skłoniły aptekarza i jego żonę do otoczenia troskliwą opieką doktora podczas jego niedawnej choroby.

Kiedy zawieraliśmy znajomość z małżeństwem Bamboli, para ta wywoływała mimowolny uśmiech. Istotnie, trudno było wyobrazić sobie bardziej zabawną parę.

Ogromnie długie nogi, niebywale długie ręce, wydłużona blada twarz i długie włosy koloru popiołu spadające kosmykami na przedwcześnie pomarszczone czoło — a więc to wszystko, o czym już wspomnieliśmy na początku, czyniło z osoby aptekarza niezbyt ujmującą postać. Jednakże wyraz szczerzej życzliwości, który nigdy nie schodził z jego twarzy, łagodził pierwsze wrażenie.

Jego małżonka, która w ciągu długoletniego z nim pożycia stale „była innego zdania” i bardzo często doprowadzała swego męża do głębokich i smętnych rozważań na temat życia, przy czym rozmyślaniom tym towarzyszyły równie głębokie i smętne wzdychania, owa pani Bambolowa była jawnym przeciwstawieniem swego małżonka, zarówno pod względem charakteru jak i warunków zewnętrznych.

Była mała, korpulentna, ale bardzo ruchliwa, poruszała się na krótkich nogach tak szybko, że aż nieraz brał podziw, nie miała ani jednej zmarszczki, co stanowiło przedmiot jej szczególnej dumy. Dopisywało jej znakomite zdrowie, była bardzo gadatliwa i obdarzona doskonałą dykcją. Miała tak krótkie rączki, że po prostu nie można było zrozumieć, jak potrafi dać sobie radę w gospodarstwie i ponadto z—należeć niekiedy czas na wymierzenie rodzicielskiej kary jednemu z czterech swych synków.

Pomijając to wszystko małżeństwo Bambolich od czternastu lat żyło w przykładowej zgodzie i walczyło ramię przy ramieniu, na razie bez rezultatu, o to, co przyjęto nazywać „przyzwoitym życiem”.

Małżonkowie Bambolowie wyrosli już z tego okresu, kiedy marzy się o karierze milionerów i bogactwie, a przecież nie tracili nadziei, że kiedyś los uśmiechnie się do nich. „Byle nie przegapić nadarzającej się okazji i mocno chwycić za ogon rajskiego ptaka” — a wtedy rozpocznie się piękne

życie, zdobędą odpowiednie stanowisko społeczne, znikną obawy przed nadchodzącą starością i troski o punktualne płacenie rat.

Szczególnie gorąco pragnęli, by czwórka urwisów, których się dochowali, mogła „wyrósnąć na ludzi”, by zostali inżynierami, lekarzami, adwokatami. Ale na to potrzebne były pieniądze, ogromne pieniądze, których nie podobna było wycisnąć z ubożuchnej apteki mającej więcej długów aniżeli słoików z lekami. I dlatego nie trudno zrozumieć, że tajemniczy wynalazek, nad którym pracował doktor Popff, musiał wzbudzić pewne nadzieje w duszy pechowego aptekarza. Od paru miesięcy zastanawiał się nad tym, jak rozpocząć rozmowę z doktorem i jak zaproponować mu swoje usługi dla możliwie szybkiego zrealizowania jego odkrycia. Już właśnie postanowił odbyć rozmowę z doktorem Popffem, gdy ten zachorował. Na naradzie rodzinnej małżonkowie Bambolowie, którzy zresztą polubili doktora Popffa i jego żonę, uchwalili, że będą wszelkimi siłami pomagali pani doktorowej, aby zbliżyć się i zaprzyjaźnić z nimi.

I oto teraz, gdy doktor Popff po raz pierwszy po wyzdrowieniu przyszedł do nich z wizytą, aptekarz postanowił skorzystać z nadarzającej się okazji.

Swej żonie powierzył towarzyską część rozmowy i przyjęcia, sam zaś zastanawiał się gorączkowo nad tym, od czego zacząć.

Naraz, wbrew wszelkim oczekiwaniom, doktor sam zaczął mówić o swoim odkryciu.

Bez ogródek, od razu przystąpił do sedna rzeczy:

— Czy pamięta pan, panie Bamboli, że w dniu mego przyjazdu ogólnikowo zakomunikowałem panu o tym, że pracuję nad pewnym naukowym zagadnieniem?

Małżonkowie Bambolowie zamienili szybkie spojrzenie, pełne głębokiej treści. Aptekarz dostał palpacji serca, a żona, pełna radosnego wzruszenia, nie mogła się powstrzymać od łez i jedna wielka łza powoli spłynęła po jej rumianym policzku. Głucho, jak gdyby skądś za ścianą, rozległ się głos doktora Popffa:

— Nie powinno was dziwić, że właśnie do państwa przyszedłem na tę rozmowę.

Oboje ze wzruszeniem potakiwali głową, a aptekarzowa szepnęła:

— Drogi doktorze, jesteśmy pańskimi przyjaciółmi, oddanymi, serdecznymi przyjaciółmi!

Popff ciągnął dalej:

— W tych dniach ukończyłem, swą pracę. Czy chcielibyście wiedzieć, na czym polega istota mego odkrycia?

— Doktorze — z wyrzutem zawołała aptekarzowa. — Czy może pan wątpić?

— Może pan być pewien — dodał aptekarz — że wszystko, co pan nam powie, zostanie między nami.

— Przeciwnie — powiedział doktor — będę panu bardzo wdzięczny, jeżeli pan się podzieli tym, co ode mnie usłyszysz, ze wszystkimi, którzy zechcą pana wysłuchać.

Następnego dnia cały Bakbuk rozbrzmiewał wiadomościami, jakże niezwykłymi, o odkryciu dokonanym przez doktora Popffa, Trzeba przyznać, że małżonkowie Bambolewie dołożyli wszelkich w tym kierunku starań, a zresztą każdemu na ich miejscu sprawiłoby niemniejszą przyjemność rozpowszechnianie tak niezwykłych wiadomości.

Z najdrobniejszymi szczegółami opowiadali o tym, jak wieczorem przyszedł do nich doktor Popff, jak zaczął opowiadać, jak z początku nie mogli uwierzyć, aby to była prawda, i jak później zaprowadził ich do siebie, pokazał skórki jakichś niezwykłych zwierząt, i dopiero później, gdy dokładnie przyjrżeli się, okazało się, że są to skóry olbrzymich szczurów i ogromnych morskich świnek, które doktor wyhodował i później Uśmiercił.

Opowiedzieli jak doktor zaprowadził ich do chlewika, jak pokazał zwykłą świnię, barana i młodego byczka, które przed dziesięcioma dniami, gdy je kupował, były jeszcze małym prosiątkiem, jagniątkiem i cielątkiem. Wreszcie opowiedzieli o tym, jak, pożegnawszy się z aptekarzem i jego żoną doktor udał się do redakcji pisma miejscowego, by zamieścić ogłoszenie, które, Bóg świadkiem, wkrótce wszyscy będą czytali jak najbardziej sensacyjną powieść.

Nigdy jeszcze apteka pana Bambolego nie sprzedała w ciągu jednego dnia tylu butelek mineralnej wody. Miejscowi obywatele przychodzili tylko po to, by znaleźć pretekst dla rozmowy z aptekarzem, on zaś potrafił wtrącić od niechcienia do rozmowy parę słów o tym, jak doktor Popff radził się z nim, jako z człowiekiem, który się na tym zna, na temat treści ogłoszenia mającego się pojawić nazajutrz.

— Oczywiście — dodawał za każdym razem — nie mogłem odmówić tej drobnej przysługi uczonemu, z którym jesteśmy zaprzyjaźnieni.

Koledzy—lekarze przypomnieli sobie naraz, że doktor Popff był ciężko chory i po kolei odwiedzali go, aby się przekonać, jaki jest obecnie stan jego zdrowia. Życzliwsi przyjmowali zaproszenia zarówno do laboratorium, jak do obejrzenia owych skórek po szczurach — olbrzymich i nowowyhodowanych okazów.

Dziękowali serdecznie „kochanemu koledze” za niezwykle interesujące z naukowego punktu widzenia eksperymenty, które oglądali własnymi oczyma. Winszowali mu sukcesu i odchodzili

pożerani przez zazdrość jaką żywili dla tego „przybłądy”. Swoim pacjentom zaś dość wyraźnie napomykali o tym, że lekarz, który kocha swój zawód, nigdy, bodaj na chwilę, nie będzie sobie zawracał głowy ubocznymi sprawami, i że oni, chwalić Pana Boga, kochają swoją specjalność, posiadają wieloletnią praktykę i są dalecy od podobnych ekstrawagancji. Dla każdego zdrowo myślącego człowieka było więc rzeczą aż nadto oczywistą, że należy się leczyć jedynie u takich lekarzy jak oni.

Rumor, jaki wszczął się w mieście, ludzie odwiedzający doktora, ciągły rwetes w domu — wszystko to, ku wielkiej radości wdowy Gargo, odwróciło do pewnego stopnia uwagę doktora Popffa od myśli o żonie. Od czasu do czasu doktor wpadał do aptekarstwa, by zamienić parę słów, napić się mineralnej wody i znów biegał w swoich sprawach.

Wystarczyło jednak, by zamknął za sobą drzwi, a pani Bambolowa patetycznie unosiła do góry swe krótkie ramiona i wołała do męża:

— Morgue! — aptekarzowi było na imię Morgue. — Tyś zapewne zapomniał, że masz żonę i czworo dzieci!

Pocziwy aptekarz uśmiechał się w poczuciu winy i mówił:

— Przecież sama rozumiesz, kochanie, że muszę wybrać odpowiednią chwilę, bo gotów pomyśleć, że my to wszystko robimy z pobudek materialnych. Ale bądź spokojna, kochanie, wszystko ułoży się jak najlepiej.

Chodziło wszakże nie tyle o wybór odpowiedniego momentu, ile o brak decyzji ze strony pana Bambolego. Wszakże jego żona w tym samym stopniu co jej małżonek rozumiała, że niezręczna lub podjęta w niewłaściwym czasie rozmowa może wszystko popsuć, i dlatego nie przynaglała zbytnio swego małżonka, przypominała mu jedynie od czasu do czasu o ilości osób, które ma na swym utrzymaniu.

Gdy ogłoszenie doktora Popffa ukazało się w gazecie, tłumy mieszkańców runęły, by oglądać wyhodowane w tak krótkim czasie wspaniałe okazy wieprzów, cieląt i baranów i przyjrzeć się wyprawionym skórkom po olbrzymich szczurach, rozwieszonym na zewnętrznej ścianie chlewika.

W mieście huczało od rozmów o niezwykłym eliksirze i jego wynalazcy. Zastanawiano się nad tym, co lepiej przynieść siódmego września do doktora, gdy miały się rozpocząć pokazowe zastrzyki — prosiaka czy cielaka? Byli tacy, którzy uważali za wskazane zaczekać na wyniki pierwszych zastrzyków. Inni, biedniejsi, byli w kłopotcie, gdzie potrafią tanio nabyć odpowiedniego prosiaczka lub cielątko. Niektórzy rzeźnicy mieli zamiar przyprowadzić do Popffa

całe stada cieląt i prosiąt. Jednym słowem, całe miasto zostało poruszone, wszystko układało się jak najlepiej i zanosilo się na ogromne powodzenie.

W przededniu pamiętnego dnia dał znać do Miasta Wielkich Żab o miejscowej sensacji. Do Bakbuku zjechały całe zastępy reporterów ze stolicy i każdy z nich przesłał do swojej gazety lub agencji prasowej mnóstwo felietonów, artykułów i wzmianek.

Następnego dnia cała Argentea miała się już dowiedzieć o znakomitym odkryciu prowincjonalnego lekarza Stephena Popffa. Wszakże późną nocą, gdy depesze i artykuły o „Eliksirze Bereniki” były już złożone i gotowe kolumny miały pójść na rotacyjne maszyny, nadeszła wiadomość o przyjściu na świat pięcioraczków i ta sensacja wyparła z kolumn gazet, a także z programów radiowych wszystkie pomniejsze sensacje, w tej liczbie również i wiadomość o „odkryciu w Bakbuku”.

Nie oznacza to wszakże, by o eliksirze nie dowiedzieli się ci, których podobna wiadomość obchodziła więcej aniżeli narodziny pięcioraczków.

O siódmej wieczorem do doktora Popffa, który spożywał obiad w towarzystwie wdowy Gargo, zapukał pewien jegomość lat około czterdziestu o sinawych starannie ogolonych policzkach i różowych, sterczących uszach przypominających skrzydła motyla. Jegomość przedstawił się:

— Syndirak Cphardeia, z Towarzystwa Akcyjnego „Hamulec”. Proszę o kwadrans rozmowy w poważnej sprawie...

Rozdział drugi

w którym czytelnik zawiera znajomość z Towarzystwem Akcyjnym „Hamulec”

Biura Towarzystwa Akcyjnego „Hamulec” mieściły się w jednym z drapaczy chmur handlowej dzielnicy Miasta Wielkich Żab na pięćdziesiątym trzecim piętrze. Na drzwiach widniała duża mosiężna tabliczka:

TOW. AKC. „HAMULEC” Wytwórnia uniwersalnych samochodowych hamulców systemu Francisko Bouro
--

Biura zajmowały osiem obszernych pokoi dość skromnie umeblowanych: poczekalnia główna, gabinet naczelnego dyrektora wraz z niewielką, przylegającą poczekalnią, biuro informacji, biuro naukowo-badawcze, biuro statystyczne, buchalteria i wydział handlowy. Posiedzenia Zarządu Towarzystwa odbywały się zazwyczaj w prywatnym mieszkaniu jednego z dyrektorów.

Zaryzykujemy twierdzenie, iż po katastrofalnych huraganach, które od czasu do czasu zmiatały z powierzchni ziemi całe okręgi, Towarzystwo Akcyjne „Hamulec” było jedną z najgorszych plag całej Argentei. Nie było ani jednego przedsiębiorstwa zarówno w kraju jak i za granicą, które swą potęgą i swymi wpływami mogłoby dorównać Towarzystwu Akcyjnemu „Hamulec”.

Wszyscy mają jeszcze żywo w pamięci sensację, jaką wywołała w swoim czasie dymisja wiceministra skarbu, który po paru dniach objął pozornie niewielkie stanowisko dyrektora biura informacyjnego mało znanej instytucji „Hamulec”.

W wywiadzie udzielonym przedstawicielom prasy były wiceminister wytłumaczył swoje przejście do „Hamulca” chęcią poświęcenia się spokojnej pracy, której obce są zagadnienia o państwowej doniosłości.

Najwidoczniej wspomniane Towarzystwo Akcyjne istotnie zapewniało swoim pracownikom spokojny żywot, gdyż nie zdążyła jeszcze ucichnąć sensacja wywołana nieoczekiwaną dymisją wiceministra skarbu, gdy opuścił swe stanowisko kierownik znanego na całym świecie Instytutu

Energetyki i Obróbki Metali, znakomity profesor Egon Nachtfeller, członek Akademii i twórca całej naukowej szkoły nowoczesnych badań.

— Jestem zmęczony. Moje lata nie pozwalają mi na ogromny wysiłek kierowania tak potężną machiną, jaką jest Instytut Energetyki — powiedział oblegającym go reporterom.

Tego samego dnia, gdy wywiad ogłoszono w pismach, profesor Nachtfeller został wpisany na listę stałych współpracowników Towarzystwa Akcyjnego „Hamulec”.

Pisma gubiły się w domysłach na temat dziwnej, przyciągającej siły Towarzystwa Akcyjnego „Hamulec”.

Dziennikarze wysilali swój dowcip, karykaturzyści rysowali byłego ministra i profesora Nachtfellera jako małych bobasów, bujających się na dzieciennych huśtawkach lub bawiących się w klocki. Ale to nie wyjaśniło w niczym tajemniczości, która otaczała Towarzystwo Akcyjne „Hamulec”, a tylko podkreślało, iż prócz karykatur i zabawnych felietonów pisma mają niewiele do powiedzenia na ten temat.

Niektórzy pomysłowi reporterzy usiłowali przedostać się do biur Towarzystwa Akcyjnego jako urzędnicy, wszakże stale spotykała ich ta sama odpowiedź:

— Niestety, nie ma wakujących posad.

Reporterzy próbowali dyżurować przy drzwiach wejściowych licząc na to, że przyjrzenie się klientom odwiedzającym biura Towarzystwa Akcyjnego „Hamulec” pozwoli wpaść na jakiś ślad. Dyżurowali dziesięć dni i na nic nie wpadli. Gdy zrozumieli, że na „Hamulcu” nie da się nic zarobić, skierowali swe zainteresowania w inną stronę.

A przecież nieraz zarabiali sporo pieniędzy na Towarzystwie Akcyjnym „Hamulec” nie domyślając się nawet, iż właśnie ono jest źródłem ich zarobków.

Wystarczy wspomnieć tajemnicze samobójstwo Angelo Borotti. Jakie przyczyny mogły skłonić tego młodego i przystojnego Włocha do popełnienia samobójstwa nazajutrz po ślubie? Brak pieniędzy? Ależ wyrzucił je na prawo i na lewo! Na krótko przed swym tragicznym końcem otrzymał mnóstwo pieniędzy za jakiś swój bardzo doniosły wynalazek. Dwie godziny przed samobójstwem przyjaciele spotkali go na ulicy. Był wesoły i szczęśliwy. Powiedział do nich:

— Spotkamy się wieczorem. Spieszę się. Powiodło mi się!

Gdy przyjaciele zjawili się o oznaczonej godzinie, by odprowadzić młodą parę udającą się w podróż poślubną, zastali młodą małżonkę w głębokim omdleniu: Angelo Borotti udał się w podróż, z której jeszcze nikt nie wrócił, i nurkowie na próżno poszukiwali jego ciała na dnie rzeki.

Temu zagadkowemu dramatowi pisma w ciągu kilku tygodni poświęcały całe szpalty. Dziennikarze wypisali na ten temat miliony słów. Czytelnicy otrzymali wyczerpujące wiadomości dotyczące nieszczęśliwego Angelo Borotti, prócz jednej: mianowicie tej, która wyjaśniałaby powody, jakie go popchnęły do tak rozpaczliwego kroku.

A tajemniczy los, jaki spotkał wynalazcę uniwersalnego hamulca do samochodów, Francisko Bouro, który kilka lat z ogromnym zapałem pracował nad wynalezieniem sposobu impregnowania materiałów na męskie ubrania specjalnym chemicznym produktem noszącym nazwę „Bourynu”?

Wynalazek ten miał dokonać prawdziwego przewrotu w przemyśle tekstylnym. Za grosze każdy mógł otrzymać ubranie zabezpieczone przeciwko wszelkim wpływom atmosferycznym, a jednocześnie chroniące przed zimnem, gorącem i wilgocią. Wszystkie pisma pisały, iż prace badawcze zbliżają się ku końcowi. Naraz, mniej więcej przed pół rokiem, Bouro oświadczył, że próby się nie udały i że rezygnuje na zawsze z dalszych badań. Reporterzy usiłowali dowiedzieć się od niego, jakie były przyczyny tej nieoczekiwanej rezygnacji. Nic jednak nie wskórali. Zainteresowanie powoli słabło, aż wreszcie pewnego dnia przeczytano w pismach artykuł znakomitego lekarza, który zaniechanie dalszych prób przez Bouro tłumaczył dość poważną nerwową chorobą trawiącą organizm wynalazcy. To wyjaśnienie najwidoczniej odpowiadało rzeczywistości, gdyż Bouro nabył wspaniałą willę na wybrzeżu, zaczął pić, a po roku dostał delirium i dokonał swego żywota.

A sprawa Waltera Smitha, który pracował nad wynalezieniem syntetycznego cukru i zamiast niego wynalazł piękną pachnącą masę do pokrywania nawierzchni autostrad!

Któż mógłby się domyślić, że samobójstwo młodego Borotti i szal pijaństwa Bouro, i nieoczekiwany zwrot w pracach Smitha, i mnóstwo innych sensacji dziennikarskich było rezultatem działalności naukowo—badawczego biura, mieszczącego się na pięćdziesiątym trzecim piętrze ponurego drapacza chmur przy ulicy Dobrobytu.

Nie należy sądzić, by Towarzystwo Akcyjne „Hamulec” uprawiało jakieś przestępcze manipulacje. Nie. Wszystko, co tam robiono, mieściło się w ramach legalności. Śmierć Angelo Borottiego i tragiczny koniec Bouro wywołały bardzo przygnębiające wrażenie na dyrektorze naukowo—badawczego biura, profesorze Nachtfellerze, dlatego że Borotti był jego ulubionym uczniem, a Bouro jednym z najbliższych przyjaciół.

— Nie mamy i nie możemy mieć żadnych podstaw do wykraczania poza ramy legalności — wyjaśniał kiedyś Primo Padrele w ścisłym kole dyrektorów „Hamulca”. — W razie potrzeby

będziemy mogli rozszerzyć te ramy przez właściwe oddziaływanie na ustawodawstwo. Jedyne w ostatecznej sytuacji, kiedy w grę wchodzić będą zagadnienia przyszłości państwa i naszej kultury... — Zamilkł na chwilę i wszyscy zrozumieli, że chodzi tym razem o jakąś bardzo korzystną transakcję. — Dopiero w takim wyjątkowym wypadku możemy zrewidować pewne przestarzałe paragrafy prawa...

Biuro informacji prasowej rozporządzało szeroko rozgałęzioną siecią zakonspirowanych korespondentów i otrzymywało od nich dokładne wiadomości o tym, kto, gdzie i nad jakim wynalazkiem pracuje obecnie.

Biuro naukowo-badawcze przeprowadzało studia nad gospodarczym znaczeniem tych prac, wydział handlowy czynił wszystko, by nabyć patenty, które na to zasługiwały, a wydział finansowy zawierał umowy z wynalazcami. Nabyte patenty szły do kasy ogniotrwałej Towarzystwa Akcyjnego „Hamulec”. Jedne — na pewien czas, inne — na zawsze.

Te pierwsze dość szybko i na wygodnych warunkach sprzedawano zainteresowanym firmom, które niezwłocznie stosowały je w przemyśle. Na ruchliwy, wiecznie zmienny i ulegający ciągłym wahaniom rynek handlowy rzucano raz po raz różnorodne nowości: potężne maszyny, uniwersalne wentylatory klozetowe, odkurzacze, udoskonalone rozpylacze, jakieś niezwykle lekarstwa — to znów śmiertelne trucizny. Czegóż tam nie było? Maszynki do prostowania kręcących się włosów i najlepsze przyrządy do robienia loków. Lodownie o niezwykle uproszczonym i genialnym systemie lub tak piękne elektryczne kuchenki, że po prostu szkoda było ich używać.

Ale nabywanie patentów w celu dalszej sprzedaży lub eksploatacji zajmowało w czynnościach Towarzystwa Akcyjnego „Hamulec” drugorzędną, choć nie pozbawioną rentowności pozycję. Głównym celem istnienia „Hamulca” i zasadniczym źródłem jego olbrzymich dochodów było nabywanie takich patentów, które z góry były skazane na długie, niekiedy bezterminowe przebywanie w czeluściach ogniotrwałych kas.

Niemal z reguły były to patenty najwspanialszych wynalazków, które mogły być dobrodziejstwem dla ludzkości.

Weźmy dla przykładu ów „Bouryn” Francisko Bouro. Towarzystwo Akcyjne „Hamulec” zapłaciło za patent „Bourynu” pół miliona centaurów, zarabiało natomiast rocznie na nim z górą jedenaście milionów. W tym celu trzeba było dodatkowo wydać około tysiąca centaurów na śniadanie u Primo Padrele. Zaproszeni byli na nie dyrektorzy zakładów tekstylnych, kierownicy zakładów konfekcyjnych, a także przedstawiciele bawełnianego i włókienniczego syndykatu.

Były wiceminister skarbu wygłosił krótki, lecz wyczerpujący referat o „Bourynie” i biesiadnicy Primo Padrele od razu stracili apetyt. Zrozumieli bowiem, na jakie ogromne straty narazi ich wykorzystanie wynalazku Francisko Bouro i od razu zgodzili się wypłacić Towarzystwu Akcyjnemu „Hamulec” jedenaście milionów centaurów, a później co roku wpłacać niemniejszą sumę, byle udało się wstrzymać realizację tego złowrogiemu dla nich wynalazku.

Minęło parę dni, ceny na materiały oraz gotowe ubrania zostały jednocześnie podniesione w całym kraju o pięć procent, co z górą pokryło owe jedenaście milionów przekazane na rachunek Towarzystwa Akcyjnego „Hamulec”.

Ludność kraju nie domyślając się nawet w ciągu szeregu długich lat płaciła za to, że została ograbiona.

Oczywiście wolno było Franciskowi Bouro tak bardzo przejąć się losami swojego wynalazku. O ile zaś chodzi o Angelo Borotti, to wszystkim wiadomo, że Włosi są bardzo impulsywni, a okoliczności, które ze starego, flegmatycznego Bouro zrobiły chronicznego alkoholika, mogły również popchnąć młodego i pełnego życia Angelo do samobójstwa.

Walter Smith, wynalazca syntetycznego cukru posiadającego te same właściwości co prawdziwy cukier i trzykrotnie tańszego, był nawet obecny na bankiecie u Primo Padrele. Zaproszeni właściciele cukrowni, dyrektorzy wielkich zakładów cukierniczych oraz największych przedsiębiorstw produkujących cukier trzcinowy pili kawę słodzoną syntetycznym cukrem, zajadali się tortami przyrządzonymi na nowowynalezionej słodyczy i zgodzili się zapłacić Towarzystwu Akcyjnemu „Hamulec” bająnskie sumy, byle wynalazek Waltera Smitha nie doczekał się realizacji.

Nieszczęsny wynalazca cierpiał podczas tego bankietu katusze, jak gdyby w jego obecności powoli uśmiercano jego najukochańsze dziecko, opanował się jednak i zgodził się opracować sposób wyrabiania nowego materiału, służącego do pokrywania autostrad nawierzchnią, w którego skład wchodziłby, zmieszany z drewnianą masą, ów syntetyczny cukier.

Na tym nowym wynalazku znakomicie zarobili i rozsądny Walter Smith i Towarzystwo Akcyjne „Hamulec”. Właśnie w tym okresie ogromnym powodzeniem w całej Argentei cieszyło się budowanie aromatycznie pachnących autostrad, których arcyprzyjemny zapach robił ogromne wrażenie na wielu turystach odwiedzających ów kraj.

Gwoli sprawiedliwości należy dodać, iż przy opracowaniu tego wynalazku niemałą pomoc okazało Walterowi Smith naukowo-badawcze biuro „Hamulca”, na którego czele stał znakomity

profesor Egon Nachtfeller. Z wielkim żalem musimy dodać, że czcigodny profesor odnosił przy tym wcale pokaźne korzyści natury niezbyt ściśle związanej z dziedziną nauki.

Jeszcze nie tak dawno, bo zaledwie przed sześćdziesięciu lub siedemdziesięciu laty, istnienie podobnego przedsiębiorstwa miałyby taki sam sens, co towarzystwo zapobiegające wschodowi słońca lub morskim przyrywom. Ale obecnie sprawy wyglądały inaczej. Dążenie do zysków kapitalistycznych coraz bardziej przeciwstawiało się olśniewającym i zbawiennym dla ludzkości wynalazkom.

Niech mi wybaczą słuchacze, którym te prawdy nie były obce. Chodziło mi o to, aby czytelnik się nie dziwił, gdy do drzwi wejściowych skromnego domku w Bakbuku, zamieszkałego przez doktora Stephena Poiffa, zapukał przedstawiciel Towarzystwa Akcyjnego „Hamulec”

Rozdział trzeci

O tym, co doktorowi Popffowi zaproponował Syndirak Cphardeia

Wdowa Gargo sprzątnęła ze stołu i poszła do domu. Doktor Popff poprosił swego gościa na górę do gabinetu, zachodząc w głowę, jaki interes może mieć do niego przedstawiciel wytwórni hamulców samochodowych.

Pan Syndirak Cphardeia, który był ubrany zbyt elegancko i miał zbyt wytworne maniery, by być prawdziwym dżentelmenem, rozsiadł się w fotelu i zapytał, czy może zapalić. Wyciągnął z cygarnicy drogie cygaro, obciął bardzo skrupulatnie jego koniec, rzucając od czasu do czasu badawcze spojrzenia na gospodarza, który spokojnie oczekiwał końca całej tej procedury i rozpoczęcia rozmowy.

Przez otwarte okno dolatywały łagodne, wieczorne odgłosy: klaksony mknących gdzieś daleko samochodów, wesołe krzyki rozbawionych dzieci. Matki wychylając się z okien zwoływały swe latorośle na kolację. Słychać było, jak porykuje w obórcie nadzwyczajna krowa wyhodowana przez doktora Popffa. Z daleka dobiegała grana na rozklekotanym fortepianie melodia starego walca ulubionego przez nasze babki. Ktoś grał bardzo niepewnie, fałszując niemilosiernie i ciągle przechodząc na jazzowy rytm. W gabinecie było chłodnawo. Na ciemnogramatowym niebie zapalały się gwiazdy.

— Przybyłem dopiero z Miasta Wielkich Żab — przerwał wreszcie milczenie Cphardeia puszczając kłęby dymu z cygara. — Ekspresem. I wprost z pociągu do pana. Czyli, ściślej mówiąc, nie o pana, ale do pana niezwykłych wychowanków.

Doktor Popff przypomniał sobie, że istotnie widział nowoprzybyłego wśród innych ludzi tłoczących się przed wejściem do chlewika.

— ...Musiałem przed przystąpieniem do rozmów przekonać się, w jakim stopniu posiadane przez nas wiadomości odpowiadają prawdzie. Bardzo się cieszę mogąc stwierdzić, iż nasze informacje nie doceniały wielkości pańskiego wynalazku. Jest on fantastyczny!

Doktor Popff ruchem głowy dał do zrozumienia, że słowa te sprawiają mu przyjemność.

— Jest bardziej aniżeli fantastyczny! — dodał pan Cphardeia spojrzawszy z wyrzutem na doktora, jak gdyby karcąc go za to, że niedostatecznie ocenia znaczenie swego własnego wynalazku.

Cphardeia znał się na interesach. Z niektórymi wynalazcami rozpoczynał od tego, że pomniejszał znaczenie osiągniętych przez nich wyników. Tę metodę nazywał „numerem jeden” lub „metodą psychicznego szoku”. Na prowincjonalnego lekarza, doktora Popffa, postanowił działać metodą „numer dwa”, czyli entuzjastycznymi pochwałami, które miały w naiwnym uczonym wywołać wrażenie szczerego zachwytu i ułatwić dalsze pertraktacje.

— Przyznam się, drogi doktorze, że to, co zobaczyłem, jest czymś w rodzaju snu. Tak, to piękny sen! — zawołał pan Cphardeia.

Doktor Popff nie protestował. Nie wiedział jeszcze, do czego zmierza jego nieoczekiwany gość, było mu jednak przyjemnie słyszeć pochwały o jego eliksirze.

— Niestety jednak — dodał pan Cphardeia westchnąwszy — żyjemy w okropnych czasach, drogi doktorze! Dziś decydują o wszystkim pieniądze. Najpiękniejszy wynalazek nie doczeka się realizacji, jeżeli nie rozporządza się odpowiednimi funduszami. Zostałem przysłany, aby zaproponować panu te fundusze, nawet duże, milion centaurów!

Spostrzegł, że suma ta nie wywarła należytego wrażenia na doktorze, i szybko dodał:

— Nawet więcej!

Po raz drugi w ciągu ostatnich trzech dni doktorowi Popffowi proponowano milionowe sumy za jego wynalazek. Należy dodać, że doktor nie miał nic przeciwko temu, aby zostać bogatym człowiekiem, zwłaszcza że sposób zdobycia pieniędzy był uczciwy. Bogactwo mogło zapewnić mu życie wolne od kłopotów, niezależność, a co najważniejsze, stworzenie własnego instytutu badawczego i całkowitą swobodę dalszej naukowej działalności. Teraz gdy pomyślnie zakończył swe pierwsze prace, miał głowę pełną innych, równie śmiałych planów, które wymagały pieniędzy. A pieniądze dotychczas jeszcze nie miał.

Doktor Popff zdawał sobie sprawę, jak ogromne znaczenie będzie miał jego eliksir dla ludzi biednych, czyli stanowiących przeważającą część ludności Argentei, i nie tylko Argentei, ale nawet całego świata.

„Eliksir Bereniki” przyspieszał wielokrotnie i zwiększał hodowlę bydła, a tym samym obniżał ceny mięsa, mleka, masła, wełny, skóry i mnóstwa innych produktów niezbędnych człowiekowi. Ułatwić warunki ludzkiej egzystencji — czy może być bardziej szlachetne i wdzięczne zadanie dla uczonego?

Doktor Stephen Popff trzymał się z daleka od polityki, ale czytał gazety, będąc na uniwersytecie przestudiował kilka książek, bynajmniej nie zalecanych przez ministerstwo oświaty, zdawał sobie

sprawę, że żyje w kraju, którego rząd nie myśli o dobrobycie narodu, lecz jedynie o własnych możliwie największych zyskach.

Ponadto doktor Popff wiedział, że dla utrzymania cen na wysokim poziomie w Argentynie redukuje się produkcję, oblewa naftą całe góry mięsa, wylewa do morza miliony litrów mleka, pali setki tysięcy worków kawy, jednym słowem — niszczy się ogromne zapasy, pomimo że miliony biedaków odczuwają dotkliwy brak tych produktów i po prostu umierają z głodu.

Doktor Popff obawiał się, że jego wynalazek może być wykorzystany w taki sposób, jak to zamierzał uczynić Aureliusz Padrele. Dlatego właśnie nie mógł zgodzić się i wkroczyć na drogę, którą przeważnie wybierają wszyscy wynalazcy, czyli sprzedać swój eliksir bez żadnych zastrzeżeń jakiejś firmie. Z drugiej zaś strony, przygotowując eliksir do masowego zastosowania zdawał sobie sprawę, że w tych warunkach będzie mu niesłychanie trudno osiągnąć zamierzone cele. Po to bowiem, by eliksir od razu znalazł masowe zastosowanie w całej Argentynie, trzeba było jego produkcję i ekspedycję postawić na odpowiedniej stopie, zorganizować reklamę, zredagować, wydrukować i rozesłać odpowiednie instrukcje wszystkim posiadaczom bydła i nierogacizny, a także weterynarzom, którzy będą robili zastrzyki. Wszystko wymagało ogromnego aparatu i mnóstwa pieniędzy. Dlatego to, wysłuchawszy spokojnie pochwał Cphardei, doktor Popff zapytał:

— Jeśli pominąć wszystkie pańskie komplementy na cześć eliksiru, panu chodzi oczywiście o to, abym sprzedał pańskiej firmie mój wynalazek?

Cphardeia odpowiedział:

— Oczywiście — w duchu zaś pomyślał: czy nie zrobiłem jakiegoś taktycznego błędu? A może do tego młodego człowieka należy zastosować „metodę numer jeden”?

— Suma, którą mi pan proponuje — spokojnie odrzekł doktor Popff — jest śmiesznie mała. Przed tygodniem ofiarowano mi pięć milionów, a orientuję się, że dano by i dziesięć.

„Ależ tak, z Popffem trzeba było rozmawiać «metodą numer jeden»!” Ale było już za późno. Entuzjastycznych pochwał nie można było cofnąć i Towarzystwo Akcyjne „Hamulec” będzie to kosztowało parę milionów więcej.

— Mam wrażenie — powiedział Cphardeia — że sprawa wysokości sumy...

Ale Popff, jak gdyby broniąc się, podniósł do góry prawą rękę

— Chwileczkę. Nie chcę tracić wątku myśli. Nie mam wielkiej wprawy w interesach.

„Nie ma wielkiej wprawy! Zaszachował mnie tymi pięcioma milionami!” — pomyślał rozgniewany Cphardeia, a głośno powiedział:

— Przepraszam, słucham, niech pan mówi.

— Nie rozumiem, jaki związek może istnieć pomiędzy towarzystwem wyrabiającym hamulce a moim wynalazkiem.

— Pan pozwoli, że mu to wytłumaczę — powiedział pan Cphardeia, ale właśnie w tej chwili ktoś zapukał do drzwi wejściowych.

Popff zszedł na dół.

Był to aptekarz Bamboli. Wrócił dopiero co z banku, gdzie nie bez trudu uzyskał zgodę na otrzymanie pożyczki sześciu i pół tysiąca centaurów na swój dom. Z drżącym sercem przyszedł do doktora Popffa zaproponować mu te pieniądze jako swój udział, a siebie jako udziałowca przyszłej firmy „Stephen Popff i Morgue Bamboli”.

— Niech pan mi wybaczy, drogi panie Bamboli — powiedział Popff otwierając drzwi — ale jeżeli pan nie ma pilnej sprawy do mnie, bardzo bym prosił pana o odłożenie naszej rozmowy do jutra, a właściwie najlepiej byłoby do niedzieli. Mam w tej chwili bardzo poważną rozmowę z pewnym przyjeźdnym. Chodzi o wielką transakcję.

— Skaże znowu, doktorze? To nic pilnego — zapewniał go nieśmiało aptekarz. — Przepraszam, że pozwoliłem sobie niepokoić pana. Dobranoc, doktorze.

Popff wrócił na górę. Cphardeia wytłumaczył mu, że Towarzystwo Akcyjne, które ma zaszczyt reprezentować, interesuje się nie tylko produkcją hamulców, lecz wszystkimi innymi transakcjami wymagającymi wielkiego rozmachu i twórczej inicjatywy.

— Nie zdziwię się bynajmniej, jeżeli kiedyś o naszym skromnym Towarzystwie Akcyjnym zostaną napisane grube tomy — dodał zgodnie z rzeczywistością. — Co zaś się tyczy sumy, którą...

Popff przerwał:

— Zanim będziemy mówili o pieniądzach, pomówmy o bardziej ważnych sprawach.

„Bardziej ważnych? — Pan Cphardeia był przyjemnie zdziwiony. — Więc pieniądze nie są najważniejszą sprawą dla tego człowieka?”

Doktor Popff mówił dalej:

— Sprzedam mój eliksir tylko w tym wypadku, jeżeli w umowie będzie zastrzeżone, że sprzedażna cena ampulki będzie najwyżej o dwadzieścia procent wyższa od kosztów produkcji. Chcę, by ten wynalazek był dostępny dla najuboższych ludzi...

— Ależ... — zaniepokoił się Cphardeia.

— Niech mi pan pozwoli wypowiedzieć moją myśl do końca — powiedział Popff. — To nie wszystko. Reklamowanie eliksiru Towarzystwo powinno rozpocząć nie później niż po upływie dwóch tygodni od zawarcia umowy.

— Ale niech pan pozwoli!... — Cphardeia tak szybko zerwał się na równe nogi, że słupek popiołu z jego cygara—, odłamał się i spadł na podłogę. — Mnie się zdaje...

— Nie, to mnie się zdaje, panie Cphardeia, że pan za wszelką cenę chce mi przeszkodzić w wypowiedzeniu tego, co mam na myśli! — wybuchnął doktor Popff. — Mówiłem już panu, że nie znam się na interesach i nie umiem prowadzić podobnych rozmów.

Pan Cphardeia przeprosił doktora i ponownie rozsiadł się w fotelu. Przekonał się obecnie, że doktor Popff istotnie nie zna się na interesach, ale te okoliczność zamiast pomóc przeszkadza i stwarza poważne trudności. —

— I ostatnie dwa punkty — dodał doktor Popff. — Wyrób i rozpowszechnianie eliksiru będą zorganizowane w najkrótszym czasie i powinny odpowiadać istotnym zapotrzebowaniom. To po pierwsze, a po drugie: muszę wejść do zarządu i rady nadzorczej nowoutworzonego przedsiębiorstwa, aby kontrolować ściśle wypełnianie wszystkich warunków umowy. Skończyłem.

Oparł się o poręcz krzesła i przygotował się do wysłuchania tego, co mu powie pan Cphardeia, jednak przedstawi ciel Towarzystwa Akcyjnego „Hamulec” na razie milczał. Był zaskoczony tego rodzaju warunkami. W czasie swojej pracy w „Hamulcu” przywykł od razu orientować się, z jakiego typu człowiekiem ma do czynienia. W zależności od tego wyznaczał wyższą lub niższą cenę. Wynalazcy, którzy znali się na interesach, targowali się dłużej, nowicjusze zaś zostawiali po sobie jakiś nieprzyjemny osad. Bez trudu zgadzali się na proponowane warunki i później zawsze zdawało mu się, że zrobił głupstwo i że można było ofiarować mniejszą sumę.

Natomiast to, czego żądał doktor Popff, było tak nieprawdopodobną mieszaniną naiwności i fachowości w zawieraniu umów, że pan Cphardeia nie wiedział, co ma mówić. Przecież nie może powiedzieć wręcz temu naiwnemu człowiekowi, że Towarzystwo Akcyjne „Hamulec” wcale nie po to skupuje patenty i wynalazki, aby je realizować.

Usiłował wytłumaczyć Popffowi, że żadna szanująca się firma nie zgodziłaby się na włączenie do umowy punktów wymienionych przez doktora, gdyż przemysł i rynki zbytu wcale nie są tak prostą rzeczą i że jest bardzo trudno z góry przewidzieć, kiedy będzie najkorzystniej przystąpić do produkcji i sprzedaży jego niezwykłego wynalazku.

— Dla konsumentów mój eliksir będzie zawsze potrzebny i korzystny — przerwał mu doktor Popff.

— Ależ, drogi doktorze — usiłował wytłumaczyć mu Cphardeia — musi pan wziąć pod uwagę, że każda firma liczy się przede wszystkim ze swoimi interesami, a dopiero później z interesami konsumenta. Istnieje takie bardzo ważne zjawisko, które nazywa się: „koniunktura”. Niekiedy jest ona sprzyjająca, niekiedy ujemna. Każdy człowiek interesu musi się z tym liczyć.

— Ależ bynajmniej nie zamierzam stać się człowiekiem interesu! — ponownie przerwał mu doktor Popff. — Jestem człowiekiem nauki i pragnę, by mój wynalazek został możliwie najszybciej zrealizowany.

— Otóż mnie się wydaje — mówił zmieszany Cphardeia — że skoro uczonej istotnie chce sprzedać swój wynalazek...

— Przede wszystkim chcę, by został zrealizowany!

— O ile chodzi o wysokość sumy...

— O tym będziemy mówili na samym końcu.

— Jest mi ogromnie przykro, szanowny doktorze — powiedział Cphardeia, ale obawiam się, że pańskie warunki są nie do przyjęcia dla naszej firmy.

Zrobił ruch, jak gdyby zamierzał wstać, ale wobec tego, że nie zrobiło to żadnego wrażenia na doktorze, pozostał na swym miejscu. Trzeba było chwilowo zmienić temat, aby mieć czas do namysłu. Nie mogąc znaleźć żadnego odpowiedniego tematu Cphardeia wydobyl z cygarnicy nowe cygaro i pedantycznie je zapalał.

Ale teraz doktor Popff najdokładniej zrozumiał, że jeżeli nie zastrzeże z góry wszystkich swych żądań w umowie, Towarzystwo Akcyjne „Hamulec” bynajmniej nie będzie się śpieszyło z realizacją jego wynalazku i będzie czekało aż przyjdzie „sprzyjająca koniunktura”. A przecież diabli wiedzą, kiedy ona nastąpi i czy w ogóle nastąpi?

Te sprawy miały być rozstrzygnięte bez jego udziału, na co nie mógłby się zgodzić. Chciał, ażeby ludziska mogli nabywać tanio mięso, mleko, masło, wełnę i skóry niezależnie od tego, kiedy Towarzystwo Akcyjne „Hamulec” uzna, że nadeszła odpowiednia pora wypuszczenia eliksiru na rynek. Nie czekając więc, aż pan Cphardeia zapali swe cygaro, powiedział:

— Zwracam pańską uwagę na to, że będę obstawał przy swoich warunkach.

Cphardeia na to odpowiedział:

— Jestem tylko przedstawicielem firmy. Rozstrzygnięcie należy do rady dyrektorów. Jeżeli pan pozwoli, połączę się telefonicznie z moim szefem, a my spotkamy się wieczorem. Czy nie mógłby mi pan powiedzieć, jaki jest numer rejestracyjny patentu pańskiego eliksiru?

— Patent nie został jeszcze zarejestrowany — odpowiedział w naiwności ducha Popff. — Po dokonaniu pierwszych masowych zastrzyków pojedę do biura patentowego. Nie mam nic przeciwko temu, abyśmy się spotkali jeszcze raz, uprzedzam wszakże, że to są moje ostatnie warunki, od których nie odstąpię. Chodzi jedynie o ustalenie finansowej strony. Niech pan to zakomunikuje swojemu szefowi.

Wiadomość, iż patent na eliksir nie został jeszcze zarejestrowany, przekonała ostatecznie pana Cphardeię o tym, że ma do czynienia z człowiekiem całkowicie pozbawionym zmysłu praktycznego. Nie zdradził się jednak z tym, jakie znaczenie miały dla niego słowa doktora Popffa — tym bardziej że w jego głowie powstał nowy plan działania, o którym chciał czym prędzej” powiadomić swego szefa.

Pożegnał się z doktorem i pobiegł na pocztę do telefonu.

Rozdział czwarty

*w którym jest mowa o tym, co zaproponował pan Cphardeia
po powrocie z poczty i co z tego wynikło*

Gdy w Towarzystwie Akcyjnym „Hamulec” otrzymano pierwszą wiadomość o eliksirze doktora Popffa z Bakbuku, zrozumiano od razu, że jest to wynalazek wyjątkowej doniosłości. Mógł wywołać prawdziwą rewolucję w hodowli bydła i nierogacizny oraz we wszystkich gałęziach przemysłu i handlu z nią związanych.

Wystarczy wyobrazić sobie, że prosięta, cielęta i jagnięta siedemdziesiąt razy szybciej niż zwykle będą osiągały normalne rozmiary!

Było nawet rzeczą niemożliwą wyliczyć na razie, w jakim stopniu olbrzymie oszczędności na paszy i obsłudze personelu uczynią tańszymi mięso, produkty mleczarskie, wełnę, skórę itd. Ale nawet bez tych obliczeń było rzeczą oczywistą, że dzięki temu wynalazkowi niepomiaralnie spadną ceny wszelkich produktów żywnościowych, odzieży, obuwia i mnóstwa innych artykułów pierwszej potrzeby.

Przed hodowcami bydła otwierały się nieprawdopodobne perspektywy. Tania wełna i skóra w ciągu roku lub dwóch raz na zawsze wyparłaby z rynku wszelkie bawełniane tkaniny, wszystkie surowce skóry i kosztem katastrofalnego upadku przemysłu bawełnianego doprowadziłyby do niebywałego rozkwitu fabryki przerabiające wełnę i wszelkie garbarnie. Odbiłoby się to niezwłocznie na bankach, które finansowały zagrożone gałęzie przemysłu, dokonałaby przewrotu w przemyśle konserwowym i podcięło egzystencję trustów produkujących margarynę i inne produkty przeznaczone dla ubogiej ludności.

Dyrektorzy Towarzystwa Akcyjnego „Hamulec” już z góry wyobrażali sobie, jak „królowie” mięsa, konserw, bawełny itd, zaczną ich błagać o litość, a za nimi i reszta przedstawicieli kapitalistycznego świata, jak poczną pisać przyparci do muru potentaci finansowi, jak pokornie będą nieśli do stalowych skarbców „Hamulca” wysokie wykupy, byle tylko nie ukazały się na rynku owe maleńkie ampułki eliksiru zapewniające tanią żywność ludności Argentei i całego świata.

Żaden jeszcze wynalazek nie zwiastował Towarzystwu Akcyjnemu „Hamulec” takich wprost legendarnych dochodów i takiego bogactwa jak ten.

Do Bakbuku został natychmiast wysłany Syndirak Cphardeia, człowiek niegłupi, doświadczony i pozbawiony wszelkich skrupułów. Gdy pociąg wioził go do Bakbuku, a następnie gdy oglądał mieszkańców doktorskiego chlewika i później prowadził rozmowę z samym doktorem, w biurach „Hamulca” nieprzerwanie, dzień i noc, rozpracowywano sprawę ewentualnego zużytkowania eliksiru.

Już po upływie trzech godzin posiadano dokładną listę syndykatów, koncernów, trustów i karteli, banków i przedsiębiorstw, na które w pierwszej kolejności zostanie wywarty odpowiedni nacisk, gdy wynalazek doktora Popffa przejdzie na własność Towarzystwa Akcyjnego „Hamulec”.

Że się tak stanie, nikt nie wątpił. Pan Cphardeia wyjeżdżając otrzymał instrukcję, aby się nie liczył z pieniędzmi i zgodził się na każdą sumę, gdyż nie miało to najmniejszego znaczenia w porównaniu z tymi olbrzymimi zyskami, jakie już w pierwszym tygodniu eliksir niezawodnie miał przynieść Towarzystwu.

Trzydziestego pierwszego sierpnia, mniej więcej o godzinie szóstej po południu, dosyć niepozorny dotychczas pracownik biura badawczo–naukowego, Alfred Vanderhunt, zameldował swojemu szefowi o wypracowanym przez niego planie „racjonalnego” zastosowania eliksiru doktora Popffa.

Pan Chambery wysłuchał go w milczeniu, nie odrywając oczu od zapisanej kartki papieru, po czym spojrział na stojącego obok niego skromnie Vanderhunta i zobaczył, że stoi przed nim genialny człowiek, ale ponury, z jakimś pustym, niemal ołowianym spojrzeniem, uczesany na równy jak linijka przedział, o twarzy pozbawionej zmarszczek i wyrażającej jedynie upór i pracowitość, pracowitość i upór — i nic ponadto.

Pan Chambery miał mocne nerwy i giętkie sumienie. Wystarczy powiedzieć, że nigdy nie śnili mu się wynalazcy kończący samobójstwem w następstwie „racjonalizacji” ich wynalazków.

Ale nawet pan Chambery po zaznajomieniu się z projektem Alfreda Vanderhunta przeraził się, gdy zrozumiał, że wszystkie pieniądze, jakie „Hamulec” potrafi nagromadzić dzięki eliksirowi doktora Popffa, stanowią zaledwie tysięczną część tego, co może przynieść projekt Vanderhunta.

— Dobrze — powiedział — może pan iść. Trzeba się nad tym dobrze zastanowić.

Zaledwie Vanderhunt znikł za drzwiami, gdy pan Chambery zdjął słuchawkę telefoniczną i połączył się z panem Procroostem, który podlegał jednemu tylko człowiekowi w całej Argentynie, czyli panu Primo Padrele.

— Proszę pana — powiedział Chambery — mam pewną nadzwyczajną propozycję. Czy może pan mnie zaraz przyjąć?

Ta rozmowa telefoniczna odbyła się trzydziestego pierwszego sierpnia o godzinie piątej minut trzydzieści dwie po południu. Zwracam uwagę czytelnika na tę datę, gdyż jest to jedna z najfałszywiejszych dat w historii nauki i historii narodu Argentei.

O godzinie piątej czterdzieści pan Chambery został przyjęty przez pana Procroosta. O godzinie siódmej z minutami pan Procroost został przyjęty przez Primo Padrele w jego znanym już nam gabinecie i spędził tam przeszło godzinę, po czym natychmiast udał się do biura Zarządu, zamknął się z panem Chambery i Vanderhuntem i wraz z nimi zredagował obszerną i szyfrowaną depeszę, która po piętnastu minutach znajdowała się już w biurze telegraficznym w Bakbuku czekając, aż zjawi się po nią pan Cphardeia.

Wkrótce czcigodny przedstawiciel „Hamulca” po drodze od doktora Popffa na pocztę wstąpił do biura telegraficznego. Miał stosunkowo mało czasu na rozszyfrowanie depeszy. Po dokonaniu tego podarł ją na drobne skrawki i wrzucił do klozetu. Na poczcie Bawił króciutko. Potwierdził otrzymanie szyfru, lakonicznie podał treść swych rozmów z doktorem Popffem, komunikując panu Procroostowi (do telefonu wzywał pana Chambery, ale rozmową prowadził sam pan Procroost!) o tym, że doktor Popff jeszcze nie ma patentu na swój eliksir.

To, co usłyszał w odpowiedzi, bynajmniej nie przyczyniło się do poprawienia jego humoru — ale pan Procroost najmniej interesował się humorem swoich podwładnych. Cphardeia wiedział o tym i dlatego powiedział swojemu naczelnemu szefowi, że natychmiast udaje się do doktora Popffa i skrupulatnie wypełni powierzone mu zadanie. Pan Procroost na końcu oświadczył mu, że najgorzej zawsze wy chodzą ci, którzy nie umieją wykonać odpowiedzialnych zadań. Cphardeia, który nie zatroszczył się dotychczas o zarezerwowanie sobie pokoju w hotelu, skierował swe kroki do doktora Popffa.

Tym razem nie tracił już czasu na pedantyczne obcinanie końca cygara i odgryzł je w sposób najbardziej wulgarny zębami. Taki był zdenerwowany. Zapalił cygaro i powiedział do Popffa:

— Przed chwilą rozmawiałem z moim szefem. Poinformowałem go o pańskich warunkach. Potwierdził moje słowa, że żadna firma nie przyjmie stawianych przez pana warunków.

Podczas przerwy w rozmowach doktor Popff poważnie zastanowił się nad całą sytuacją.

— W takim razie — odpowiedział — nic z tego nie wyjdzie.

— Nawet jeżeli suma, którą panu... — zaczął Cphardeia, ale doktor Popff przerwał mu szorstko:

— Pan już wie, że w tym wypadku kwestia finansowa znajduje się na ostatnim planie. Będę musiał wejść w pertraktacje z innymi.

— Żadna firma nie zgodzi się na takie ograniczenie swoich praw! Niechże pan to zrozumie! — zawołał Cphardeia, który nie tracił nadziei, że uda mu się uniknąć tych środków, które mu zaproponował jego szef.

— W takim razie zwrócę się do Ministerstwa Rolnictwa, a nawet do Rady Ministrów... — odrzekł Popff, a Cphardeia spojrział na niego z ubolewaniem, jak na aroganckiego i pewnego siebie dryblasa, który zamierza zapalić papierosa przy kraterze dymiącego wulkanu.

„Ha, niech ma później pretensję do siebie samego!” Należało wykorzystać jeszcze pewien atut, na który pan Procroost polecił zwrócić szczególną uwagę doktora Popffa.

— Dobrze więc, powiedział Cphardeia — dotychczas rozmawiałem z panem jak z człowiekiem posiadającym wynalazek, który zamierzałem nabyć na możliwie najlepszych warunkach. Niech pan pozwoli, że teraz będę rozmawiał z panem jak z uczonym.

— Nie mam nic przeciwko temu — odpowiedział oschle doktor Popff.

— Sądzę, że nie ma biologa, który nie marzyłby o tym, by stać się twórcą nowej rasy zwierząt. Prawda?

Popff wzruszył ramionami.

Cphardeia wytrzymał pauzę odpowiadającą powadze chwili i dodał z wymownym naciskiem:

— A co by pan powiedział, szanowny panie doktorze, gdybym panu zaproponował, by pan został twórcą nowej rasy, ale nie zwierząt... lecz ludzi?

Wobec tego, że oszołomiony propozycją doktor Popff nie od razu zrozumiał sens jego słów, pan Cphardeia wtajemniczył go w szczegóły planu zawartego w szyfrowanej depeszy pana Chambery.

Z początku doktor Popff nie mógł po prostu znaleźć odpowiedzi na to, co usłyszał. Gdy jednak później uświadomił sobie dokładnie treść propozycji, wstał powoli z krzesła, chwycił pobladłego pana Cphardeię za kołnierz, sprowadził go ze schodów szeroko otworzył drzwi wejściowe i wyrzucił na ulicę.

Rozdział piąty

*w którym tylko między innymi jest mowa o doktorze Popffie i aptekarzu Bambolim,
natomiast bardziej szczegółowo wspomina się o panu Cphardei*

Tej nocy doktor Popff długo nie mógł zasnąć. Chodził po swoim gabinecie tak długo, aż zaczęły uginać się pod nim nogi. Wtedy udał się do sypialni, położył się do łóżka, zamknął oczy, lecz sen uciekał od niego.

„Cóż to za nikczemność! — przypomniał sobie z wściekłością słowa Cphardei. — Jaka szatańska podłość! Że też podobne myśli mogą się rodzić u ludzi, którzy uważają siebie za inteligentów i dobrych chrześcijan! Hodować w szybkim tempie ludzi mających rozum trzyletnich dzieci!”

Przypomniał sobie argumentację Cphardei i miał ochotę ze wściekłością walić głową o mur...

„Ideały Argentei — przypomniał sobie słowa Cphardei — nasza dobra, stara Argentea, cały układ naszego życia jest narażony na niebezpieczeństwo, dlatego że robotnicy są coraz mądrzejsi, a żołnierze chcą wiedzieć, w imię czego posyła się ich na śmierć. I to jest przyczyną wszystkich rozruchów, strajków, grożącej rewolucji i niepewności, jaka ogarnia rynki i każdego przyzwoitego człowieka... Pański wynalazek, panie doktorze, może stworzyć nową rasę robotników i żołnierzy, takich, którzy nie zastanawiają się nad niczym, nie interesują się polityką, są ze wszystkiego zadowoleni i zawsze posłuszni. Byłoby to prawdziwym dobrodziejstwem zarówno dla nich jak i dla Argentei. Potęga naszej pięknej ojczyzny wzrosłaby stokrotnie, na całym świecie nie byłoby kraju, który śmiałby sprzeciwić się nam w czymkolwiek... Mam zaszczyt zaproponować panu w imieniu Towarzystwa Akcyjnego «Hamulec» i mam nadzieję, również w imieniu naszej Ojczyzny — stanowisko głównego naukowego kierownika i akcjonariusza nowego przedsiębiorstwa, które nosiłoby nazwę: «Akcyjne Towarzystwo Produkcji i Zbytu Ludzi Systemu dr. Popffa» «Popffinen United Corporation»! — oto nazwa, która w historii Argentei będzie zapisana złotymi zgłoskami!”

„Cóż to za nikczemność! Wziąć małe dziecko, zastrzyknąć mu eliksir, który ma służyć na pożytek ludzkości, i czekać aż za parę miesięcy wyrośnie z niego jakieś na pół zwierzę, na pół człowiek, — coś, co posiadając cechy człowieka służyłoby najokropniejszym celom!”

Dopiero gdy zaczęło świtać, doktor Popff nieco uspokoił się. Usiłował spokojnie zastanowić się nad nowowytworzoną sytuacją i postanowił dobrze namyślić się, zanim komukolwiek sprzeda

swój eliksir. Jeżeli zechcą dać mu potrzebne środki materialne, by sam zajął się produkcją i rozpowszechnianiem eliksiru — zgodzi się. Skłonny jest oddać za to lwią część dochodu. Jego osobiste potrzeby nie są wielkie. Jeżeli nie otrzyma potrzebnych funduszków, będzie sam wyrabiał i rozpowszechniał eliksir, jak pierwotnie zamierzał to czynić w Bakbuku.

Czyżby nie znaleźli się uczciwi finansisci, którzy chcieliby zainwestować posiadane kapitały w tak korzystnym przedsiębiorstwie i przy tym powodującym się tak szlachetnymi celami?

Kilkadziesiąt metrów od mieszkania doktora Popffa znajdował się dom, a w nim apteka. W tym właśnie domu Morgue Bamboli również długo przewracał się tej nocy na łóżku usiłując domyślić się, kim był ów przyjezdny nieznajomy, z którym tak długo konferował doktor Popff.

A może przyjechał, by nabyć prawa na eliksir? Na samą myśl o tym nieśmiały aptekarz oblewał się zimnym potem. Zasnął wreszcie nie domyślając się nawet, iż nigdy nie był tak bliski realizacji swych marzeń jak właśnie w owej chwili. Gdyby zjawił się ze swymi sześcioma tysiącami centaurów z samego rana u doktora i szczerze zaproponował mu wzięcie udziału w produkcji eliksiru, doktor Popff zgodziłby się niezawodnie, a wtedy droga do bogactw i sławy stałaby przed nim otworem. Ale nieśmiały aptekarz nie chciał być natrętny i wolał zaczekać dzień lub dwa.

Co się zaś tyczy pana Syndiraka Cphardei, to i on również zasnął tej nocy nieco później niż zazwyczaj. Po pierwsze, dlatego że długo nie mógł opanować wzburzenia i gniewu na doktora Popffa, którego w tej chwili szczerze nienawidził i którym pogardzał. Po drugie, dlatego że musiał znów udać się na pocztę i zatelefonować o ujemnym wyniku dalszych rozmów i obelgach, jakie go ze strony doktora Popffa spotkały. Cphardeia prosił, by mu niezwłocznie przekazano pieniądze niezbędne dla dalszej akcji oraz by do Bakbuku skierowano pewnego zaufanego człowieka. Po trzecie, musiał szukać hotelu, a to również wymagało czasu. Po czwarte wreszcie, Cphardeia nie mógł zasnąć, dlatego że leżąc już w łóżku wciąż obmyślał dalszy plan działania.

Obudził się o godzinie dziewiątej z rana, ogolił się i zjadł śniadanie. Odebrał pieniądze, które mu przysłano z Miasta Wielkich Żab, a pierwszą jego czynnością tego ranka było złożenie wizyty miejscowemu kapłanowi, duchownemu pasterzowi mieszkańców Bakbuku, najbardziej religijnego miasta w całej Argentei.

Syndirak Cphardeia przedstawił się jako handlowiec zamierzający osiedlić się w Bakbuku i oświadczył, iż zamierza rozpocząć swą działalność w tym mieście od aktu filantropii, prosi przeto czcigodnego kapłana, by zechciał przyjąć od niego niewielką sumą na cele dobroczynne według

własnego uznania. Któż bowiem jeżeli nie dobry i wzorowy pasterz może lepiej wiedzieć o tym, która z jego owieczek zasługuje na pomoc lepiej sytuowanego współobywatela?

Wobec tego, że czcigodny kapłan nie miał nic przeciwko rozczulającemu aktowi miłosierdzia, pan Cphardeia wydobył z pugilaresu pewną sumę, którą tylko bardzo zamożny człowiek mógłby uważać za „drobną ofiarę”.

Czcigodny kapłan wyraził głęboką wdzięczność szlachetnemu ofiarodawcy i zapytał, czym mógłby wynagrodzić ten akt prawdziwego miłosierdzia. Pan Cphardeia poprosił o książeczkę z wysoce umoralniającymi opowiadaniem i kazaniem, których, autorem był ów kapłan.

Wielebny duszpasterz spełnił jego prośbę z radością i zaprosił go na śniadanie. Cphardeia przyjął zaproszenie i obaj biesiadnicy spędzili dość dużo czasu przy stole, by porozmawiać o wszystkim, co mogło zainteresować świeżo przybyłego handlowca.

Dowiedziawszy się z ust czcigodnego kapłana o wynalazku miejscowego doktora Popffa, Cphardeia wyraził z początku ogromne zdziwienie, później zaś zupełnie usprawiedliwioną obawę, iż podobny wynalazek może zachwiać moralnymi i religijnymi podstawami miejscowego społeczeństwa. Pogląd pana Cphardea na sprawę wynalazku doktora Popffa trafił w zupełności do przekonania czcigodnemu kapłanowi.

— Ma pan słuszną rację! — zawołał czcigodny kapłan. Rozmowa; dwóch światłych mężów toczyła się na ten temat jeszcze dość długo, póki nie została całkowicie wyczerpana.

Pożegnanie było nad wyraz serdeczne i duszpasterz uroczyście zobowiązał pana Cphardeię, że nazajutrz — to znaczy w niedzielę — przyjdzie na nabożeństwo do świątyni, nad którą kapłan sprawował pieczę. Cphardeia zapewnił go, że będzie tę świątynię odwiedzał stale.

Po pożegnaniu z kapłanem Syndirak Cphardeia udał się do redakcji miejscowej gazety. W rozmowie z redaktorem z przykrością dowiedział się, że pismo walczy z wielkimi trudnościami finansowymi: brak prenumeratorów, brak ogłoszeń. Żalony stan pisma szczerze zmartwił pana Cphardeię, który, jak się okazało, nade wszystko cenił niezależność prasy, swobodę myśli i nigdy nie pozostawiał bez swojej pomocy pisma, jeżeli służyło ono prawdzie i tylko prawdzie. W danym wypadku Cphardeia pragnął — oczywiście, jeżeli szanowny redaktor nie ma nic przeciwko temu — by w „Zorzy Bakbuku” umieszczono w przeciągu kolejnych dziesięciu dni, numer po numerze, umoralniające powiastki z pewnego starego wydania, z którym Cphardeia nigdy się nie rozstaje. Ze swej strony Cphardeia byłby gotów, mając na względzie jedynie moralne dobro czytelników, zapłacić za wydrukowanie tych powiastek według taryfy obowiązującej dla ogłoszeń w tekście.

W pierwszej chwili redaktor otworzył usta ze zdziwienia, a później zaczął się rozpląwać w podziękowaniach. Cphardeia wręczył następnie redaktorowi książkę, z której należało przedrukować kilkanaście kartek, i z góry uiścił opłatę za ich umieszczenie.

Obydwaj dżentelmeni porozmawiali jeszcze około dziesięciu minut o różnych nowinkach, którymi żyło miasto, przy czym Cphardeia, jak gdyby mimochodem, wyraził zdziwienie z powodu tego, że tak niezwykle odkrycie jak eliksir doktora Popffa nie spotkało się w tak kulturalnym mieście z należytą krytyką.

Z redakcji Cphardeia udał się do jednego z największych sklepów rzeźniczych w mieście.

Byłoby rzeczą dość trudną wyliczyć wszystkie wizyty, jakie owej soboty złożył pan Syndirak Cphardeia. Do hotelu wrócił gdy zapadł zmrok, zmęczony lecz zadowolony, z portfelem, którego objętość zmniejszyła się wyraźnie. Po krótkiej rozmowie z właścicielem hotelu i wypiciu z nim kieliszka dobrego wina Cphardeia udał się do swego pokoju. Rozbierał się powoli i długo przypatrywał się przed lustrem woreczkom pod oczami, co go od dawna szczerze martwiło, po czym wsunąwszy się pod kołdrę momentalnie zasnął.

Rozdział szósty

zawierający opis tego, co zaszło następnego dnia od godziny drugiej po południu

Od dnia siódmego stycznia 1764 roku, kiedy to w Bakbuku został uroczyście spalony na stosie za konszachty z diabłem kulawy bednarz Bonfacy Boniom, trudno sobie przypomnieć wypadek, by imię Belzebuba, „Księcia Mroków”, było częściej wymawiane przez wszystkich mieszkańców tego miasta.

Mijały dni za dniami, lata za latami, a obywatele Bakbuku i innych pomniejszych miast Argentei stopniowo przyzwyczajali się do tego, że Belzebub jest tak dalece pochłonięty sprawami toczącymi się w Mieście Wielkich Żab i innych wielkich ośrodkach, iż brak mu po prostu czasu, by rozciągać swe sieci nad mniej zaludnionymi miasteczkami.

W każdym bądź razie jeszcze w sobotę drugiego września nikt w całym Bakbuku (prócz kilku furmanów—pijaków, którzy nie wchodzi w rachubę) nie wspomniał imienia diabła. Tym bardziej rażące jest to, co zaszło pamiętnej niedzieli trzeciego września.

Prenumeratorki miejscowego pisma, rozkładając pachnące drukarską farbą arkusze przy śniadaniu, przede wszystkim zwrócili uwagę na bardzo intrygujący tytuł:

O KROK OD GEHENNY

Była to starożytna opowieść o tym, jak niegdyś w czasach zamierzchłych niejaki Ambrozius Zargarum został przykładowo ukarany przez Opatrzność za odstępstwo od wiary. Wyrokiem niebios został pozbawiony żony, trzech młodych i pięknych synów, bogactwa, krewnych, przyjaciół i znajomych, następnie zaś odziany w łachmany i rzucony wraz z jedynym ocalałym synem pod płot. Każdego innego grzesznika wszystkie te nieszczęścia zmusiłyby do skruchy i kazały czym prędzej prosić zmiłowania u niebios. Ale Ambrozius Zargarum był człkiem upartym i grzesznym.

Nie okazując żadnej pokory z zuchwałością i pogardą przyjmował gorzkie wyrzuty dawnych przyjaciół i krewnych. Zuchwalstwo jego przepelniało miarę cierpliwości niebios. Ocalały syn grzesznika, młody i piękny Kadmius, młodzieniec obdarzony wszystkimi cnotami, przeziębł się

leżąc na słońcu pod płótnem, począł chorować, żaden zaś z miejscowych znachorów, upatrując w tym wyższe wyroki, nie chciał mu udzielić bezpłatnej porady.

Daremnie Ambrozius Zargarum błagał współobywateli o pomoc nie dla siebie, lecz dla swego syna. Wyroki niebios pozbawiły go bogactwa — nie miał więc czym płacić za chleb i mleko, a współziomkowie jego wiedząc, iż spotkała go słuszna kara, odpędzali grzesznika od swych domów. Wszelako Ambrozius tkwił uporeczywie w odstępstwie od wiary, a syn jego marniał z dnia na dzień i wkrótce osłabł do tego stopnia, że gdy nadeszła zimniejsza pora roku, ojciec bez trudu przeniósł go na swych rękach pod miejski most, gdzie zresztą wcale nie było Ciepłej i wiatr wiał niemilosiernie.

I oto pewnego razu przytrafiło się, że pewien przyjezdny, noszący imię Antonio, idąc nocą przez most usłyszał jęki, zszedł na dół i odnalazł Ambroziusa i Kadmiusa dygocących w nędznych łachmanach. Nie dowiedziawszy się nawet, co jest przyczyną ich nędzy, Antonio przyprowadził ich do swego domu, nakarmił, napoił, przebrał w suchą i ciepłą odzież i ułożył na pościeli.

Nikt nie wiedział, skąd przybył ów zagadkowy nieznajomy i w jakim celu osiedlił się w mieście. Wiadomo było jedynie, iż nie obcował z nikim i nie bywał w świątyni.

Gdy następnego dnia obywatele miasta przechodzili przez most, nikt nie usłyszał dobrze znajomych jęków. Podejrzewając więc, iż musiało stać się coś złego, zeszli na dół i przekonali się, że zarówno ojciec jak i syn znikli bez śladu.

Dopiero po paru dniach z przypadkowej rozmowy ze służącym przybyłego dowiedziano się, że Ambrozius i Kadmius są w domu Antonia i że Kadmius, mimo ciężkiego na nim przekleństwa niebios i braku pomocy, przychodzi szybko do zdrowia. Ale jeszcze dziwniejsze było — jak to wynikało z opowieści tegoż służącego — że Ambrozius głośno wyrażał żal z powodu braku pieniędzy na opłacenie gościny, którą mu okazał tajemniczy nieznajomy, na co ten odrzekł, iż nie ma dla niego większej nagrody od łachmanów, które zdjął z nieszczęsnego ojca i syna. Niemniej zagadkowe w tej całej tajemniczej historii było i to, że ów Antonio, zgarnawszy ubogie łachmany, rzucił je w ogień, a wtedy cała izba wypełniła się straszliwym smrodem.

Każdy z cnotliwych obywateli miasta od razu zrozumiał, jakiego pochodzenia był ów smród i kim był sam Antonio. Niezwłocznie powiadomiono o wszystkim Świętą Inkwizycję, a Wielki Inkwizytor posłał swych ludzi, ci zaś uprowadzili ze sobą Antonia, gdyż nie było już cienia wątpliwości, że pod postacią przybyłego Antonia w mieście osiedlił się Belzebub, wiodący z

niebism spór o duszę Ambroziusa i jego syna. Obydwóch Zargarumów wypędzono z domu Antonia, a dom po odprawieniu należytych modłów spalono.

I cóż się stało? Zaledwie minął tydzień, młody Kadmius, uwolniony z szatańskich więzów Antonia, znów począł chorować i p<ej paru dniach umarł na rękach swego ojca.

Upór i pycha Ambroziusa runęły, w oślepiającym blasku objawiła się prawda i pod tym samym mostem z oczyma zamkniętymi i zaciśniętymi ustami oddał ostatnie tchnienie, otoczony tłumem mnichów śpiewających pieśni na chwałę Panu Najwyższemu, Miłosiermemu, Wszechmogącemu.

Tak oto dusze Ambroziusa i Kadmiusa, które, jak to później; obliczył Wielki Inkwizytor, znajdowały się tylko o krok od Gehenny, zostały uratowane przez Świętą Inkwizycję xod wieczystej męki i potępienia, a teraz przebywają w cieniu rajskich ogrodów.

Na tym kończyło się opowiadanie wydrukowane na pierwszej stronie „Zorzy Bakbuku”.

Na następnej stronie zamieszczona była rozmowa z jednym z najbardziej „doświadczonych i znanych” lekarzy w mieście, z doktorem Loysem. Na prośbę redakcji doktor wyraził swoją opinię o „Eliksirze Bereniki” i zapowiadanych zastrzykach. Doktor Loys nie mógł stwierdzić z całą pewnością, czy stanowią one niebezpieczeństwo dla zwierząt, czy też nie, czy zwierzęta urosną, a jeżeli urosną, to czy będą długo żyły. Oczywiście, gdyby każde z tych zwierząt podlegać miało osobistej opiece doktora Popffa — wówczas doktor Loys nie wątpi, że rezultaty byłyby pomyślne. Na to jednak nie można liczyć. Jednocześnie najstarszy lekarz w Bakbuku nie mógł z całą pewnością stwierdzić, iż mięso tych w sztuczny sposób wyrosniętych zwierząt będzie jadalne i nieszkodliwe w spożyciu.

Na pierwszy rzut oka ta niewinna rozmowa nie zawierała nic takiego, co mogłoby rzucić cień na wynalazek doktora Popffa. Bo skądże mógł ten zgrzybiały lekarz, który od dawna przestał interesować się nauką, wiedzieć, czy eliksir jest szkodliwy, czy też nie? Tym bardziej że wolno każdemu człowiekowi nie dowierzać nowym wynalazkom, których skutki nie zostały jeszcze wypróbowane. Niemniej jednak intencja artykułu była jasna: miał na celu podważyć zaufanie do „Eliksiru Bereniki”, zastraszyć czytelnika, nie dopuścić do masowej akcji szczepienia.

Ci wszakże, którzy uważnie przeczytali zarówno opowieść o Ambroziusie, jak rozmowę z doktorem Loysem, zwrócili mimo woli uwagę na pewną dość ciekawą zbieżność, mianowicie na to, że w obydwóch wypadkach źródłem niebezpieczeństwa dla miasta byli obcy przybysze. W pierwszym wypadku niejaki Antonio, a w drugim — doktor Stephen Popff.

Ale przecież w pismach zdarzają się niekiedy rozmaite przypadkowe zbiegi okoliczności! Należało się liczyć z tym, że w jednym z najbliższych numerów ukażą się szczegółowe wyjaśnienia doktora Popffa. Niektórzy czytelnicy dziwili się wprawdzie, dlaczego redaktor nie zwrócił się do doktora Popffa o wyjaśnienia i nie umieścił ich obok „rozmowy”. W ten sposób ciekawość czytelników została wystawiona na zgoła niepotrzebną próbę aż do wtorku.

Niewielu jednak mieszkańców miasta Bakbuku zdawało sobie sprawę, w przededniu jakich wydarzeń znajduje się miasto.

Gdy przyszła niedziela, mieszkańcy spożyli w spokoju śniadanie, odpoczęli, ubrali się odświętnie i udali do świątyni na niedzielne nabożeństwo. Wobec tego zaś, że ktoś już zawniesu rozpoczął o tym, że czcigodny kapłan zamierza tym razem wygłosić kazanie wyjątkowej wagi, w świątyni zebrały się tłumy jak w dniu patrona Argentei, świętego Fortunata...

Po raz ostatni rozbrzmiały wspaniałe akordy organów i parafianie nie zdążyli otrzeć łez wzruszenia, gdy na wzniesieniu ukazała się postać czcigodnego kapłana i znakomitego kaznodziei.

Oczy wiernych, a w tej liczbie i obecnego Syndiraka Cphardei wpatrzone były w duszpasterza.

— Drodzy bracia!

Głos kaznodziei był cichy i smutny — słuchacze przeczuli od razu, że słowa jego zwiastują coś niezwykłego i przerażającego.

— Drodzy bracia i siostry! — z większą siłą powtórzył kaznodzieja, a tym razem w głosie jego brzmiał lęk i ból. — Żyjemy w czasach trudnych! Duchowe siły słabną w ludziach. Pokusy, które nas otaczają, są coraz większe, a cierpienia i troski, dławiąc coraz bardziej, sprawiają, że uginamy się pod ich ciężarem. Oczekujemy pomocy nie licząc się z tym, skąd ona przyjsć może. Jak dzieci cieszymy się beztrudnie z powodzenia, które niekiedy towarzyszy naszemu życiu, lecz nie zawsze zdajemy sobie sprawę z tego, jak straszliwą ceną zostało ono okupione. Wśród trosk codziennych zapominamy o naszych duszach i wtedy na drodze naszej pojawia się nieubłagany, przebiegły, niewidoczny wróg ludzkości — Szatan! Biada nam, jeżeli nie spostrzeżemy jego kowań zawniesu, bo straszliwy miecz sprawiedliwego gniewu musi spaść na nasze głowy!

Cichy szmer przebiegł wśród zgromadzonego tłumu. Szeptane słowa modlitwy zastygły na ustach. Syndirak Cphardeia był niemniej wzruszony od innych.

— Wspomnijcie, najmilsi, owe niezliczone nieszczęścia, jakie na przestrzeni wieków spadały na nasze miasto. W tysiąc sześćset szóstym roku panowała tu zaraza morowa, w tysiąc osiemset ósmym, w tysiąc osiemset sześćdziesiątym czwartym i dziewięćset drugim — cholera. Straszliwe

pożary w siedemnastym, osiemnastym i dziewiętnastym stuleciu pustoszyły miasto. Napady piratów i dzikich band ogałacały miasto z tysięcy obywateli uprowadzanych w niewolę. Trzęsienia ziemi dwukrotnie zamieniały kwitnące miasto w rumowiska. Długoletnie wojny i rozruchy następowały kolejno po sobie. Drogo musieli zapłacić nasi przodkowie za to, że nie potrafili przeciwstawić szatańskim knowaniom bastionów wiary i cnoty. Szatan jest przebiegły! „Księżę Ciemności” obiera swymi wykonawcami tych, których pożera pycha, ambicja i wygórowane mniemanie o sobie, tych, którzy ośmielili się rywalizować z boskimi prawami.

— Bracia i siostry! — zawołał złotousty kaznodzieja po chwili. — Zastanówcie się, wejrzyjcie w głąb swego życia, swych zamiarów i dążeń i osądźcie sami, czy Szatan nie osiedlił się w naszym mieście?

— Szukajmy, czy nie ma wśród nas człowieka, którego na manowce pychy wieździe Szatan, czy nie ma wśród nas człowieka, który usiłuje zmienić prawa przyrody i to, co zostało stworzone wolą Najwyższego, czy nie jest on tym, który zamierza służyć Szatanowi?

Głuche milczenie zaległo świątynię.

— Niestety, taki człowiek znajduje się wśród nas! — cichym głosem wyrzekł kaznodzieja, a wszyscy słuchacze, nie wyłączając Cphardei drgnęli, pochylając się naprzód, jak gdyby urzeczeni przekonywającą mocą tych słów. — Tak! Wśród nas znajduje się człowiek, który zapragnął przewyższyć swą mądrością Stwórcę! — W ciągu sześciu dni stworzony został świat! — zawołał kaznodzieja podnosząc głos. — W ciągu sześciu dni stworzone zostało to wszystko, co widzimy dokoła siebie, nad sobą i pod sobą: ziemia i niebo, gwiazdy i słońce, wody i ryby, ptaki, zwierzęta, owady, a koroną wszelakiego stworzenia uczyniony został człowiek po to, by głosił chwałę Stwórcy.

— I oto osiedlił się wśród nas podżegany przez moce piekielne człowiek, który zuchwale oświadcza: „Silniejszy jestem od Stwórcy. Sprawię, że zwierzęta rosnać będą siedemdziesiąt dwa razy szybciej, aniżeli im wyznaczone zostało przez Boskie Prawa!” Szaleniec ten twierdzi, iż nie ma człowieka, który nie złakomiłby się na korzyść jego odkrycia. Oto jaki jestem szlachetny! — rzecze ten człowiek — za grosze oddawać będę swój eliksir, a ubogim nawet za darmo! Nic na tym nie stracę, gdyż różnicę kosztów zapłaci mi Szatan!

— Wiecie, najmilsi, o kim mówię. Mówię o przybyłym tu do nas doktorze Stephenie Popffie! Kusi on mieszkańców naszego miasta swoim eliksirem, który nazwał imieniem żony, „Eliksirem Bereniki”, ale który właściwie jest eliksirem Szatana!

— Nie dajcie się więc złowić na tę szatańską przynętę! Bóg ustanowił dla każdego żyjącego stworzenia terminy jego rozwoju i szatańskim pomysłem jest zmieniać je! Tych, którzy uwierzyli w szatańską moc, wzywam do pokuty!

Ludzie stali jak rażeni gromem. Później zaczęły się dziać rzeczy nieprawdopodobne. Pierwsze zaczęły płakać kobiety, za nimi poszli mężczyźni.

Ktoś rozdzierającym głosem zawołał: „Na kolana!” i wszyscy zgromadzeni upadli na kolana głośno zawodząc.

Pocziwa pani Gargo również padła na kolana i modliła się żarliwie, by wybaczona została jej, biednej wdowie, gorliwość, z jaką służyła doktorowi Popffowi, by jej ciemny umysł został oświecony darem wiedzy, jak ma postępować na przyszłość. Cóż mogła ona, biedna wdowa, wiedzieć o tym, czyją wolę spełnia doktor Popff? To prawda, że uważała go za człowieka dobrego, który uratował jej syna i traktował ją dobrze. Jest teraz nieszczęśliwy, gdyż opuściła go żona. Wdowa Gargo w prostocie ducha swego sądziła, że nie można go zostawić bez opieki, że należy ugotować mu obiad i troszczyć się o niego, bo Bóg świadkiem, uważała go za wielkie dziecko!

Również i żona aptekarza Bambolego padła na kolana i prosiła Boga, by ją oświecił, czy istotnie eliksir jest dziełem Szatana i jak ma wobec tego postąpić jej mąż. Dla nich bowiem, dla jej męża i dla niej, była to ostatnia nadarzająca się w życiu możliwość dorobienia się pieniędzy, zabezpieczenia sobie starości i zapewnienia czterem urwisom jakiegoś wykształcenia.

Również właściciele sklepów z mięsem, mlekiem i jarzynami padli na kolana dziękując Opatrzności, że zesłała na ich miasto tak wiernego sługę Bożego, który w porę ocalił ich wszystkich przed niewątpliwą ruiną. Również i Syndirak Cphardeia, uprzednio podciągnąwszy w górę spodnie, poszedł za przykładem innych i myślał o tym, że na razie wszystko idzie po jego myśli, że jeżeli wypadki będą się rozwijały dalej w ten sposób, on osobiście nie będzie miał powodów do żadnych obaw.

Później wszyscy podnieśli się i skierowali do wyjścia. Wstał i Syndirak Cphardeia, strzepnął chustką od nosa kurz ze spodni. Przy wyjściu spotkał się ze złotoustym kaznodzieją. Gorąco uściskał mu rękę i zapewniał spoconego duszpasterza, że nigdy jeszcze żadne kazanie nie dało mu tak wielkiego moralnego zadowolenia. Kaznodzieja z właściwą mu skromnością zapewniał, że w miarę swych skromnych możliwości stara się wypełnić obowiązki wobec swych owieczek.

Po wymianie dalszych uprzejmości dwaj światli mężowie rozstali się — kaznodzieja śpieszył na obiad, gdyż o wpół do piątej miał wygłosić to samo przemówienie przez radio.

Syndirak Cphardeia natomiast udał się do Frygiusza Beroime, hurtowego handlarza mięsem, gdzie w urządzonych bez smaku apartamentach oczekiwał go znakomity obiad i liczne towarzystwo.

Po obiedzie panie zostały w salonie, mężczyźni zaś udali się do gabinetu gospodarza, by wypalić cygara i porozmawiać o pewnych sprawach.

Rozdział siódmy

*w którym jest mowa o tym, jak doktor Popff
spędził czas od rana do godziny czwartej po południu*

Gdy wdowa Gargo uginając się pod ciężarem straszliwych wątpliwości, jakie ją ogarnęły, przysłała pomimo wszystko do doktora Popffa, by mu przygotować posiłek, ten wiedział już o porannym kazaniu. Przeczytał również gazetę i podobnie jak wielu mieszkańców Bakbuku od godziny dziewiątej z rana do pół do trzeciej pozostawał pod wrażeniem wydrukowanej rozmowy z tym starym lisem doktorem Loysern.

Doktor od razu zrozumiał, na jaki efekt została obliczona ta rozmowa. Co za niegodziwość! Za cztery dni miały się zacząć masowe zastrzyki i oto doktor Loys usiłuje przeszkodzić temu!

Doktor Popff zatelefonował do mieszkania redaktora, lecz nie zastał go w domu. Wtedy usiadł przy biurku, by dać należną odpowiedź swemu koledze ignorantowi. Na wydrukowaną w tym samym numerze opowieść o Zargarumie doktor Popff nie zwrócił uwagi składając jeszcze jeden dowód, jak dalece obce mu były te sprawy. Nawet prostoduszny aptekarz Bamboli po przeczytaniu gazety od razu powiedział swojej żonie, że „to mu się nie podoba” i że najwidoczniej ktoś rozpoczął kampanię przeciwko doktorowi Popffowi i gra „na niżkę” wyrażając się giełdowym językiem.

A tymczasem doktor Popff pisał o swoim wynalazku i już nie myślał o doktorze Loysie. Był pewien, że gdy zostanie ogłoszony jego artykuł, wszyscy zrozumieją, że żadne niebezpieczeństwo nie grozi zwierzętom, którym zostanie zastrzyknięty eliksir.

Natarczywy dzwonek telefonu przeszkodził mu w pisaniu.

Do telefonu proszono doktora Popffa.

— Słucham — powiedział.

— Chciałbym panu zadać jedno pytanie. — Głos mówiącego był nieznanym doktorowi.

— Kto mówi? — zapytał doktor.

— Czy Szatan płaci panu od sztuki, czy miesięcznie?

— Co? — zapytał Popff. — Proszę mówić wyraźniej. Kto mówi?

— Gdzie pan poznał się z Szatanem?

— Kto mówi? O co panu chodzi? — rozgniewał się doktor. — O jakim Szatanie pan mówi?

— O jakim Szatanie? O pańskim rozkazodawcy.

— O jakim rozkazodawcy? Nic nie rozumiem. Kto mówi?

Odpowiedzi nie było. Odłożono słuchawkę. Lecz zaledwie zdążył Popff wrócić do biurka, gdy znów rozległ się dzwonek telefonu.

— Czy to doktor Popff? — Tym razem doktor usłyszał młodzieńczy głos.

— Tak.

— Więc pan jeszcze nie uciekł?

Doktor Popff z gniewem odłożył słuchawkę i wrócił do stołu, postanawiając nie odzywać się więcej na żadne dzwonki. Ale telefon dzwonił bez przerwy. Wreszcie doktor nie wytrzymał i podszedł do telefonu.

— To pan, panie doktorze? — usłyszał lękliwy głos aptekarza.

— Pan Bamboli?

— Tak, to ja, doktorze. Nie można się do pana dodzwonić.

— Nie podchodziłem do telefonu.

— Telefonuję do pana, drogi doktorze, aby panu powiedzieć, że ani ja, ani żona nie wierzymy w to wszystko, że uważamy to są nonsens... Jako kulturalni ludzie...

— W co pan nie wierzy, drogi panie? — Czy nie wie pan jeszcze o niczym?

— O co chodzi? Co się stało?

— Może pan pozwoli, że wstąpię do pana. Opowiem to panu osobiście.

— Czy jeszcze jakaś przykrość?

— Powiem to panu osobiście, jeżeli pan pozwoli, wpadnę do pana.

— Bardzo proszę.

Po paru minutach zmieszany i wyraźnie wylękniony pan Bamboli, oglądając się na wszystkie strony, czy go nikt nie widzi, wśliznął się do mieszkania doktora Popffa.

— Przyszedłem zapewnić pana, kochany doktorze, że ani ja, ani moja żona nie wierzymy w te bzdury — przemówił wreszcie odsapnąwszy.

— Jakie bzdury? O czym pan mówi?

— Nie wierzymy, że pan sprzedał swoją duszę Szatanowi — powiedział aptekarz. — Uważamy to za nonsens.

Na jego wychudłych i żółtych policzkach zakwitł ciemny rumieniec. Głowa trzęsła się na długiej szyi, a chude, bocianie nogi wyraźnie drżały. Przepelniony był tą nieśmiałą dumą, jaką odczuwa słaby człowiek, gdy nagle przekona się, że jest odważniejszy, aniżeli sam przypuszczał.

Ryzyko ze strony aptekarza Bambolego było rzeczywiście duże. Odwiedzić „sługę Szatana” po tym, gdy z ambony została wypowiedziana mu wojna, było krokiem bardzo śmiałym. Groził mu nie tylko bojkot, lecz i ruina. Ale cóż mógł poradzić na to poczciwy pan Bamboli, skoro był pewien, że doktor Popff nie jest sługą Szatana, lecz wielkim uczonym. Ktoś musiał go przecież uprzedzić o zbliżającej się katastrofie.

Z rozpalonymi policzkami pan Bamboli podzielił się z doktorem Popffem tym, co myślał o nikczemnej „rozmowie” doktora Loysa, o kazaniu i o tych wszystkich, którzy upatrują w złej pogodzie, która towarzyszyła przybyciu doktora Popffa do Bakbuku, złowieszczą przestrożę. Jak się okazało, ktoś już zdążył puścić pogłoskę, że doktor Popff kazał płacić sobie za wizyty lekarskie szczurami, a to dawało bardzo wiele do myślenia — że niemniej podejrzaną rzeczą jest zamykanie się w nocy w laboratorium, do którego nawet jego własna żona nie miała dostępu. Byli i tacy, którzy twierdzili, że warto byłoby się bliżej przyjrzeć owemu „laboratorium”. Zauważono również, że doktor Popff przez cały czas swego pobytu w Bakbuku nie był ani razu w kościele.

Gdyby z asfaltowanej jezdni przed domem doktora Popffa do pokoju, w którym siedział, przyleciał nagle z zamierzchłej epoki przedpotopowy potwór pterodaktylus, doktor Popff nie byłby chyba bardziej wstrząśnięty, aniżeli teraz, kiedy wysłuchał opowieści poczciwego aptekarza. Prawda słów pana Bambolego była tak potworna, tak nieprawdopodobna, że w takich wypadkach człowiek szczypie sam siebie, by się przekonać, iż nie jest igraszką sennych widziadeł.

— O godzinie wpół do piątej kazanie będzie powtórzone przez radio — poinformował go aptekarz i zamilkł.

Spodziewał się, iż doktor Popff zada mu mnóstwo pytań, ale len milczał. Oparłszy się o biurko i bębniąc po nim palcami doktor Popff zastanawiał się nad tym, jak należy działać. Gdyby przeciwko jego wynalazkowi wystąpiono z zarzutami o charakterze naukowym, można byłoby podjąć dyskusję. Nawet gdyby zastrzeżenia nosiły charakter ekonomiczny lub moralny — również warto byłoby się posprzeczać, ale co czynić, jeżeli w połowie dwudziestego wieku, w kulturalnym mieście kulturalnego, cywilizowanego kraju uczony zostaje oskarżony o to, że... sprzedał się Szatanowi?

Jedno wszakże było jasne: w żadnym wypadku nie wolno było stracić panowania nad sobą.

Znów zadzwonił do redaktora. Tym razem zastał go w domu.

— Tu mówi doktor Popff. Dzień dobry panu.

— Dzień dobry — odpowiedział niewyraźnie redaktor.

— Telefonowałem już dziś do pana, ale go nie zastałem.

— Jak wszyscy dobrzy chrześcijanie zwykłem w niedzielę z rana być na nabożeństwie.

— Chciałbym się z panem zobaczyć — mówił doktor Popff. — Przygotowałem odpowiedź na artykuł doktora Loysa, a poza tym chciałbym jeszcze raz dać ogłoszenie o rozpoczęciu zastrzyków Są zresztą inne sprawy, o których chciałbym z panem pomówić.

Doktor Popff zatrzymał się, ale redaktor nie śpieszył się z odpowiedzią. Słychać było, jak pyka fajką.

— Obawiam się — odezwał się wreszcie — że w przeciągu najbliższych dwóch a może i trzech tygodni będę miał mało miejsca w gazecie. Co najmniej pół kolumny muszę poświęcić pięcioraczkom, a opowiadania o charakterze wychowawczym, których druk rozpocząłem, również zajmą sporo miejsca. We wtorek mam prawie cały numer zajęty szczegółowym sprawozdaniem z dzisiejszego kazania, wygłoszonego przez naszego znakomitego kaznodzieję...

— Tak bardzo się panu podobało? — zapytał zjadliwie doktor Popff.

— Panie doktorze! — odparł surowo redaktor. — Jestem co najmniej o dwadzieścia lat starszy od pana, urodziłem się w Bakbuku i od ćwierć wieku wydaję tu swoje pismo. Nasz kaznodzieja jest dumą naszego miasta.

— A więc ta obrzydliwa i barbarzyńska nagonka na mnie podobała się panu?

— Pozwolę sobie zauważyć — oschle przerwał mu redaktor — że moje pismo jest pismem niezależnym. Jeżeli drukuję w mojej gazecie cokolwiek, to znaczy, że uważam to za słuszne.

— I wierzy pan rzeczywiście w Szatana i w to, że jestem jego sługą, i w to, że sprzedałem mu swą duszę?

— To moja sprawa, w co wierzę, i nie mam potrzeby tłumaczyć się przed kimkolwiek.

— Ale tak mówiąc między nami, przecież nikt nas nie słyszy. Niech pan będzie szczery.

— Jeżeli mam być szczery, doktorze, radziłbym panu wyjechać stąd. Czyż to mało jest innych miast?

— Mam wyjechać z powodu jakiegoś bzdurnego kazania?

— Zapewniam pana, doktorze, że to byłoby najrozsądniejsze

— Więc miejsca dla mnie w pańskiej gazecie nie ma? A czy może mi pan wydrukować afisze dla rozlepiania w mieście?

— Ogromnie żałuję, ale stan mojej drukarni i techniczne warunki są tego rodzaju, że...

— Żegnam pana, panie redaktorze! — przerwał mu doktor Popff.

— Żegnam pana, panie doktorze! — odezwał się ucieszony redaktor i szybko odłożył słuchawkę.

— A więc, ogłoszenia trzeba będzie napisać na maszynie do pisania i oddać do powielenia — oświadczył Popff aptekarzowi takim tonem, jak gdyby to była jedyna sprawa, która go w tej chwili najbardziej obchodziła.

Bamboli patrzył bezradnie na doktora.

„Ech, kochany doktorze! — myślał zaciskając swe sine wargi.— Tu nie o to przecież chodzi. Ogłoszenia takie czy inne nie zmienią sytuacji. Jeżeli ten stary wyga redaktor odmawia przyjęcia ogłoszeń, to znaczy, że sprawy stoją źle, nawet bardzo źle. Raczej należałoby pomyśleć nie o reklamie, ale o tym, by pańska sytuacja nie uległa jeszcze większemu pogorszeniu”.

Usiłował wszystkie te rozważania przedstawić doktorowi w sposób najbardziej przekonywający i logiczny. Doktor wysłuchał uważnie i odpowiedział mu:

— A więc, drogi panie Bamboli, trzeba będzie jednakże ogłoszenia o mających się rozpocząć zastrzykach wydrukować samemu! To nawet będzie zabawne, kiedyś z przyjemnością będę wspominał to wszystko.

Zdjął pokrywę ze swej niewielkiej maszyny do pisania, porozcinał arkusze papieru na połówki i wystukał ze dwa tuziny ogłoszeń. Zwinąwszy je w rolkę, wziął do ręki kapelusz i rzekł:

— Myślę, że tych ogłoszeń wystarczy dla sługi Szatana! Chciał się roześmiać z własnego żartu, ale uśmiech wypadł tak blado, że pocziwy aptekarz jeszcze bardziej posmutniał.

Uściskawszy mocno rękę panu Bambolemu Popff powiedział:

— A więc chodźmy.

Od dawna już chciał dać wyraz przyjemnym uczuciom, która żywił dla tego nieco komicznego i wzruszającego aptekarzyny. Dziś pan Bamboli przyszedł do niego bez względu na niebezpieczeństwo, na jakie narażał siebie i swoją rodzinę. Bo przecie? Morgue Bamboli przeciwstawił się otwarcie opinii całego miasta i swoich klientów w imię uczciwości, postępu i sprawiedliwości. Gdyby doktor Popff rozporządzał jakimikolwiek pieniężnymi zasobami,

niewątpliwie dopomógłby aptekarzowi wydostać się z ciążących na nim długów, ale doktor Popff nie miał pieniędzy i wobec tego postanowił odplacić aptekarzowi okazaniem mu swego zaufania.

— Drogi panie Bamboli, byłbym zapomniiał. Jest mi potrzebna pańska pomoc.

Zaprowadził aptekarza do swego laboratorium i pokazał mu sporą butlę, stojącą oddzielnie na stoliku.

— W tej butelce jest litr mojego eliksiru.

Bamboli z wielkim szacunkiem patrzył na zielonkawy, prawie przezroczysty płyn, który przypominał rozcieńczony sok owocowy.

— Jest tu równiusieńko tysiąc dawek — tłumaczył Popff. — Ale ktoś musi to rozlać do ampulek. Sam nie mogę tego zrobić, nie mam czasu. Wdowa Gargo ma czas, ale nie potrafi tego zrobić. Nie mogę powierzyć tego komuś obcemu, bo eliksir nie jest jeszcze opatentowany. Nie jest rzeczą trudną zrobić .analizę, napisać do Biura Patentowego i otrzymać patent. Jest pan jedynym człowiekiem, któremu mogę to powierzyć.

Aptekarz skłonił się w milczeniu. Zaufanie doktora uradowało go, w głębi duszy jednak myślał, że na miejscu doktora nie zaprzętałby sobie głowy rozlewaniem eliksiru, skoro parę tysięcy ampulek było już gotowych. Nie chciał jednak oponować.

Popff zawinął butlę w papier i uroczyście wręczył ją aptekarzowi, po czym obaj zeszli na dół.

Na dole spotkali zapłakaną wdowę Gargo.

— Panie doktorze, drogi panie doktorze! — zawołała, a oczy jej od razu napęłniły się łzami. — Gdyby pan wiedział...

— To nic, droga pani Gargo! — uspokajał ją doktor Popff. — Wszystko będzie w porządku, zobaczy pani.

Poszedł dalej, trzymając w jednej ręce ogłoszenia, a drugą obejmując wychudłą postać pocziwego aptekarza.

Zanim zdążył otworzyć drzwi wyjściowe, pocziwa pani Gargo uczyniła za nim znak krzyża. Z jednej strony chciała go uchronić przed groźącymi niebezpieczeństwami, z drugiej — sądziła, że gdyby istotnie doktor Popff miał być sługą Szatana, znak krzyża powinien go unicestwić bez śladu. Ale doktor Popff nie rozwiął się w nicość i pocziwa wdowa Gargo promieniała z6 szczęścia. A więc nie myliła się, gdy zapewniała moce niebieskie dziś z rana, że doktor Popff nie jest winien, że dusza jego nie została na wieki stracona!

Odetchnęła z ulgą, otarła łzy i udała się do kuchni, by przygotować obiad. Trzeba się było śpieszyć — na zegarze wybiła godzina wpół do czwartej.

Znalazłszy się na ulicy wraz z butlą eliksiru, Bamboli czym prędzej czmychnął przez na pół otwartą furtkę do swego domu. Doktor Popff natomiast skierował swe kroki do śródmieścia, do okrągłego skweru, gdzie w cieniu żółknących już drzew mieszkańcy Bakbuku korzystali z ostatnich promieni jesiennego, zachodzącego słońca.

Doktor Popff starannie przypinał pluskiewkami do większych drzew swe ogłoszenia. Obszedł dokoła cały skwerek wybierając odpowiednio widoczne miejsca.

Nowowytworzona sytuacja wymagała zastanowienia się. Przydałoby się zasięgnąć czyjejs pożytecznej rady — niestety nie było się kogo poradzić. Doktor Popff szczególnie boleśnie odczuwał w tej chwili swe osamotnienie.

Rozdział ósmy

w którym opisane są wydarzenia na skwerze

Jak już wspomnieliśmy, rozgłos, jaki sprawiło przyjście na świat pięcioraczków, zaćmił wszystkie inne sensacje. Jednakże dla wydarzeń, które miały miejsce w Bakbuku w związku z odkryciem doktora Popffa, niewątpliwie znalazłoby się miejsce zarówno na szpaltach gazet jak i w komunikatach radiowych, nie mówiąc już o ilustrowanych pismach. Znalazłoby się — gdyby nie interwencja Towarzystwa Akcyjnego „Hamulec”.

Czytelnicy zapewne domyślają się już, jak bardzo wspomniane przedsiębiorstwo było zainteresowane w tym, by o wydarzeniach w Bakbuku nigdzie nie wiedzano poza tym miastem. Nie będziemy tu wyjaśniać, jakimi metodami oddziaływało Towarzystwo Akcyjne „Hamulec” na prasę i radio — wystarczy zaznaczyć, że korespondenci, którzy pośpiesznie przybyli do Bakbuku, otrzymali od swych naczelnych redaktorów terminowe depeche z instrukcją: „Nie nadsyłać żadnych materiałów o doktorze Popffie, udać się do miasta An i obszernie informować o zdrowiu pięcioraczków”.

Reporterzy opuścili Bakbuk pociągiem odchodzącym o godzinie drugiej minut dwadzieścia po południu. Wspomniana okoliczność zmusza autora niniejszej opowieści do posługiwania się przy opisie dramatycznych wydarzeń w Bakbuku — działo się to po południu w niedzielę trzeciego września — jedynie relacją podaną mu przez wdowę Gargo, aptekarza Bambolego i kilku innych obywateli miasta, którzy zastrzegli sobie anonimowość. Zgodnie z tą relacją dalszy bieg wypadków przedstawia się następująco:

Przymocowując swe ogłoszenia na drzewach i parkanach doktor Popff znalazł się w samym środku miejskiego skweru. W pewnym oddaleniu od niego szedł jakiś korpulentny wyrostek, jak się to później okazało, młodszy syn hurtownika mięsa Frygiusza Beroime. Chłopak czerwonym ołówkiem przekreślał poszczególne wyrazy na każdym ogłoszeniu i dopisywał nowe. W rezultacie ogłoszenia miały następujące brzmienie:

NIE ZAPOMNIJCIE

*Siódmego września doktor Popff rozpoczyna
szczepienie eliksiru Szatana. Przyprowadźcie ze*

sobą cielątko, prosiaka lub jagniątko, a za parę dni będziecie posiadaczami Szatańskiej krowy, świni lub barana! Nie zapomnijcie: siódmego września! Przyjdźcie i przekonajcie się.

Doktor Popff, sługa Szatana.

Na skwerze doktor Popff zastał tłumy ludzi bądź spacerujących, bądź wypoczywających na ławkach. Wszyscy przyszli, by wysłuchać kazania, które miało być nadawane przez głośniki.

Do chwili rozpoczęcia transmisji pozostało około dwudziestu minut. Niektóre aleje były wypełnione tłumem ludzi, gorąco debatujących na temat ostatniej sensacji.

Gdy doktor Popff zbliżał się, rozmowy urywały się, a niektórzy przyglądali mu się bezczelnie z ciekawością zdrowych ludzi patrzących na ostatnie podrygi śmiertelnie chorego człowieka.

Doktor Popff zdawał sobie sprawę z tego, że to on był tematem rozmów i że będą one toczyły się nadal, gdy się oddali. Stanowczym krokiem zbliżył się do grupy spacerowiczów, którzy stali dokoła jakiegoś przygodnego mówcy. Nie miał nic przeciwko temu, by skierowano do niego pytania nawet obraźliwe — wtedy sam opowiedziałby im wszystko o eliksirze i wytłumaczył, ile korzyści przyniesie jego odkrycie ludziom. Niestety, nikt nie zwracał się do niego po wyjaśnienia, natomiast uśmiechając się zjadliwie ludzie rozchodzili się. Ilekroć zbliżał się do jakiejś grupy, powtarzało się to samo.

W pewnej chwili doktor Popff pomyślał, że najlepiej byłoby wrócić do domu — nie mógł jednak zdobyć się na to. Wyglądałoby to na kapitulację, na dowód słabości i tchórzostwa. Chciał tym ludziom pokazać, że nie traci panowania nad sobą, że jest spokojny i że przyszedł tutaj powodowany jedynie ciekawością.

Wreszcie doktor Popff znalazł wolne miejsce na ławce, kiwnął głową siedzącym na niej i usiadł. Ławka niezwłocznie opustoszała. Uciekano od niego jak od trędowatego.

Siedząc samotnie na ławce doktor Popff usłyszał naraz dźwięczny głos kaznodziei nadawany przez głośniki.

— Drodzy bracia i siostry! Dziś będziemy mówili o Szatanie i o jego sługach...

Setki oczu skierowały się w stronę doktora Popffa, który musiał zebrać wszystkie swoje siły, by utrzymać na twarzy wyraz pozornej obojętności.

— ...Zadajmy sobie trud, drodzy bracia, i poszukajmy, czy nie ma wśród nas człowieka, którego Szatan prowadząc za rękę przywiódł na ścieżkę grzesznej i niepomiernej pychy.

Wysoki mężczyzna, lat około trzydziestu pięciu, o mądrych oczach, w których migotały błyski gniewu, usiadł na ławce obok doktora Popffa. Wyjął z kieszeni dość zniszczonej marynarki tanią, niklowaną papierośnicę, otworzył ją i wyciągając w kierunku doktora Popffa, rzekł:

— Proszę.

Doktor Popff automatycznie sięgnął po papierosa, ze zdziwieniem popatrzył i zwrócił go mówiąc:

— Dziękuję panu, ja nie palę.

Nieznajomy wziął z rąk doktora papierosa, włożył go do papierośnicy, zapalił swego i puściwszy kilka kółek niebieskawego dymu burknął pod nosem:

— Czternaste stulecie... prawda?

Popff spojrział na niego. Na twarzy nieznajomego malowało się oburzenie.

— Mniej więcej — odpowiedział doktor Popff. — Zradiofonizowane średniowiecze.

— Brakowałoby tylko, aby pana spalili na stosie z ultrafioletowych promieni... lub uwiązali za nogi do dwóch raketowych samolotów... — dodał nieznajomy i uśmiechnął się zjadliwie. — Nazywam się Aneiro — mruknął po chwili i podał doktorowi rękę.

Doktor uściśnął mu rękę i z kolei rzekł:

— Nazywam się Popff, Stephen Popff.

— Wiem o tym. Jeszcze pana tu nazywają „szczurzy doktor” — mówił Aneiro bez cienia uśmiechu, a doktor w pierwszej chwili nie zrozumiał, czy należy te słowa uznać za obraźliwe czy nie. — Sądząc z tego — mówił dalej Aneiro — co mi o panu wiadomo, jest pan przyzwoitym człowiekiem i jeżeli się nie mylę, nie jest panu w tej chwili bardzo wesoło na duszy.

Aneiro znów wyjął swą papierośnicę i częstował doktora. Najwidoczniej zapomniał, że już raz to uczynił.

— Dziękuję panu, nie palę. A o ile chodzi o mój nastrój, to nie trudno się domyślić, jaki jest.

— ...Wejrzyjcie w siebie, w wasze zamiary, w wasze życie! — rozlegał się głos kaznodziei z głośnika. — Zastanówcie się i powiedzcie sami, czy Szatan nie ma swego ucznia w tym mieście!

Znów setki oczu z okrutną ciekawością skierowało się na doktora Popffa.

— Chciałbym pana uprzedzić — rzekł Aneiro — że dopiero wczoraj wypuszczono mnie z więzienia. Jeżeli pana krępuje towarzystwo „podżegacza do strajków”, to pójdę sobie.

— A ja chcę uprzedzić pana, że jestem sługą Szatana i jego miejscowym przedstawicielem — uśmiechnął się niezbyt wesoło doktor Popff. — Więc jeżeli towarzystwo sługi Szatana nie odpowiada panu, również mogę odejść.

Dopiero teraz przypomniał sobie, że w kieszeni pozostały mu jeszcze dwa ogłoszenia. Zwrócił się do Aneiro ze słowami:

— Przepraszam... ja tylko na chwileczkę.

Doktor Popff wstał z ławki i odprowadzany setką ciekawych oczu podszedł do kiosku, który stał u wylotu alei. Wyglądając ręką oba ogłoszenia, umocował je pluskiewkami na drewnianym kiosku, po czym spokojnie powrócił na swoje miejsce.

— O czym te ogłoszenia? — zapytał Aneiro.

— Przypominam, że siódmego zaczynam masowe szczepienia.

— I pan myśli, że ci ludzie po takich kawałach przyjdą do pana?

— Myślę, że całe miasto nie składa się z takich idiotów.

— Niech pan nie będzie naiwny, doktorze — wtrącił Aneiro. — W Bakbuku nie wszyscy wierzą w diabła...

— Tym lepiej.

— ...Ale niewielu jest takich, którzy zechcą zadzierać z kaznodzieją, z władzami miejskimi i publiczną opinią z powodu jakiegoś cielątka.

— Czyżby wszyscy mieszkańcy Bakbuku byli tchórzami?

— Niech się pan na mnie nie obraża... ale naiwny z pana człowiek... bardzo naiwny!

Popff nic mu nie odpowiedział.

— Jednak w tym wypadku — mówił dalej Aneiro jakby nie dostrzegając jego rozdrażnienia — zdaje się, że pan się nie omylił. Jestem przekonany, że jednak znajdzie się stu, a może i dwustu ludzi, którzy nie licząc się z niczym przyjdą do pana! Czekają pana moc roboty... tak... moc roboty. Trzeba to jakoś zorganizować, zareklamować!...

— Nie mam ani pieniędzy, ani zamiaru reklamować się. Na wynajęcie naganiaczy nie zgodziłbym się — odpowiedział Popff, któremu w pewnej chwili wydało się, że Aneiro proponuje mu swoje usługi w charakterze reklamowego agenta.

— Ma pan dość przykry charakter, doktorze — odpowiedział mu spokojnie Aneiro. — Gdybym był młodszy, może bym się rozgniewał na pana. O jakich naganiaczach pan mówi? Chodzi o to, żeby nie pozwolić tej głupiej tłuszczy zgnębić uczonego wraz z jego wynalazkiem.

— Czy ma pan coś wspólnego z nauką? — ożywił się naraz doktor Popff.

— Dość dużo — odpowiedział Aneiro spokojnie. — Jestem komunistą.

— Trzymam się z daleka od polityki — szybko dodał doktor. — Jestem naukowcem i tylko naukowcem. Zechce pan to mieć na uwadze.

— Pan jest daleki od polityki, ale polityka jest bliska pana. Zresztą nie mam zamiaru wciągać pana do polityki. Niech pan będzie o to spokojny.

Doktor Popff chciał dodać, że bynajmniej nie jest tchórzem, ale Aneiro poprosił go, by mu nie przerywał.

— Jest rzeczą prawie pewną, że jeżeli nie przeciwstawi pan tym bzdurom jakichś przekonywających dowodów, nikt na owe zastrzyki nie przyjdzie do pana. Chodzi więc o to, aby co najmniej kilkudziesięciu ludzi zdobyło się na odwagę przyrowadzenia do pana swych bydłaczków dla dokonania szczepień. I niech okaże się, że rezultaty są pomyślne... A to ci dopiero nikczemność!

Ostatnie słowa dotyczyły kazania, które wciąż jeszcze rozlegało się z głośników. Głos kaznodziei grzmiał coraz donośniej, a długoletnia wprawa człowieka, który przywykł przemawiać do tłumów, dodawała niektórym ustępom szczególnej siły przekonywającej.

— ...Wiecie, najmilsi, o kim mówię. Mówię o przybyłym tu do nas doktorze Stephenie Popffie... Nie dajcie się więc złowić na tę szatańską przynętę!

Z głośnika rozległy się uroczyste dźwięki organów, które oznajmiały koniec kazania. Gdy transmisja została zakończona, spiker radiowy odczytał komunikat miejscowej filii syndykatu paszy. Syndykat zawiadamiał, iż w związku z wynikłymi chwilowo trudnościami w ciągu najbliższych dwu miesięcy pasza będzie sprzedawana jedynie stałym odbiorcom.

— Taak — wyrzekł Aneiro patrząc ze współczuciem na doktora Popffa — chcę pana osaczyć ze wszystkich stron. Trzeba będzie jeździć po paszę na wieś. Ale to nic. Przygotujemy większy zapas pokarmu dla bydłaczków, a zastrzyki rozpoczniemy seryjnie. Grunt nie poddawać się!

Popff z wdzięcznością kiwnął głową swemu nowemu przyjacielowi. Zabrakło mu w tej chwili słów. Wszyscy dokoła wpatrywali się w— niego jakby chcąc odgadnąć, jak doktor zareaguje na ten nowy wymierzony w niego cios. Doktor Popff znów przywował na pomoc wszystkie swe siły i zachował na twarzy wyraz pozornej obojętności.

Kilku obywateli — doktor Popff poznał w nich swych dawnych pacjentów — niepewnie zbliżało się do ławki, na której siedział. Możliwe, że chcieli mu dać do zrozumienia, że ich

sympatie są po jego stronie, ale w ostatniej chwili ludzie ci, obejrzawszy się na tłum, który śledził każde ich poruszenie, przestraszyli się i nic nie mówiąc, przeszli obok doktora Popffa.

— Najlepiej by pan zrobił, doktorze, gdyby pan poszedł do domu i odpoczął po tym wszystkim — powiedział miękko Aneiro. — Grunt to dobrze się wyspać. Jeżeli pan nie ma nic przeciwko temu, jutro wstąpiłbym do pana i uradzilibyśmy, co należy czynić dalej. Warto byłoby napisać o tym wszystkim do jakiegoś pisma.

Doktor Popff miał zamiar podziękować Aneiro, nie zdążył jednak, gdyż „obok kiosku, na którym wisiało jego ogłoszenie, powstał jakiś hałas. Ludzie śmieli się głośno, słychać było okrzyki aprobaty, a nawet rozległo się kilka donośnych gwizdków.

Nie wątpiąc, iż ten wybuch wesołości ma jakiś związek z jego ogłoszeniem, doktor Popff wstał z ławki i stanowczym krokiem szedł w stronę kiosku. Tłum rozstał się i wtedy doktor Popff zauważył owego wyrostka z mało inteligentną i piegowatą twarzą, syna Frygiusza Beroime, o którym już wspominaliśmy, stojącego przy ogłoszeniu i coś przy nim robiącego.

— Co tu robisz? — zapytał doktor Popff wyrostka, któremu było na imię Manham, i chwycił go za ramię.

— To samo, co z każdym ogłoszeniem — odpowiedział zuchwale wyrostek uwalniając swe ramię od ręki doktora.

Kilku ludzi dokoła roześmiało się głupawo, reszta w milczeniu czekała na dalszy rozwój wypadków.

— Jak śmiesz niszczyć moje ogłoszenia! — zawołał doktor Popff takim głosem, że tłum mimo woli cofnął się. Manham Beroime pobladł, a Aneiro, w przewidywaniu niepomyślnego obrotu dalszych wydarzeń, zerwał się z ławki i przeciskając się przez zwarty tłum zjawił się przy doktorze w tej samej chwili, gdy ten, wyprowadzony z równowagi zuchwałością wyrostka, chwycił go za gardło krzycząc przez zaciśnięte zęby:

— Uduszę cię, ty łajdaku!

Wszystkie krzywdy i zale, oburzenie i gniew, jakie w ciągu dnia nagromadziły się w duszy doktora Popffa, znalazły swe ujście w tym nieoczekiwanym odruchu i tych nieobliczalnych słowach.

Gdyby Aneiro zjawił się parę sekund później, Manham Beroime miałby się z pyszna. Przyparty przez Popffa do kiosku dryblas trząsł się ze strachu, z oczu spływały mu łzy — nie było w nim już śladu dawnej zuchwałości. Był to po prostu chłopak, który napsocił.

— Nie warto sobie paskudzić rąk tym smarkaczem! — uspokajał doktora Aneiro. — To, na co zasłużył, nie minie go. Wystarczy, jeżeli pan opowie o tym jego ojcu, który ma ciężką rękę i twardy charakter; doświadczyłem tego na sobie.

Popff puścił Manhama, a ten, pisnąwszy jak szczur, ukrył się w tłumie.

— Bardzo panu dziękuję, panie Aneiro — rzekł zmęczonym głosem Popff. — Powstrzymał mnie pan od morderstwa.

— Więc do jutra, doktorze? — zapytał na pożegnanie Aneiro. W domu doktora Popffa oczekiwała przerażona wdowa Gargo.

— Panie doktorze, co panu jest? Czy pan nie jest chory?

— Nic mi nie jest. Jestem zmęczony. Odpocznę, niech się pani nie martwi, nic mi nie jest.

Doktor Popff położył się na kanapce, lecz długo nie mógł usnąć.

Dopiero o godzinie szóstej poczciwa wdowa obudziła go namawiając, by się posilił. Zjadł coś niecoś, wdowa udała się do domu, a on znów położył się, ale tym razem już nie w gabinecie, lecz w swojej sypialni.

Trzeba było poważnie zastanowić się nad wszystkim, co się stało, i postanowić, co należy przedsięwziąć na przyszłość.

Rozdział dziewiąty

który zawiera koniec opisu wydarzeń w dniu trzecim, września

O godzinie ósmej wieczorem zaczął padać ulewny deszcz. Ulice opustoszały. Nad miastem wisiały gęste chmury, dokoła zaległy nieprzejrzone ciemności.

O godzinie dziesiątej wieczorem niejaki Booco Sooth, niewielki człowieczek około pięćdziesiątki, natknął się w jednej z bocznych ulic na leżącego w kałuży krwi wyrostka, w którym bez trudu poznał młodszego syna miejscowego hurtownika mięsnego Beroime.

Chłopak był bez przytomności. Booco Sooth wszczął alarm, zewsząd zbiegli się ludzie, a rannego przeniesiono niezwłocznie do doktora Loysa, który na szczęście mieszkał w pobliżu. Oględziny lekarskie stwierdziły, iż przed kilkoma minutami Manhamowi Beroime zadano trzy rany nożem.

W pierwszej chwili nikt nie pomyślał o tym, by powiadomić o wypadku policję. Ojca zawiadomiono natychmiast. Wkrótce cała rodzina Beroime, z Frygiuszem na czele, przybiegła do domu doktora Loysa.

Syndirak Cphardeia, który zamierzał wyjechać z Bakbuku nocnym pociągiem, dowiedziawszy się o nieszczęściu, jakie spadło na rodzinę Beroime, przybył do domu doktora Loysa, by osobiście wyrazić współczucie swym nowym znajomym. Mocno ściskając rękę Frygiuszowi zwrócił się do jego żony:

— Niech się pani uspokoi... wszystko będzie w porządku. Zapewniam panią, że nie ma pani powodu do obaw. Życiu pani syna nie grozi niebezpieczeństwo. Doktor Loys zapewnił mnie, że za dwa tygodnie pani syn będzie zdrow. Niechże więc pani nie płacze... nie mogę patrzeć na pani łzy.

Spiczaste uszy pana Cpharded były purpurowe ze wzruszenia, policzki pobladły, a ręka, którą podawał wodę nieszczęśliwej kobiecie, drżała najwyraźniej.

— Komu potrzebna była krew mojego dziecka? Takie dobre, kochane i grzeczne dziecko! Nigdy nikomu nie zrobiło nic złego! Kto mógł mieć cośkolwiek przeciwko niemu?

— Nikt, droga pani Beroime! — zawołał Booco Sooth. — Nikli To nadzwyczajny chłopak... a jaki wesoły i dowcipny! Ubawił nas wszystkich dzisiaj na skwerze. Jedno słówko przekreślił, a drugie napisał... zamiast ogłoszenia wyszła najzabawniejsza historia! Mój Boże — pomyślałem sobie — ten chłopak ma talent! A kiedy doktor Popff zaczął go dusić... — naraz pomarszczona

twarz Booco Sooth spoważniała, a nawet nabrała uroczystego wyrazu. — Zaraz, zaraz! Moi państwo, teraz sobie przypomniałem! Jest taki człowiek, który gotów był zrobić krzywdę temu biednemu chłopakowi! Przecież dziś na skwerze doktor Popff byłby go udusił! Teraz sobie przypomniałem. Podbiegł do niego, chwycił go za gardło i...

Booco Sooth bynajmniej nie należał do małomównych. Zauważywszy piorunujący wzrok Syndiraka Cphardei, zamilkł nagle westchnął żałośnie, wyciągnął z kieszeni niezbyt czystą chustkę do nosa i przyłożył ją do swych zupełnie suchych oczu.

Dopóki Sooth nie wspomniał nazwiska doktora Popffa, nikt nawet nie pomyślał o nim, ale teraz po kolei każdy z obecnych zaczął sobie przypominać szczegóły tego, co wydarzyło się na skwerze. Przypomniano sobie również szczególnie złowrogo brzmiące w świetle ostatnich wydarzeń zdanie wypowiedziane przez Aneiro: „Nie warto sobie paskudzić rąk tym smarkaczem, to, na co zasłużył, nie minie go!”

— Niech ten przeklęty doktor nie myśli, że mu to ujdzie na sucho! — ryknął Frygiusz Beroime i wstał z krzesła tak raptownie, że wszyscy naraz zrozumieli: dosyć już słów i łez — nadszedł czas działania!

Wszyscy obecni również unieśli się ze swoich miejsc.

— Moi panowie! To rzeczywiście sługa Szatana! — stwierdził Syndirak Cphardeia, patrząc na obecnych wzrokiem, w którym malowała się głęboka troska o losy ludzkości. — Normalny człowiek nie podniósłby ręki na dziecko.

A niepoprawny Booco Sooth zapinając marynarkę na wszystkie guziki, zawołał:

— Upolujemy tego bandytę w jego własnej kryjówce!

Pan Cphardeia głośnym syknięciem nakazał mu milczenie i nadal uspokajał płaczącą panią Beroime, zaś Booco Sooth szeptem dokończył swą myśl:

— Wyciągniemy go za włosy, zawlecziemy go do więzienia!

Wkrótce potem hałas, spowodowany kilkoma samochodami, które zatrzymały się przed domem Popffa, wyrwały doktora ze snu. Uniósł głowę i przysłuchiwał się. Słyszał było, jak zatraskują się po kolei drzwiczki samochodów. Słyszał było również czyjeś stłumione głosy — po chwili ktoś zapukał do drzwi wejściowych.

Popff wyjrzał przez okno i zobaczył cztery samochody, które stały jeden za drugim przy wejściu do jego domu. Około piętnastu ludzi przybyłych samochodami stłoczyło się przy furtce i wejściowych drzwiach. Były to niezwykle zaiste postacie: żadna nie miała głowy. Zamiast głów

widniały jakieś spiczasto zakończone bryły, nakryte czapkami i kapeluszami. Wyglądało to przerażająco. Ale już po chwili doktor Popff zrozumiał, o co chodzi. Ludzie mieli na głowach kaptury. Padał deszcz, zasłonili się więc przed nim kapturami, niektórzy mieli parasole nad sobą. Pozornie było to całkowicie zrozumiałe.

Gdy jednak oczy przywykły nieco do ciemności panujących na ulicy, doktor Popff przekonał się, że nie były to zwykłe kaptury, lecz worki z wycięciami na oczy.

Walenie do drzwi urwało się. Doktor Popff usiłował przekonać siebie, że wszystko to dzieje się we śnie, ale po chwili rozległo się ponowne dobijanie się do drzwi. Tym razem było ono bardzo natarczywe.

— Kto tam? — zapytał doktor, otwierając okno.

— Otworzyć! — odpowiedział mu z dołu nieznajomy głos.

— Coście za jedni? — zapytał doktor.

— Otworzyć! Czy mamy wylamać drzwi?

— Pytam się, coście za jedni? — powtórzył doktor Popff czując, jak mimo woli zaczyna drżeć na całym ciele. — Odpowiedzcie, coście za jedni.

Zamiast odpowiedzi usłyszał trzeszczenie drzwi wywalanych przez przybyłych.

Pobiegł wtedy do telefonu, chwycił słuchawkę i połączył się z alarmowym numerem posterunku policyjnego.

— Czy to posterunek policji? Hallo... Czy to policja?

— Owszem... policja — po dłuższej chwili odezwał się czyjś uprzejmy głos. — Tu posterunek policji. Kto mówi?

— Tu doktor Popff...

— Dobry wieczór, panie doktorze... jak się pan miewa?

— Dziękuję... do mojego domu włamują się w tej chwili jacyś ludzie...

— Jacy ludzie, panie doktorze?

— Jacyś ludzie z dziwnymi głowami.

— Z dziwnymi głowami? Nie mogłeś już nic, głupcze jeden, nowego wymyślić? My ci pokażemy jak kpić z policji! To już szósty raz ktoś powtarza tego wieczora swój idiotyczny kawał.

— Ale tu doprawdy mówi doktor Popff...

Rozgniewany sierżant policji, którego istotnie już sześć razy budzono podczas nocnego dyżuru fałszywymi alarmami (miejskowa młodzież często zabawiała się w ten sposób), nie słuchał dłużej i rzucił słuchawkę.

Doktor Popff musiał przerwać rozmowę. Podbiegł do szafy chcąc zabarykadować nią drzwi do sypialni, lecz nie zdążył. Drzwi poczęły trzeszczeć, rozległ się brzęk stłuczonej szyby, do sypialni wpadło około piętnastu mężczyzn ubranych zupełnie przyzwoicie, ale każdy z nich miał na głowie niewielki worek, jakich używano do cukru, z wyciętymi w pośpiechu otworami na oczy.

— Czego tu chcecie? Coście za jedni? — zawołał doktor Popff cofając się w stronę okna. — Jakim prawem wdzieracie się da cudzego domu?

— Zaraz ci to, ptaszku, wytłumaczymy! — odpowiedział jakiś mężczyzna w błyszczących, lakierowanych pantoflach i zadał doktorowi pięścią silny cios w dolną szczękę.

Doktor runął bez przytomności na podłogę.

Sądząc z tego, co zaszło później, plan tej całej akcji był szczegółowo opracowany z góry.

Do gabinetu i laboratorium udało się niezwłocznie czterech mężczyzn i po upływie kilku minut wszystkie butle i epruwetki z „Eliksirem Bereniki” zamieniły się w stertę tłuczonego szkła. Drogocenny płyn rozlewał się po podłodze, wśród poniszczonych instrumentów i podartych papierów.

Inni dwaj bocznym wyjściem wybiegli na podwórze i uderzeniami długich noży pozarzynali w chlewiku niezwykłych wychowanków doktora Popffa, przy czym uczynili to z taką wprawą, że nie powstydziliby się jej najbardziej doświadczony rzeźnik. Trzej inni związali doktora Popffa, który wciąż był nieprzytomny, znieśli go na dół i rzucili do jednego z oczekujących samochodów.

Jeden z uczestników tego napadu, który cały czas trzymał się nieco na uboczu, korzystając z nieopisanego rozgardiaszu, zdołał zagarnąć kilka pomniejszych flakonów z eliksirem i ukryć je w głębokich kieszeniach swego płaszczka. Następnie wszedł do gabinetu doktora Popffa i począł szukać w papierach. Nie trwało to zbyt długo, gdyż od razu natknął się na pięć grubych teczek po czym związawszy je sznurkiem ukrył zrabowane materiały pod płaszczem.

Przekonawszy się, że nic ciekawego nie da się już zdobyć, ów tajemniczy uczestnik napadu westchnął z ulgą, szybko zbieg schodami na dół, wsiadł do samochodu i wpadłszy na chwilę do hotelu, by tylko zabrać walizę i zapłacić portierowi, udał się pełnym gazem na dworzec.

W ten oto sposób Syndirak Cphardeia wyjechał z Bakbuku około godziny dwunastej w nocy do Miasta Wielkich Żab. Czuł się nieco nieswojo, po raz pierwszy bowiem w ciągu swej długoletniej pracy w „Hamulcu” dopuścił się czynów karalnych sądowo.

Wiedział jednak, że nic mu nie grozi. Przede wszystkim dlatego, że działał zgodnie z instrukcjami samego Procroosta, a poza tym wiedział również, że zwycięzców się nie sędzi. Przecież wypełnił polecenie człowieka, któremu w pewnym stopniu podlega cała Argentea — pana Primo Padrele. Ponadto zaś, gdy w grę wchodzi jedna z największych transakcji dwudziestego stulecia, pewna ilość przelanej krwi i niektóre uchybienia wobec prawa stanowią taki drobiazg, że prawdziwi „ludzie interesów” nie zwracają na to zupełnie uwagi.

Gdy pociąg opuszczał dworzec, Syndirak Cphardeia zauważył przez okno łunę pożaru. Płonął dom, w którym jeszcze przed godziną mieszkał doktor Popff.

Sam zaś doktor Popff znajdował się w biurze policyjnym, dokąd został przewieziony przez rodzinę i przyjaciół Manhama Beroime.

Sierżant policji, ten sam, który nie lubił, by naigrawano się z niego, spisywał wstępny protokół: doktor Stephen Popff, trzydzieści dwa lata, żonaty, lekarz — oskarżony o usiłowanie zabójstwa Manhama, lat dziewiętnaście, ucznia, młodszego syna miejscowego hurtownika mięsnego Frygiusza Beroime.

Wraz z doktorem Popffem, jako jego współnik, aresztowany został niejaki Sancho Aneiro, niejednokrotnie pociągany już do odpowiedzialności sądowej za antyspołeczną i antypaństwową działalność.

Zgodnie z zeznaniem ojca poszkodowanego, obywatela Bakbuku Frygiusza Beroime, potwierdzonym zresztą zeznaniami innych osób, doktor Popff zabarykadował się w swoim mieszkaniu najwidoczniej w oczekiwaniu aresztowania i usiłował spalić jakieś dokumenty, co stało się powodem pożaru.

Po współnika doktora Popffa wysłano policyjne auto. Aneiro został obudzony i aresztowany.

Rozdział dziesiąty

*zawierający parę słów, mogących częściowo usprawiedliwić pana Beroime,
oraz niektóre inne dane nie pozbawione znaczenia*

Jeżeli nie liczyć Syndiraka Cphardei i Booco Sootha, wszyscy inni uczestnicy napadu byli szczerze przekonani, iż doktor Popff i Aneiro są winni przelanej krwi Manhama Beroime.

Nie znaczy to jednak, że nie dokonano by napadu na mieszkanie doktora Popffa, gdyby ów czarujący młodzieniec pozostał nietknięty. Sprawa rozgromienia i zniszczenia laboratorium doktora Popffa była zdecydowana w przededniu, podczas poobiedniej kawy u Frygiusza Beroime. Pan Cphardeia był człowiekiem dostatecznie przewidującym i doświadczonego i nie tylko nie brał udziału przy opracowaniu tych planów, lecz w ogóle nie był w nie rzekomo wtajemniczony.

Co prawda, przy stole biesiadnym, gdy między innymi poruszono sprawę „Eliksiru Bereniki”, zacny pan Cphardeia w przekonujących słowach namalował przed swymi współbiesiadnikami ponure perspektywy, jakie oczekują zarówno handel mięsem, mlekiem jak i inne gałęzie handlu w razie gdyby eliksir znalazł zastosowanie. Gdy zacny Cphardeia przekonał się z wyrazu twarzy swoich słuchaczy, że rzucone przez niego ziarno padło na podatny grunt, niezwłocznie pożegnał gości tłumacząc się, iż ma coś pilnego do załatwienia. Frygiuszowi Beroime na pożegnanie dorzucił kilka zdań nie pozbawionych głębszego znaczenia, które brzmiały jak instrukcja, lecz słowa jego były sformułowane tak nieuchwytnie, że nawet najbardziej pedantyczny sędzia śledczy nie potrafiłby doszukać się w nich jakiegokolwiek podżegania.

Beroime odprowadził swego znakomitego gościa do furtki i zapytał, czy nie będzie mógł wieczorem wpaść na chwilę do niego do hotelu. Chciał zasięgnąć jego rady. Wieczorem, w hotelu przy kieliszku wina Frygiusz Beroime przedstawił mu szczegółowy plan, który powstał w rezultacie owej poobiedniej rozmowy przy kawie.

Plan przewidywał rozwinięcie energicznej kampanii przeciwko doktorowi Popffowi i jego szatańskiemu wynalazkowi. W całym mieście będą rozlepione plakaty, które miały napiętnować sprzeczne z boskimi prawami właściwości eliksiru. Również na zamieszkałym przez doktora Popffa domku nie miało zabraknąć tych plakatów, opatrzonych cytatami z Pisma Świętego. Gdyby doktor Popff usiłował (czego należało się spodziewać) zerwać te plakaty ze ścian swego domu, nic nie zdołałoby powstrzymać bogobojących obywateli od dobitnego wyrażenia słusznego gniewu i

oburzenia. Zachodziła również możliwość, że doktor Popff pozwoli sobie na jakieś słowa obrażające uczucia religijne obywateli, a wtedy...

Jednym słowem Frygiusz Beroime nie wątpił, iż doktor Popff da się złapać na wędkę prowokacji.

Syndirak Cphardeia nie powiedział panu Beiroime ani „tak”, ani „nie”, dał mu wszakże do zrozumienia, że uważa proponowaną akcję za słuszną.

Hurtowy handlarz mięsem nie zabawił długo w hotelu. Miał zamiar odwiedzić jeszcze czcigodnego kaznodzieję oraz redaktora gazety, swego starego przyjaciela. Cphardeia nie zatrzymywał go i nie wspomniął nawet o tym, że on również zdążył dziś z rana odwiedzić każdego z nich. Niechże pan Beroime żyje w przekonaniu, że to on jest głównym i jedynym organizatorem kampanii, która już jutro z całą mocą rozpocznie się przeciwko doktorowi Popffowi.

Cphardeia rozumiał wszakże, że zdemolowanie laboratorium Popffa jest tylko połową dzieła, nawet jeżeli uda mu się zdobyć naukowe notatki doktora. Popff, którego niewątpliwy charakter zdążył już poznać, mógłby w ostatecznym razie przenieść się do innego miasta, a nawet do innego kraju i rozpocząć swą działalność od początku. Trzeba było więc wynaleźć środki, które zabezpieczyłyby całkowicie Towarzystwo Akcyjne „Hamulec” przed taką ewentualnością.

Morderstwo nie wchodziło w rachubę, aczkolwiek historia zna niemało tragicznych wypadków, których ofiarami byli wielcy uczeni. Wystarczy wspomnieć tragiczny los wynalazcy Diesla. W danym wypadku obranie podobnej drogi byłoby nie tylko ryzykowne, lecz również niecelowe. Pisma gotowe są zrobić z tego sensację, a wtedy wynalazek doktora Popffa stałby się powszechnie znany. Opatentowanie zdobytego z takim trudem eliksiru byłoby rzeczą prawie niemożliwą!

Nie mogąc zdobyć się na żadną decyzję, zacy pan Cphardeia udał się na jedno z przedmieść Bakkuku, by spotkać się z nie znanym mu osobnikiem nazwiskiem Sooth. Zarówno nazwisko jak i adres zostały mu dziś zakomunikowane zaszyfrowaną depeszą przez pana Chambery w odpowiedzi na prośbę przysłania człowieka, który „mógł mu być pomocny”.

W wydziale personalnym Towarzystwa Akcyjnego „Hamulec” zatrudniony był pewien urzędnik, w którego posiadaniu znajdowała się lista podobnych pomocników. Urzędnik ten wyjaśnił, że nie zachodzi potrzeba wysyłania kogokolwiek do Bakkuku, gdyż w mieście tym mieszka Booco Sooth. Syndirak Cphardeia może bez obawy skorzystać z usług tego osobnika, gdyż Booco Sooth jest dobrze poinformowany o tym, że Towarzystwo Akcyjne „Hamulec”

posiada dostateczną ilość tak dalece kompromitujących go dokumentów, że wystarczyłoby ich dla zapewnienia mu trzykrotnie dożywotnich ciężkich robót w więzieniach Argentei.

Booco Sooth powitał przedstawiciela potężnego Towarzystwa Akcyjnego bez żywiołowych objawów radości, natomiast okazał całkowite zrozumienie dla rozkazów, jakie otrzymał.

Pan Cphardeia polecił owemu Booco Sooth przede wszystkim dowiedzieć się, co mówią w mieście o doktorze Popffie. Odchodząc zostawił w nędznym pokoiku Sootha banknot pięćdziesięciocentaurowy. Booco Sooth czuł się niewymownie szczęśliwy.

Następnego dnia wieczorem mógł już poinformować swego rozkazodawcę o tym, co zaszło na skwerku pomiędzy doktorem Popffem a potomkiem rodu Beroime. Dalsze wypadki zarysowały się już zupełnie wyraźnie.

— Będzie pan musiał — mówił zacny pan Cphardeia cedząc słówko po słówku — będzie pan musiał...

To, co Booco Sooth usłyszał następnie, wtrąciło go w stan bliski rozpacz.

— Niechże się pan zmiłuje nade mną! — wołał błagalnie, aczkolwiek z góry wiedział, że wszystkie prośby są daremne. — Przecież mam rodzinę!

Zamiast odpowiedzi pan Cphardeia wyjął z kieszeni portfel i położył na stole dwadzieścia szeleszczących nowych banknotów.

— Jeżeli mógłbym prosić... przynajmniej trzysta drobnymi — rzekł Booco Sooth. — Nie chciałbym wzbudzać niepotrzebnych podejrzeń w sklepie.

Otrzymał trzysta centaurów drobnymi banknotami, pokwitował je na kartce wydartej z notesu pana Cphardei i udał się w celu wykonania tego nad wyraz drażliwego zadania.

Oto dlaczego Booco Sooth mógł po upływie zaledwie dwóch minut, od chwili gdy zadane zostały rany nożem Manhamowi Beroime, zawezwać ludzi na pomoc. Mógłby to uczynić również i dwie minuty przedtem.

Rozdział jedenasty

*który w zwięzłych, lecz wyczerpujących słowach ukazuje rozległość
horyzontu umysłowego Primo Padrele*

Syndirak Cphardeia powrócił do Miasta Wielkich Żab bez żadnych przeszkód. Pan Chambery niezwłocznie wezwał go do siebie, wysłuchał, jego szczegółowej relacji, odebrał od niego teczek z notatkami doktora Popffa, butle z eliksirem i osobiście, nie dowierzając nikomu, zaszył je w płótno, zalakował kilkoma pieczęciami i zamknął w kasie ogniotrwałej. Primo Padrele wyraził życzenie zaznajomienia się z dokumentami, które Towarzystwu Akcyjnemu „Hamulec” miały przynieść niebywałe korzyści.

Należy dodać, że wzmianka o jakimś Aneiro nie zainteresowała pana Chambery. Nie zainteresował się nim również i pan Procroost, który powitał Syndiraka Cphardeię nad wyraz mile obiecując przy pierwszej sposobności zameldować Primo Padrele o wzorowo wypełnionym przez niego zadaniu.

Pan Procroost zdziwił się niepomiarnie, gdy Primo Padrele, nie czekając na jego raport, przysłał Ogastesa Carba po wiadomy pakiet.

Jak już wiemy, Primo Padrele spalił wszystkie notatki dotyczące jego brata Aureliusza oraz wszystkie zdjęcia dokonane przez doktora Popffa. Dopiero gdy naocznie przekonał się, że po tym wszystkim pozostała jedynie garstka popiołu, udał się do siebie, by przebrać się na uroczystość familijną.

Rankiem następnego dnia, a więc o tej samej porze, gdy pociąg, którym jechał Aureliusz Padrele, zatrzymał się na peronie dworca w Bakbuku, Primo Padrele w obecności Procroosta wysłuchał w swym gabinecie szczegółowej relacji Syndiraka Cphardei. Wyraził zadowolenie z pomyślnie spełnionej przez niego misji oraz polecił mu wypłacić znaczną sumę w charakterze premii. Następnie Padrele starszy wstał dając do zrozumienia, że audiencję uważa za skończoną, przy czym nie pozwolił nawet wzruszonemu Cphardei na wyrażenie uczuć jego prawdziwej wdzięczności i lojalności.

Gdy Cphardeia był już przy drzwiach, Primo Padrele zatrzymał go.

— Czy pan jest pewien, że ten... Sancho Aneiro jest komunistą?

— Absolutnie. Mam dokładne informacje.

— Dziękuję panu, może pan odejść.

W tej właśnie chwili dalszy los Sancho Aneiro i los Stephena Popffa był przesądzony. Primo Padrele już jasno zdawał sobie sprawę, jaką drogą powinien potoczyć się przyszły proces nad tymi, którzy dokonali zamachu na życie Manhamia Beroime.

Komunistyczny działacz jako podżegacz i uczestnik zabójstwa! Znakomicie! Na wiosnę miały się odbyć wybory do prowincjonalnych organów samorządowych. Padrele starszy był bezpośrednio zainteresowany w wyniku tych wyborów.

Postanowił rozpocząć kampanię przedwyborczą od ciosu, jaki zada komunistycznej partii wchodzącej w skład Ludowego Frontu Argentei.

Rozdział dwunasty

w którym są przytoczone protokoły pierwszego przesłuchania Popjfa i Aneiro i innych osób

„...Trzeciego września. Ja niżej podpisany, dyżurny sierżant posterunku policji w mieście Bakbuku, przeprowadziłem następujące przesłuchanie doktora Stephena Popjffa, oskarżonego o usiłowanie zabójstwa Manhama Beroime, syna miejscowego hurtownika mięsnego i właściciela rzeźni, Frygiusza Beroime.

Zgodnie z oświadczeniem doktora Loysa usiłowanie zabójstwa miało miejsce trzeciego września około godziny dziewiątej minut czterdzieści wieczorem na ulicy Wszystkich Świętych. Poszkodowanemu zostały zadane trzy rany nożem w prawe ramię i w plecy.

Doktor Popjff zeznał co następuje:

Nazywam się Stephen Popjff, skończyłem trzydzieści dwa lata, żonaty. Zajmuję się praktyką lekarską i w wolnych chwilach pracą naukową. Urodziłem się w mieście Begum. Ojciec mój, który był redaktorem miejscowej gazety, zmarł przed czterema laty.

Manhama Beroime nie znałem aż do dzisiejszego dnia i nic o jego istnieniu nie wiedziałem. Jego nazwisko usłyszałem w związku z napadem dokonany na niego dopiero teraz na posterunku policyjnym, gdy oskarżono mnie o usiłowanie zabójstwa, czemu kategorycznie zaprzeczam.

Z Manhamem Beroime zetknąłem się jeden raz, a mianowicie dzisiaj o godzinie trzeciej po południu na skwerze. Zauważyłem, iż Beroime pozwolił sobie robić niepoehlebne dla mnie zmiany na wywieszonym przeze mnie ogłoszeniu o terminie rozpoczęcia szczepień. Zapytałem go, czemu to robi. Otrzymałem od niego odpowiedź, której ton i treść uważałem za niewystarczające. Wyprowadzony z równowagi arogancją Beroime, pod wpływem chwilowego wzburzenia istotnie chwyciłem go za gardło, mówiąc: «Zaduszę, cię, łajdaku».

Groźby tej nie wprowadziłem w czyn dzięki interwencji pana Aneiro, którego przypadkowo poznałem na skwerze przed dziesięcioma minutami. Wspomniany Sancho Aneiro powiedział wtedy: «Nie warto sobie brudzić rąk tym smarkaczem. To, na co zasłużył, nie minie go».

Gdy puściłem Manhama Beroime, Sancho Aneiro dodał: «Wystarczy, jeżeli pan opowie o tym jego ojcu, który ma ciężką rękę i twardy charakter; doświadczyłem tego na sobie».

Skąd Sancho Aneiro wiedział o surowym charakterze Beroime, nie jest mi wiadomo, nie uważałem za właściwe rozpytywać go o to. Pożegnaliśmy się przy furtce mego domu i

umówiliśmy się na następny dzień po południu. Od tego czasu nie widziałem go. Również nie widziałem Manhama Beroime, nie szukałem spotkania z nim i nie planowałem napadu na niego.

Po powrocie ze skweru do domu nie wychodziłem, aż do chwili kiedy zostałem napadnięty przez grupę ludzi, którzy dla zamaskowania mieli na głowach worki z wycięciami dla oczu. Ci nieznani mi ludzie wyłamali drzwi mojego domu. Jeden z nich uderzył mnie w szczękę tak, że straciłem przytomność. Z jakiej przyczyny w moim domu powstał pożar — nie jest mi wiadomo...

Sancho Aneiro zeznał co następuje:

Nazywam się Aneiro, na imię Sancho. Mam trzydzieści pięć lat, żonaty. Bezwyznaniowy. Mam troje dzieci. Urodziłem się w Bakbuku. Mój ojciec był stolarzem. Z zawodu jestem ślusarzem mechanikiem. Moja przedostatnia posada: mechanik garażowy. Ostatnia — mechanik w rzeźni Frygiusza Beroime.

Do odpowiedzialności sądowej byłem pociągany trzy razy: pierwszy raz w mieście Joujar za organizowanie strajku szoferów, uznanego za nielegalny. Zostałem skazany na sześć miesięcy więzienia. Karę odbyłem w więzieniu miejscowym. Po raz drugi — w Mieście Wielkich Żab za namawianie do pobicia łamistrajków. Zostałem skazany na rok ciężkich robót. Karę odbyłem w sto osiemnastym więzieniu. Po raz trzeci — w mieście Bakbuku za zorganizowanie strajku w rzeźni „Wielka Argentea”, należącej do Frygiusza Beroime. Zostałem skazany na dziewięć miesięcy więzienia. Karę odbyłem w miejscowym więzieniu, skąd zostałem zwolniony po odsiedzeniu całego terminu kary w dniu drugim września bieżącego roku.

Poszkodowanego Manhama Beroime oczywiście nie znałem, ale widziałem go niejednokrotnie. Żadnych uczuć przyjaźni lub nieprzyjaźni, a tym bardziej nienawiści do niego nie czułem i nie czuję. Szczerze żałuję, iż padł on ofiarą tego bezmyślnego napadu. Nie tylko nie podżegałem doktora Popffa do gwałtu nad poszkodowanym, lecz, przeciwnie, powstrzymałem go i dałem możliwość Manhamowi Beroime oddalić się bez szwanku.

Przyznaję, że powiedziałem przy tym doktorowi Popffowi te słowa: «Nie warto sobie brudzić rąk tym smarkaczem. To, na co zasłużył, nie minie go». W słowach tych jednak nie należy dopatrywać się żadnego innego sensu, prócz tego, który wyraziłem.

Spodziewam się, że doktor Popff potwierdzi, że potem dodałem jeszcze parę słów, z których wynikało, że najzupełniej wystarczy, jeżeli młody Beroime otrzyma od ojca lanie, na które zasłużył.

Kategorycznie protestuję przeciwko jakimkolwiek usiłowaniam przypisania mi udziału w napadzie na Manhama Beroime. Jako komunista” jestem zasadniczym przeciwnikiem indywidualnego terroru.

Z doktorem Popffem zawarłem znajomość dopiero dzisiaj, mniej więcej piętnaście minut przed incydem z Manhamem Beroime, i jestem przekonany, iż on również nie ma nic wspólnego z napadem. Słyszałem już dawniej o doktorze Popffie, poza tym na podstawie osobistej znajomości z nim wyrobiłem sobie przekonanie, że doktor Popff jest przyzwoitym człowiekiem, wykształconym i bezinteresownym lekarzem, a także wybitnym uczonym.

Wkrótce po zejściu na skwerze wróciłem do domu i zjadłem obiad z moją rodziną. Od godziny szóstej wieczorem do wpół do dziewiątej byłem z wizytą u mojego sąsiada Ignazio Matedro, co może poświadczyć zarówno on sam jak i członkowie jego rodziny, o wpół do dziewiątej wróciłem do domu i około dziesiątej położyłem się do łóżka.

O zamachu na życie Manhama Beraimei dowiedziałem się dopiero na posterunku policji...

Ojciec poszkodowanego, Frygiusz Beroime, zeznał co następuje:

Nazywam się Beroime Frygiusz. Lat pięćdziesiąt osiem, mam czworo dzieci, jestem właścicielem rzeźni «Wielka Argentea» i sześciu sklepów mięsnych, jestem radnym miejskim i wiceprzewodniczącym Rady Parafialnej.

W sprawie usiłowanego zabójstwa mojego młodszego syna Manhama składam następujące zeznanie:

Dziś około godziny dziewiątej wieczorem zostałem powiadomiony, iż mojego syna Manhama znaleziono bez przytomności na ulicy Wszystkich Świętych z trzema ranami zadanyymi nożem oraz że został przeniesiony do doktora Loysa. Po przybyciu do mieszkania doktora wraz z członkami mojej rodziny oraz niektórymi moimi przyjaciółmi zastałem swego syna rannego i bez przytomności.

Ci, co byli świadkami zejścia na skwerze, nie mieli najmniejszych wątpliwości, kto mógł podnieść zbrodniczą rękę na mego syna. Prorocze słowa naszego kaznodziei o doktorze Popffie sprawdziły się wcześniej, aniżeli można się było spodziewać. Sługa Szatana, jakim, moim zdaniem, jest niewątpliwie wspomniany doktor Popff, nie zadowolił się swym bezbożnym wynalazkiem, lecz postanowił podnieść rękę na młodzież w naszym mieście i wybór padł na mego młodszego syna.

Nie dziwi mnie bynajmniej, że jego najbliższym współnikiem okazał się Sancho Aneiro, który niejednokrotnie namawiał robotników mojej rzeźni do wkroczenia na drogę zbrodniczych strajków i który nienawidził mnie za to, że został ukarany dziewięcioma miesiącami więzienia za swą występłą działalność. Dopiero wczoraj wyszedł z celi knując niezawodnie w duszy plan zemsty przeciwko mnie i mojej rodzinie.

Obawiając się, iż wspomniany doktor Popff zechce, korzystając z nocy, uciec z miasta, wsiedliśmy do samochodu wraz z czternastoma innymi przyjaciółmi i udaliśmy się do domu doktora Popffa, by nie pozwolić mu na wymknięcie się z rąk sprawiedliwości.

Na wielokrotne pukanie do drzwi i nasze wezwania doktor Popff odmawiał wpuszczenia nas. Płomienie, jakie ukazały się w oknach jego domu, w którym nie paliło się światło, wyjaśniły nam powód jego odmowy wpuszczenia nas do domu. Zaskoczony znieca, nie mając widocznie czasu, aby ukryć w bezpiecznym miejscu kompromitujące go dowody szatańskiej działalności, doktor Popff postanowił zniszczyć swe laboratorium i spalić je wraz z domem, który nie był jego własnością i był jedynie wynajmowany u wdowy po doktorze Prado.

By przeszkodzić mu w doprowadzeniu do końca tego zbrodniczego planu, byliśmy zmuszeni wyłamać drzwi. Dopiero po związaniu doktora Popffa, stawiającego zaciekły opór, mogliśmy przystąpić do gaszenia ognia. Jednak było już za późno. Pożar wybuchł w kilku miejscach i dom spłonął przed przybyciem straży ogniowej.

Świadek Booco Sooth.

Nazywam się Booco Sooth. Wiek lat pięćdziesiąt dwa, żonaty. Mam dwudziestodwujęcioletnią córkę, która mieszka wraz ze mną. Urodziłem się w mieście Tuberoza. W Bakbuku mieszkam od trzech i pół lat. Z zawodu — makler i prywatny doradca sądowy. Sądzony dwa razy. Uniewinniony z powodu braku podstaw.

W sprawie usiłowania zabójstwa Manhama Beroime zeznaję, co następuje:

Poszkodowanego osobiście nie znałem, ale niejednokrotnie słyszałem o nim, jako o bardzo dobrze wychowanym, przyzwoitym, młodym człowieku, pełnym radości życia. Ani doktora Popffa, ani Sancho Aneiro nie znam. Z członkami rodziny poszkodowanego spotkałem się po raz pierwszy dziś w domu doktora Loysa.

Również dzisiaj po raz pierwszy widziałem poszkodowanego Manhama Beroime na skwerze i byłem świadkiem tego, jak doktor Popff usiłował go zadusić. Słyszałem również słowa Sancho Aneiro: «To, na co zasłużył, nie minie go».

Tego samego dnia około godziny dziewiętej minut czterdzieści, wracając ulicą Wszystkich Świętych z restauracji „Złote Runo”, gdzie bywam niekiedy, natknąłem się w ciemnościach na leżącego w stanie nieprzytomnym, w kałuży własnej krwi Manhama Beroime. W odległości jakichś stu metrów słychać było czyjeś szybko oddalające się kroki. Obawiając się, iż ofiara napadu może umrzeć z powodu upływu krwi, nie puściłem się w pogoń za nieznajomym lub też nieznajomymi. Przy pomocy mieszkańców pobliskich domów, którzy zbiegli się na mój alarm, udało mi się niezwłocznie przenieść rannego do doktora Loysa, który natychmiast okazał mu pomoc lekarską.

Do złożonych powyżej zeznań nic ponadto dodać nie mogę.

Manham Beroime, który odzyskał przytomność późną nocą, zakomunikował czuwającemu bez przerwy przy jego łóżku sędziemu śledczemu, iż parę chwil przedtem, zanim zadane zostały mu rany, usłyszał za sobą czyjeś skradające się kroki i nieznany głos, który szeptem powiedział: «doktorze... nie zwlekać. Ktoś idzie!»,

Rozdział trzynasty

z którego dowiadujemy się o dalszych losach Aureliusza Padrele

Piątego września wieczorem Aureliusz Padrele przybył z miasta Wielkich Żab do Bakbuku.

Już na dworcu spadła na niego wiadomość o aresztowaniu doktora Popffa. Od aptekarza Bambolego, do którego zwrócił się jako do najbliższego sąsiada doktora, dowiedział się o szczegółach tego wszystkiego, co zaszło owej bogatej w wydarzenia niedzieli trzeciego września.

Należy dodać, że i aptekarz, i Padrele, który zachowywał w tajemnicy swoje nazwisko i znajomość z doktorem Popffem, wywarli niezbyt korzystne wrażenie na sobie.

Zwłaszcza uraziła skromnego pana Bambolego pyszałkowatość przyjeźdnego i pogarda przebijająca z każdego zdania zarówno dla jego rozmówcy, jak i dla samego doktora Popffa. Przy tym Aureliusz Padrele bynajmniej nie ukrywał, iż nie bardzo wierzy w niewinność doktora.

— To diabelnie pewny siebie i niezrównoważony człowiek — powiedział. — Tacy ludzie są zdolni do wszystkiego.

— Nawet do tego, aby spalić swój dom wraz z laboratorium i wszystkimi naukowymi notatkami? — zawołał z oburzeniem Bamboli.

Na te słowa Aureliusz Padrele zemdlał i runął na ziemię. Ocknął się dopiero wtedy, gdy wylękniony aptekarz przytknął mu do nosa ogromną butlę z amoniakiem.

Pocziwy Bamboli pomógł mu wstać i posadził go na krześle.

— Z wszystkimi naukowymi notatkami? — zapytał Padrele. — Czy pan jest pewien, że one też się spaliły? A może policja zdążyła je wynieść?

— Policja przybyła po straży ogniowej, a zresztą straż ogniowa też nie miała już nic do roboty.

— Więc to tak! Więc to tak! — gorączkowo bełkotał Padrele patrząc na Bambolego nie widzącymi oczyma. Ścisnął głowę swymi wypiełgnowanymi rękami i kiwając się powtarzał raz po raz: „Więc to tak! Więc to tak!”

Bamboli ze zdumieniem patrzył na tego dziwnego człowieka. Co to za jeden? Dlaczego tak spokojnie przyjął wiadomość o tragicznych przejściach doktora, a przejął się tak bardzo zniszczeniem jego notatek? Doktora uwolnią przecież kiedyś z więzienia i wtedy będzie mógł zrekonstruować swoje notatki. Najważniejsze, by zdjęto z niego to straszliwe oskarżenie i przywrócono mu wolność. Pocziwy aptekarz zamilkł.

Nagle nieznajomy przestał się kiwać i zapytał:

— Czy pan nie wie, gdzie mógłbym znaleźć panią Popff?

— Możliwe, że u wdowy Gargo — odpowiedział Bamboli. — Jeżeli już nie wyjechała. Miała zamiar wyjechać do swych rodziców.

Tym razem poczciwy aptekarz nie powiedział prawdy. Wiedział, gdzie jest Berenika. Wróciła ona do Bakbuku parę godzin wcześniej i siedziała w towarzystwie aptekarza i jego żony. Gdy spojrzawszy przez okno zauważyła Aureliusza wysiadającego z samochodu, ukryła się w głębi pokoju. Właśnie w tej chwili, kiedy przeżywała głęboko tragedię męża i czyniła sobie bolesne wyrzuty, widok Aureliusza Padrele był dla niej szczególnie nieznośny, nawet wstrętny. Nie wątpiła, że przybył do Bakbuku po nią.

— Na miłość Boską! — zawołała do aptekarza. — Gdyby ten człowiek zapytał o mnie, niech pan powie, że nie wie, gdzie ja jestem, że poszłam do pani Gargo... albo jeszcze lepiej, że wyjechałam do swoich rodziców.

Od wdowy Gargo, która z nietajoną obawą i bardzo zimno powitała Aureliusza, nie udało mu się uzyskać żadnej pocieszającej wiadomości. Sądząc ze wszystkiego, dokumenty i fotografie, które miały mu przywrócić imię, majątek i miłość brata, istotnie zginęły w ogniu. Zwrócenie się do doktora Popffa, który przebywał w więzieniu, było rzeczą nie tylko trudną, lecz i bezcelową. Jakie znaczenie w tak ważnej sprawie, jak wejście w posiadanie połowy majątku firmy „Bracia Padrele”, mogło mieć oświadczenie człowieka siedzącego w więzieniu i oskarżonego o zbrodnię.

Aureliusz Padrele chciał jednakże zabrać ze sobą do Miasta Wielkich Żab bodaj byle jaki dokument, który mógłby przedstawić swemu bratu.

— Droga Pani Gargo — Aureliusz zwrócił się możliwie najbardziej łagodnie do wdowy — tak się złożyło, że muszę mieć czyjeś poświadczenie o tym, że spędziłem w domu doktora sześć tygodni, zanim nie urosłem. Czy mogłaby mi pani podpisać takie oświadczenie? Wiem, że jest pani w dość ciężkim położeniu materialnym i chętnie wynagrodziłbym pani tę drobną przysługę.

— Ja o niczym nie wiem — odpowiedziała wymijająco wdowa — pomagałam pani doktorowej przy gospodarstwie i tyle. Ja jestem prosta, niewykształcona kobieta.

Wdowa Gargo pod żadnym pozorem nie podpisałaby żadnego takiego poświadczenia. Przecież uroczyście przyrzekła doktorowi, że nigdy nie piśnie słówkiem o pobycie Aureliusza Padrele w jego domu. Wdowa Gargo należała do ludzi, których żadna siła nie mogła zmusić do złamania danego przyrzeczenia.

Stało się więc tak, że Aureliusz Padrele z pustymi rękami wyjechał nocnym pociągami z Bakbuku w drogę powrotną.

Szóstego września zatelefonował z hotelu do swego brata.

— To ty, Primo? — zapytał, gdy szef firmy podszedł do telefonu. — Dzień dobry, to ja Aureliusz. Właśnie wróciłem...

Primo Padrele, nie odpowiadając, odłożył słuchawkę.

Aureliusz zatelefonował powtórnie. Nikt nie odpowiadał. Zaczekał parę minut i znów zatelefonował. Do telefonu podszedł służący i powiedział, że pana Primo Padrele nie ma w domu.

Nie było go w domu i po upływie godziny, pięciu godzin i nazajutrz. Wtedy Aureliusz Padrele zabrał się do napisania listu, w którym przedstawił wszystkie niepowodzenia, z jakimi spotkał się w Bakbuku, i dopiero później zrozumiał, że nie jest w stanie czekać tak długo, aż list dojdzie do adresata i aż dostanie od niego odpowiedź. Nie dokończony list włożył do kieszeni i wyszedł z hotelu z mocnym postanowieniem zobaczenia się jeszcze dziś wieczorem z Primo.

Nie wpuszczono go jednak do domu, w którym urodził się i spędził całe życie. Oświadczone mu, iż pan Primo Padrele prosi natrętnego nieznajomego, by go zostawił w spokoju i nie zmuszał do wzywania pomocy policji.

Przed nosem Aureliusza zatrzaśnięto drzwi. Znalazł się na ulicy. Zaczął padać deszcz. Zimno było coraz bardziej dokuczliwe, ale Aureliusz nie chciał odejść, zanim nie zobaczy się ze swoim bratem.

Zziębnięty i przemokły czekał około siedmiu godzin i wreszcie doczekał się. Bezszumnie zajechała przed bramę dobrze znana mu limuzyna, a wkrótce z domu wyszedł Primo Padrele w towarzystwie dwóch nieodstępnych detektywów, bez których nie ruszał się na krok z domu.

— Primo! — zawołał Aureliusz rzucając się ku niemu. — Ci durnie nie puszczają mnie do ciebie, a ja muszę...

Jeden z aniołów stróżów nie mówiąc ani słowa odepchnął mocnym uderzeniem Aureliusza, drugi tymczasem otworzył drzwiczki samochodu i Primo z kamiennym wyrazem twarzy usadowił się w nim.

— Primo! — krzyknął zrozpaczony Aureliusz zrywając się na równe nogi, nie zważając, iż z rozbitego nosa płynie mu krew. Pięściami zaczął walić w okna maszyny.

Wtedy jeden z detektywów siedzący obok szofera opuścił okno i wystrzelił kilka razy do Aureliusza z rewolweru.

Aureliusz upadł. Żył jeszcze, ale był nieprzytomny.

Z domu wybiegli ludzie, a Primo, któremu nagle nogi odmówiły posłuszeństwa, z trudem wysiadł z samochodu i usłyszał coraz bardziej słabnący głos brata.

— Primo... nie odchodź... Primo... spójrz na mnie.

Szef firmy „Bracia Padrele”, blady jak płótno, drżąc na całym ciele nachylił się nad ciałem brata, dokoła którego rozlewała się coraz szerzej kałuża krwi. Twarz Aureliusza pożółkła, nieco przypłaszczony, tak charakterystyczny dla rodu Padrele nos zaostrzył się i teraz Aureliusz był jeszcze bardziej podobny do swego pradziada Uriasza.

— Umieram... — ledwie dosłyszalnym głosem szepnął Aureliusz patrząc z tklivością na twarz swego brata, która pokryła się dużymi kroplami potu. — Czy teraz też nie wierzysz, że to ja, twój brat, Aureliusz? Zrozum... jestem Aureliusz... chciałem ci zrobić niespodziankę, a zamiast tego...

Zamilkł, a po jego twarzy, coraz bardziej woskowej i nieruchomej, spływała samotna łza.

Primo Padrele nie przypuszczał, że zrobi to na nim tak straszne wrażenie. Dopiero przed kilkoma minutami spokojnym głosem uprzedził swych aniołów stróżów o tym, że jakiś podejrzany człowiek czatuje na niego na ulicy i że muszą mieć się na ostrożności. Zdawał sobie oczywiście sprawę z tego, jak ci dwaj dobrze wytrenowani stróże jego życia zrozumieją te słowa i jak postąpią w razie potrzeby. Ale w tej chwili zdawało mu się, że dałby wiele za to, by nie było tych straszliwych wystrzałów i tego człowieka — jego brata i współwłaściciela firmy — konającego na zimnych płytach chodnika.

— Na co czekacie! — krzyknął Primo — nieście go na górę! o Boże... to straszne! Sprowadźcie natychmiast lekarza!

Aureliusza wzięto na ręce i po raz ostatni w jego życiu drzwi rodzinnego domu rozwarły się przed nim. Primo siedł obok i podtrzymywał głowę brata, który patrzył na niego coraz bardziej mętniejącym, lecz szczęśliwym wzrokiem i szeptał:

— Jaki jestem szczęśliwy... Primo... Teraz już mnie poznałeś? Jestem Aureliusz, twój brat...

— Ależ tak, mój drogi — odpowiedział mu Primo. — Wyleczymy cię... zobaczysz, jak nam będzie dobrze razem...

— Tak... Tak — mówił słabnącym głosem Aureliusz. — Nie poznałeś mnie w pierwszej chwili... Ale teraz wiem... ty mnie uratujesz... wierzę, że mnie...

Aureliusz Padrele nie zdążył dokończyć tego zdania, wyprężył się, westchnął i znieruchomiał.

Przybyli lekarze mogli jedynie stwierdzić śmierć Aureliusza Padrele.

Wkrótce zjawiał się komendant policji Miasta Wielkich Żab i spisał odpowiedni akt. W kieszeniach zmarłego znaleziono paczkę pieniędzy, list jakiejś damy, podpisany inicjałami B. P. i nie dokończony list, który wreszcie doszedł do adresata.

— Czyż można było wyobrazić sobie coś podobnego! — zawołał w przystępie niepohamowanego bólu Primo Padrele zwracając się do szefa policji. — Któż mógłby uwierzyć, że ten wysoki, barczysty mężczyzna, który chciał zobaczyć się ze mną, jest doprawdy moim bratem? Że jakimś niezwykłym, cudownym, sposobem nagle urósł! O, Boże, jakie to okropne! Nigdy, nigdy nie potrafię sobie tego darować!

Szef miejscowej policji uważał za swój chrześcijański obowiązek wyrazić słowa współczucia. Powiedział przy tym, iż każdy na miejscu Primo Padrele postąpiłby w podobny sposób i że widocznie taką była wola Niebios. Zapewnił również, że postara się o to, aby ów doktor Popff, o którym jest mowa w liście biednego Aureliusza, do końca dni swoich gnił w więzieniu za to, że swoim idiotycznym wynalazkiem zburzył szczęście jednej z najbardziej znakomitych rodzin Argentei.

Primo Padrele jednak złamanym głosem prosił szefa policji, by na razie nie ruszać doktora, gdyż on zapewne chciał pomóc jego biednemu bratu. Potem prosił go, by w imię świetlanej pamięci jego nieszczęśliwego brata nie dawać rozgłosu całej tej straszliwej historii, i że całkowicie liczy na pomoc szefa policji. Plotki i domysły mogłyby go dobić, a przecież nie łatwo mu będzie pogodzić się z tak ogromną stratą.

Szef policji ścisnął rękę Primo mówiąc:

— Jest pan świętym człowiekiem.

Sam był ogromnie wzruszony.

Następnego dnia we wszystkich pismach ukazały się ogromne nekrologi zawiadamiające o przedwczesnym zgonie Aureliusza Padrele. Złamany bólem Primo Padrele i cała rodzina pogrążona w nieutulonym żalu powiadamiała osieroconą Argentę, iż urna z prochami zmarłego zostanie złożona w mauzoleum rodzinnym w podziemiach katedry w czwartek siódmego września o godzinie szóstej wieczorem.

Przedsięwzięte zawczasu zarządzenia sprawiły, iż do prasy nie przedostało się ani jedno słówko o tym, gdzie i w jakich okolicznościach rozstał się z życiem młodszy Padrele, współwłaściciel potężnej firmy „Bracia Padrele”. Najsprytniejszym reporterom nie udało się nic wywąchać.

Wszyscy musieli się zadowolić oficjalną wersją: Aureliusz Padrele zmarł na skutek tropikalnej febry, której nabawił się podczas swej podróży po Indiach.

Minęło parę dni i oddany sekretarz zmarłego, Ogastes Carb, zajął stanowisko starszego sekretarza firmy „Bracia Padrele”.

Ogastes Carb zmizerniał w ostatnich czasach. Nie było w tym nic dziwnego: kochał tak bardzo swego zmarłego szefa.

Rozdział czternasty

całkowicie poświęcony sprawom sądowym

Ani Popff, ani Aneiro nie zdawali sobie z początku sprawy z tego, w jak poważnej znaleźli się sytuacji. Doktora Popffa niepokoił los jego laboratorium, jego notatek i ampulek z eliksirem, martwiła go świadomość, że nie będzie mógł rozpocząć siódmego września masowych szczepień i że cała ta głupia historia z Manhamem Beroime niewątpliwie będzie plamą na jego nieposzlakowanej dotąd przeszłości. Na chwilę nie wątpił, że jego aresztowanie jest wynikiem jakiegoś nieporozumienia i że dziś lub jutro zostanie uwolniony. Była to niewybaczalna z jego strony naiwność.

Ale jeszcze naiwniejsza była wiara w szybkie uwolnienie tak doświadczonego działacza, jakim był Sancho Aneiro. Co prawda, więcej liczył na swoje bezsporne alibi aniżeli na zdrowy rozsądek i sprawiedliwość aparatu śledczego.

Wszakże minęły trzy dni i obydwaj aresztowani przekonali się, że nie docenili niebezpieczeństwa, które zawisło nad nimi.

Zupełnie nieoczekiwanie i dla nich, i dla miejscowego sędziego śledczego przybył z Battoga wiceprokurator Dan Pappula, człowiek o miłym uśmiechu i elastycznym sumieniu, który wziął śledztwo w swoje ręce. Rozwinął od pierwszej chwili niebywale intensywną działalność. Nie znał chwili wytchnienia, nie dawał go również aresztowanym. Czepiał się każdego słowa, starał się zbić ich z tropu. Żądał, by przypomnieli sobie fakty, których nie podobna było sobie przypomnieć chociażby dlatego, że nigdy się nie wydarzyły, radził przyznać się do czynów, których nigdy nie popełnili.

Wyczerpanych ciągłymi biadaniami, wychudłych, poźółkłych i zarośniętych, doktora Popffa i Sancho Aneiro — raz po raz prowadzono na konfrontację z „naocznymi świadkami”, którzy owej nocy trzeciego września nic nie mogli widzieć, gdyż tej nocy panowały nieprzejrzone ciemności.

A jednak ci „naoczni świadkowie” umiejętnie kierowani podpowiadaniem Dana Pappuli coś niecoś sobie przypominali i kładli pod wątpliwej wartości zeznaniami swoje podpisy.

Oto na przykład świadek, mieszkający na ulicy Wszystkich Świętych, przy czynnej pomocy Dana Pappuli rozpoznał w Aneiro człowieka, który jakoby w dwie minuty po dokonaniu napadu na Manhama Beroime przebiegł obok jego domu. Przypomniawszy sobie, że człowiek ten w prawej ręce

trzymał skrwawiony sztylet, że miał na sobie szare ubranie, niebieską koszulę, granatowy krawat i że szczególnie wbiły mu się w pamięć rysy twarzy tego człowieka.

— Był nieco wyższy ode mnie — zeznawał ten „naoczny świadek”. — Mógł ważyć siedemdziesiąt do siedemdziesięciu dwóch kilogramów, był muskularny i robił wrażenie energicznego człowieka. Miał twarz bez zarostu, duże czoło i włosy zaczesane w tył. Miał gęste, krzaczaste, czarne brwi, a twarz była nad wyraz blada, prawie zielonkawa. Człowiek ten przebiegł obok mnie bardzo szybko i zniknął za rogiem ulicy. Mój dom był drugi od rogu.

— Czy to jest ten człowiek, o którym pan mówi? — zapytał Pappula wskazując Aneiro, którego w tej właśnie chwili wprowadzono do pokoju.

— Tak, to ten sam.

— Czy jest pan tego pewien?

— Najzupełniej.

— Proszę się podpisać. Świadek podpisał się.

Nasuwały się wprawdzie poważne wątpliwości, jak można było ciemną nocą, podczas ulewnego deszczu, wybiegłszy z oświetlonego domu na ciemną ulicę dostrzec i zapamiętać tyle szczegółów dotyczących zewnętrznego wyglądu człowieka, który — zgodnie z tym, co mówił świadek — przebiegł obok z dość znaczną szybkością. Niemniej zastanawiającą rzeczą było, iż ów świadek bez trudu poznał w wychudłym i zarośniętym Sancho Aneiro owego wygolonego człowieka, który rzekomo przebiegł obok niego.

Ale Pappula przybył do Bakbuku nie po to, aby się zastanawiać. Robił swoje i właśnie dlatego podpowiedział świadkowi, że prawdopodobnie światło błyskawicy pomogło mu zauważyć i zapamiętać biegnącego przestępcę. Świadek ze swojej strony potwierdził, że istotnie światło błyskawicy przyszło mu z pomocą.

Ten właśnie szczegół był najbardziej zastanawiający w tym niezwykłym zeznaniu, wiadomo bowiem, iż błyskawice rozbłyskują jedynie podczas burz, a w nocy trzeciego września siał zwykły jesienny deszcz. Pappula, który przybył do Bakbuku znacznie później, mógł nie wiedzieć, że tej nocy padał taki właśnie zwykły jesienny deszcz, świadek natomiast wiedział o tym, ale nie uważał jednak za właściwe sprzeczać się z wiceprokuratorem, który zapewne lepiej od niego wie, czego potrzeba dla triumfu sprawiedliwości.

Aneiro zdając sobie sprawę z tego, że dojdzie do przewodu sądowego, uznał za właściwe nie zgłaszać żadnych zastrzeżeń i wykorzystać ten atut podczas rozprawy.

Inny świadek oskarżenia usłyszawszy alarm, jaki tego wieczoru wszczął Booco Sooth, miał jakoby wychylić się przez okno i widzieć innego biegnącego człowieka tak wyraźnie, że nawet po upływie trzech tygodni od napadu na Beroime potrafił szczegółowo opisać dziewiętnaście charakterystycznych cech doktora Popffa, włącznie z kształtem jego uszu i nieznaczną blizną na lewym policzku. Ten świadek dałby bardzo wiele za to, by móc odwołać swe zeznania, zagalopował się jednak za daleko.

Czwartego września, gdy cały Bakbuk wiedział już o krwawym wydarzeniu na ulicy Wszystkich Świętych, ów świadek z głupoty nakłamał, jakoby widział wczoraj w nocy doktora Popffa biegnącego obok okien jego domu. Nie mógł teraz odwołać swych słów bez narażenia się na zarzut, iż jest zwykłym kłamcą. O opinię dbał przede wszystkim. Był stroicielem fortepianów.

Znaleźli się też jacyś dwaj ludzie, którzy mieli słyszeć, jak Aneiro powiedział do doktora Popffa wychodząc ze skweru: „To nic, doktorze, porachujemy się jeszcze dzisiaj z tym przeklętym szczeniakiem!” Doktor miał mu odpowiedzieć: „Będę panu bardzo wdzięczny, panie Aneiro!”

Do Pappuli zgłosił się pewien ślusarz, nazwiskiem Soor, i prosił, aby zapisać to, co Aneiro miał mu powiedzieć podczas ostatniego strajku w rzeźni: „Warto by podciąć grdyki paru krwiopijcom, a wtedy odechce im się walczyć z nami”.

Innemu znów pracownikowi rzeźni, Nerensowi, Aneiro miał jakoby powiedzieć opuszczając więzienie, co następuje: „Ta przeklęta rodzina Beroime drogo zapłaci za moje więzienie! Krew będzie się lała! Będę się mścił!”

Aneiro zażądał konfrontacji z Soorem i Nerensem. Pappula odmówił pod pretekstem, iż obydwaj wyjechali z Bakbuku. Wtedy Aneiro zażądał, by w aktach zaznaczono, iż ci obydwaj fałszywi świadkowie podczas ostatniego strajku w rzeźni byli łamistrajkami i że nienawidzą go jako organizatora tego strajku, ponadto zaś, że jeden z nich jest płatnym wywiadowcą dyrekcji rzeźni, do którego należało informowanie o nastrojach panujących wśród robotników. O ile chodzi o drugiego — jest on dalekim krewnym pani Beroime.

Pappula oświadczył, iż nie może zadośćuczynić prośbie Aneiro, gdyż tego rodzaju twierdzenia wymagają skrupulatnego zbadania.

Trzej inni świadkowie zbadani przez niezmordowanego sędziego 2, uważyli na ulicy Wszystkich Świętych, na krótko przed napadem na Beroime, jakąś postać ludzką skradającą się wśród murów. Uczciwie zeznali, iż nie potrafią opisać wyglądu tego człowieka z powodu panujących ciemności. Wtedy Pappula zaczął im podpowiadać charakterystyczne cechy sylwetki

Aneiro. Nastraszył owych prostodusznych ludzi, uwikłał ich w sieci krzyżowych pytań i w rezultacie uzyskał, iż każdy z nich podpisał się pod zeznaniem, z którego wynikało, że „jest rzeczą możliwą, iż zauważony przez nich na ulicy Wszystkich Świętych osobnik był wskazanym im do rozpoznania Sancho Aneiro”.

Pappula nie pominął żadnego, nawet najbardziej niepewnego zeznania, które mogłoby obciążyć oskarżonych — robił to dlatego, że z góry był pewien przychylności sądu dla aktu oskarżenia. Usiłował „obrobić” Morgua Bambolego, jego żonę i wdowę Gargo, poniósł jednak całkowitą porażkę. Ale i oni opuszczali gabinet sędziego odnosząc wrażenie, iż nie zdarzyło im się jeszcze spotkać tak miłego człowieka, jak ów sędzia z Battoga.

Istotnie, Pappula robił nad wyraz przyjemne wrażenie: był korpulentny, ale nie za bardzo, rumiany, ale w miarę, uprzejmy, a nawet można by rzec, nieco figlarny w obcowaniu z ludźmi. Na jego białym i nieco wąskim czole było tyle zmarszczek, ile potrzeba, by nie wydawał się starszym ponad trzydzieści sześć lat, które miał.

Pappula dbał o swą powierzchowność, gimnastykował się z rana i wieczorem, umiarkowanie jadł, umiarkowanie pił, uśmiechał się zawsze i ubierał się z tą nieposzlakowaną elegancją, która cechowała wychowanków arystokratycznego uniwersytetu imienia świętego Benedykta.

Dan Pappula przyjmowany był w najlepszych domach Battogi i zręcznie się wspinał po drabince służbowej kariery. „Bakbucka sprawa” miała mu zapewnić stanowisko prokuratora. Gra więc była warta świeczki.

Pappula jednak nie bardzo był zadowolony z tej sprawy. Sądząc z pewnych instrukcji, jakie otrzymał od swego zwierzchnika udając się do Bakbuku, można było wnosić, iż pewne bardzo wpływowe czynniki są zainteresowane w wydaniu skazującego wyroku, czyli że losy obydwu oskarżonych są z góry przesądzone. ;

Poszlaki skierowane przeciwko nim nie wytrzymały najlżejszej krytyki, co wskazywało, iż czeka go bardzo niewdzięczna, brudna, a nawet ordynarna „robota”. Pappula wolałby bardziej skomplikowaną prawniczą rozgrywkę i dlatego uporczywie nieprzyznawanie się oskarżonych wyprowadziło go z równowagi. Szczególnie drażniło go zachowanie się doktora Popffa. Doktor Popff irytował się, mówił impertynencje, usiłował mu — jemu, Danowi Pappuli! — wytłumaczyć całą bezpodstawność oskarżeń.

Doktor Popff, któremu zazwyczaj stale dopisywało poczucie humoru, tym razem tak dalece je stracił, iż raz po raz odwoływał się do sprawiedliwości i do zdrowego rozsądku człowieka, który

przyjechał przecież do Bakbuku z powziętym z góry postanowieniem nieliczenia się ani ze sprawiedliwością, ani ze zdrowym rozsądkiem.

Pappula w odpowiedzi na wszystkie sprzeciwy doktora Popffa kiwał tylko głową i uśmiechał się gorzko, jak gdyby szczerze zasmucony bezcelowym uporem doktora w obliczu bezspornych i druzgocących dowodów jego winy.

Aneiro zachowywał się podczas przesłuchiwań z większym opanowaniem. Miał więcej doświadczenia. Poza tym zdawał sobie dokładnie sprawę z tego, że wyniki śledztwa są z góry przesądzone i że trzeba się przygotować do stoczenia walnej bitwy podczas procesu.

Aneiro żądał, by wezwano świadków mogących potwierdzić jego alibi i osiągnął to, że ich zeznania zostały dołączone do śledztwa. Następnie wymógł na Pappuli, by wezwano ludzi mogących potwierdzić, iż podczas strajku ostro występował przeciwko tym, którzy nawoływali robotników do gwałtu. Również i te bardzo ważne zeznania zostały załączone do akt sprawy.

Aneiro nie gorączkował się, nie odwoływał się do wzniosłych uczuć tego uśmiechniętego karierowicza, a nawet niekiedy pozwalał sobie na żarciki, które Pappulę szczerze gniewały.

Wypada w tym miejscu oddać sprawiedliwość więzieniom Argentinei. Gdyby nie ciężkie żelazne wrota, czteropiętrowy budynek więzienia w Bakbuku, otoczony ogrodem, poprzez który widać było wielkie okna z firankami i kwiatami na parapecie, przypominałby raczej jakiś pensjonat dla młodych panien.

Wewnątrz budynku panowała idealna czystość i niczym nie zmaconą cisza. Na korytarzach miękkie chodniki głuszące kroki, korkowe ściany pomiędzy celami. Rozmowy z dozorcami prowadzono półgłosem, a monologi do siebie samego też można było wygłaszać ledwie dosłyszalnym szeptem. W celi znajdował się stół, krzesło, dzwonek i jakaś książka, najczęściej Biblia, w higienicznej, zmywającej się oprawie. Karne cele były obite materacami, a cela dla skazanych na śmierć, bardzo widna i czysta, była urządzona tak, by reporterzy mogli obserwować z zewnątrz wszystko, co się w niej odbywało.

Jednoosobowe cele, tak zwane „izolatki”, przeznaczono dla zdrowych więźniów. Izolatki szpitalne, izolatki w łaźniach, a nawet maleńkie izolowane ogródki dla spacerów. Ba, nawet kaplica w miejscowym więzieniu miała szereg pojedynczych przegródek z gumowymi podnózkami dla klęczących. Przegródki te znajdowały się na kilku piętrach. Można było z nich widzieć jedynie kapłana odprawiającego nabożeństwo i nic ponadto.

Pokój przyjęć również robił bardzo przyjemne wrażenie. Dozorca był niewidoczny. Było to nad wyraz humanitarne zarządzenie: po cóż krępować więźnia i odwiedzających go?

Dozorca słyszał całą rozmowę z sąsiedniego pokoju za pomocą nieskomplikowanego, lecz dowcipnego mechanizmu składającego się z luster, mikrofonu i aparatów telewizyjnych. W razie potrzeby dozorca odzywał się przez głośnik. Przez artystycznie wykonaną kratę, dzielącą salę widzeń na dwie części, puszczony był prąd elektryczny, wprawdzie nie dość silny, by zabić człowieka, wystarczający jednak, by odebrać więźniowi lub jego gościowi ochotę do zamieniania uścisków ręki. Jest to również bardzo humanitarne.

Na minutę przed upływem terminu widzenia daje się słyszeć pierwszy sygnał — cichy melodyjny dzwonek, za pół minuty następny. Punktualnie po upływie minuty od pierwszego sygnału zaczyna działać specjalny mechanizm i ta część podłogi, na której stoi więzień, powoli opuszcza się o piętro niżej, zupełnie tak samo jak w krematorium opuszcza się trumna ze zwłokami zmarłego.

Właśnie w takiej sali Berenika zobaczyła swego męża w trzecim dniu jego pobytu w więzieniu. Doktor Popff nie wiedział o tym, że Berenika wróciła z Miasta Wielkich Żab. Sądził, że w odwiedziny do niego przyszli małżonkowie Bambolowie lub wdowa Gargo.

Błada i drżąca ze wzruszenia Berenika ujrzała naraz, jak skądś, jak gdyby spod ziemi, wynurzyła się postać wychudłego, zarośniętego człowieka, którego tak niezasłużenie i tak okrutnie skrzywdziła.” Stała nieruchoma nie mogąc wypowiedzieć ani jednego słowa.

Wreszcie odezwał się doktor Popff:

— Ach, to ty, Bereniko? Przyjechałaś odwiedzić nieszczęśliwego człowieka?

— Steph! — zawołała Berenika rzucając się w stronę kraty dzielącej ją od męża. — Czuję się tak straszliwie winną wobec ciebie... wytłumaczę ci to wszystko...

Spokojny głos w głośniku ostrzegał:

— Ostrożnie! Prąd elektryczny!

Berenika zatrzymała się i poczęła cicho płakać.

Doktor Popff starał się patrzeć na nią z chłodną obojętnością, ale mu to przychodziło z wielkim trudem.

— Nie poczuwam się do żadnej winy — mówił z wolna. — To jest nieporozumienie. Zostanę wkrótce wypuszczony. Nie masz żadnego powodu do obaw.

Głośnik uprzedzał:

— Do końca pozostało osiem minut. Z kolei przemówiła Berenika:

— Postąpiłam jak głupia i egoistyczna kobieta. Jest mi bardzo żal...

— Możesz wracać do Miasta Wielkich Żab — przerwał Popff. — Nie potrzebuję, żebyś się nade mną litowała.

— Ja wcale się nad tobą nie lituję — odpowiedziała Berenika. — Ja cię kocham... kocham bardziej aniżeli kiedykolwiek. Wróciłam nie wiedząc, że jesteś aresztowany.

Niewidoczny dozorca przypomniał:

— Do końca wizyty pozostało pięć minut.

— Niepotrzebna mi jest miłość z litości lub ze skruchy — przemówił Popff zmęczonym głosem. — Niekiedy zdaje mi się, że w ogóle nic mi już nie jest potrzebne.

— Zatrzymałam się u Bambolich — powiedziała Berenika. — Mówią o tobie z wielką przyjaźnią. Nie wierzą, że jesteś winien.

— To przyzwoici ludzie. Pozdrów ich ode mnie. I panią Gargo też.

— Steph! — rzekła Berenika — nie mogę odejść bez twego wybaczenia.

— Chciałaś powiedzieć „nie mogę wyjechać” — uśmiechnął się Popff.

— Nigdy cię już nie porzucę... jeżeli nie każesz mi odejść. Masz prawo wypędzić mnie, ale nie rób tego.

— Do końca pozostały trzy minuty! — przypomniał głośnik.

— Jestem nędzarzem. Laboratorium jest zniszczone. Trzeba będzie zaczynać od początku.

— Kocham cię mocniej aniżeli kiedykolwiek — szeptała Berenika.

Zadźwięczał pierwszy sygnał.

— Dziś jeszcze skomunikuję się z adwokatem, który podejmie się twojej obrony — mówiła szybko Berenika. — Co należy robić przede wszystkim?

— Powiedz Bambolemu, by czym prędzej opatentował eliksir. Rozległ się drugi sygnał.

— Czy to koniec? — zapytała Berenika. Popff skinął głową w milczeniu.

— Do widzenia, mój najdroższy. Nie zapominaj, że jesteś jeszcze bardzo potrzebny nauce... — podłoga za kratą zaczęła powoli opuszczać się —... i mnie — ledwo dosłyszalnym głosem dodała Berenika.

Doktor Popff był teraz już widoczny tylko po pas. Milczał. Łzy spływały mu po twarzy jedna za drugą. Był prawie szczęśliwy.

Po paru sekundach Berenika Popff była już sama w sali przyjęć.

W popołudniowych pismach w Battoga ukazało się zdjęcie: „Żona doktora Popffa opuszcza więzienie w Bakbuku po pierwszym widzeniu się z mężem”.

Pisma w Battoga ukazały się z ogromnymi tytułami na pierwszej kolumnie.

**ZEMSTA KOMUNISTY ANEIRO
NA RODZINIE SWEGO CHLEBODAWCY
NIEWINNY MŁODZIENIEC ZABITY PRZEZ CZERWONYCH
PRZESTĘPCY Z BAKBUKU ZOSTALI PRZYPARCI DO MURU
WIĘZIEŃ MŚCI SIĘ ZA SUROWY WYROK
LEKARZ–DEGENERAT, SZARLATAN I BANDYTA
MATKA NIESZCZĘSNEGO MŁODZIEŃCA ŻĄDA
SUROWEJ KARY DLA PRZESTĘPCÓW
NIECH NAD BAKBUKIEM WZEJDZIE SŁONCE SPRAWIEDLIWOŚCI**

Tak pisały pisma w Battoga i „Zorza Bakbuku”, podczas gdy stan zdrowia młodego Beroime poprawiał się z dnia na dzień. Ale w nocy z jedenastego na dwunasty września Manham Beroime we śnie zerwał bandażę i rozdrapał do krwi zablizniające się, swędzące rany. Po dwóch dniach umarł na skutek zakażenia.

Trzynastego września „przestępcy z Bakbuku” stali się już „mordercami”.

Nad doktorem Stephenem Popffem i mechanikiem Sancho Aneiro zawisło niebezpieczeństwo skazania na śmierć.

Rozdział piętnasty

Jak wdowa Gargo chciała odwiedzić swego młodszego syna

Dwa razy do roku, pierwszego dnia Wielkanocy i pierwszego dnia Bożego Narodzenia, wdowa Gargo wyjeżdżała poza miasto. Na czternastym kilometrze szosy wiodącej do Tuberozy i dalej do Miasta Wielkich Żab, na wielkiej i płaskiej jak stół równinie otoczonej szpalerami drzew znajdował się główny budynek i liczne oficyny wielkiego sierocińca.

Były to nawet dosyć przyjemne budynki i w mniejszym stopniu przypominały koszary aniżeli większość wychowawczych zakładów podlegających Wydziałowi Opieki Społecznej w prowincji Battoga jak zresztą i w całej Argentei. Dzieci karmiono i ubierano znośnie, wymierzano im kary cielesne niezbyt często i przy tym tak, by nie pozostawiały żadnych śladów — no, a poza tym uczono dzieci czytać i pisać i wtajemniczano je w początki niektórych rzemiosł.

Takich „wzorowych” sierocińców i domów wychowawczych było w prowincji Battoga zaledwie cztery. Wszystkie były zbudowane według projektu pewnego znakomitego budowniczego i stanowiły przedmiot dumy nie tylko Wydziału Opieki, lecz i samego gubernatora prowincji. O tych „rajskich zakątkach dla naszych biednych sierotek” pisały gazety, ilekroć rozpoczynała się kampania wyborcza i nadchodziły terminy wyborów nowego gubernatora i nowej administracji samorządowej. Wdowa Gargo miała więc powody, by cieszyć się, że jej młodszy syn znajduje się właśnie w takim domu wychowawczym.

Dwudziestego piątego grudnia, o godzinie dwunastej w południe, wdowa Gargo wyszła na szosę, niosąc zawiniątko z podarkami gwiazdkowymi dla małego Pedro i jego przyjaciół. Podobnie jak zazwyczaj, pierwszy napotkany samochód dowiózł ją do bramy sierocińca. Wdowa skręciła na ścieżkę wiodącą do czteropiętrowego budynku, który zdobiły piękne kolumny, i nieśmiało zapukała do bocznych drzwi.

Starsza już piastunka w białym czepku otworzyła drzwi.

— Dzień dobry, kochana pani Etu! — przymilnie powitała ją wdowa Gargo. — Życzę wesołych świąt! Czy nie przyjechałam zbyt wcześnie?

— I pani życzę wesołych świąt — odpowiedziała piastunka wpuszczając przybyłą do środka. Po chwili ogromnie zmieszana dodała: — Czy nie powiadomiono panią?

— Co się stało? — pytała wdowa blednąc coraz bardziej.

— Ależ nic się nie stało, niech się pani nie martwi — odpowiedziała Etu usiłując nie patrzeć jej w oczy. — Niech pani odpocznie.

Po upływie pół godziny piastunka odprowadziła ją aż do szosy. Nigdy jeszcze wdowa Gargo nie opuszczała tak szybko swego synka. Tym razem nie miała tu nic do roboty. Jej Pedra nie było już tutaj.

W początkach listopada z Battogi przyjechał ogromnym autobusem urządzonym jak kolejowe wagony sypialne pewien urzędnik z Wydziału Opieki i zabrał ze sobą do nowoorganizowanego domu wychowawczego o specjalnym kuracyjnym charakterze siedmiu chłopców i trzy dziewczynki w wieku od trzech do czterech i pół lat.

Działo się to wszystko w nocy, ów urzędnik śpieszył się bardzo, gdyż w ciągu dwóch dni musiał być jeszcze w dwóch sierocińcach znajdujących się w odległych miejscowościach tej samej prowincji. Urzędnik podpisał papier o odebraniu owych dzieci, położył je spać na wiszących posłaniach swego błyszczącego autobusu i odjechał w ciemną noc.

Dopiero następnego dnia administracja sierocińca spostrzegła, że wśród zebranych chłopców był również mały Pedro, którego matka żyła, i że, oczywiście, należało przede wszystkim otrzymać jej zezwolenie na wysłanie dziecka do innego zakładu. Ale było już za późno. Autobus był już co najmniej sto kilometrów od Bakbuku, a napisać w tej sprawie do Battogi dyrektor zakładu nie chciał: mógł dostać surową naganę za podobne niedopatrzenie. Liczył ma to, że może to wszystko jakoś pomyślnie się ułoży — bo czyżby ta uboga kobieta odważyła się protestować przeciwko temu, że jej syn z bardzo dobrego sierocińca dostał się do jeszcze lepszego zakładu o charakterze sanatoryjnym.

Okazało się istotnie, że wdowa Gargo jest na tyle rozsądna, że nie protestowała przeciwko nieoczekiwanemu szczęściu, jakie spotkało jej syna. Oczywiście było jej bardzo smutno, że nie widziała się ze swoim synem, bynajmniej jednak nie żądała, by wrócił do Bakbuku. Prosiła jedynie, by dano jej nowy adres małego Pedra.

Powiedziano jej, że w tej sprawie powinna się zwrócić do Okręgowego Wydziału Opieki Społecznej nad Dziećmi. Tam dostała adres, ale było to gdzieś strasznie daleko, w mieście Lomm, w jednej z najbardziej zapadłych i niemal bezludnej prowincji Argentei. Ale to panią Gargo nie zrażało. Napisała list z zapytaniem, kiedy będzie mogła odwiedzić syna, bo przecież minął już rok od czasu, kiedy go widziała po raz ostatni.

W odpowiedzi otrzymała kopertę z żałobną obwódką. Dyrekcja „Wzorowego Sanatoryjnego Domu Wychowawczego dla Sierot” z żalem zawiadamiała Wielce Szanowną panią Gargo, że syn jej, Pedro Gargo, zmarł przed jedenastoma dniami na obustronne zapalenie płuc i został pochowany na miejscowym cmentarzu.

Nie ma potrzeby opisywać straszliwej bolesti biednej wdowy. W przeciągu kilku dni życie jej wisiało na włosku. Berenika Popff i aptekarzowa Bamboli, która sama była czułą matką, pielęgnowały nieszczęśliwą w chorobie i starały się pocieszyć ją, jak mogły.

Gdy wreszcie chora przysłała nieco do siebie, od razu zaczęła szykować się do dalekiej podróży, by odwiedzić mogiłę swego biednego Pedra. Żadne namowy nie odnosiły skutku. Pieniądzy na drogę starczyło, gdyż suma, którą (jak zapewne czytelnicy pamiętają) otrzymała za sprzedane Aureliuszowi Padrele ubrania i płaszcz nieboszczyka męża, leżała nietknięta.

Berenika i pani Bamboli odprowadziły ją na dworzec. Trzeciego dnia nad ranem wdowa Gargo przybyła do Lomm. Trzeba dużego wysiłku wyobraźni, by nazwać miastem ponure osiedle z nieodzownym budynkiem banku, urzędem pocztowym, stacją benzynową na jedynym placyku i widniejącymi na przedmieściu murami wielkiej przędzalni.

Pani Gargo udała się wprost ze stacji na cmentarz. Dozorca cmentarny, w oczekiwaniu napiwku bardzo uprzejmy, ofiarował swe usługi — niestety niewiele mógł zrobić. Osiedle było tak małe, że dozorca cmentarny bez trudu mógł wyliczyć nazwiska wszystkich nieboszczyków, którzy w ciągu ubiegłego roku, a nawet i dwóch lat, znaleźli miejsce spoczynku na cmentarzu powierzonym jego pieczy. Ten wesoły i uprzejmy staruszek zdziwił się niepomiernie dowiedziawszy się, iż przybyła kobieta w żałobie pragnie odwiedzić grób swego czteroletniego synka zmarłego w końcu grudnia. Ostatni bowiem wypadek, kiedy pochowano dziecko, miał miejsce w sierpniu.

Innych cmentarzy w Lomm nie było.

Wtedy wdowa Gargo zapytała, gdzie znajduje się ów „Wzorowy Sanatoryjny Dom Wychowawczy dla Sierot”.

Było już dobrze po południu, gdy wdowa Gargo, zmęczona siedmiokilometrowym marszem, skręciła z szosy na nową, świeżo wyasfaltowaną drogę. Miasteczko Lomm rysowało się niewyraźnie za pasmem niewysokich pagórków. Przed nią, w odległości jakichś dwóch kilometrów znajdował się gęsty i najwidoczniej opuszczony park. Gdy wdowa wreszcie do niego dobiegła, ujrzała, że cały obszar parku był otoczony wysokim żelaznym parkanem pomalowanym na wesoły, jasnozielony kolor. Dokoła panowała cisza, nie widać było ani jednego człowieka.

Wdowa Gargo długo kołatała do bramy wejściowej. Wreszcie otworzyła się niewielka furtka, przez którą wyrzała czyjaś niezbyt przyjazna twarz.

— Czego sobie pani życzy?

— Jestem matką małego Pedro Gargo. Muszę zobaczyć się z dyrektorem — odpowiedziała wdowa i zalała się łzami.

— Niech pani zaczeka — odpowiedział odźwierny i zatrzasnął furtkę.

Słychać było, jak zgrzytnął klucz w zamku, jak oddalały się jego kroki — minęło około dziesięciu minut, znów zgrzytnął zamek, znów otworzyła się furtka i odźwierny podał wdowie niewielkie zawiniątko.

— To są jego rzeczy — powiedział. — Do widzenia.

— Muszę rozmówić się z dyrektorem. Proszę mnie zaprowadzić do niego.

— Dyrektor jest zajęty.

— Dobrze — z pokorą zgodziła się wdowa Gargo. — Zaczekam, aż będzie wolny.

— Dyrektor śpi.

— Zaczekam, aż się obudzi.

— Będzie spał jeszcze trzy godziny.

— Muszę znaleźć mogiłę mojego dziecka. Będę czekała, aż dyrektor się obudzi.

I usiadła na skraju drogi.

Odźwierny zamruczał coś gniewnie pod nosem, odszedł, nie zapominając o zamknięciu na klucz furtki.

Tym razem wdowa Gargo czekała z górą godzinę. Niepostrzeżenie dla siebie samej zdrzemnęła się. Zgrzyt klucza w zamku obudził ją.

— Niech pani idzie do dyrektora.

Dyrektor był wysokim, chudym mężczyzną nieokreślonego wieku, ze szklanymi, jak gdyby nic nie widzącymi oczyma i równusieńkim przedziałkiem na głowie, jakie widuje się na fryzjerskich manekinach. Przyjął wdowę Gargo nie w swoim gabinecie, lecz tuż obok, przy samej bramie, w niewielkiej, lecz schludnej stróżówce.

— Bardzo panią przepraszam za to, że musiała pani czekać. Jest mi przykro, że przybycie pani związane jest z tak smutnym i niestety nie dającym się już naprawić nieszczęściem.

Nieposzlakowana dykcja, z jaką wymawiał każde słowo, zdradzała w nim cudzoziemca. Gdyby pani Gargo miała okazję przedtem bywać w Mieście Wielkich Żab i mogła zajrzeć do biur

Towarzystwa Akcyjnego „Hamulec” (wydział planowania), poznałaby w dyrektorze „Wzorowego Sanatoryjnego Domu Wychowawczego dla Sierot” owego Alfreda Vanderhunta, do którego nawet panowie Chambery i Procroost odnosili się z szacunkiem nie pozbawionym pewnego lęku.

— Kiedy on umarł? — zapytała Gargo patrząc na dyrektora zapłakanymi oczami.

— Chodzi pani zapewne o jej syna? — upewnił się pan Vanderhunt. — Zmarł w nocy dwudziestego siódmego grudnia. Z powodu obustronnego zapalenia płuc. Było to czarujące dziecko. Ogromnie nas to wszystkich zasmuciło.

— Byłam na cmentarzu. Nie ma tam jego grobu.

— Ma pani słuszość. Powinienem panią przeprosić. Zaszła pomyłka. Został pochowany tutaj, na terenie naszego domu, który tak bardzo lubił. — Vanderhunt westchnął i parokrotnie z wyrazem współczucia pochylił głowę. — Pozwoli pani, że pójdziemy razem do grobu naszego wspólnego ulubieńca.

Dyrektor wziął biedną wdowę pod ramię. Wyszli ze stróżówki, skręcili na prawo, przeszli około trzydziestu kroków i wyszli na niewielką łączkę, wśród której widniał pagórek tonący w kwiatkach.

Gdyby wdowa Gargo była bardziej spostrzegawcza i gdyby stan jej umysłu był bardziej zrównoważony, zapewne zwróciłaby uwagę na to, że ziemia na tym pagórku była zbyt świeża jak na mogiłkę liczącą już dwa tygodnie. Ale pani Gargo była daleka od robienia jakichkolwiek spostrzeżeń. Upadła na kolana tuląc głowę do mogiłki. Po upływie kilku minut wstała i chwiejąc się na nogach, poszła w stronę bramy nie pożegnawszy się nawet z Vanderhuntem.

Po raz ostatni zgrzytnął klucz w furtce. Pan Alfred Vanderhunt westchnął z ulgą, na jego cienkich, sinawych wargach na chwilę zagościł uśmiech zadowolenia, po czym powrócił do swego gabinetu.

Wdowa Gargo, nie zdając sobie z tego sprawy, zamiast wejść na asfaltową ścieżkę, szła wzdłuż ogrodowych krat stąpając po murawie. Nagle uczuła, że jest bliska zemdlenia. By nie upaść, chwyciła się rękoma żelaznych prętów ogrodzenia, które dzieliło „Wzorowy Dom Wychowawczy dla Sierot” od reszty świata, i ujrzała w głębi parku, za drzewami, sporą łączkę, na której krzycząc wesoło bawiła się spora grupa młodych mężczyzn i dziewcząt w dość dziwnych strojach.

Wdowa Gargo nie zdążyła zorientować się, na czym polega niezwykłość ich stroju, gdyż w tej samej chwili jeden z grających niezręcznie kopnął piłkę, a ta potoczyła się w bok i upadła blisko pani Gargo stojącej z drugiej strony ogrodzenia.

Za piłką pobiegł śmiejąc się do rozpuku jakiś człowiek, który wydał się jej ogromnie znajomy. Wdowa Gargo krzyknęła i upadła zemdlona: z tamtej strony ogrodzenia biegł ku niej z rozwartymi ramionami, jak to czynią dzieci, jej nieboszczyk mąż.

— Mamo! — wołał. — Mamo!

Ale wdowa Gargo już nic nie słyszała.

Gdy przyszła do siebie, dokoła panowała cieszą. Na łączce nie było już nikogo. Podniosła z ziemi zawiniątko z rzeczami biednego Pedro i powoli szła ku miastu. Zdawało jej się, że odchodzi od zmysłów.

Tego samego dnia udała się w powrotną podróż do Bakkuku.

Rozdział szesnasty

w którym jest mowa o doktorze Loysie i niezwykłych losach rudego kota Merkurego

Gdy w gazetach ukazała się wzmianka o tym, że w mieście Bakbuku, nie wiadomo skąd, pojawił się tygrys budząc panikę wśród miejscowych mieszkańców, nikt nie potraktował tego poważnie. Czytelnicy, przyzwyczajeni do najbardziej nieprawdopodobnych sensacji wynajdywanych przez reporterów, pokpiwali z autora tej wzmianki: „Że też już nic innego nie potrafił wymyślić? Dlaczego tygrys? Dlaczego nie jakiś potwór przedpotopowy? Gdybyż przynajmniej dla dodania wiarygodności tej sensacji reporter dodał, że ten tygrys uciekł ze zwierzyńca!”

Tymczasem w owej wzmiance podkreślono z naciskiem, że w Bakbuku nie ma ani żadnego zwierzyńca, ani ogrodu zoologicznego, a najbliższy ogród z dzikimi zwierzętami znajduje się w mieście Battoga o sto trzydzieści kilometrów od Bakbuku i że nie tylko tygrys, ale nawet mysz nie zdołałaby się wymknąć stamtąd.

W Mieście Wielkich Żab i w Battoga pośmiano się nieco z tej niewybrednej prowincjonalnej sensacji i wkrótce zapomniano o niej. Tym bardziej że właśnie w tym okresie zainteresowanie „wyścigami mrówek” doszło do zenitu, a szal hazardowej gry w totalizatora na tych wyścigach ogarnął tak szerokie kręgi ludności, że lekarze–psychiatrzy nadali mu specjalną nazwę „formico–psychozis”, czyli „psychozy mrówczej”.

Wypada dodać, że w samym Bakbuku również nie od razu uwierzono w owego tygrysa. Każdy mieszkaniec miasta, któremu przytrafiło się spotkać tego drapieżnika, na swój sposób opisywał jego wygląd i wielkość i twierdził, że rozmiary tygrysa rosły z dnia na dzień. Doszło wreszcie do tego, że cała historia zamiast bawić ludzi zaczęła budzić zrozumiwały niepokój.

Ostatnie tygrysy żyły w tej okolicy co najmniej tysiąc lat przed opisywanymi wydarzeniami, ale dość było również innych powodów, by nabrać przekonania, że cała ta historia z drapieżnym tygrysem jest po prostu płodem czyjejś fantazji.

Jeden tylko człowiek od pierwszej chwili nie wątpił, że pogłoski o tygrysie całkowicie odpowiadają rzeczywistości. Był nim doktor Loys, którego już poznaliśmy jako seniora miejscowych lekarzy. Jeżeli więc on uważał za stosowne zachować aż do tej chwili milczenie w tej sprawie — musiał mieć ku temu bardzo—poważne przyczyny.

Chodzi o to, że jeszcze czwartego września, czyli następnego dnia po zagadkowym napadzie na młodego Beroime, doktor Loys, spacerując wraz z innymi ciekawskimi w pobliżu zwęglonych ruin domu Stephena Popffa, znalazł niedaleko od wejściowych drzwi dwie dość duże epruwetki, wypełnione jakąś zielonkawożółtą cieczą. Leżały w małej kałuży, słabo połyskując. Najwidoczniej wypadły z kieszeni Syndiraka Cphardei, gdy ten poprzedniej nocy wsiadał do samochodu, by czym prędzej opuścić Bakbuk.

Doktor Loys od razu domyślił się, co zawierają szklane naczynia, lecz nie zdradził się, aczkolwiek jego pomarszczona twarz, podobna do łupiny włoskiego orzecha, w jednej chwili stała się niemal buraczkowego koloru. Stary doktor umyślnie zwolnił kroku, upuścił na ziemię chustkę do nosa właśnie tam, gdzie leżały epruwetki, i drżąc na samą myśl, że ktoś go może zauważyć, schował do kieszeni pobrudzoną chustkę wraz z epruwetkami.

Po tym wydarzeniu, którego nikt nie zauważył, stary doktor Loys spacerował jeszcze koło dziesięciu minut obok wypalonego domu z opuszczoną głową i oczyma bacznie wypatrującymi dokoła siebie. Przekonawszy się, że nic więcej nie uda mu się już znaleźć, doktor Loys szybko udał się do domu, zamknął się w gabinecie i dłuższy czas siedział pogrążony w głębokiej zadumie. Przed nim na biurku leżały dwie znalezione epruwetki. Były teraz umyte i na każdej z nich widniały białe nalepki z napisem, który już się nieco rozplynął na wilgotnej ziemi, był jednak dość wyraźny i stwierdzał, że w każdej z epruwetek znajduje się „Eliksir Bereniki nr 1”. W swoim czasie, gdy doktor Popff pokazywał doktorowi Loysowi swoje laboratorium, powiedział do niego: „Jeden centymetr mojego preparatu, a każde stworzenie będzie rosło jak na drożdżach. Dotyczy to jednak wyłącznie ssaków”.

W obydwu epruwetkach było co najmniej sto pięćdziesiąt centymetrów płynu. Jeżeli więc zastrzyknąć go stu pięćdziesięciu cielętom... Perspektywa, jaką doktorowi Loysowi namalowała jego wyobraźnia, była po prostu oszałamiająca. Ten mały, pomarszczony starzec, stojący już jedną nogą w grobie, był nieprawdopodobnie chciwy.

Ale czy to wypada, by kupował tu w Bakbuku, na oczach wszystkich, cielęta, a później pokarm dla nich i wynajmował ludzi, którzy by ich doglądali? Mieszkańcy Bakbuku mieliby wszelkie powody, by zapytać, skąd doktor Loys ma eliksir. Poza tym, wszyscy zdziwiliby się niepomierne, że doktor Loys, który sam tak energicznie wystąpił w miejscowej gazecie przeciwko preparatowi doktora Popffa, teraz oto sam go stosuje.

— Nie — w żadnym wypadku doktor Loys nie powinien wykorzystywać w rodzinnym mieście znalezionych, a tak wartościowych epruwetek. Warto byłoby nawet wyjechać na pewien czas gdzieś daleko, tym bardziej że pani Loys wraz z ich jedynym synem piątego września wyjechała na kurację i miała zamiar wrócić do Bakbuku dopiero w połowie listopada.

Wszystko więc przemawiało na korzyść takiego planu, a jednak minęło z górą półtora miesiąca, zanim doktor Loys zdecydował się na realizację tego zamiaru. Trzeba było wymyślić jakiś powód, dla którego opuszcza miasto, trzeba było, nie wzbudzając niczyjego zainteresowania, stopniowo podejmować w banku niezbędną ilość pieniędzy, przede wszystkim trzeba było osobiście sprawdzić działanie eliksiru. Wprawdzie doktor Popff niejednokrotnie go wypróbował, ale kto wie, czy z biegiem czasu eliksir nie zmniejszy swej mocy, a może nawet całkowicie ją utraci.

Powstawało więc pytanie: w jaki sposób wypróbować działalność eliksiru, jeżeli nabycie cielątka lub prosiaczka było niewskazane. Bez skrupulatnego skontrolowania działania eliksiru doktor Loys nie zdobyłby się ani na podróż, ani na kupno cieląt.

Nie wiadomo, jak długo trwałby doktor Loys w tym stanie ciągłych wahań, gdyby wracając wczesnym rankiem dwudziestego trzeciego października z łazienki nie usłyszał żalosnych pisków, które oznaczały, że kotka domowa szczęśliwie okociła się.

Doktor Loys czym prędzej pośpieszył do kuchni budząc ogromne zdumienie kucharki — zaszczycał bowiem ten przybytek domowego ogniska niezmiernie rzadkimi wizytami. Ale to, czego świadkiem stała się owa kucharka później, napełniło ją jeszcze większym zdumieniem: doktor Loys przybył do kuchni umyślnie, by obejrzeć kotkę i jej małe! Co więcej — doktor Loys pogłaskał ją, a nawet powiedział do niej: „Kici, kici!” To było nieprawdopodobne! Doktor Loys jeszcze raz powiedział: „Kici, kici”, nachylił się nad kotką i z wielkim zainteresowaniem przyglądał się sześciorgu nowonarodzonym, jeszcze ślepym i drżącym kociętom, które już zabrały się gorliwie do korzystania z matczynego pokarmu. Dwa kociątka były białe z czarnymi plamkami, trzy — zupełnie czarne, a jedno było rude z ciemnymi, niemal czarnymi pręgami biegnącymi wzdłuż małego ciała.

— Śliczny! — pochwycił go doktor. — No i co z wami zrobić?

— Pani doktorowa kazała wszystkie utopić — powiedziała kucharka. — Wszyscy dokoła mają koty i nikt nie chce wziąć żadnego.

— Coś podobnego! — z żalem kiwał głową doktor, jak gdyby po raz pierwszy słyszał o tym, jaki smutny los oczekuje potomstwo ich kotki. — Utopić takie śliczne kociaki! Nie ma pani serca, gosposiu!

Zgoła nieoczekiwanie dla kucharki doktor Loys energicznie zażądał, by kotka wraz ze swym potomstwem została niezwłocznie przeniesiona do jego gabinetu, a to dlatego, że po całym domu biega półroczny szczeniak, seter Pirat, który gotów podusić bezbronne kociaki. Doktor sam zaopiekuje się kotką i jej małymi — to go trochę rozerwie.

Wzruszając ramionami kucharka wykonała zlecenie doktora. Ale na tym nie skończyły się nieoczekiwane dziwactwa doktora! Zaraz po śniadaniu oświadczył kucharce, że ma zamiar począwszy od dzisiaj wypróbować na sobie nową metodę leczenia podagry i dlatego poleca Rozalii, aby codziennie kupowała dla niego mleko i cielęciny w ilościach wskazanych na karteczce, którą wręczył nie posiadającej się ze zdumienia kucharce.

Na arkuszu papieru, poliniowanym pedantycznie, zapisane było drobnym, starczym pismem, co następuje:

Dwudziestego trzeciego października — litr mleka.

Dwudziestego czwartego października — dwa litry mleka i pół kilograma surowej cielęciny pokrajanej na drobne kawałki.

Dwudziestego piątego października — trzy litry mleka i kilogram surowej cielęciny, pokrajanej na kawałki po pięćdziesiąt gramów każdy.

Dwudziestego szóstego października — pięć litrów mleka, dwa kilogramy surowej cielęciny pokrajanej jak poprzedniego dnia.

Dwudziestego siódmego października — pięć litrów mleka i trzy kilogramy surowej cielęciny w jednym kawałku,

Rozalia znów wzruszyła ramionami i udała się po zakupy. Tymczasem doktor Loys zamknął się na klucz, opuścił żaluzje okienne i zapalił lampę na biurku. Później nucąc jakąś melodię liczącą co najmniej pół wieku wy dobył z niklowanego pudła szprycę, przepalił igłę nad spirytusową niewielką lampką, ostrożnie odkorkował jedną z epruwetek i nabrał z niej równiusieńko jeden centymetr „Eliksiru Bereniki nr 1”.

Kotka pozwoliła doktorowi wziąć z koszyka jej rudego kociaka. Po paru sekundach kociak słabiutko zapiszczał. Jego matka podniosła z niepokojem łebek, ale po chwili uspokoiła się, gdyż doktor położył małego rudzielca z powrotem na miejsce, a ten z lubością zabrał się do ssania. Prawa łapka od czasu do czasu podrygiwała, podczas gdy niewielkie podskórne zgrubienie wywołane zastrzykiem wessało się wraz z krwią w jego maleńkie ciało.

Wieczorem rudy kociak otworzył oczy o osiem dni wcześniej aniżeli jego rodzeństwo. Był już dwa razy większy od swoich braci i siostr. Doktor odseparował go za parawanem i postawił przed nim miseczkę pełną świeżego mleka. Kociak żarłocznie zabrał się do picia.

Następnego dnia kotek, którego doktor nazwał Merkurem, w związku z finansowymi nadziejami, jakie do niego przywiązywał, przeszedł na dietę mięsno—mleczną i rósł już nie z dnia na dzień, ale dosłownie z godziny na godzinę.

Po pięciu dniach Merkury był już duży jak jego matka. Pocziwa kotka nie mogła zrozumieć, gdzie się podział jej mały, rudy synalek, i patrzyła na rudego kocura, wychodzącego od czasu do czasu zza parawanu, ze zdumieniem i trwogą.

Właśnie tego dnia doktor Loys od samego rana został wezwany na bardzo pilne konsylium i wbrew oczekiwaniu został tam nie godzinkę lub dwie, ale do samego wieczora. Chory miał jakieś nie ustające ataki.

Doktor Loys cały czas był tak przejęty, że po prostu rozczulił rodzinę chorego i ta, w tajemnicy przed innymi uczestnikami konsylium, wręczyła mu podwójne honorarium. Ale w tym wypadku nie choroba pacjenta budziła niepokój doktora. Niepokoiła go myśl, że Merkury od rana nic nie jadł. Doktor obawiał się o zdrowie Merkurego.

To, co zastał w domu, gdy wreszcie wpadł do swego gabinetu, przeszło wszelkie, nawet najgorsze oczekiwania: Merkury, siedząc w rogu i mrucząc, w upojeniu obgryzał kosteczki swojej rodzicielki. Z jego maleńkich braciszków i siostrzyczek nie zostało nawet śladu. Merkury pożarł je razem ze skórkami, pazurkami i kosteczkami.

Ale najwidoczniej nawet ta szatańska uczta nie zaspokoiła jego głodu. Zauważywszy w rękach doktora, którego aż zemdlilo na widok tego, co się stało, kolejną porcję cielęciny, Merkury podskoczył, chwycił zębami spory kawał mięsa i ukrył się za parawanem, by spożyć przewidzianą dla niego mięsną porcję.

Teraz był już nawet większy od swojej nieboszczki matki i wzrostem dorównywał dużemu okazowi angorskiej rasy.

Doktora ogarnęło naraz takie przerażenie i taki wstręt do rudego żarłoka, że chwyciwszy żelazne szczypce leżące przy kominku rzucił się w stronę Merkurego z niezłomnym postanowieniem zmiażdżenia czaszki kocurowi, który głośno mlaskając pożera resztki cielęciny. Ale było to zadanie przerastające siły i zręczność starego doktora. Uderzenie spadło na grzbiet Merkurego. Kocisko przeraźliwie zapiszczało, wypuściło z pazurów resztki cielęciny, zasyczało jak żmija i wypadło przez na wpół otwarte drzwi z pokoju. Parę susów, a już było na pierwszym piętrze, stamtąd przez otwarte okno skoczyło na podwórze i ukryło się w krzakach za garażem.

Doktor wybiegł w ślad za Merkurym i zaczął wabić go najbardziej czułymi słowami wymachując smakowitym kawałkiem cielęciny, który miał być przeznaczony na kolację. Ale Merkury nie dowierzał doktorowi i nie dawał się złapać.

Na wszczęty hałas z kuchni wyrzała Rozalia.

— Kociątko uciekło — tłumaczył jej doktor Loys drżąc z zimna na jesiennym chłodzie. — Jedyne kociątko... a niech je diabli porwą!

— Jedyne? — zdziwiła się Rozalia. — A gdzie reszta?

— Pozdychały wszystkie — mówił doktor zmieszany coraz bardziej, mrużąc swe kaprawe oczy. — Zapomniałem je nakarmić... to jest właściwie zapomniałem nakarmić kotkę... no i pozdychały. I kotka też...

— Nasza kotka Kizia! — jęknęła Rozalia.

— Kizia też! — powtórzył doktor Loys. — Zakopałem wszystkie razem w ogrodzie... A teraz uciekł i ten ostatni! Niech go diabli porwą!

Doktor był pewien, że gdy Merkury poczuje głód, wróci do domu. Ale Merkury nie wracał — z czego zresztą doktor był nawet zadowolony. Wszystko było dla niego dostatecznie jasne. Doświadczenie z eliksirem udało się. Zastryk okazał się skuteczny. Można było udać się w podróż, aby gdzie w najbardziej zapadłym kącie kraju zużytkować resztę eliksiru.

Wieczór i noc minęły bez przygód. Doktor Loys odwiedził jednego z pacjentów, złożył wizytę któremuś ze swoich kolegów i położył się spać dosyć późno. Był tak zmęczony wydarzeniami dnia, że zasnął niezwłocznie i obudził się dopiero o godzinie dziesiątej z rana, co mu się niezmiernie rzadko przytrafiało, gdyż zazwyczaj już o godzinie wpół do ósmej był na nogach.

Po śniadaniu doktor Loys wybrał się na spacer i gwizdnął na Pirata, który zwykle towarzyszył mu podczas tej zdrowotnej rannej przechadzki. Pirat nie przybiegł jednak na gwizdek doktora.

— Pewnie jest na ulicy — rzekła Rozalia. — Lubi czasami sam wybiegać.

Doktor Loys wziął swą trzcinową laskę z gałką ze słoniowej kości, wyszedł na ulicę, zajrzał na podwórko swego domu i znów parokrotnie gwizdnął na Pirata. Ale i tym razem Pirat nie odezwał się.

Tknięty przecuciem, doktor Loys skierował się ku krzakom rosnącym za garażem, gdzie wczoraj ukrył się Merkury.

W krzakach majaczyły kontury jakiegoś rudego zwierzęcia wielkości Pirata. Ale to nie był Pirat. To był jakiś ogromny, potwornie wielki kot, z czarnymi pręgami biegnącymi wzdłuż rudego cielska. Pysk i łapy były zbroczone świeżą krwią. Rude zwierzę odbiegło parę kroków i przyjąwszy bojową postawę zaczęło syczeć i parskać nie spuszczając z doktora złych, zielonych ślepi.

Wymachując ciężką laską doktor posuwał się naprzód. Sierść na grzbiecie rudzielca zjeżyła się, wygiął się łukiem, syczał groźnie szczerząc ostre kły — wszakże nie miał odwagi rzucić się na swego pana.

Doktor Loys postąpił jeszcze kilka kroków naprzód i zatrzymał się wstrząśnięty obrazem, który ujrzał. Wśród krzaków, na ziemi mokrej od krwi leżał obgryziony trup swawolnego Pirata.

Właśnie wtedy w duszy doktora Loysa zrodził się straszliwy domysł, który go ostatecznie wytrącił z równowagi. Przypomniawszy sobie skóry tego olbrzymiego szczura i potwornie wielkiej świnki morskiej, które doktor Popff wywiesił na pokaz na ścianie swego chlewika. Przypomniawszy sobie, co mówił mu doktor Popff o tym, że z początku udało mu się otrzymać preparat przyspieszający proces wzrastania, ale dopiero po długich, uzupełniających doświadczeniach otrzymał preparat, który zatrzymywał ten przyspieszony proces, w chwili gdy obiekt doświadczeń osiągał normalną wielkość.

Teraz dopiero doktor Loys zrozumiał, dlaczego .na znalezionych przez niego epruwetkach widniały nalepki: „Eliksir Bereniki nr I” Ale teraz już było za późno. Doktor Loys przypomniał sobie, że właściwy eliksir doktor Popff przechowywał nie w epruwetkach, lecz w sporych butlach lub w niewielkich ampułkach.

Doktor Loys patrzył teraz na Merkurego i z przerażeniem zrozumiał, jakie niebezpieczeństwo dla całego Bakbuku może stanowić to drapieżne i wciąż rosnące, wiecznie głodne stworzenie.

Trzeba by niezwłocznie powiadomić o grożącym niebezpieczeństwie policję, uprzedzić ludność, przedsięwziąć energiczne kroki, by jeszcze dziś zabić drapieżnika, zanim zdąży jeszcze bardziej urosnąć.

Ale jak to zrobić? Przecież powstanie pytanie, skąd zjawił się ten potwór, dlaczego doktor Loys pierwszy zauważył tego potwora? Nie miał też żadnej pewności, że Rozalia, domyślająca się czegoś, nie rozpowie wszystkim o zagadkowej historii kotki i jej maleństw.

Najchętniej wróciliby z tego nieudanego spaceru do domu, ale to niewątpliwie wywołałoby słuszne zdziwienie Rozalii. Doktor Loys musiał więc w stanie ogromnego przygnębienia kontynuować swój spacer poranny i udawać, że nic się nie stało. Szedł powolnym krokiem, zamieniając z napotykanymi przechodniami powitania, a nawet zawiązując z niektórymi krótkie rozmowy.

Ale wszystkie myśli doktora Loysa obracały się w tej chwili dokoła Merkurego. Wznosił modły do Boga, by Merkury nie stał się powodem większych nieszczęść, zanim go inni mieszkańcy nie zauważą i nie powiadomią policji.

Rozdział siedemnasty

O tym, co się dalej działo z rudym kocurem a także z Booco Soothem

Po pożarciu Pirata Merkury najwidoczniej zaspokoił swój głód na pięć do sześciu godzin i ukrył się dla spokojnego przetrwania. Dopiero o godzinie trzeciej po południu pewien chłopczyk wracając ze szkoły zauważył go. Chłopiec zabawiał się w Robinsona Kruzoe i dlatego nie szedł chodnikiem, jak wszyscy, lecz przedzierał się przez krzaki rosnące wzdłuż bulwarów, by nie wpaść w ręce ludożerców.

Chłopiec, o którym mowa, był odważny i nie lękał się niebezpieczeństw. Przeciwnie, pragnął spotkania z lwami, aligatorami i ludożercami. Był uzbrojony w nieodłączny pistolet–straszak, który strzelał korkiem znacznie głośniej aniżeli prawdziwy rewolwer.

Młody Robinson czołgając się wśród zarośli, jakie dzieliły domek jego rodziców od domu doktora Loysa, ujrzał nieoczekiwanie jakieś wielkie, rude zwierzę, podobne do kota, ale o wiele większe. Chyba ze sto razy większe.

„Tygrys!” — ucieszył się chłopiec i wydobył swą morderczą broń. Odciągnął cyngiel i powoli skradał się ku drapieżnikowi. „Tygrysy trzeba podchodzić pod wiatr — przypomniał sobie młody Robinson. — Trzeba trafić w ucho, żeby nie uszkodzić futra...”

Nieustraszony myśliwy nie zdążył dokończyć swej myśli, gdy pasiaste zwierzę przykucnęło i skoczyło na nie znajęcego strachu myśliwego.

Przeraźliwy krzyk dziecka, głośny wystrzał straszaka i przeciągłe wycie, jakby stu naraz kotów, zlały się w tak przerażający hałas, że mieszkańcy okolicznych domów wybiegli na ulicę.

Na ulicy panował jednak spokój. Wtedy rzucono się na poszukiwania za garażem doktora Loysa i znaleziono leżącego bez przytomności małego synka buchaltera Nummula. W ręku chłopca znajdował się zaciśnięty straszak, który mu uratował życie. Lewą ręką, z której przez rozdarty rękaw obficie sączyła się krew, młody Nummul przyciskał do twarzy skórzany tomister z książkami. Gdyby nie ten tomister, pazury Merkurego zamieniłyby miłą twarzyczkę chłopca w krwawe strzępy.

Chłopca przyniesiono niezwłocznie do domu i wszyscy byli pełni uznania dla doktora Loysa, widząc z jakim przejęciem i z jaką cierpliwością opatrywał rany chłopca.

— Zastanawiająca rana! — rzekł doktor Loys usiłując zapanować nad coraz bardziej widocznym drżeniem rąk. — Gdybyśmy byli w Afryce, powiedziałbym, że to są ślady pazurów tygrysa lub lamparta. Ale przecież w Bakbuku nie ma tygrysów.

Dzielny chłopiec, który zdążył już odzyskać przytomność, oświadczył, że to właśnie tygrys napadł na niego.

— Cóż to? Czy to ja nie wiem, jak tygrys wygląda? — mówił, mężnie powstrzymując grymas bólu. — To był najprawdziwszy tygrys, miał takie same czarne pręgi jak na obrazkach Dobrze, że zdążyłem wystrzelić do niego, boby mnie pożał.

Zwrócono się do chłopca, by dokładnie opisał zwierzę, które na niego napadło. Sądząc z jego opisu nie był to jednak tygrys. Był mniejszy. A może to był ryś? Ale podobno rysie nie bywają rude. A zresztą, kto wie? Po raz ostatni widziano rysia w okolicach Bakbuku przed dwustu laty. To fakt.

Oddział uzbrojonych policjantów otoczył tyralierą teren, który był miejscem wypadku. Przetrzęsnięto wszystkie krzaki, zarośla, ogrody, podwórka, a nawet i zabudowania gospodarskie. Jednakże prócz obgryzionego szkieletu biednego Pirata nie znaleziono nic podejrzanego.

Za pośrednictwem miejscowej stacji radiowej powiadomiono ludność o pojawieniu się w mieście drapieżnika. Opisano jak wygląda i wzywano do natychmiastowego zawiadomienia policji o miejscu, gdzie się znajduje, w wypadku, gdyby go ktoś zobaczył. Ponadto ludności polecono zachować należyty spokój.

O godzinie piątej wieczorem władze policyjne zostały powiadomione telefonicznie, iż przed chwilą zagadkowe rude zwierzę napadło na wyżła rejenta Mormora. Przegryzłszy gardło dużemu i silnemu wyżłowi rudy drapieżnik zawłókł psa w niewiadome miejsce. Jakiej wielkości było to zwierzę? Podobno było nawet większe od wyżła.

— Czy jest pan tego pewien, panie rejencie? — zapytał inspektor policji. — A może był mniejszy od pańskiego wyżła?

— Jestem absolutnie pewien. Zwierzę to było większe i dłuższe od mojego biednego Cezara.

Sprawa przedstawiała się niezmiernie zagadkowo. Czyżby pojawił się drugi tygrys?

Na miejsce wypadku niezwłocznie przybyły dwa samochody z policjantami trzymającymi na smyczy tresowane psy policyjne. Puszczono je, by wytropiły drapieżnika.

Psy przywiodły do obgryzionych resztek wyżła, znalezionych w odległości prawie dwóch kilometrów od domu rejenta w gęstwinie zapuszczonego ogrodu niezamieszkałej posiadłości.

Drapieżnika w pobliżu nie znaleziono. Psy pobiegły dalej, lecz jak na złość zaczął padać zimny, jesienny deszcz i tropienie musiano przerwać, gdyż ślady ginęły w rozmokłej ziemi.

Wracając z poszukiwań policjanci stwierdzili, iż nie dojezione resztki wyżła zdążyły zniknąć. Drapieżnik spletał figla policjantom. Było to ryzyko ze strony Merkurego, ale zmuszał go do tego kroku głód.

Reszta wieczoru minęła spokojnie. Gdyby jednak ktoś domyślił się i zajrzał na strych domu owej niezamieszkałej posiadłości, ujrzaliby zaiste niezwykle widowisko. Oto Merkury bawił się własnym ogonem, biegał w podskokach i kładąc się na grzbiecie usiłował potężnymi łapami, zakończonymi ostrymi pazurami, chwycić koniec sznura zwisającego z belki pułapu nad jego głową. Merkury najadł się i dlatego zachowywał się tak, jak zwykły to czynić najedzone kocięta. Później położył się i zdrzemnął.

Około dwunastej w nocy Merkury obudził się. Znow był głodny. Wydostał się przez okno w strychu na dach, miękko zeskoczył na ziemię i udał się na łowy. Bakbuk jak gdyby wymarł. Na ulicach nie było żywej duszy. Nawet łańcuchowe psy spędzały tę noc wewnątrz domów. Po mieście patrolowały policyjne samochody. Spóźnionych przechodniów rozwożono do domów i odjeżdżano dopiero wtedy, gdy przekonano się, że drzwi wejściowe zostały za nimi zamknięte.

O godzinie drugiej w nocy mieszkańcy domów przy ulicy Opatrzności zostali obudzeni niezwykle głośnym hałasem dochodzącym z zewnątrz. Ci, którzy nie byli zbyt leniwi, wstali z łóżek i wyjrżeli przez otwarte okna na ulicę, stwierdzili, iż jezdnia ulicy, w sposób niepojęty, jak gdyby kołysała się i poruszała niby żywa. Gdy oczy przywykły do ciemności, z ust patrzących wydobył się okrzyk wstrętu i przerażenia: cała jezdnia łącznie z chodnikami roiła się od szczurów, od tysiący, dziesiątków tysięcy szczurów, które z obrzydliwym piskiem i jeszcze bardziej obrzydliwym szuraniem uciekały z miasta.

Ten obmierzły pochód trwał prawie godzinę, i jak się to dopiero nazajutrz udało stwierdzić, ciągnął się od ogromnych składów miejscowego młyna i okolicznych spichrzów.

Nieważna większość przypuszczeń zostało wypowiedzianych na temat tego niezwyklego zjawiska. Ale kto by się mógł w Bakbuku domyślić istotnej przyczyny tej szczurzej wędrówki? Szczury uciekały przed potwornym kocurem, który pojawił się w okolicach młyna. Nocni dozorczy spichrzów pochowali się. Wiedzieli doskonale, że takie wędrujące chmary szczurów mogły w jednej chwili zostawić po nich tylko obgryzione kości i co najwyżej guziki. Dlatego też nikt nie widział tej straszliwej rzezi, jaką tej nocy Merkury sprawił wśród szczurów.

Aż do wieczora następnego dnia Merkury nie dał znaku życia o sobie. Zaalarmowane miasto przeżywało godziny pełne trwogi. Szkoły zostały zamknięte aż do odwołania. Dzieci nie wypuszczano na ulicę, a dorosłym również polecono wychodzić jedynie w razie potrzeby i korzystać raczej z komunikacji samochodowej. Tym, którzy nie mieli samochodów, radzono chodzić grupami i na wszelki wypadek uzbroić się w broń palną.

Zawieszenie broni pomiędzy Merkurym a Bakbukiem trwało dwadzieścia cztery godziny. Obywatele miasta zaczęli powoli uspokajać się. Byli nawet tacy, którzy pozwalali sobie na kpiny. Ale żarty strojono sobie jedynie w szczelnie zamkniętych domach. Ulicami miasta w dalszym ciągu jeździły samochody i rozwoziły miejskich birbantów.

Jeden z takich właśnie samochodów o godzinie jedenastej w nocy stanął przy furtce domu znanego już nam Booco Sootha.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni Booco Sooth przytył, miał na sobie nowe, doskonale uszyte ubranie z brązowego, dość drogiego materiału. Booco Sooth był tego wieczoru w dobrym humorze, podpił sobie bowiem w gronie przyjaciół i dlatego popisywał się wobec odprowadzających go policjantów odwagą. Wychodząc z samochodu, wydobyl z kieszeni wielki dwunastostrzałowy automatyczny pistolet, podziękował policjantom za odwiezienie i lewą ręką nacisnął klamkę swych drzwi.

Samochód już ruszył z miejsca, gdy nagle rozległ się straszliwy krzyk. Policjanci niemal w biegu wyskoczyli i rzucili się w kierunku domu. Dla dodania sobie odwagi i dla zaalarmowania innych patrolujących oddziałów policjanci strzelali całymi seriami.

Otóż te właśnie wystrzały i wycie syreny cofającego się samochodu zmusiły Merkurego do ucieczki — inaczej Booco Sooth byłby trupem. Ale to skrwawione i poszarpane ciało, które policjanci znaleźli przy wejściowych drzwiach domu, mało przypominało podpitego, pulchnego człowieka, z którym pożegnano się przed chwilą.

Nawet tak doświadczony chirurg, jak doktor Astrolab, który miał do czynienia z niejednym ciężkim wypadkiem, zachodził w głowę na widok stanu, w jakim znajdował się nowoprzywieziony pacjent. Głębokie, szarpane rany broczyły krwią i biegły wzdłuż całego ciała. Z prawej ręki pozostały jedynie sterczące kości. Najwidoczniej tygrys (teraz już uwierzono, że w mieście grasuje tygrys) przede wszystkim wpił się zębami w ramię i zdarł z niego mięso jak rękawiczkę. Właśnie dlatego Booco Sooth nie zdążył zrobić użytku ze swojego pistoletu.

Podczas gdy chirurg zszywał poszarpane mięśnie Booco Sootha, wzmocnione oddziały policji wraz z co najmniej dwoma tuzinami psów policyjnych zaciskały pierścień obławy dokoła Merkurego, który formalnie oszalał od nie ustających wystrzałów, szczekania psów, a zwłaszcza od oślepiających reflektorów, które na teren obławy skierowały zgromadzone dokoła samochody.

Merkurego przychwycono w rejonie nowobudującego się ogromnego garażu. Policjanci, sunąc tyralierą, zapędzili Merkurego za wysoki parkan. Wtedy rozbłysły wielkie łukowe lampy na całym terenie zabudowań. Było jasno jak w dzień.

Śmiertelnie przerażony Merkury najwidoczniej zapomniał o głodzie, który mu coraz bardziej dokuczał. Skradał się powoli, przykucnięty do ziemi, lub naraz wykonywał ogromne skoki, potem znowu skradał się, przypominając raczej wystraszonego siedmiodniowego kociaka, a nie drapieżnika, który wzrostem niemal dorównywał sporej panterze.

Tropiący go policjanci byli już blisko. Około tuzina kul tkwiło już w wielkim i głupim cielsku Merkurego. Z niektórych ran krew sączyła się strumieniami, ale Merkury, jak wszystkie koty, miał w sobie niespożyte siły żywotne. Czołgał się dalej, kryjąc się w cieniu zabudowań. Po drodze napotkał jakąś drewnianą szopę, jednym susem, na który starczyło mu jeszcze sił, skoczył na dach i zastygł na chwilę zarysowując się na tle jaskrawych świateł reflektorów jak wyolbrzymiona potwornie sylweta zwykłego domowego kota. Zagrzmiało kilka serii z automatycznych pistoletów i Merkury stoczył się na ziemię białą od wapna. Żył jeszcze, jeszcze tliły w nim resztki sił. Kierowany niezawodnym instynktem, który kazał mu za wszelką cenę szukać ocalenia, czołgał się dalej, ale już bez celu i bez nadziei. Znow na drodze wyrosła przed nim jakaś przeszkoda. Był to niewielki, zaledwie półmetrowy parkanik. Merkury zdobył się na ostatni wysiłek, wdrapał się nań przednimi łapami i z wysiłkiem ciągnął w górę swój zraniony tułów. Po chwili runął w dół, w coś, co w blasku oślepiającego światła wyglądało jak biała płaszczyna.

Rozległ się rozdzierający skowyt, który usłyszano zapewne nawet w odległych zakątkach Bakbuku. Po chwili wszystko ucichło. Wielki dół z niegaszonym wapnem przerwał wreszcie krótkie, nieprawdopodobne i w gruncie rzeczy głupie życie rudego kotka, Merkurego.

Gdy policjanci stali dokoła dołu z wapnem i doszli do przekonania, że chyba już niewiele zostało po upolowanej zdobyczy, na oddziale chirurgicznym szpitala w Bakbuku powoli otwierał oczy Booco Sooth.

Znakomity chirurg nachylił się nad nim.

— Czy umieram? — zapytał go szeptem Booco Sooth.

— Niech pan będzie spokojny... Zacerowaliśmy pana pierwszorzędnie. Ale nie wolno się panu ruszać.

— Proszę mi powiedzieć prawdę — powiedział Booco Sooth. — Muszę wiedzieć prawdę. Jeżeli mam wkrótce umrzeć, proszę mi powiedzieć. To jest bardzo ważne.

— Jeżeli pan chce żyć, musi pan przede wszystkim leżeć spokojnie i nic nie mówić.

Booco Sooth zgrzytnął zębami z bólu i po chwili donośnym i rozkazującym głosem powiedział:

— Proszę czym prędzej zawołać kogoś, kto zasługuje na zaufanie i umie trzymać język za zębami. Mam do złożenia niezmiernie ważne zeznanie.

Rozdział osiemnasty

w którym Booco Sooth składa ważne zeznanie

— Czy drzwi są zamknięte? — zapytał Sooth. — Trzeba zamknąć drzwi, aby nikt nie podsłuchiwał. — Głowa Booco Sootha stercząca nad zabandażowanym ciałem czyniła go podobnym do egipskiej mumii.

— Drzwi są zamknięte. Może pan zaczynać — powiedział doktor Astrolab.

— Musi mi pan jeszcze przysiąc, że wszyscy zachowacie w tajemnicy to, co wam opowiem... póki nie umrę. Dopiero w dziesięć dni po mojej śmierci możecie powiadomić, kogo będziecie uważali za stosowne.

— Dobrze. Może nam pan zaufać.

— Musicie przysiąc.

— Przysięgam — powiedział zirytowany chirurg.

— I oni też muszą przysiąc.

— Przysięgamy! — odezwał się asystent doktora Astrolaba i sanitariuszka. Przyzwyczajeni byli do kaprysów chorych.

— A teraz piszcie! — zwrócił się do nich Booco Sooth. — Przygotujcie papier i piszcie. Będę wam dyktował.

— Może na razie opowie nam pan, a później zapiszemy. Dyktowanie zmęczy pana zanadto — perswadował chirurg.

— Powiedziałem — piszcie! — nalegał Sooth i doktor musiał ustąpić.

Na rumianej, mięsistej twarzy chirurga malował się wyraz zmęczenia i znudzenia. Kto wie, czy te brednie gadatliwego pacjenta nie zatrzymają go w szpitalu do samego rana?

— Przede wszystkim... — rozpoczął Booco Sooth. — Ale tego jeszcze nie zapisujecie... Przede wszystkim zapewniam was, że jestem przytomny i zdaję sobie dokładnie sprawę ze wszystkiego. Jest teraz około jedenastej wieczorem. Znajduję się w szpitalu... byłem operowany przez doktora Astrolaba... Czy tak?

— Zgadza się — potwierdził chirurg.

— Nazywam się Booco Sooth. Zostałem pokąsany przez tygrysa. Prócz pana, panie doktorze, znajdują się tu jeszcze dwie osoby: pański asystent, około dwudziestu pięciu lat, i kobieta, mniej

więcej czterdziestoletnia... W pokoju pali się tylko lampa na nocnym stoliku, pod zielonym abażurem. Górne światło zostało zgaszone, aby mnie nie raziło. Czy zgadza się?

— Najzupełniej — potwierdził chirurg.

— Czy wątpi pan, panie doktorze, że jestem przytomny i przy zdrowych zmysłach? Czy ma pan jakieś zastrzeżenia co do mojej poczytalności w tej chwili?

— Nie mam żadnych. Jest pan przytomny, normalny, chociaż osłabiony z powodu znacznego upływu krwi.

Na bladej i pomarszczonej twarzy Booco Sootha na chwilę zagościł uśmiech zadowolenia.

— A teraz proszę zapisywać. „Ja, Booco Sooth, w obecności doktora Astrolaba i dwóch świadków wezwanych na moją prośbę (nazwiska proszę wpisać później), czując zbliżającą się śmierć, uroczyscie... oświadczam, co następuje: Doktor Stephen Popff i aresztowany razem z nim mechanik Sancho Aneiro... nie są winni... zbrodni, o którą zostali oskarżeni. Nie są winni napadu na Manhama Beroime, nie są winni jego śmierci. Napadu na Manhama Beroime dokonałem ja!”

Wszyscy trzej ludzie stojący dokoła łoża Booco Sootha pobledli ze wzruszenia i zamienili spojrzenia. Ręka asystenta, który zapisywał, zatrzymała się w połowie słowa.

— Przysięgliście! — przypomniał im z niepokojem Booco Sooth. — Jeżeli zawiadomicie policję lub prokuratora, zaprę się swoich słów. Dopiero w dziesięć dni po mojej śmierci... przecież przysięgliście!

— Przysięgliśmy i dotrzemy słowa — uspokoił go doktor Astrolab nie panując nad wzruszeniem. — Może pan być zupełnie spokojny.

— Sooth podejrzliwie patrzył na wzburzone twarze obecnych.

— Przysięgliście! — powtórzył. — Polegam na was. Jesteście przecież przyzwoitymi ludźmi. Cóż mi po tym, że doktor Popff i Aneiro pójda do tego samego dołu, co ja... ale chcę, żeby mnie pochowano nie jako mordercę... chcę do końca być dla innych porządnym człowiekiem... Po mojej śmierci — proszę bardzo! Możecie opowiedzieć... nawet musicie... ale jeżeli zaraz pobiegniecie do prokuratora, powiem, żeście sami wymyślili tę historię, aby ocalić swojego kolegę, doktora Popffa...

— Niech pan mówi dalej — powiedział chirurg. — Przysięgliśmy i dotrzemy słowa.

— „...To ja napadłem i poraniłem Manhama Beroime — kontynuował Booco Sooth. — I ja jestem sprawcą jego śmierci. Podjąłem się tego i wykonałem czarną robotę, a polecił mi wykonać ją człowiek imieniem Syndirak... nie znam jego nazwiska. To on uplanował cały ten napad i kazał

mi go wykonać. Ale ani ja, ani on nie jesteśmy winni, że Manham umarł. Syndirak nawet specjalnie mnie uprzedził, że rany nie powinny być śmiertelne. Chodziło tylko o to, żeby zadać mu rany, i o to, by podejrzenie padło na doktora Popffa i Sancho Aneiro. To on mi kazał, abym za plecami tego chłopca, zanim go uderzyłem nożem, powiedział: «Prędeż, doktorze, ktoś idzie!» Chodziło o stworzenie poszlaki przeciwko doktorowi. Ten pan Syndirak koniecznie chciał posądzić doktora Popffa na ławie oskarżonych. Nie wiem, dlaczego. Z początku odmówiłem, ale pan Syndirak oświadczył mi, że przybył z polecenia Białego Kruka... więc nie mogłem... nie mogłem się sprzeciwić. Do dnia drugiego września nie wiedziałem nawet, że istnieje pan Syndirak, ale on wiedział wszystko o mnie. Oświadczył, że działa z rozkazu Białego Kruka... więc nie mogłem się sprzeciwić...” — Czy zapisałiście, że nie mogłem się sprzeciwić?

— Zapisałem — zapewnił go asystent. — Ale skąd się wziął ten pan Syndirak?

— Nie wiem i nie wolno mi było wiedzieć... powiedział, że przybywa od Białego Kruka, a to było wystarczające. Ja nigdy przedtem... od paru lat usiłowałem żyć uczciwie...

Booco Sooth przerwał na chwilę. Doktor Astrolab podał mu szklanekę wody i po chwili chory mówił dalej:

— Wiem tylko tyle, że kiedy zdemolowano dom doktora Popffa... ten człowiek od Białego Kruka... czegoś szukał w gabinecie doktora... pozabierał jakieś papiery i jakieś buteleczki... a później znikł i już go więcej nie widziałem...

— Czy to wszystko? — zapytał po chwili milczenia chirurg.

— To wszystko — odpowiedział słabnącym głosem Booco Sooth. — Proszę mi przeczytać to, co zostało zapisane, a ja podpiszę... i to będzie już wszystko.

Wszystko było zapisane zgodnie ze słowami chorego. Sooth podpisał niezgrabnie lewą ręką swoje nazwisko i niemal zaraz potem stracił przytomność.

Doktor Astrolab, jego asystent i sanitariuszka potwierdzili swoimi podpisami wiarygodność zeznania Booco Sootha. Siedzieli przy stole, wyczerpani bardziej minionymi piętnastoma minutami aniżeli najtrudniejszą operacją. Milczeli długo, spoglądając raz po raz na siebie.

— Jak pan sądzi, doktorze — przerwała wreszcie milczenie sanitariuszka — czy on prędko umrze?

— Miejmy nadzieję, że oskarżeni zostaną uniewinnieni z powodu braku poszlak — odpowiedział doktor Astrolab — a ten łajdak zostanie kaleką na całe życie, gdyż rany nie są śmiertelne.

Rozdział dziewiętnasty

w którym wszystko dzieje się tak, jak przewidywał Primo Padrele

Daremnie szukalibyśmy na łamach prasy stołecznej jakichkolwiek wiadomości o sprawie doktora Popffa i Aneiro. Drobne tylko wzmianki w dwóch czy też trzech pomniejszych pismach doniosły w połowie września, że w prowincjonalnej mieścinie Bakbuk jacyś dwaj, niczym specjalnie nie wyróżniający się ludzie, mechanik i lekarz—szarlatan, zostali aresztowani za napad i zadania ran chłopcu, który również niczym specjalnym się nie wyróżniał. Kogóż by to mogło specjalnie interesować? Codziennie, a nawet i co godzinę w wielkiej, bogatej i szczęśliwej Argentei dokonywane są tak liczne napady i morderstwa...

Minął wrzesień, październik, listopad, grudzień i pierwsza połowa stycznia, a pisma zarówno stolicy jak innych miast — z wyjątkiem Battogi i Bakbuku — w dalszym ciągu zachowywały milczenie w tej sprawie.

Śledztwo wciąż jeszcze trwało, lecz aresztowanych coraz rzadziej wzywano na badania. Raz na miesiąc pozwalano żonom widywać więźniów. Dwa razy na miesiąc sędzia śledczy Pappula wyjeżdżał do Battogi, nie wiadomo było wszakże, czy w celu złożenia raportów swoim władzom, czy też dla rozerwania się po przygnębiającej nudzie w Bakbuku.

Siedemnastego stycznia wieczorne wydania czasopism Miasta Wielkich Żab i Battogi powiadomiły swoich czytelników, że dziś o godzinie dziesiątej minut trzydzieści z rana, w Bakbuku, w starym gmachu miejscowego sądu rozpoczął się proces „bakbuckich morderców”. W zredagowaniu dla prasy treściwego skrótu aktu oskarżenia można było się domyślić pomocy sędziego Pappuli.

Następnie minął cały miesiąc i osiem dni kompletnego milczenia w tej sprawie, czego zresztą większość czytelników nawet nie zauważyła. Jakiś to już wcześniej wspomnieli, Argentea była opanowana podówczas psychozą tak zwanych „mrówczych wyścigów”.

Były to czasy, kiedy za najszybsze egzemplarze mrówczego rodu, zwłaszcza rudych mrówek, płacono setki, a nawet tysiące centaurów. W tym samym mniej więcej czasie cały kraj obiegła sensacyjna wiadomość o dwóch bogatych przemysłowcach, którzy zgrali się do nitki na tych wyścigach i skończyli samobójstwem. Wkrótce potem powstał huczek, gdy pewnego dżentelmena, który otrul „mrówkę—derbistkę”, aby zapewnić wygraną swojemu faworytowi, skazano na bardzo

ciężką karę więzienną, powodując się analogią do głośnej w swoim czasie sprawy otrucia słynnej trzyletniej klaczy „Joulietta”, pretendenci do pierwszej nagrody w Derbach końskich.

Inny znów miłośnik sportu mrówczego, który wynalazł, a następnie opatentował swój wynalazek nazwany „Formicodrom”, polegający na tym, że każdy mógł zainstalować u siebie na niewielkim stole specjalne, kryte pod szkłem, tory wyścigowe dla mrówczych wyścigów — w ciągu dwóch tygodni zdobył ogromny majątek i stał się jedną z najbardziej popularnych postaci w całym kraju. O jego wynalazku pisano jako o wspaniałym przejawie geniuszu Argentei. Miliony obywateli tego kraju różnych zawodów i stanowisk spędzały godziny w gorączce hazardu nad owymi nowowynalezionymi, przenośnymi torami mrówczych wyścigów.

Każde miasto posiadało po kilka klubów „Miłośników Mrówczych Wyścigów”. Na specjalnym posiedzeniu przedstawicieli tych klubów wypracowane zostały obowiązujące dla całego kraju przepisy regulujące pravidła nowego sportu. Mówiono nawet o ogólnokrajowym zjeździe klubów dla wyboru centralnego zarządu Federacji Klubów Mrówczych.

Jednym słowem, kogóż mogła wtedy interesować jakaś banalna sprawa tocząca się w dalekim Bakbuku?

Zresztą, nawet gdyby nie było „mrówczej psychozy”, pisma również nie poświęciłyby tej sprawie ani jednego wiersza na swoich szpaltach. Primo Padrele nie mógł przecież pozwolić na to, by jego polityczni przeciwnicy mogli zawczasu przygotować się do odparowania tego druzgoczącego ciosu, który zamierzał im zadać.

Wszystko było z góry dokładnie przewidziane: w ostatnich dniach lutego wydany zostanie wyrok na morderców z Bakbuku. Tego samego dnia wiadomość o wyroku z odpowiednimi komentarzami zostanie rozkolportowana przez agencje prasowe. Następnego dnia większość gazet ukaże się z ogromnymi tytułami na pierwszej kolumnie: „Musimy wyrwać jadowite żądło wrogom cywilizacji i praworządności” lub: „Wróg czai się w naszym domu”, albo jeszcze coś w tym rodzaju.

I niechże potem partie Frontu Ludowego spróbują coś zrobić. Nie zdążą — wybory mają się odbyć już szóstego marca.

Dwudziestego piątego lutego, po przerwie obiadowej, toczyło się końcowe posiedzenie sądu. Rozpoczęło się od wygłoszenia ostatniego słowa przez oskarżonych. Pierwszy przemówił doktor Stephen Popff, który w przeciągu sześciu miesięcy przebywania w więzieniu wychudł, pozółkł i wciąż miał na sobie to samo stare, szare ubranie, w którym go przywieziono do celi.

Staął za żelazną, wysoką kratą, dzielącą ławę oskarżonych od trybunału, odkaszlnął, uśmiechnął się do Bereniki, do wdowy Gargo i małżonków Bamboli, którzy siedzieli na ławach dla publiczności, i zaczął swe przemówienie:

— Panowie sędziowie! Panowie przysięgli! Przysługującą mi możność zabrania głosu chcę wykorzystać wcale nie po to, aby się usprawiedliwiać. Nie poczuwam się do żadnej winy i z czystym sumieniem to oświadczam. Nie będę powtarzał argumentów mojego obrońcy, który moim zdaniem nie zostawił suchej nitki na tych wszystkich poszlakach, którymi posługiwano się, aby zarówno mnie jak i Sancho Aneiro oskarżyć o tak ciężkie przestępstwa. Mógłbym właściwie skończyć na tym oświadczeniu, gdyby nie pewne okoliczności, które mnie zmuszają do szerszego omówienia całej sprawy.

— W toku procesu, przedstawiciel oskarżenia raz po raz zadawał mi pytania na temat tego, jaki jest mój stosunek do komunistów, do walki klasowej, do istniejącego ustroju, a nawet do Związku Radzieckiego. Nie jestem tak naiwny, abym nie rozumiał, w jakim celu były mi zadawane te pytania, aczkolwiek dziwiło mnie nieco, z jakiej racji moje takie lub inne uczucia dla kraju, z którym utrzymujemy normalne, a nawet przyjazne stosunki, miałyby decydować o mojej winie lub niewinności.

— Zdaję sobie dokładnie sprawę z tego, że urząd prokuratury pragnie udowodnić mi sympatie do komunizmu i brak sympatii dla istniejącego w naszym kraju ustroju, a tym samym pragnie stwierdzić, że jestem zwolennikiem walki klasowej. Zbliżyłoby mnie to do mojego towarzysza z ławy oskarżonych, Sancho Aneiro, a tym samym ułatwiłoby zadanie oskarżeniu i w sędziach przysięgłych, których bynajmniej nie podejrzewam o stronnictwo, mogłoby wytworzyć niechętny stosunek do mojej osoby. Szczerze i uczciwie odpowiadałem na wszystkie zadawane mi pytania. Nie mogłem przyznać się do sympatyzowania z ideałami komunizmu i walki klasowej, gdyż nie żywiłem tych uczuć. Nie mogłem powiedzieć o sobie, że jestem przeciwnikiem istniejącego ustroju gdyż nim nie jestem.

— Z czystym sumieniem w ten sposób odpowiadałem na pytania na samym początku procesu. Ale od tej chwili minął przeszło miesiąc, a przebywanie w celi więziennej, przy tym w separacie, w ciągu tak długiego okresu pozostawia dość dużo czasu dla rozmyślań. Uważam więc obecnie za swój obowiązek oświadczyć, że moje przekonania uległy do pewnego stopnia radykalnej zmianie..

Doktor Popff spojrzął na sędziego, na prokuratora, na sędziów przysięgłych. Sędzia uprzejmie kiwnął głową, jak gdyby w uznaniu dla szczerości słów podsądnego, a Pappula, który występował

w roli oskarżyciela, odpowiedział doktorowi Popffowi jednym ze swych czarujących uśmiechów. Przysięgli, w liczbie dwunastu obywateli miasta Bakbuku, patrzyli na oskarżonego wzrokiem pełnym wrogości i niepewności, jak gdyby podejrzewając, że za tymi słowami kryje się jakiś sprytny wybieg.

Jeszcze nigdy od chwili rozpoczęcia procesu na sali sądowej nie panowała tak naprężona cisza.

Sancho Aneiro spojrział na Popffa z nieukrywanym zdziwieniem, jak gdyby go widział po raz pierwszy.

— ...Tak... uległy zmianie — powtórzył doktor Popff. — Nie mam zamiaru robić z tego tajemnicy, gdyż jeszcze w szkole uczono mnie, że w Argentei nikt nie jest sądzony za swoje przekonania. Sądzi się jedynie za popełnione zbrodnie. A przecież ani ja, ani mój towarzysz z tej żelaznej klatki żadnego przestępstwa nie popełniliśmy.

— A więc będę mówił o moim stosunku do komunistycznej partii. Pierwszym i jedynym członkiem tej partii, z którym dotychczas zetknąłem się, był i jest Sancho Aneiro. Nie mógłbym życzyć i sobie, i każdemu z obecnych na tej sali bardziej serdecznego, rozumnego, szlachetnego i kulturalnego przyjaciela aniżeli Sancho Aneiro, z którym niestety tak późno i w tak tragiczny sposób zetknęły mnie moje losy.

— Spędziłem w Bakbuku kilka miesięcy, pozbawiony przyjaciół, w atmosferze niedowierzania, a często nawet pogardliwej zawiści, nie wiedząc, że tu, w tym mieście, mieszka człowiek, który chociaż nie posiada żadnego dyplomu jest człowiekiem kulturalnym i szlachetnym i który podobnie jak ja szczerze pragnął szczęścia i dobrobytu — i walczył o nie! — dla biednych ludzi mojej ojczyzny. Nie znam innych komunistów prócz Sancho Aneiro. Ale jeżeli ci ludzie są bodaj trochę podobni do mojego nowego przyjaciela, nie mogę nie żywić dla ich partii uczucia prawdziwej sympatii i szacunku.

— A teraz parę słów o moim stosunku do istniejącego ustroju i walki klasowej. Wiele myślałem o tym spędzając bezsenne noce w mojej celi. Jestem lekarzem i człowiekiem nauki. Wolno mi podchodzić do interesujących mnie zagadnień z najbardziej dostępnego mi, bo zawodowego stanowiska. Aby istotnie zaspokoić potrzeby przeważającej większości ludności, ustrój państwowy powinien zapewniać ubogim sferom bezpłatną pomoc lekarską. Niestety w Argentei jeszcze tego nie ma, ale wszelkimi dostępnymi środkami powinno się walczyć o to.

— Wieleż to setek razy odwiedzałem chorych żyjących w skrajnej nędzy, nie dlatego że są próżniakami lub nie umieją nic robić, ale dlatego że kryzys pozbawił ich pracy. Znam mnóstwo

wypadków, kiedy zarówno dzieci jak i dorośli marnieli i umierali z powodu braku mleka, tłuszczów, jarzyn, mięsa, podczas gdy setki cystern mleka wylewano do rzeki, tysiące i tysiące ton mięsa, miliony skrzynek z owocami niszczone, by utrzymać wysokie ceny. Jest to w najwyższym stopniu niesprawiedliwe. Wszyscy jednak wiedzą, że odwoływania się do serca, do rozumu czy sumienia właścicieli i posiadaczy tych bogactw rzadko odnoszą skutek. Jeżeli więc tak jest — a tak jest istotnie! — musicie przyznać, że walka klasowa jest konieczna i legalna.

— Zabroniono mi tutaj mówić o moim wynalazku, ale właściwie zabroniono mi mówić o tych przeszkodach, które powstały, gdy usiłowałem wprowadzić w czyn mój wynalazek. Chciałem umożliwić wszystkim potrzebującym nabywanie bardzo taniego masła, mleka, skór i wełny i zamiast podziękować mi za to, oskarżono mnie o spisek z diabłem.

— Wydawało mi się, że jesteśmy krajem, w którym panuje swoboda słowa i że każdy może pisać w prasie to, co uważa za słuszne i konieczne. Zwróciłem się do redaktora miejscowego pisma i powiedziałem, że dam mu artykuł, w którym obalone będą na niczym nie oparte zarzuty przeciwko „Eliksirowi Bereniki” Odmówiono mi dla przyczyn po prostu śmiesznych. Oto wydawca, który wiecznie poluje na zamówienia dla swojej drukarni, na ogłoszenia dla swojego pisma, odmawia zamieszczenia ogłoszenia lub nawet wydrukowania obwieszceń. Czy to ma być owa wolność słowa gwarantowana przez konstytucję? Sądzę, że każdy na moim miejscu zadałby sobie podobne pytanie.

— Usiłuję zestawić te rażące uchybienia przeciwko wolności słowa i druku z pewnymi wydarzeniami, które miały miejsce poprzednio, i jest dla mnie rzeczą jasną, że między nimi a tym, co się stało w niedzielę trzeciego września, istnieje bezpośredni związek. Przedstawiciel firmy, któremu nie udało się nabyć ode mnie mego wynalazku, najwidoczniej przedsięwziął odpowiednie kroki, aby...

Pappula zerwał się ze swego fotela zwracając się do sędziego ze słowami:

— Wysoki sędzie! Oskarżony wykorzystuje udzielone mu prawo ostatniego słowa w celach nie mających nic wspólnego ze sprawą.

Sędzia skinął głową.

— Zwracam uwagę oskarżonego, że powinien ściśle trzymać się sprawy będącej przedmiotem procesu.

— ...aby wszelkimi możliwymi sposobami przeszkodzić praktycznemu wykorzystaniu mojego wynalazku. Ogarnia mnie po prostu przerażenie na samą myśl o tym, jak szatańskie zastosowanie eliksiru proponował mi przedstawiciel tej firmy...

— Po raz drugi zwracam uwagę oskarżonemu, aby nie odbiegał od tematu! — powtórnie przerwał mu sędzia. — Następnym razem będę zmuszony pozbawić oskarżonego słowa.

— ...Mam już niewiele do powiedzenia. W tych dniach dowiedziałem się, że preparat niczym nie różniący się od tego, który został wynaleziony przeze mnie, opatentował niejaki Alfred Vanderhunt. Stało się to w dwa tygodnie po rozgromieniu mojego laboratorium i wykradzeniu moich notatek. W jaki sposób mogło się stać coś podobnego? Istnieje podstawa do przypuszczenia, że aresztowanie mnie i postawienie w stan oskarżenia w tak absurdalnej sprawie, jest...

— Oskarżony! Odbieram mu głos. Proszę usiąść. Oskarżony Sancho Aneiro. Oskarżonemu przysługuje prawo zabrania głosu, zanim sędziowie udadzą się na naradę.

Aneiro powolnym ruchem przyglądził swe rzednące już, czarne włosy i zaczął mówić cichym, lecz donośnym głosem:

— Nie targnąłem się na życie Manhama Beroime i nie jestem sprawcą jego śmierci. Nie tylko nie popełniłem przypisywanego mi przestępstwa, ale w ciągu całego swego życia nigdy nikomu nic nie ukradłem, nikogo nie zabiłem i ani jedna kropla krwi nie potoczyła się z mojej winy. Ale to nie jest wszystko, co chciałem powiedzieć. Nie tylko nie kradłem, nie zabijałem, nie przelewałem cudzej krwi, ale przeciwnie, całe swe życie walczyłem o to, by przeciwdziałać wszelkim zbrodniom na świecie, jak również i tym zbrodniom, które sankcjonuje prawo. Jako robotnik, jako czynny działacz Partii Komunistycznej, jako uczciwy patriota walczyłem przeciwko uciskowi i wyzyskowi człowieka przez człowieka i właśnie dlatego postawiony zostałem w stan oskarżenia, i właśnie dlatego grozi mi teraz kara śmierci.

— Przed chwilą nie pozwolono dokończyć ostatniego słowa mojemu towarzyszowi z ławy oskarżonych. Dumny jestem z tego, że siedzę na niej razem z tak niezwykłym człowiekiem. Oczywiście, może ktoś powiedzieć, że te słowa nie mają żadnego znaczenia, że to są frazesy lub wymiana grzeczności pomiędzy dwoma kandydatami na fotel elektryczny, ale tak nie jest.

— Jestem przekonany, że nasz kraj powinien być dumny i będzie w przyszłości dumny z takiego człowieka, jakim jest doktor Stephen Popff. Kto wie, może niedaleki jest już dzień, kiedy mieszkańcy Bakkuku będą uczestniczyli w uroczystościach przemianowania ich miasta na miasto Popff! Niepotrzebnie uśmiecha się pan tak pogardliwie, panie oskarżycielu! Tacy uczeni jak

doktor Popff przychodzą na świat po to, by być dobroczyńcami ludzkości! Znam kraj, w którym podobnych ludzi otacza się opieką i szacunkiem, gdzie nie niszczy się ich warsztatów pracy, lecz rozbudowuje, gdzie ich wynalazki nie są wykradane dla tajemniczych celów, lecz są realizowane i nie po to, by przynosiły zyski kapitalistom, lecz dla szczęścia i dobrobytu ludu. Wiecie o jakim kraju mówię. To Związek Radziecki, o który zapytywaliście doktora Popffa. Mam nadzieję, że i mój kraj, mój naród wkrótce wkroczą na tę godną naśladownictwa drogę.

— A teraz chcę w krótkich słowach powiedzieć o tym, o co jestem oskarżony. Oskarżono mnie o to, że powodując się uczuciem zemsty wziąłem udział w zamordowaniu Manhama Beroime, a to dlatego, iż jego ojciec wpakował mnie do więzienia za zorganizowanie strajku w jego rzeźni. Co więcej — oskarżyciel z właściwym mu krasomówstwem oświadczył, że zbrodnia, o którą jestem oskarżony, znajduje się w całkowitej zgodzie z moimi politycznymi poglądami. Otóż oświadczam, że Partia Komunistyczna, której członkiem mam zaszczyt być od paru lat, w najbardziej kategoryczny sposób neguje akty terroru jako szkodliwe dla sprawy klasy robotniczej. Oskarżyciel podczas swych wielokrotnych badań wykazał wcale niezłą znajomość niektórych zasad i punktów programu mojej Partii i jestem pewien, że on sam, lepiej aniżeli ktokolwiek inny w tej sali, wie, że tak jest w istocie. Więc po cóż mówił o tym, w co sam nie wierzy? Czynił to w tym celu, by za wszelką cenę zrobić z oskarżonych, a zwłaszcza z wszystkich komunistów, członków jakiejś bardzo niebezpiecznej szajki zagrażającej kulturze, życiu i dobrobytowi kraju. Uczynił to w przededniu wyborów, by zastraszyć wyborców upiorem czerwonego niebezpieczeństwa.

— A czyż nie w tym samym celu od pierwszego dnia procesu wszystkie wejścia do gmachu sądowego są strzeżone przez policję i wojskowe patrole? Czyż nie po to znajduje się bez przerwy na sali sądowej kilku policjantów? Czyż nie dlatego samego celu żelazna klatka, w której jesteśmy powoli przypiekani na ogniu rzekomej sprawiedliwości, jest otoczona podwójną strażą? A dalej — czyż nie w tym samym celu rewiduje się publiczność przed wkroczeniem na salę? Czyż nie dla zastraszenia ludzi prowadzi się nas po cztery razy dziennie w ciągu pięciu tygodni pieszo ulicami miasta z więzienia do sądu i z powrotem, skutych w kajdany i otoczonych łańcuchem policji? Samochodów jest w Argentei dosyć, można byłoby nas przecież przewozić, ale widocznie uważano za wskazane zademonstrować nas całemu miastu

— Niechże kto spróbuje wynaleźć inne, prawdopodobniejsze wytłumaczenie tego wszystkiego. Proszę sobie przypomnieć słynny proces Artura Colonetti i jego szajki, która w ciągu ośmiu lat terroryzowała drugie co do wielkości i bogactwa miasto w naszym kraju, która w przeciągu ośmiu

lat karabinami maszynowymi i łapówkami rządziła tym miastem i miała więcej do powiedzenia od burmistrza, od rady miejskiej, od wszystkich sędziów i całej policji. Czy zarządzenia, które zostały wtedy wydane dla ochrony budynku sądowego, różniły się od tych, które zastosowano w procesie przeciwka dwu ludziom? A przecież nawet pan Pappula nie oskarża nas o bandytyzm. Czy i wtedy rewidowano wszystkich wchodzących na salę rozpraw? A przecież wtedy sądzono przywódców potężnej i licznej szajki bandytów, mającej do dyspozycji opancerzone samochody i ogromne arsenały broni.

— Trudno uwierzyć, by doświadczony sędzia i sędziowie przysięgli zechcieli opierać się na takich zeznaniach świadków, jakimi operował oskarżyciel. Bo rozsądźcie sami. Oto zjawia się człowiek i oświadcza, że w dwie minuty po napadzie na Manhama Beroime przebiegł obok niego z ogromną szybkością jakiś człowiek i zniknął za rogiem ulicy. Wszystko to dzieje się jesienią i późnym wieczorem. Pada deszcz. Ale ten niezwykle świadek potrafi w tym ułamku minuty zapamiętać ni mniej, ni więcej tylko piętnaście szczególnych cech tego człowieka, a nawet odgadnąć jego wagę: siedemdziesiąt, siedemdziesiąt dwa kilogramy! Nawet przy świetle dziennym, w pełnym blasku słońca podobną dokładność pamięci należałoby uważać za fenomen.

— Mój obrońca przedłożył sądowi list jednego z najwybitniejszych lekarzy i psychologów naszego kraju, w którym ów uczony z całą stanowczością stwierdza, iż podobna dokładność spostrzeżeń w ciągu tak krótkiego ułamka czasu jest z psychologicznego punktu widzenia nieprawdopodobieństwem. A proszę zważyć, że to wszystko działo się przecież wieczorem, w ciemnościach.

— Ów świadek dodaje, że widział mnie wyraźnie dlatego, że wtedy... „błyskawica rozdarła ciemności”. Czyż ja, człowiek pozbawiony gruntownego wykształcenia, mam przypominać dyplomowanemu oskarżycielowi, że błyskawice bywają jedynie podczas burz? Każdy mieszkaniec Bakbuku może potwierdzić, iż owego feralnego wieczoru padał zwykły deszcz. Obrona przedłożyła sądowi oficjalny raport stacji meteorologicznej — a jednak oskarżyciel upierał się przy tym, że zeznania tego fenomenalnego świadka są zgodne z rzeczywistością!

— Zeznania świadków świadczących na naszą korzyść nie są brane przez niego w rachubę, a to dlatego, że ci świadkowie albo brali udział w strajkach, albo — o zgrozo! — głosowali na kandydatów komunistycznych... Natomiast osobnik w rodzaju Booeo Sootha, który wielokrotnie za rozmaite ciemne sprawy był pociągany do odpowiedzialności sądowej i który obecnie żyje z

zagadkowych funduszków, przedstawiony jest przez oskarżyciela jako wzór wszelakich cnót. Podobną opinię wydaje oskarżyciel o prowokatorze i szpiclu Nerensie, o łamistrajku i lizusie Soor.

— Byle chłopak przez zwykłe wymierzenie odległości mógłby stwierdzić, że w chwili kiedy dokonano zamachu na Beroime znajdowałem się w domu odległym od miejsca zbrodni o cztery kilometry. Ale cóż znaczą wszystkie wyliczenia dla oskarżyciela, który powoduje się zupełnie innymi względami?

— Oskarżeni muszą być skazani, dlatego że tego domaga się interes klasowego wymiaru sprawiedliwości. Zbliżają się wybory i wyrok śmierci wydany na nas ma spełnić rolę straszaka, ma przerazić wyborcę perspektywą tych wszelkich zbrodni, które nastąpią po zwycięstwie Frontu Ludowego. Wyrok śmierci jest potrzebny uciskającym w ich walce z uciskanymi! Zarówno sędzia jak i oskarżyciel wiedzą o tym — ale ja chcę, by wszyscy o tym wiedzieli!

W sali sądowej było parę osób, które pragnęły okazać swą sympatię oskarżonym. Ci nagrodzili mowę Sancho Aneiro oklaskami. Wtedy sędzia kazał niezwłocznie wyprowadzić ich z sali obrad. Gdy komisarz policji przy pomocy kilkunastu policjantów wykonał to polecenie, a na sali znów zapanowała cisza, sędzia wygłosił przemówienie do przysięgłych, zanim ci udali się na naradę. Sędzia nie uważał za potrzebne ukrywać swej niechęci do oskarżonych. Ten czcigodny grubas o cnotliwej twarzy, wzbogacony na walce przeciwko prawdzie, nienawidził wszystkich radykałów i wrogo odnosił się do doktora Popffa. Wyczuwało się to zarówno w toku procesu, jak i w słowach, które kierował do sędziów przysięgłych. Sędzia wyraził nadzieję, że przysięgli nie dadzą posłuchu agitacji, którą popisywali się oskarżeni w swych ostatnich słowach, usiłując podważyć dowody ich winy. Wreszcie zgodził się z czcigodnym przedstawicielem urzędu prokuratorskiego, który uznał, iż ideały oskarżonych pokrywają się z zarzucaną im zbrodnią.

— Władze naszego kraju — zakończył swe przemówienie — zwracają się do was, byście okazali im waszą pomoc. Ponieważ zdajecie sobie sprawę z tego, że ciąży na was odpowiedzialne zadanie, jestem pewien, że odpowiecie na apel w duchu swej lojalności dla państwa. Tak, nie ma w naszym rodzinnym języku bardziej mądrego słowa, aniżeli „lojalność”. Spełnijcie więc swój obowiązek po męsku, bądźcie nieugięci i jednomyślni! A teraz udajcie się na naradę!

O godzinie dziewiątej wieczorem, po półtoragodzinnej naradzie sędziowie przysięgli wkroczyli na salę obrad sądu w Bakbuku.

— Czy sędziowie przysięgli uzgodnili swe orzeczenie? — zwrócił się sekretarz sądu do przewodniczącego ławy przysięgłych.

— Tak, uzgodniliśmy — odpowiedział przewodniczący, chudy starzec o różowych policzkach.

— Czy sędziowie przysięgli uznali Stephena Popffa i Sancho Aneiro winnymi zabójstwa?

— Tak, Stephen Popff i Sancho Aneiro są winni zabójstwa.

— Sędziowie przysięgli uznali oskarżonych winnymi zabójstwa! — oznajmił głośno sekretarz sądu. — Sąd orzeknie, jaką mają ponieść karę!

Woźny sądowy podał sędziemu czarny kwadratowy beret. Sędzia nakrył nim głowę, jak gdyby na znak żałoby i współczucia dla ludzi, których w imię sprawiedliwości za chwilę będzie musiał skazać na śmierć.

Oskarżyciel Pappula, aczkolwiek był bardzo przejęty tą chwilą, patrzył na sędziego z zastygłym na twarzy uśmiechem. Był szczerze zadowolony, że wreszcie ten przekłety proces skończył się i nie myślał już o oskarżonych, których tak umiejętnie zaprowadził na fotel elektryczny, lecz o awansie, który go czeka.

Sędzia poprawił beret na głowie i zwrócił się do oskarżonych stojących za grubymi kratami żelaznej klatki:

— Sędziowie przysięgli orzekli, iż jesteście winni zabójstwa. Ze względu na złożoną przeze mnie przysięgę, nie mam prawa zmniejszyć jedynej kary, jaką ustawodawstwo karze podobne zbrodnie. Czy którykolwiek z oskarżonych może się powołać na coś, co mogłoby uchylić karę śmierci? Sąd może uwzględnić jedynie zeznanie o szczególnie ważnym państwowym znaczeniu.

Sala sądowa zamarła. Chwila milczenia przedłużała się. Doktor Popff patrząc w oczy sędziemu, zaprzeczył ruchem głowy. Również i Aneiro milczał.

Po chwili sędzia odezwał się urzędowym tonem:

— A więc?!

Ale Aneiro, jak gdyby ocknąwszy się nagle, przerwał mu:

— Chcę złożyć zeznanie o doniosłości państwowej!

Sala z naprężeniem czekała na to, co nastąpi. Oskarżyciel kiwnął głową.

— Niech oskarżony powie, co ma do powiedzenia — rzekł sędzia i oparł się o poręcz fotela, by wygodniej słuchać.

— Uważam za swój obowiązek oświadczyć — rozpoczął cichym, ale wzruszonym głosem Aneiro, a doktor Popff spojrział na niego ze zdumieniem — uważam za swój obowiązek oświadczyć, iż w chwili obecnej w sali sądu Bakbuku dokonuje się wołająca o pomstę zbrodnia przeciwko prawom obowiązującym w tym kraju.

Doktor Popff odetchnął z ulgą.

— Sprawcami tej zbrodni są: pan, panie sędzio Ursus, i oskarżyciel Pappula. Wiem z całą pewnością, podobnie jak wy sami wiecie o tym, że od pierwszej chwili, zanim jeszcze stanęliśmy przed wami, każdy z was był wrogo dla nas usposobiony. Wiedzieliście, że obydwaj oskarżeni są ludźmi uczciwymi i pragną poprawy losów ludzi pracy. Wiedzieliście, że jestem komunistą, ale postanowiliście również i doktora Popffa uważać za komunistę. Wiedzieliście, że jestem przeciwnikiem ustroju, któremu wy służycie, i domyślacie się, że skoro doktor Popff zastanawia się nad zagadnieniami politycznymi, to i on nie może być obojętny wobec tyranii kapitalistycznej panującej w naszym kraju, i dlatego uczyniliście wszystko, co było w waszej mocy, by wydać wyrok skazujący,

— Nie jestem pierwszym i nie jestem ostatnim robotnikiem, którego kapitaliści posyłają na śmierć! Jestem skazany za to, że jestem komunistą. Istotnie jestem nim. Jestem skazany za to, że jestem przeciwnikiem panującego ustroju opartego na wyzysku — istotnie jestem przeciwnikiem istniejącego ustroju. Możecie mnie tylko pozbawić życia. Ale gdybyście mogli mnie dwa razy stracić, a ja mógłbym narodzić się po raz drugi, żyłbym i działał tak, jak żyłem i działałem dotąd! Skończyłem.

Sędzia Ursus wstał, by wygłosić formułę prawną wyroku.

— Orzeczenie sędziów przysięgłych jest wyraźne. Na mnie jako na sędzim koronnym spoczywa w tej chwili jeden obowiązek, a mianowicie wygłoszenie formuły wyroku. — Głos sędziego brzmiał teraz niemal beznamiętnie, aczkolwiek usiłował nadać mu uroczysty ton. — Sąd stwierdza, iż Stephen Popff skazany jest na karę śmierci na fotelu elektrycznym. Wyrok winien być wykonany nie później niż po upływie tygodnia, licząc od niedzieli dziesiątego maja bieżącego roku. Tak głosi prawo. Sąd stwierdza, iż Sancho Aneiro...

W panującą na sali ciszę wdarł się nagle głos doktora Popffa:

— Wiecie, że jestem niewinny! Mordujecie niewinnych ludzi!

Na sali rozległ się przeraźliwy szloch. Berenika padła zemdlona. Sędzia dalej wygłaszał swą formułę:

— Sancho Aneiro skazany jest na karę śmierci na fotelu elektrycznym. Wyrok winien być wykonany nie później niż po upływie tygodnia, licząc od niedzieli dziesiątego maja bieżącego roku. Tak! głosi prawo.

— Mordują niewinnych ludzi! — spokojnie, lecz dobitnym głosem rzekł Sancho Aneiro i wpił się wzrokiem w oskarżyciela Dana Pappulę, ale Dan Pappula odwrócił się.

W ten oto sposób sąd nad „mordercami z Bakbuku” zakończył się zgodnie z oczekiwaniami Primo Padrele. Następnego dnia w całym kraju rozgorzała kampania wyborcza, w której wyrok na Popffa i Aneiro odegrał decydującą rolę, jak przewidywał i pragnął Primo Padrele.

A jednak w ciągu najbliższych dni okazało się, że nawet Primo Padrele nie jest w stanie wszystkiego przewidzieć...

Rozdział dwudziesty

*w którym jest mowa o tym, jak Tomaso Magaraf jechał
z Miasta Wielkich Żab do Bakbuku i przybył zupełnie gdzie indziej*

Jak zapewne czytelnicy pamiętają, Tomaso Magaraf, nie mogąc znaleźć pracy w Mieście Wielkich Żab, wyjechał do Bakbuku do doktora Popffa. Ale doktor siedział już wtedy w więzieniu, o czym Magaraf nie wiedział.

Do Bakbuku Tomaso jechał w dużym przygnębieniu. Od wczesnego dzieciństwa przywykł sam zarabiać na siebie i świadomość tego, że oto jedzie w tej chwili prosić o pomoc nieznanego, choć zapewne życzliwego człowieka, ciążyła mu niepomiernie.

JaMe to będzie przykre i upokarzające: zjawić się nieproszonym w cudzym domu, u tak wybitnego uczonego, oderwać go od pracy — okropne! A przecież doktor już tyle uczynił dla niego, przy tym zupełnie bezinteresownie.

Magaraf siedział przy oknie wagonu, monotony turkot kół działał usypiająco, duszny i zakurzony wagon skrzypiał jak gdyby przypominając sobie wraz z Magarafem te niezbyt odległe czasy, kiedy Tomaso jeździł salonką, a na jego usługi otwarte były najdroższe restauracje, sklepy i hotele Argentei.

Za oknem wagonu powoli przesuwał się krajobraz, który zdążył już obrzydnąć Magarafowi podczas jego wieloletnich artystycznych wędrówek po różnych miastach. Morze znikło, gdy pociąg oddali się o parę kilometrów od stolicy. Za oknem nieprzerwanym sznurem ciągnęły się zabudowania fabryczne: posępne budynki fabrycznych hal i hangarów, szare parkany upstrzone nazwami przedsiębiorstw, wysokie kominy sięgające dymiącymi otworami nisko płynących jesiennych obłoków. Potem ukazywały się ziejące ogniem wielkie piece hut, dokoła których na żelaznych rusztowaniach krzątały się małe ludzkie figurki. Wielkie, posępne fabryczne podwórza, zakopcone mury, czarne połyskujące góry żużlu, rudawe pagórki żelastwa, zielonkawe kopce miedzi. Powyginane rury i stropy żelaznych rusztowań i znów ziejące ogniem wielkie piece hutnicze i długie, jak męczący sen, nie kończące się hale fabryczne. Niezliczone, tysiączne wagony towarowe na bocznych torach, naładowane węglem, koksem, brunatnymi szynami i połyskującymi sztabami stali, przesuwały się za oknem.

Magaraf mijał stacje kolejowe ściśnięte ze wszystkich stron magazynami, wielkimi murowanymi, żelazobetonowymi i zwykłymi — drewnianymi. Znów budynki fabryczne, znów stacje, znów magazyny i wysokie, sterczące na tle nieba żelazne rusztowania ginące w zamglonym wilgotnym mroku.

To tu, przy tych rozżarzonych potokach roztopionego żelaza, w tych murach fabrycznych, w tych tryskających snopami iskier czeluściach pieców, przy tych dźwigach, przy tych najrozmaitszych warsztatach, z dnia na dzień,, z roku na rok, przez całe swoje krótkie i niewesołe życie pracują miliony ludzi tworzących ogromne bogactwa i potęgę swych pracodawców.

Cóż na pierwszy rzut oka mogą mieć wspólnego te mało pociągające fabryczne zabudowania ze wspaniałą widownią stołecznego music-hallu, jarzącego się tysiącami elektrycznych lampek, jakiś nikomu nie znany hutnik czy ślusarz ze znakomitym estradowym artystą, którego zna cały kraj?

Coraz częściej nasuwała się Tomaso Magarafowi przykra myśl, że nawet w czasach, kiedy stał na szczycie swojej artystycznej kariery, niczym nie różnił się od milionów tych ludzi w zasmolonych ubraniach — że właściwie i on, i oni byli najemnymi niewolnikami cudzych dochodów. Zazwyczaj Tomaso Magaraf starał się odpędzić od siebie te myśli i te obrażające go porównania. Powracały jednak uparcie i wtedy tracił wszelki szacunek dla siebie, gdyż robotnik fabryczny w Argentei stał na najniższym szczeblu drabiny społecznej. Za nim byli już tylko zawodowi żebracy.

Tomaso Magaraf był pogrążony w tym smutnym nastroju, gdy na jednej ze stacyjek do wagonu wszedł wysoki, opasty, rumiany pasażer, ze złamanym nosem i wesołymi, dobrodusznymi oczami człowieka, który lubi towarzystwo.

Nowy pasażer bez wysiłku umieścił na górnej siatce dwie spore, lecz dość tandetne walizki i z głośnym sapaniem siadł naprzeciwko Magarafa, ocierając spotniałe oblicze wielką, niebieską chustką. Po chwili, przyjrzawszy się Magarafowi, nowoprzybyły podróżny wybuchnął niepowstrzymanym śmiechem. Grubas równie nieoczekiwanie przestał się śmiać, wytrzeszczył oczy, przyglądał się Magarafowi i wreszcie nie mogąc zapanować nad uczuciami, które wypełniały jego serce, wyrznął Magarafa w kolano i znów zarechotał.

— Tomaso Magaraf! — wykrztusił wreszcie. — Niech mnie diabli porwą, jeżeli to nie jest Tomaso Magaraf!

Magaraf nie zdążył okazać niezadowolenia. Miał zamiar zmierzyć nieznajomego natręta pogardliwym wzrokiem, gdy nagle jego twarz równie rozplynęła się w przyjaznym uśmiechu.

— Ejże, stary! Nie pomyliłeś się. Ale sądząc po tym melodyjnym śmiechu i wykwintnych manierach mam do czynienia z niejakim Eugenem Cimmaronem!

Nieznajomego ze złamanym nosem ogarnął nowy atak niepowstrzymanej wesołości. Trzeba było paru minut, by wreszcie wysapał się i mrużąc jedno oko rzekł do Magarafa:

— Zapomniałeś wspomnieć o moim nosku! Strasznie się cieszę, że cię widzę. A bodaj cię wszyscy diabli wzięli... toś ty nie zapomniał starego Cimmarona?

Jakżeż można było zapomnieć Cimmarona? Człowieka, z którym dwa lata razem Magaraf pracował w „Złotym Pawiu”? Cimmaron — dwukrotny mistrz ciężkiej wagi, znakomity bokser, sława Argentinei! Człowiek, któremu nieraz bił brawa sam prezydent!

— Gdyby nie twoja fotografia w gazetach — grzmiał Cimmaron — nigdy bym cię nie poznał! Elegancko jesteś ubrany, nie ma co! Jak jaki maharadza indyjski! Przyznaj się, bogaty jesteś?

— A jakże, bogaty... jak mysz kościelna! A ty?

— Jak jej rodzona siostra — wyrzekł były szampion boksu smutnym głosem. Skończyło się z dawnym Cimmaronem! Trzy lata przeleżałem w tych szpitalach, gdzie szklanka wody drożej kosztuje niż butelka wina... Miałem tego dość... zwiąłem stamtąd... no i założyłem sobie restaurację. Chciałem się podreperować... Guzik z tego wyszedł...

— Zrobiłeś plajtę? — współczująco zapytał Magaraf.

— Naturalnie. Wobec tego postanowiłem wrócić na stare śmiecie... Do mojego rodzinnego miasteczka, do Pelepu. Mała to dziura, ale za to były szampion boksu może tam „jeszcze liczyć na jakieś powodzenie. Otwieram tam szynk. Może jakoś dożyję do końca.

Cimmaron zdjął z półki walizę, wy dostał z niej butelkę taniego, ale mocnego wina i przyjaciele pili kolejno za swe nieoczekiwane spotkanie, za starą przyjaźń i przyszłe powodzenie. Pociąg nie zdążył jeszcze osiągnąć następnej stacji, gdy Cimmaronowi udało się namówić Magarafa, by gwizdnął na Bakbuk i udał się razem z nim do owego cudownego Pelepu, gdzie jakoś razem potrafią dać sobie radę z tym szynkiem.

Były szampion bokserski i były „uniwersalny” artysta estradowy, Tomaso Magaraf, ten sam, którego w swoim czasie skazano za to, że urosł, powinni byli bądź co bądź stanowić atrakcję w niewielkim miasteczku.

— Jeżeli cię ciągnie z powrotem na scenę — orzekł w końcu Cimmaron — będziesz mógł przygotować sobie parę numerów w Pelepie. Cicho tam, spokojnie, gotów jestem ci służyć zawsze dobrą radą, bo jeszcze się przecież trochę na tym interesie znam...

W rezultacie tego wzajemnego przepijania do siebie i dalszych rozmów Tomaso Magaraf, który jechał do Bakbuku, przesiadł się wraz ze swym starym kolegą do pociągu, który następnego dnia szczęśliwie dowiózł ich do Pelepu.

Rozdział dwudziesty pierwszy

w którym jest mowa o nieoczekiwanych następstwach strzelania do celu

Osiedlenie się dwóch tak znakomitych osobistości w niewielkim, prowincjonalnym miasteczku, jakim był ów Pelep, było bądź co bądź niemałym dla niego zaszczytem. Byłemu szampionowi boksu udało się — stosunkowo bez trudu — otrzymać pożyczkę na otwarcie w Pelepie, na jedynym zresztą reprezentacyjnym placu tuż obok dwupiętrowego budynku miejscowego banku, skromnej, lecz schludnej restauracji pod nazwą: „Dwaj Szampioni”.

Dla oszczędności wspólnicy zamieszkali u rodziców Cimmarona, ludzi prostych i niezmiernie miłych. Mieszkańcy Pelepu dumni byli ze swych nowych obywateli, nie szczędzili im oznak szacunku i sympatii, co, rzecz prosta, sprawiało ogromną przyjemność obydwu przyjaciółom. Magaraf nie miał wprawdzie zamiaru osiedlać się tutaj na zawsze, lecz bez przykrości myślał o tym, że pozostanie w tym mieście co najmniej do przyszłej wiosny. Praca w restauracji nie zabierała mu zbyt wiele czasu, zapewniała mniej więcej dostatnie życie, na jakie można było sobie pozwolić w tych nowych warunkach.

Magaraf pracowicie i z uporem — czego nauczył się w ciągu swej wieloletniej kariery artystycznej — przygotowywał nowe „numery”, które miały mu ponownie zdobyć powodzenie publiczności i kontrakty właścicieli music-hallów. Gdy miejscowe panie, patronujące jakiemś tam dobroczynnemu towarzystwu, zaprosiły Cimmarona i Magarafa do wzięcia udziału w dorocznym przedstawieniu, obydwaj byli mistrze, tęskniący do występów zgodzili się z ochotą.

Cimmaron efektywnym ciosem znokautował miejscowego mistrza, a Magaraf wzbudził powszechny zachwyty rzucaniem bumerangu i celnością swych strzałów do fruwających talerzyków. Przewodniczący miejscowego „Bractwa Kurkowego” zwrócił się do Tomaso z propozycją, by zechciał podjąć się treningu kilku najzdolniejszych członków klubu.

Magaraf nie miał powodów do odmowy, zwłaszcza że zarówno funkcja była zaszczytna, jak i honorarium dobrze opłacane. Odtąd dwie godziny dziennie spędzał w strzelnicy klubowej, osiągając znakomite rezultaty i doskonaląc członków klubu w sztuce strzelania do tarczy.

Dwudziestego szóstego grudnia w mieście Lomm — czytelnicy zapewne pamiętają, że właśnie tam znajdował się ów wzorowy, „na sanatoryjnych zasadach” oparty zakład wychowawczy dla dzieci — odbyły się zawody strzeleckie pomiędzy ekipami z Pelepu i Lomm. Uczniowie

Magarafa zdobyli wszystkie pierwsze miejsca. Po zakończeniu popisów uproszono Magarafa, któremu należne hołdy składali zarówno zwycięzcy jak i zwyciężeni, by zechciał poza konkurencją zabłysnąć swą mistrzowską sztuką. Tego dnia Magaraf prześcignął samego siebie.

Członkowie pobitego klubu z Lomm wydali uroczysty bankiet na cześć zwycięskiej ekipy z Pelepu oraz jej mistrza — trenera. Zwycięzcy również odpowiedzieli bankietem. Dwa dni trwały te uroczystości. Wreszcie trzeciego dnia Magaraf obudził się z głową pękającą od bólu i mocnym postanowieniem nieuczestniczenia na przyszłość w żadnych bankietach.

Wychyliwszy duszkiem dwie butelki mineralnej wody Magaraf udał się do restauracji „Dwóch Szampionów”, gdzie na ulicy przed wejściem oczekiwał go jakiś młody człowiek, w złotych okularach, bardzo przyzwoicie ubrany.

Nieznajomy powitał Magarafa z szacunkiem należnym tak znakomitemu mistrzowi i instruktorowi i zapytał, czy może prosić o udzielenie mu kilku minut rozmowy.

Po uzyskaniu zgody nieznajomy przemówił do Magarafa w te słowa:

— Jestem upoważniony, aby zaprosić pana do wzięcia udziału w pewnym bardzo poważnym i odpowiedzialnym naukowym doświadczeniu. Ale przede wszystkim chciałbym zapytać, czy mogę liczyć na pańską absolutną dyskrecję?

— Owszem, może pan liczyć — odpowiedział Magaraf, zaciekawiony tajemniczością młodego człowieka w złotych okularach. — Nie należę do gadatliwych. Ale może wstąpilibyśmy do nas, przy szklance zimnego piwa rozmawia się przyjemniej.

— Nie chciałbym ściągać niczyjej uwagi naszą rozmową. Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, porozmawiamy w moim samochodzie.

Po chwili obydwaj zajęli miejsca w niewielkim sportowym samochodzie stojącym na przeciwległym rogu placu i pomknęli autostradą do Lomm.

— Pan wybaczy — rzekł ów młody człowiek — ale polecono mi zachować w największej tajemnicy te poważne sprawy, którymi w obecnej chwili zajmuje się grupa ludzi reprezentowanych przeze mnie. Naszej opiece jako uczonych i naszemu sumieniu powierzono losy kilkunastu chorych ludzi...

Młody człowiek dał do zrozumienia Magarafowi, że w owej naukowej instytucji, którą reprezentuje, a która nosi oficjalną nazwę „Wzorowy Dom Wychowawczy dla Sierot”, znajduje się w chwili obecnej grupa chorych na poważną, lecz dającą się wyleczyć chorobę zbliżoną do kretynizmu. Czcigodny mistrz Magaraf zapewne sam doskonale zrozumie, dlaczego trzymany jest

w tajemnicy przed miejscową ludnością właściwy charakter i cele „wzorowego domu wychowawczego”. Chodzi o to, że należy uszanować zarówno godność samych chorych, jak również ich nieszczęśliwych i bogatych rodziców.

Opracowana szczegółowo przez szefa tego młodego człowieka w złotych okularach metoda zapewnia chorym uzdrowienie przez stosowanie pewnego systemu prac wykonywanych przez pacjentów. Aby rozwinąć w chorych uwagę, spostrzegawczość oraz zainteresowanie do otaczających ich przedmiotów i przyrody, zgodnie z planem przewidziana jest nauka strzelania do tarczy. Jest rzeczą jasną, że trudno znaleźć odpowiedniejszego człowieka niż czcigodny mistrz Magaraf. Kwestia honorarium nie wchodzi w rachubę, gdyż wychowankowie zakładu są dziećmi zamożnych rodziców. Za dwumiesięczny kurs nauki strzelania do tarczy dyrekcja wyznacza trzy tysiące centaurów, nie licząc oczywiście bezpłatnego mieszkania i całkowitego utrzymania. Jedynym warunkiem jest zachowanie absolutnej tajemnicy. W grę wchodzi kilkadziesiąt zainteresowanych osób i wyniki bardzo poważnego naukowego eksperymentu lekarskiego.

— Niech pan wszakże nie sądzi, że nasi chorzy mają w sobie coś odpychającego, jak to zazwyczaj bywa z niedorozwiniętymi osobnikami — dodał młody człowiek w złotych okularach zauważwszy, że Magaraf nie może się zdecydować. — Przypominają oni raczej ludzi, którzy osiągnąwszy dwudziesty rok życia zachowali wszystkie cechy trzyletnich lub czteroletnich dzieci. Są to nawet bardzo miłe i bezpośrednie istoty. Zapewniam pana, że niekiedy obcowanie z nimi bywa dość zabawne.

Co prawda perspektywa tak pokaźnego zarobku i niezwykłość propozycji były dość nęcące, Magaraf jednak poprosił o czas do namysłu. Drugiego stycznia, znalazłszy jakiś pretekst nie budzący szczególnych podejrzeń, Magaraf opuścił, ku wielkiemu żalowi Cimmarona, Pelep, wsiadł do pociągu — i wysiadł w Lomm, gdzie ten sam młody człowiek w złotych okularach oczekiwał go w swym sportowym aucie.

Po upływie piętnastu minut znany nam już mrukliwy dozorca „Wzorowego Sanatoryjnego Domu Wychowawczego dla Sierot” otworzył ciężką, żelazną bramę wpuszczając do środka przybyłych. Po upływie jeszcze kilku minut nowy instruktor w sztuce strzelania do tarczy został przyjęty przez dyrektora Alfreda Vanderhunta w jego gabinecie, który istotnie miał wygląd naukowej pracowni.

Dyrektor Vanderhunt przyjął Magaraf a bardzo uprzejmie, lecz oficjalnie, przy czym przyglądał mu się bardziej badawczo, aniżeli należało się spodziewać przy angażowaniu zwykłego sportowego instruktora.

O tym, co Magaraf usłyszał od niego, wiedział już w ogólnych zarysach od młodego człowieka w złotych okularach. Uprzedzając go o konieczności zachowania tajemnicy dyrektor „Wzorowego Domu Wychowawczego” nie zadowolił się jednak ustnym przyrzeczeniem, lecz polecił Magarafowi podpisać pisemne zobowiązanie, w którym tenże przyrzeka pod karą tysiąca centaurów zachowanie w tajemnicy wszystkiego, co się we „Wzorowym Domu Wychowawczym” odbywa.

Magaraf podpisał ten dokument.

Na tym skończyła się pierwsza rozmowa Magarafa z dyrektorem Vanderhuntem.

Gdy drzwi gabinetu zamknęły się za Magarafem, na twarzy dyrektora zakwitło coś w rodzaju uśmiechu. Było bądź co bądź rzeczą dość zabawną i niezwykłą zaangażowanie w charakterze instruktora właśnie Tomaso Magarafa, który do niedawna jeszcze był karzełkiem. Jak widzimy, poczucie humoru nie było obce dyrektorowi Vanderhuntowi.

Magarafa zaprowadzono do oficyny zamieszkałej przez personel. Pokój, który mu wyznaczono, był ładny, obszerny, nieźle umeblowany i miły.

Magaraf powoli rozebrał się i z przyjemnością wyciągnął się na wygodnym łóżku. Nie mógł jednak usnąć: przeszkadzał mu jakiś głośny płacz — wszakże nie dziecięcy i nie piskliwy, lecz raczej niski, basowy, rozlegający się z sąsiedniego budynku. To grymasili pacjenci doktora Vanderhunta, których Tomaso Magaraf miał nauczyć sztuki strzelania, by rozwinąć w nich spostrzegawczość oraz obudzić zamiłowanie do otaczającej przyrody.

Rozdział dwudziesty drugi

*w którym Tomaso Magaraf zawiera znajomość
z „Wzorowym Domem Wychowawczym dla Sierot”*

Następnego ranka Magaraf został wszechstronnie zbadany przez naczelnego lekarza Domu, przy czym odbyło się to w obecności dyrektora Vanderhunta, i dopiero potem Tomaso mógł oficjalnie przystąpić do pełnienia swych funkcji. Wobec tego, że do chwili rozpoczęcia ćwiczeń w strzelaniu pozostawało dość dużo czasu, dyrektor Vanderhunt zaproponował nowemu instruktorowi wykorzystanie następnych paru godzin dla zapoznania się z urządzeniem i warunkami terenowymi zakładu.

Był to krok nad wyraz rozsądny ze strony dyrekcji— nie ma bowiem lepszego sposobu na zapewnienie sobie dochowania tajemnicy od okazania całkowitego zaufania temu, od kogo się go wymaga.

Przewodnikiem Magarafa był ten sam młody człowiek w złotych okularach, który tym razem miał na sobie śnieżnej białości lekarski fartuch.

Zakład mieścił się na dość obszernym terytorium, około jedenastu hektarów, otoczonym żelaznymi sztachetami pomalowanymi na jasnozielony kolor. Po monotonnym krajobrazie Pelepu i Lomm oko z przyjemnością odpoczywało na dużych kępach zielonych drzew tworzących dość gęsty park, w którym przed natrętnymi spojrzeniami przejezdnych kryły się liczne zabudowania zakładu. Wspaniałe trawniki, klomby, rozległe łączki i piękny wielki staw czyniły z tego zakątka prawdziwą kuracyjną wysepkę na tle jednostajnej płaszczyzny. Przy brzegu stawu na wodzie kołysał się dość spory model krążownika, z dużą dokładnością zrobiony z drzewa. Za pomocą niezbyt skomplikowanego mechanizmu okręcić mógł poruszać się wzdłuż brzegu z szybkością pięciu mil na godzinę. Młody człowiek zademonstrował przed Magarafem funkcjonowanie tego mechanizmu — wystarczyło nacisnąć guziczek na rufie.

— Prześliczna zabawka! — zawołał w zachwycie Magaraf. Teraz już rozumiał: jeżeli dla kilkunastu kretynów buduje się podobne zabawki, to ofiarowane mu honorarium bynajmniej nie było wysokie.

„Dobrze przynajmniej, że kretyni mają bogatych rodziców!” — pomyślał z humorem Magaraf.

Następnie zwiedzono dość obszerną pracownię okrągłą jak ujeżdżalnia. Dokoła ścian znajdowała się tak zwana ruchoma taśma.

— Nie ma potrzeby wyjaśniać, w jaki sposób stosujemy te urządzenia dla kuracji naszych pacjentów — powiedział młody człowiek w złotych okularach. — Za pół godziny sam pan zobaczy funkcjonowanie tych urządzeń.

Z drewnianego baraku udano się na piękną łączkę, zalaną promieniami jesiennego słońca. Wysypana żwirem aleja przywiodła ich do obszernego, dwupiętrowego budynku, w którym znajdowały się sypialnie wychowanków. Sale były puste, gdyż chorzy byli właśnie na śniadaniu. Magaraf nie zauważył w nich nic nadzwyczajnego — ot, zwykłe, niemal szpitalne sale, jasne, czyste, z otwartymi dużymi oknami. W pewnej chwili pomyślał, że dla tak dobrze sytuowanych kretynów można byłoby urządzić bardziej luksusowe sypialnie. A zresztą, pal ich diabli! Co go to obchodzi.

Opuszczając sale zwrócił uwagę na jakieś przedmioty stojące pod ścianami i nakryte niebieskawymi pokrowcami.

— Ach, właśnie, byłbym zapomniiał! — pośpieszył z wyjaśnieniem młody człowiek w złotych okularach widząc zaciekawienie Magarafa. — Są to dosyć interesujące przyrządy. Korzystamy z nich w pierwszych fazach kuracji.

Towarzyszącemu im ponuremu dozorczy młody człowiek w złotych okularach kazał zdjąć jeden z bliższych pokrowców i Magaraf ujrzał coś, co przypominało podręczny warsztat stolarski lub ślusarski. Jednak nie było na nim żadnych ostrych narzędzi, żadnych świdrów lub dłut. Jedyne z boku błyszczało niklowane wygięcie, tuż pod niewielką korbą, przypominające ręczne maszyny do szycia.

— Otóż, jak pan widzi — wyjaśnił młody człowiek w złotych okularach — zaczynamy od tego, że przyzwyczajamy naszych chorych do wykonywania bardzo prostych czynności. Wpajamy im przede wszystkim istnienie związku pomiędzy pracą a zaspokajaniem głodu. Każdy z nich musi kręcić taką korbką. Dziesięć obrotów — otwiera się okienko, które jest umieszczone w ścianie, i stamtąd wewnętrzna winda podaje pierwszą potrawę. Dwadzieścia obrotów — zjawia się drugie danie. Jeszcze dziesięć — deser. Pacjent w przeciągu kilku dni przyzwyczajają się do tego, że pomiędzy kręceniem korbką a otrzymaniem jedzenia istnieje związek. Jednocześnie uczy się liczyć, gdyż nie tylko kręci korbką, lecz głośno pod kierunkiem wychowawcy uczy się liczyć. Z początku wolno mu się mylić. Który się pomyli w rachunku, musi rozpocząć od początku i w tym

wypadku wychowawca przestawia licznik na zero. Głód i apetyt — a trzeba przyznać, że nasi pacjenci mają ogromny apetyt — bardzo szybko doprowadzają do pożądanego rezultatu i wtedy przechodzimy do następnej fazy kuracji, czyli do owej ruchomej taśmy, którą pan widział.

Następnie młody człowiek w złotych okularach zaprowadził Magarafa do jadalni.

— Bardzo ciekawe! — zawołał Magaraf.

Jadalnia znajdowała się w parterowym budynku pomalowanym na wesoły, niebieski kolor. Przez otwarte okna słychać było z daleka wesoły gwar męskich i kobiecych głosów. Niekiedy rozlegał się czyjś rozkazujący głos, najwidoczniej przywołujący kogoś do porządku, gdyż zaraz potem na krótką chwilę zalegała cisza, by po chwili gwar wybuchał z podwójną siłą.

Magaraf wszedł do jadalni. Obraz, który ujrzał, kazał mu zapomnieć o wszystkim, co widział dotychczas.

Przy dwóch długich stołach, pokrytych białą ceratą, pod opieką kilkunastu roślących wychowawców siedziało sześćdziesięciu dwóch dziwnie ubranych i jeszcze dziwniej wyglądających mężczyzn i kobiet. Każde z nich na pierwszy rzut oka mogło liczyć od dwudziestu do dwudziestu dwóch lat, wszyscy byli niemal jednakowego wzrostu.

Rumiane, puciołowate policzki były umazane mianą kaszką, która przed każdym z nich stała w miseczkach. Łyżki z ogromną szybkością wędrowały do rozdziawionych gąb. Każde z nich miało na sobie dość okazały dziecinny śliniaczek, chroniący przed powalaniem się kaszą.

Ci niezwykli wychowankowie wzorowego zakładu potrafili jednocześnie jeść, śmiać się, płakać, pchać się i wywijać w powietrzu ogromnymi nogami.

Wyobraźcie sobie gromadę dryblasów w zapinanych z tyłu kombinezonach, w jakie zwykło się ubierać małych chłopczków, lub dorosłe dziewczęta, przystrojone w króciutkie, dziecinne sukienki z fartuszkami — a będziecie mieli pewne wyobrażenie o przyszłych uczniach Magarafa.

Ale najbardziej zastanawiające były twarze tych „milusińskich”. Nie były to ani twarze normalnych dorosłych ludzi, ani tępe, na pół zidiociałe twarze kretynów, jakie spodziewał się ujrzeć Magaraf. Nad miskami pochylały się jakieś nienaturalnie wielkie, ale najzupełniej dziecięce twarze. Niektóre były wesołe, inne smutne, jedne ruchliwe, drugie apatyczne — ale były to twarze dzieci.

Sześćdziesiąt dwie pary oczu wpatrzone we wchodzącego Magarafa wyrażały dziecięcą, naiwną ciekawość. Któraś twarz uśmiechała się szeroko, inna patrzyła z obawą, jeszcze inna skrzywiła się wyginając pociesznie usta w podkówkę, gotowa rozbeczeć się za chwilę. ,

Głośny płacz zwrócił uwagę Magarafa na jakąś szczególnie wyrośniętą postać, która sterczała w rogu jadalni w dość zagadkowej pozie.

— To jest Pedro Gargo — głośno tłumaczył najbliższy wychowawca umyślnie podnosząc głos, by reszta mogła go słyszeć. — To jest ten niegrzeczny Gargo, który nie czekał, aż mu podadzą jego miseczkę, i odebrał ją swojemu sąsiadowi. Za karę będzie klęczał na kolanach w kącie, aż wszyscy zjedzą śniadanie.

— Nie będę więcej! — jeszcze głośniej zaszlochał ukarany przestępca. — Nie będę!

Widok dorosłego mężczyzny, płaczącego rzewnymi łzami z tak błahego powodu, był istotnie wysoce zastanawiający. Magarafowi zrobiło się jakoś nieswojo. Szybko wyszedł z jadalni, ale głośny, basowy płacz owego Pedro biegł za nim.

— Wujciu! Już nie będę! Nie będę!

Po chwili rozległ się jeszcze głośniejszy płacz i nagle urwał się. Najwidoczniej „wujcio” dzielił Pedra tęgim klapsem i w ten sposób zmusił go do poszanowania dyscypliny.

Rozdział dwudziesty trzeci

w którym czytelnik zawiera znajomość z doktorem Simem Midrubem

Niewątpliwie dyrektor Vanderhunt zastanowił się poważnie, zanim zaangażował do swojego zakładu nowego pracownika. Wszakże konieczność znalezienia człowieka, który by mógł wychowanków „Wzorowego Domu Wychowawczego” nauczyć sztuki strzelania, była tak nagląca, a pomyślne wyniki tej nauki rokowały tak ogromne perspektywy, że dyrektor Vanderhunt nie zawahał się przed ryzykiem.

Nowy instruktor od pierwszej chwili znajdował się pod nie ustającą i baczłą obserwacją owego młodego człowieka w złotych okularach, którego właściwe nazwisko brzmiało: Sim Midrub. Ta nieustanna kuratela tłumaczyła się obawą, iż Magaraf może wreszcie domyślić się, jaki jest właściwy charakter tego „zakładu wychowawczego”.

Midrub był to bardzo zdolny, aczkolwiek jeszcze niezbyt znany w szerokich naukowych sferach specjalista hodowli rozplodowej bydła. Dyrektor Vanderhunt od razu poznał się na nim i zaprosił go do współpracy w tym eksperymentalnym „ludzkiem chlewie”, który dla świata zewnętrznego nasil nazwę „Wzorowego Domu Wychowawczego dla Sierot”.

Otóż Sim Midrub był przekonany, że uda mu się wmówić w Magarafa, iż w tym zakładzie odbywa się wysoce pożyteczna choć uciążliwa praca, mająca jakoby na celu wyleczenie z kretynizmu kilkudziesięciu potomków znakomitych rodów Argentei.

Doktora Sima Midruba nie krępowały żadne zasady moralne i pod tym względem wyraźnie różnił się od doktora Stephena Popffa. O ile zaś chodzi o odpowiedzialność przed prawem, to — po pierwsze: nikt nie karze zwycięzców, a po drugie — nie było takiego prawa, które zabraniałoby stwarzać nowy gatunek ludzi, podobnie jak nie ma prawa, które zabraniałoby gasić wulkany lub zatrzymać ziemię w jej biegu. Skoro więc nie było takiego prawa, nie mogło być wykroczenia przeciwko niemu, a tym samym jakiegoś przestępstwa.

Doktor Midrub był dość niezwykłym zjawiskiem w świecie naukowym Argentei w połowie naszego stulecia. Nie tylko nie miał przyjaciół, ale nawet i bliskich znajomych. Z całej rodziny istniała dla niego jedynie matka — kobieta nawykła do rozkazywania i nawet dość okrutna. Doktor Midrub ubóstwiał swą matkę! to dla niej zarabiał pieniądze, dla niej dbał o swoje zdrowie, i ponieważ chciała, by syn jej był wytwornie ubrany, ubierał się ze szczególną elegancją.

Jeżeli doktor Midrub pisywał kiedykolwiek i otrzymywał czyjeś listy — to były to jedynie listy od matki. Na tej podstawie można byłoby wywnioskować, że gdzieś w najskrytszym zakątku duszy doktora nauk biologicznych, Sima Midruba, istnieje jakiś kącik dla uczuć nie związanych z nauką. Sim Midrub miał dwadzieścia dziewięć lat. Wabiła go sława uczonego, ale takiego, który by odkrył rzeczy całkowicie nie znane, posiadające przeogromną wartość, choć nie zawsze korzystną dla ludzkości. Doktor Midrub marzył o tych odkryciach, ale gdyby dla dokonania takiego odkrycia trzeba było zmieść z powierzchni ziemi połowę, trzy czwarte lub nawet całą ludność Argentei — nie zawahałby się tego uczynić.

Postarałby się ulokować w bezpiecznym miejscu swoją mamusię, a reszta może zginąć w imię przyszłej sławy wielkiego uczonego. Nie miał ani czasu, ani ochoty interesować się książkami, które nie dotyczyły biologii lub biochemii. Literaturę piękną uznawał jedynie jako środek nasenny, dzieła filozofów i ekonomistów uważał za gadulstwo nieuków roszczących sobie niesłusznie prawo do miana uczonych.

Jednego wszakże filozofa zaszczycił swoim szacunkiem. Był nim Fryderyk Nietzsche. Nadczłowiek, który działa „poza dobrem i złem” — czyż można było w sposób bardziej zwięzły i wyraźny określić ideał, do którego całą duszą dążył doktor Sim Midrub.

W gruncie rzeczy był to ponury fanatyk, obdarzony ogromnymi zdolnościami, uzbrojony w najnowocześniejszą broń nauki, która w rękach innego człowieka mogłaby służyć na użytek ludzkości, ale doktora Sima Midruba niewiele obchodziło dobro ludzkości. Dla niego ludzie żyjący na świecie dzielili się na dwie kategorie. Do pierwszej, znacznie liczniejszej, należeli: Murzyni, Chińczycy, Meksykanie, Słowianie, Włosi, Żydzi, Francuzi, jednym słowem, wszystkie narody prócz Argentejczyków. W jego pojęciu nie byli to właściwi ludzie. Było to jakieś plemię ludzkie nadające się do eksperymentów, niepokorne i wielomilionowe, które należało zmusić do pracy po to, aby Argentea mogła prosperować. Wszakże ludność Argentei — ze stanowiska Midruba — również nie miała jednakowej wartości. Uczony biolog gardził robotnikami, farmerami oraz ich parobkami — jednym słowem gardził wszystkimi, którzy nie dorastali do poziomu jego intelektu. Uczony biolog pragnął jednak przewyższyć nawet tych nielicznych, których raczył uważać za równych sobie.

Po prostu bawiło go, że ci, do których należały laboratoria i wielkie pracownie naukowe, uważali go za wykonawcę swoich zleceń. Co prawda, kierując się rozsądkiem, nigdy tej myśli głośno nie wyrażał. Niech sobie ci nie znani mu właściciele „Wzorowego Domu Wychowawczego

dla Sierot” myślą, że doktor Sim Midrub jest jednym z tych nikomu nie znanych pionków, co to muszą ciężko pracować na wyznaczoną mu pensję. Pogardzał swoimi szefami, jak pogardzał bezpośrednim zwierzchnikiem, dyrektorem Vanderhuntem, aczkolwiek i ten szanował filozofię Nietzschego.

Gdy Sim Midrub rozpoczynał swą pracę we „Wzorowym Domu Wychowawczym dla Sierot”, pociągało go nie tyle zagadnienie przyśpieszenia procesu rozwoju normalnych dzieci, co zresztą było już osiągnięte przed jego przybyciem, ile inne sprawy wynikające z nie wykorzystanych jeszcze możliwości „Eliksiru Bereniki”, który Alfred Vanderhunt opatentował pod nazwą „Patent AV”.

Trzeba przyznać, że dyrektor Vanderhunt nie domyśliłby się od razu istnienia tych możliwości, gdyby Sim Midrub nie zaoferował mu swych usług dla zbadania innych jeszcze ewentualności przy stosowaniu „Patentu AV”.

Według obliczeń doktora Midruba wychowanek zakładu powinny były w początkach marca urodzić dzieci, których ojcami byli również wychowankowie „Wzorowego Domu Wychowawczego dla Sierot”. Doktor Midrub miał zamiar skrócić okres ciąży za pomocą systematycznych zastrzyków „Patentu AV”. Doświadczenia dokonane w laboratorium nad szczurami i morskimi świnkami potwierdziły całkowicie jego przypuszczenia. Opracowana została dokładnie wysokość i ilość dawek i należało spodziewać się, że w połowie marca, jeżeli wszystko pójdzie dobrze, zakład będzie musiał zaangażować kilku ginekologów oraz urządzić zakład położniczy na trzydzieści jeden łóżek, a także żłobek na tyleż łóžeczek.

Wkrótce miało się więc pojawić nowe pokolenie. Obecni wychowankowie „Wzorowego Domu Wychowawczego”, z których najstarszy liczył nie więcej nad cztery i pół roku, mieli w przyśpieszonym tempie zostać ojcami, a później i dziadkami, względnie wychowanice miały zostać matkami lub babkami. Po upływie jeszcze pewnego okresu mogli byli zostać prapradziadkami i praprababkami, zachowując zdolność rozrodczą co najmniej w przeciągu czterdziestu lat.

Będą się rozmnażali jak króliki! Dzieci dziesiątego pokolenia, które spłodzą praprapraprawnukowie obecnych pacjentów, nie trzeba już będzie wychowywać podobnie jak ich prapraprapradziadków i babki. Wystarczy po prostu tresować je!

Będą to stworzenia podobne do ludzi, ale które będą posiadały tyle rozumu, ile zechce im udzielić doktor Midrub. Będą posiadały tylko te właściwości, które on im zaszczepi. Będą znały

tylko taką ilość słów, które wyznaczy im po skrupulatnym wyborze doktor Midrub. Zwykła mowa, jaką posługują się obywatele Argentei, będzie dla tego nowego pokolenia nie więcej rozumiała niż łacina dla mieszkańców Polinezji.

W tym słowniku nie będzie takich słów, jak sprawiedliwość, równość, godność, wolność, rozum, honor, prawo, braterstwo, miłość, marzenie.

Ci nowi ludzie będą rozporządzali słownikiem składającym się co najwyżej z dwustu wyrazów bezpośrednio związanych z tą specjalnością, do której będą tresowani, i nawet nie będą w stanie zrozumieć swych rówieśników przeznaczonych do innych czynności.

To nowe pokolenie, ci nowi „ludzie” będą słuchali rozkazów jedynie swoich dozorców ubranych w mundury, ludzie zaś ubrani inaczej będą wzbudzali w nich nieopisany lęk. Jedynie najprymitywniejsze uczucia, jak strach, głód, pragnienie i instynkt rozmnażania się będą miały dostęp do ich świadomości, natomiast żadnego dostępu do niej nie będzie miała przyjaźń, ofiarność, solidarność lub niezadowolenie ze swego losu.

Szeroko i szczegółowo opracowane projekty Sima Midruba uzyskały aprobatę Primo Padrele, który incognito odwiedził „Wzorowy Dom Wychowawczy dla Siorot”.

Doktor Sina Midrub, aczkolwiek szczerze pogardzał potężnym wizytatorem, z respektem wysłuchał jego słów uznania, podziękował za nie i prosił, by wydano zawczasu polecenie przygotowania przyszłej kliniki położniczej.

— Ależ tak, zgadzam się... ma pan całkowitą słuszność — zgodził się Primo Padrele.

Alfred Vanderhunt, który był obecny przy tej rozmowie, skłonił się w milczeniu dając do zrozumienia, że wszystkie zlecenia będą dokładnie spełnione.

— Chciałbym jeszcze zwrócić uwagę — dodał Sim Midrub — że za cztery miesiące będziemy musieli mieć nowe budynki mieszkalne i szkolne, a także nowy budynek dla powiększenia personelu.

— Zupełnie słusznie! — tym razem już z nieukrywaną wesołością przyznawał Padrele.

Vanderhunt i tym razem dał do zrozumienia, że wszystko będzie wykonane na czas.

— A czy pan osobiście nie życzy sobie czegoś? — zapytał Padrele, ale doktor Sim Midrub podziękował uśmiechem i rzekł:

— Dziękuję, mam wszystko, czego mi potrzeba.

Padrele wzruszył ramionami, gdyż prawdę mówiąc wolałby, aby ten zimny i nad wyraz poprawny młody człowiek zażądał jakiejś większej sumy. A zresztą, pal go diabli! Już siedząc w

samochodzie Padrele uświadomił sobie naraz, że ten Midrub zapewne pogardza nim. Ta myśl ubawiła go nawet. Znał zresztą kilku takich pewnych siebie młodzików. Ostatecznie tacy również wcale nieźle pracują — a myśleć mogą, co im się podoba, byleby robota nie cierpiała na tym.

Jednym słowem Primo Padrele nie zastanawiając się dłużej mianował doktora Sima Midruba najbliższym współpracownikiem Vanderhunta w dziale naukowym „Wzorowego Domu Wychowawczego dla Sierot”. Jeżeli Midrub obarczył siebie ponadto obowiązkiem roztoczenia opieki i bacznej obserwacji nad nowozaangażowanym instruktorem sztuki strzeleckiej, to najwidoczniej powodował się nie tylko dobrem zakładu i pomyślnymi wynikami wykonywanego eksperymentu, lecz i tym, że funkcja ta nie sprawiała mu przykrości. Wprost przeciwnie nawet, bawiło go, że w ciągu dwóch miesięcy będzie wodził za nos owego instruktora wmawiając mu, że pracuje w zakładzie naukowo—lecznym.

Do marca pozostawało jeszcze dość dużo czasu, mógł więc sobie pozwolić na tę niewinną rozrywkę.

Rozdział dwudziesty czwarty

*w którym Tomaso Magaraf bliżej poznaje „Wzorowy Dom Wychowawczy dla Sierot?”
oraz na zawsze zdobywa serce Pedro Gargo*

— Ćwiczenia będzie pan rozpoczynał po przerwie — powiedział doktor Midrub do Magarafa po opuszczeniu jadalni. — Przed obiadem nasi pacjenci mają zajęcia na stawie i przy ruchomej taśmie.

Doktor Midrub i Magaraf nie zdążyli dojść do okrągłego budynku, w którym była zainstalowana „ruchoma taśma”, gdy wesołe okrzyki dolatujące z jadalni dały znać, że śniadanie zostało skończone. Wkrótce rozległ się tupot wielu nóg na ścieżce wysypanej żwirem, a po chwili Magaraf widział dwa szeregi wychowanków i wychowanie, zmierzające w ich stronę równym krokiem. Na przodzie kolumny szli mężczyźni, za nimi w pewnym oddaleniu — dziewczęta. Z tyłu za wszystkimi dreptał zapłakany Pedro, którego wychowawca prowadził za rękę z surowym wyrazem twarzy.

Biedaczek wolną prawą ręką raz po raz ocierał duże łzy ciekące po jego źle wygolonych policzkach. Reszta wychowanków zachowywała się tak, jak zwykły zachowywać się beztrioskie i wesołe dzieci po dobrym śniadaniu.

W szeregach głośno śpiewano:

Dzieci zupkę dostały,
Bo się wujcia słuchały.
Gdyby wujcia nie słuchały
To by zupki nie dostały.

i znowu:

Dzieci zupkę dostały,
Bo się wujcia słuchały.

Wchodząc do obszernej pracowni przestano śpiewać i wszyscy rozbiegli się na swe miejsca.

Dopiero teraz Magaraf zauważył, że przy każdym miejscu na ścianie wisiała tabliczka. Na tabliczce nie było ani żadnych napisów, ani numerów, natomiast na każdej z nich narysowane były różne owoce, zwierzęta lub przedmioty. Te tabliczki i obrazki pomagały nie umiejącym czytać wychowankom Vanderhunta zapamiętać swe miejsca przy „ruchomej taśmie”. Każdy mógł bez „trudu zapamiętać swój obrazek. Na tyle było ich stać.

Jedną połowę „ruchomej taśmy” zajmowali chłopcy, a właściwie zupełnie dorośli mężczyźni, drugą — dziewczęta. Z boku na małych stołeczkach leżały rozmaite narzędzia, dłutka i części jakiegoś nieskomplikowanego motoru.

Wychowawca nacisnął guzik na rozdzielczej tablicy, rozległ się długi i głośny dzwonek — i nagle z twarzy wychowanków znikł dotychczasowy naiwny i dziecięcy wyraz. Twarze stały się skupione, widoczny był na nich wysiłek nieruchliwej myśli. Wychowawca przerzucił jakiś lewarek i ruchoma taśma powoli ruszyła. Magaraf ze zdziwieniem ujrzał, jak na taśmie stopniowo zaczął pojawiać się szkielet samochodowego silnika.

Jedynie głośne westchnienia ulgi, które rozlegały się w różnych miejscach w ślad za powoli odsuwającym się szkieletem motoru, wskazywały, z jakim trudem wychowankowie „Wzorowego Domu Wychowawczego” potrafili nadażyć, wykonując mało skomplikowane czynności, bądź przyśrubowania jakiejś śrubki, bądź zwykłego położenia na właściwym miejscu z góry przygotowanej żelaznej sztabki.

— Trudno uwierzyć — szepnął doktor Midrub do Magarafa — przecież jeszcze przed dwoma tygodniami w żaden sposób nie mogli zrozumieć, że dzwonek oznacza sygnał rozpoczęcia pracy.

— Nie powiem jednak, aby ten widok był bardzo przyjemny — powiedział Magaraf.

— System kuracyjny i wychowawczy nie zawsze bywa przyjemny. Niech pan przypomni sobie, jak przykre jest picie rycyny lub wszelkie zastrzyki. Nie mówię już o zabiegach chirurgicznych. W każdym razie metody stosowane dotychczas przy leczeniu kretynizmu były bardziej przykre. Przepraszam, ale muszę pana na chwilę opuścić. Zobaczymy się przy stawie.

Tymczasem praca przy „ruchomej taśmie” dobiegała końca i „pacjenci” korzystali z piętnastominutowej przerwy przed udaniem się na brzeg stawu.

Teraz znów był szczęśliwi jak dzieci. Rozbiegli się wesoło po łączce, goniąc się i bawiąc, obdarzając się przy tym klapsami, które potrafiłyby zwalić z nóg niejednego zdrowego człowieka.

Magaraf podszedł do jednego z wychowawców i zamierzał zapytać go o coś, gdy naraz rozległy się głośne krzyki i płacz, które kazały im pobiec w stronę zarośli otaczających wejście do

okrągłego budynku. Magaraf nadbiegł pierwszy, wychowawca zaś najwyraźniej nie śpieszył się. Magaraf ujrzał, jak sześciu dryblasów przy pomocy paru dziewcząt okładało co sił Pedro Gargo przyciskając go do muru.

— Mamo-o! Oj... Mamo-o! — darł się ze wszystkich sił Gargo usiłując wyrwać się z rąk swych prześladowców. — Nie będę... Nie będę już, puście mnie!

— Wynocha stąd! — krzyknął Magaraf i wszyscy, prócz Pedra, rozbiegli się jak wróble.

— Wujciu! Wujciu kochany! — szlochał Pedro i przytulił się do swego nieoczekiwanego wybawcy.

Magaraf owi zrobiło się nieswojo na widok tego dryblasa beczącego jak małe dziecko i tulącego się do niego, chociaż był znacznie niższy od Pedro. Pogłaskał go po rozczochranej głowie, otarł krew z rozbitego nosa i uspokajał go, jak mógł.

— Nie bój się, nic ci nie zrobią, nie będą cię już bili.

— A właśnie, że będziemy — rozległ się w pobliżu soczysty bas. Magaraf obejrzał się i ujrzał, że koledzy Pedra, którzy początkowo rozbiegli się, powrócili i przysłuchują się temu, co mówi ów nieznajomy.

— A za co wy go bijecie? Cóż on wam zrobił złego?

Tamci spojrzeli na siebie jak gdyby zdumieni, że ten „nowy wujaszek” nie rozumie tak prostej rzeczy. Wysoki, rosły mężczyzna o gęstej czuprynie, chowając się za plecami swych towarzyszy, wyjaśniał soczystym basem Magaraf owi:

— A kaszka? Dlaczego łapie miskę pierwszy? Za to dostał lanie!

Dokoła rozległy się głosy aprobaty, a biedny Pedro w oczekiwaniu nowego lania znów zaczął beczeć wniebogłosy.

— Posłuchajcie — oświadczył stanowczym głosem Magaraf — jeżeli się który poważy go dotknąć, będzie miał ze mną do czynienia. Zrozumieliście?

Ani jedno słowo nie padło w odpowiedzi.

— Zrozumieliście? — jeszcze raz groźnie zapytał Magaraf.

— Zrozumieliśmy — rozległy się niechętne, ociągające się głosy.

— Co to za odpowiedź? Macie odpowiadać wesoło. Bo pogniewam się na was i nie nauczę was strzelać. No, wesoło! Odpowiadajcie: zrozumieliście?

— Zrozumieliśmy, wujaszku! — chórem odpowiedzieli wszyscy dowiedziawszy się z radością, że ten nowy wujaszek nauczy ich strzelania.

— Jeszcze głośniej i weselej! — komenderował Magaraf.

Tym razem przyszedli wyborowi strzelcy krzyknęli tak głośno, że Magarafowi zadzwoniło w uszach.

Teraz wszyscy już byli szczerze przejęci perspektywą niezmiernie pociągającej zabawy. Na twarzach znów rozbłysły naiwne, radosne uśmiechy. Otoczyli Magarafa ciasnym kołem, każdy chciał być bliżej niego, a jedna z dziewcząt chwyciła go za rękę i szła obok zaglądając mu raz po raz w oczy rozpromienionym wzrokiem. Pedro Gargo dreptał obok, mocno trzymając się „nowego wujaszka”. Ubóstwiał go teraz, kochał bezgraniczną miłością dziecka łaknącego pieśczot i obawiającego się, że może utracić odnalezione szczęście.

Przeciągłe dźwięki trąbki, które wdarły się w poranną ciszę parku, podziały na otaczających Magarafa wychowanków „Wzorowego Domu Wychowawczego” jak zimny prysznic. W oczach pojawił się lęk, wszyscy szybko pobiegli z powrotem w stronę okrągłego budynku, gdzie po chwili ustawili się w szeregu. Pedro, ociągając się nieco, westchnął ciężko, wreszcie puścił rękę Magarafa i dopędził swych kolegów.

— Widzi pan, jak oni się śpieszą! — z zadowoleniem stwierdził doktor Midrub, który znalazł się tuż obok. — Począwszy od wczorajszego dnia wprowadziliśmy jako karę za spóźnienie na zbiórkę pozbawienie obiadu. Najkrótsza droga dla refleksów jest ta, która prowadzi przez żołądek. Jest to naukowo udowodnione.

Ponownie rozległy się dźwięki trąbki, po nich jakieś słowa komendy i dwa szeregi, lecz już milczące, z jakimiś niemal skamieniałymi twarzami przemaszerowały obok Magarafa i szły w kierunku wyłożonej betonem przystani nad stawem.

Na przeciwległym brzegu, na pokładzie owego drewnianego krążownika, widać było sylwetki dwóch wychowawców. Jeden z nich stał tuż przy niewielkim stoliku, na którym układał jakieś przedmioty.

Wychowanków ustawiono dwoma szeregami po obu stronach dość szerokiego wgłębienia mającego około trzech metrów długości, którego wylot był skierowany prostopadle do stawu. W tym wgłębieniu znajdowało się coś, co przypominało ogromne stalowe cygare, zakończone z tyłu śrubą i sterami. Bliżej drugiego, bardziej tępego końca cygara pod przezroczystym daszkiem znajdowało się niewielkie, obite skórą siedzenie, a przed nim niewielka kierownica jak na dzieciennych samochodzikach.

Instruktor, wysoki chudy człowiek, jak gdyby obciążony pomarszczoną, żółtą skórą, wywołał dwa nazwiska: Pedro Gargo! Min Ashrey!

Twarz nowego przyjaciela Magarafa i stojącego obok niego piegowatego blondyna wykrzywiła się ze strachu.

— Każdy, prócz was dwóch — mówił instruktor, przy czym obdarzył ich spojrzeniem nie wróżącym nic dobrego — powtarzam, każdy prócz was dwóch potrafił dogonić okręt. Dziś robię z wami ostatnią próbę. Pokażcie, że i wy potraficie. Min — ty będziesz pierwszy!

Instruktor podniósł do góry przezroczysty daszek nad cygarem. Min wlaźł do środka, rozsiadł się na siedzeniu i wpił się obiema rękami w kierownicę. Następnie instruktor zatrzasnął nad nim hermetycznie zamykającą się pokrywę, zapukał w nią palcem i wydawał dalsze instrukcje dygocącemu ze strachu pasażerowi.

— Nie masz się czego bać! Kieruj wprost przed siebie. Min, uśmiechając się niemrawo, kiwał głową.

Instruktor podniósł prawą rękę do góry, na ten sygnał człowiek stojący na pokładzie statku nacisnął guzik i miniaturowy krążownik zaczął poruszać się wzdłuż przeciwległego brzegu z szybkością normalnie maszerującego człowieka. Instruktor szybko opuścił rękę, rozległ się głośny huk, dziewczęta pisnęły ze strachu, a cygaro, jak latająca ryba, wyskoczyło ze swego leża, zanurzyło się w wodzie i poczęło mknąć w kierunku krążownika, poruszane szybko obracającą się śrubą. Ta żywa torpeda płynęła mniej więcej na głębokości dwudziestu pięciu centymetrów pod wodą i tylko jej przezroczysty daszek wynurzał się ze szklanej tafli jeziora zalanego teraz promieniami słońca.

— Powinien podpłynąć teraz do samego środka okrętu — tłumaczył doktor Midrub Magarafowi, który stał zdumiony całą tą operacją. — Chodzi o to, aby dopędzić statek i wycelować w sam środek, czyli tam gdzie stoi stół z ciastkami. Wszystko polega na skoordynowaniu wycucia odległości i celu. Jednocześnie jest to zaznajamianie się z kierownicą.

Dokoła torpedy, w której znajdował się Min Ashrey, podniosło się kilka niezbyt wysokich słupów wody. Później zaterkotały wystrzały z blaszanych armatek na krążowniku, a każdemu towarzyszyły jaskrawe rozbłyski ciemnopomarańczowego światła. Sylwetę krążownika zasnuły dość gęste dymy.

— Pirotechnika! — krzyczał doktor Midrub tuż nad uchem ogłuszonemu Magarafowi. — Dźwiękowa i świetlna terapia! Na tych kretynów wydaje się nie mniej niż na utrzymanie uniwersyteckiej kliniki. I co z tego?

Ruchem głowy wskazał na staw, gdzie właśnie działo się coś, co wywołało jego wielkie niezadowolenie.

Min Ashrey poczuł się zapewne nieswojo na widok tych nieoczekiwanych wodotrysków dokoła siebie, mało ufności budził w nim również krążownik witający go tą ogłuszającą kanonadą. W każdym razie, po upływie pół minuty Min Ashrey ostro skręcił z dotychczasowej drogi, znalazł się znów na środku stawu i znieruchomiał. Zapas paliwa skończył się.

Krążownik niezwłocznie wrócił na swoje dawne miejsce, a jeden ze stojących na przystani funkcjonariuszy, nie czekając nawet na rozkaz, udał się małą łódką na środek stawu, skąd na długim haku przyholował do brzegu niefortunna „żywą torpedę”.

Instruktor zszedł stopniami wiodącymi do wody, podszedł do stalowego cygara, uniósł do góry lśniący od wody przezroczysty daszek i wyciągnął ze środka za kark nieszczęsnego Ashreya, którego twarz była śmiertelnie blada i mokra od potu i łez, a także skrzywiona ze strachu w oczekiwaniu tego, co miało nastąpić.

— Wróć! — ryknął instruktor, lecz dostrzegłszy grymas niezadowolenia na twarzy Midruba, który oczyma wskazał mu obok stojącego Magarafa, po chwili zmienił ton. — No i co, głuptasku? — z obłudną słodyczą zapytał chłopca. — Dlaczego skręciłeś?

— Bałem się! — nie wytrzymał i już na głos rozbeczał się niefortunny nawigator.

— Jak ci nie wstyd! — kiwał nad nim głową instruktor. — Czegóż tu się bać... Nie będziesz się już więcej bał?

— Nie będę! — chętnie zgodził się Min Ashrey i nawet usiłował uśmiechnąć się przez łzy domyślając się, że aczkolwiek niebezpieczeństwo kary nie rozwiązało się ostatecznie, ale w każdym razie odsunęło się od niego.

— No to zuch z ciebie! — tym samym nieznośnie obłudnym głosem pochwalił go instruktor. — Nie masz się czego bać. To wstyd być tchórzem, bo za karę Annety nie będzie cię kochał Prawda, Annetko, że nie będziesz go kochała, jeżeli ci nie przyjdzie tortu?

Annetka, pulchna dziewczyna z czarnymi śmiejącymi się oczyma na okrągłej twarzyczce, chętnie potwierdziła:

— Naturalnie, że nie będę go kochała!

— No widzisz, musisz się na przyszły raz lepiej popisać — powiedział instruktor na zakończenie całego incydentu i zaprowadził pokornie kroczącego obok niego Mina do drugiego wgłębienia, gdzie go oczekiwała gotowa do wyruszenia inna torpeda.

Instruktor znów podniósł do góry prawą rękę, stateczek znów ruszył i torpeda znów zanurzyła się pod powierzchnią stawu, a słupy wody jak przedtem unosiły się w górę dokoła drżącego ze strachu Mina — jak przedtem rozległa się kanonada i rozpalily się złowrogie ognie fajerwerków.

Ale najwidoczniej obawa kary i lęk, że „Anneta nie będzie go kochała” wzięły górę nad przyrodzonym brakiem odwagi Mina Tym razem koordynacja odległości i celu wykonana została bez zarzutu. Torpeda ani razu nie zboczyła z drogi i wkrótce uderzyła lekko w burtę krążownika w miejscu, gdzie widniało wielkie białe koło.

Torpeda posiadała specjalny mechanizm, który zatrzymywał działanie śruby, gdyż żywy pocisk od razu znieruchomiał. Jednocześnie górna połowa białego koła rozwarła się i w otworze ukazał się dozorca z dużą tacą, na której leżały spore kawałki tortu.

Inny z asystentów instruktora podpłynął na łódce do torpedy, odebrał z rąk swego kolegi tacę, przesadził Mina do swej łódki i przyholował torpedę do przystani.

Tam Min podał tacę stojącemu na prawym skrzydle dryblasowi — koledze o złym i niezyczliwym dla zdobywcy wyrazie twarzy. Dryblas wybrał sobie największy kawał tortu, resztę zaś podzielił pomiędzy innych uczestników tej niezwykle budującej zabawy, łakomie spoglądających na tacę. Min, Anneta i Pedro również otrzymali swe porcje.

Z kolei Pedro Gargo miał wykonać to samo zadanie. Zachęcony powodzeniem Mina, a jeszcze bardziej kilkoma życzliwymi słowami, które skierował do niego Magaraf, spokojnie, a nawet i wesoło zajął miejsce przy kierownicy torpedy. Zadanie zostało spełnione bez zarzutu — ten sam dryblas, cieszący się najwidoczniej niezaprzeczoną autorytetem u reszty wychowanków, uroczyście podzielił tort.

Na tym zakończyły się właściwie ćwiczenia „koordynacji odległości i celu”. Wychowankowie znów uszykowali się w dwuszeregu i pomaszerowali do jadalni na drugie śniadanie.

Po drugim śniadaniu następowała tak zwana „godzina ciszy”. Wychowawczynie spacerująca po korytarzu oddziału dla dziewcząt, ziewając od czasu do czasu, obserwowała dziewczęta, które przed położeniem się do łóżka kołysały jakieś własnoręcznie zrobione płócienne lalki, nucąc przy tym jedyną znaną im piosenkę:

Dzieci zupkę dostały,
Bo się wujcia słuchały.
Gdyby wujcia nie słuchały
To by zupki nie dostały.

Chłopcy zaś, jeżeli można nazwać tym imieniem wyrostków z gładko wygolonymi policzkami, a niekiedy ze sporymi wąsikami, potrafili urwać parę minut przed położeniem się do łóżek, aby korzystając z nieobecności wychowawcy pobawić się w koniki. Wszakże nie wszyscy jednakowo korzystali z chwilowego braku opieki.

Tuż za domem, w cieniu rozłożystej magnolii dwaj wychowankowie, postępując i sapiąc, niemiłosiernie grzmocili się co sił z powodu znalezionej tekturowego pudełka od papierosów.

Rozdział dwudziesty piąty

*zawierający dalszy ciąg opisu życia we „Wzorowym Domu Wychowawczym dla Sierot”
oraz wrażeń, jakich tam doznał Tomaso Magaraf*

Powodzenie pierwszych lekcji Magarafa przeszło najśmielsze oczekiwania doktora Midruba. Strzelanie do tarczy ogromnie przypadło do gustu wychowankom — po prostu pasjonowali się nim. Najsurowszą karą było pozbawienie ich lekcji strzelania.

Wychowankowie ze zdumiewającą szybkością zrozumieli, na czym polega umiejętność strzelania. Mocne ręce, spokojne nerwy, ostry wzrok, nie popsuty jeszcze pracą lub czytaniem, czyniły z nich urodzonych strzelców.

Stopniowo duże tarcze zamieniano na mniejsze, zwiększono odległość, a uczniowie Magarafa strzelali nie tylko w pozycji leżącej, ale i z kolana lub stojąc. Celem były blaszane zajęczki skaczące na drucie, małe ludzkie figurynki lub też blaszane pieski, a ilekroć trafiano je, rozlegało się bardzo zabawne szczekanie lub też jakieś piskliwe dźwięki.

Po upływie sześciu tygodni rezultaty strzelania były tak dobre, że gdyby ta nauka nie była trzymana w tajemnicy, Magaraf mógłby z dumą wystawić cały zespół przeciwko ekipie „Bractwa Kurkowego” w Pelepie, o której już wiemy, że formalnie rozgromiła na zeszłorocznych zawodach wcale niezły reprezentacyjny zespół miasta Lomm.

Trudniej natomiast było nauczyć ich rozkładania i składania broni. Męczyło ich to z początku, uwaga rozpraszała się, zaczynali kapryścić, a nawet niekiedy odpowiadać dość zuchwale. Ale ani Magaraf, ani doktor Midrub i dyrektor Vanderhunt nie tracili nadziei, tym bardziej że z czasem czyszczenie broni po strzelaniu, smarowanie luf i patrzenie przez ich lśniące otwory sprawiały strzelcom ogromną przyjemność. Tym, którzy wyróżnili się w strzelaniu, w nagrodę pozwalano nieść karabinki do magazynu. Magaraf czynił wszystko, co mógł, by ten wielki zaszczyt spadł niekiedy również na Pedro Gargo, który ze swojej strony robił wszystko, by przypodobać się nowemu instruktorowi, tak niepodobnemu do innych pomiatających nim ludzi. Po prostu ubóstwiał swojego nowego „wujaszka”: był markotny, gdy go nie widział, biegł mu naprzeciw, chwycił go za rękę i niemal skamlał jak młode łaszące się szczenię. Jemu też powierzał wszystkie swe nieskomplikowane smutki i radości.

Magaraf dość szybko przyzwyczał się do zdumiewającej sprzeczności, jaka zachodziła między dziecięcym zachowaniem a zewnętrznym wyglądem tego rosnącego mężczyzny, obdarzonego grzmiącym basem. Wieczorami po kolacji często spacerowali razem alejami parku pogrążonego w zmroku. Zachodzące słońce złościło wierzchołki drzew purpurowymi blaskami i wszystko dokoła tego „Wzorowego Domu Wychowawczego” wyglądało jak w bajce.

— Zupełnie jak w bajce — zachwycił się kiedyś głośno Tomaso Magaraf w obecności Pedra.

— A czy ty umiesz opowiadać bajki? — zapalił się nagle Pedro. — Wujaszku, najdroższy, opowiedz mi bajkę.

I tak się złożyło, że instruktor strzelecki „Wzorowego Domu Wychowawczego dla Sierot” zaczął opowiadać swojemu najlepszemu uczniowi różne bajki, ten zaś z kolei w nocy opowiadał je swoim rówieśnikom.

Doktor Midrub dowiedział się jednak o tym i z naciskiem prosił Magarafa, by zaniechał opowiadań.

— Dla niezrównoważonej psychiki naszych pacjentów — wyjaśnił biolog — wszelkie bajki rozwijające w dziecku fantazję i pobudzające do marzeń są straszliwą trucizną. Cała nasza praca może pójść na marne.

Magaraf musiał poddać się.

— Niestety, mój kochany, nie znam żadnych innych bajek — powiedział do Pedra, gdy ten podczas następnego spaceru prosił o dalsze. — Opowiedziałem ci wszystkie, które znałem. Będziemy sobie teraz spacerowali.

— A moja mamusia — powiedział Pedro — zna bardzo dużo bajek...

Zapewne chciał w ten sposób wywołać w Magarafie potrzebę rywalizacji, wywołał jednak jedynie ciekawość. Żaden bowiem z wychowanków nigdy nie wspomniał ani słowem o swoich rodzicach lub krewnych. Zresztą czegoż można było się spodziewać po kretynach?

— A czy ty masz mamusią?

— Mam — odpowiedział z dumą Pedro — tylko ja mam mamusię, bo oni — miał na myśli resztę chłopców i dziewcząt — oni nie mają mamusi. Moja mamusia jest bardzo dobra. Jest lepsza od Ignasia.

— A któż to jest Ignas?

— Ignas to mój brat. — I znów pochwalił się. — Tylko ja mam brata, żaden z nich nie ma, tylko ja mam.

Okrągła rumiana twarz Pedra, pozacinana w kilku miejscach po goleniu (miejscowy fryzjer uważał golenie Pedra za prawdziwy dopust), rozjaśniła się przemiłym, dziecięcym uśmiechem

„To wcale nie jest kretyn” — pomyślał sobie Magaraf. — „Jest co prawda naiwny jak dziecko, ale już rozumuje logicznie Swoją drogą medycyna to wielka rzecz: osiągnąć takie rezultaty po trzech miesiącach leczenia...”

— A czy twój brat jest większy od ciebie?

— Dawniej był większy, ale teraz ja jestem większy — odpowiedział Pedro niezmiernie zadowolony z tego, że znalazł się chociaż jeden człowiek, który mu uwierzył, że ma matkę i brata „Niestety — z żalem pomyślał Magaraf słysząc tę odpowiedź. — To jednak jest kretyn”.

Wkrótce rozległy się dźwięki gongu przywołującego wychowanków do domu, a Magaraf długo jeszcze spacerował po ciemnym parku obliczając w myślach, ile dni wypadnie mu jeszcze pozostać w towarzystwie kilkunastu skądinąd poprawnych w obejściu i uprzejmych współpracowników „Domu Wychowawczego” i sześćdziesięciu dwóch idiotów.

Po paru dniach w jadalni personelu pojawił się niewielki „formicodrom” z kompletem wyścigowych mrówek i Magaraf, jak przystało na prawdziwego obywatela Argentei, zapalił się do tego sportu. Pedro Gargo był ogromnie zmartwiony, gdyż cudowne spacerowanie z instruktorem urwały się zupełnie.

Praca we „Wzorowym Domu Wychowawczym dla Sierot” biegła normalnie. W dawnych ćwiczeniach przy ruchomej taśmie brały udział tylko dziewczęta — mężczyźni bowiem od śniadania do obiadu zajęci byli na strzelnicy, owymi znanymi nam już ćwiczeniami na stawie oraz boksem. Po przepisowej „godzinie ciszy” wychowanków uczono tego, co doktor Midrub nazywał „ćwiczeniami terenowymi”, a co Magaraf uważałby raczej za zwykłe ćwiczenia saperskie, gdyby w jego głowie mogło powstać przypuszczenie o istotnym celu wszystkich tych ćwiczeń. Po kolacji młodzieńcom pozwolono spacerować po parku z pannami, które bardzo lubiły te spacerowanie.

W końcu lutego w odwiedzinach do dyrektora Vanderhunta przybyli goście: znany nam już pan Procroost i dwaj starsi panowie w cywilnych ubraniach, lecz sądząc z manier — wojskowi. Spędzili w zakładzie cały dzień, obecni byli na wszystkich ćwiczeniach i najwidoczniej byli ogromnie zadowoleni z tego, co widzieli. Przed udaniem się w podróż powrotną spędzili kilka godzin w gabinecie dyrektora.

Dyrektor Vanderhunt i doktor Sim Midrub złożyli przybyłym szczegółowe i znamienne raporty.

Treść tych raportów sprowadzała się do następujących wniosków:

Prace „Wzorowego Domu wychowawczego dla Sierot” wykazały w praktyce, że:

1. Przez stosowanie zastrzyków „Patentu AV” można w przeciągu kilku miesięcy wychować z dzieci od trzech do czterech lat dojrzałych mężczyzn i kobiety, obdarzonych rozumem i inteligencją właściwą dzieciom.

2. Te przypominające dorosłych indywidua drogą odpowiedniego treningu można dość łatwo nauczyć elementarnych zasad pracy, wymaganych od normalnego robotnika pracującego przy ruchomej taśmie.

3. Można je dość szybko nauczyć kierowania torpedami, przy czym nie będą sobie zdawały sprawy z tego, że czeka je pewna śmierć.

4. Z łatwością przyswajają sobie naukę strzelania i są doskonałymi strzelcami.

5. Przy dobrze obmyślonej metodzie wychowawczej można im wpoić absolutne posłuszeństwo i poczucie karności, wymagane od żołnierza lub robotnika.

6. Wspomniane wyniki dają się osiągnąć za pomocą kar cielesnych, przez pozbawienie pożywienia oraz przez nagrody w postaci słodyczy. .

Przybyli z uwagą wysłuchali obydwóch referatów wyrażając zachwyt dla naukowych zdobyczy referentów, zapewnili ich o swojej wdzięczności za dotychczasowe osiągnięcia, pożegnali się i wyjechali.

Wspomniana inspekcja stanowiła zakończenie pierwszego doświadczalnego etapu naukowo-wychowawczej działalności zespołu kierowanego przez dyrektora Alfreda Vanderhunta.

Po paru tygodniach dyrektor Vanderhunt wezwał do siebie Tomaso Magarafa, podziękował mu za sumienne wykonanie zleconego mu zadania, wręczył kopertę z pieniędzmi i oświadczył, iż „Wzorowy Dom Wychowawczy dla Sierot” nie będzie już korzystał z jego dalszych usług. Żegnając się i ściskając rękę Magarafowi, dyrektor jeszcze raz przypomniał o konieczności zachowania całkowitej tajemnicy, Magaraf zaś jeszcze raz zapewniał go, iż dotrzyma swej obietnicy. Doktor Sim Midrub swoim samochodem odwiózł go na dworzec kolejowy.

Gdy wreszcie z hałasem zamknęły się za nim ciężkie wrota zakładu, Tomaso odetchnął z ulgą. Dokoła niego znów był normalny, ludzki świat.

Rozdział dwudziesty szósty

*w którym jest mowa o tym, jak Tomaso Magaraf wrócił do Pelepti
i jak następnego dnia stamtąd wyjechał*

Dawniej, przed swoim procesem, Magaraf brał gazetę do rąk jedynie po to, by przerzucić sportową kronikę i wiadomości teatralne. Po procesie przestał interesować się pismami. We „Wzorowym Domu Wychowawczym” w chwilach wolnych myślał o przygotowaniu nowych „numerów”, które umożliwiłyby mu powrót na scenę, lub też spacerował z Pedrem Gargo, a ostatnio pasjonował się mrówczymi wyścigami i chociaż grał niewysoko, potrafił jednak przegrać około pięciuset centaurów.

Gazet nie brał do ręki — zresztą administracja nie dbała o dostarczenie lektury swym współpracownikom. Prócz dyrektora i doktora Midruba zaledwie paru jeszcze współpracowników otrzymywało pisma przez pocztę.

Dlatego to, opuszczając „Wzorowy Zakład Wychowawczy”, Magaraf nie wiedział, że doktor Popff był aresztowany, że stanął przed sądem i że został skazany na śmierć. Podczas swojego pobytu we „Wzorowym Domu” Magaraf dwukrotnie oddał w kancelarii do dalszego wysłania dwa listy adresowane do Bak—buku, do doktora Popffa. Donosił mu o tym, iż urządził się wcale nieźle i prosił, by czcigodny doktor był spokojny o jego dalsze losy. Właśnie przygotowuje nowe „numery” i wkrótce powróci na scenę.

Oczywiście Magaraf nie mógł wiedzieć o tym, że dyrektora Vanderhunt osobiście przegląda całą korespondencję przeznaczoną do wysłania z zakładu i że obydwie listy zatrzymał. Nie otrzymując odpowiedzi z Bakbuku, Magaraf obraził się i już więcej nie pisał.

Wysiadając w Pelepie czuł się niezmiernie życzliwie usposobiony i do pocziwego Cimmarona, za którym tęsknił, podobnie jak do normalnego życia wśród normalnych ludzi wiodących normalny tryb życia.

Wprost z dworca wstąpił do „Dwóch Szampionów”. Było około czwartej, czyli była to pora, kiedy w małomiasteczkowej restauracji zazwyczaj panowały pustki, gdyż każdy szanujący się obywatel jadł obiad w domu. Można więc sobie wyobrazić zdziwienie Magarafa, gdy stwierdził, że restauracja jest pełna gości. Prócz stałych bywalców w restauracji było pełno mieszkańców miasta, którzy albo byli zbyt biedni, albo zbyt bogaci, by można było przypuszczać, że o tej godzinie

znajdą się u „Dwóch Szampionów”. Na lewo od kontuaru błyszczącego marmurową i niklowaną powierzchnią na specjalnym stole stał monumentalny „formicodrom”, z czterema torami, wypolerowany i błyszczący jak pogańskie ołtarze.

„Teraz rozumiem, dlaczego jest tu tyle ludzi — pomyślał w duchu Magaraf, ogłuszony rozgwarem, jaki panował w lokalu. — Ale ma rozmach ten Cimmaron. Zafundował sobie wyścigowy tor dla mrówek niczym milioner!”

Były szampion boksu biegł mu na spotkanie z szeroko otwartymi ramionami.

— Tomaso! Stary przyjacielu!

Uścisnęli się serdecznie poklepując z całych sił po plecach. Stali bywalcy otoczyli ich kołem, ściskali rękę Magarafowi z serdecznością prostych, życzliwych mieszkańców prowincji, dumnych ze znajomości z tak sławną osobistością.

Nie wiadomo, jak długo trwałaby ta wymiana grzeczności, gdyby Cimmaron nie przerwał jej ze zwykłą mu rubaszością wołając do zebranych:

— Panowie! Oto kto może nam opowiedzieć bardzo wiele! Wraca przecież z drugiego końca Argentinei, przejechał przez cały kraj. Niech powie, co o tym mówią gdzie indziej.

Propozycja Cimmarona spotkała się z gorącą aprobatą.

— Ależ pozwólcie — wołał Magaraf — pozwólcie przede wszystkim dowiedzieć się, o co wam chodzi.

— Jak to, o co nam chodzi? — wytrzeszczył na niego oczy Cimmaron. — Chodzi nam o proces Popffa i Aneiro.

— Jakiego Popffa? — Magarafowi przyszło naraz na myśl, że najwidoczniej ów skrzypek, który podawał się za niego, został wreszcie zdemaskowany i pociągnięty do odpowiedzialności. — Czy o skrzypka wam chodzi?

— Jakiego tam znowu skrzypka? — wybuchł Cimmaron. Jego dobroduszna pulchna twarz nabrała koloru dojrzałego pomidora. — Mówię o doktorze Stephenie Popffie z tego samego Bak—buku, dokąd wybierałeś się we wrześniu, mój przyjacielu, ale nie dojechałeś.

— O doktorze Stephenie Popffie? — zaniepokoił się naraz Magaraf. — A o cóż go oskarżają?

— Tam do diabła... — rozgniewał się nie na żarty Cimmaron. — Z księżycy spadłeś, czy co? Nie tylko go oskarżają, ale już i osądzili. Czytaj!

Mówiąc to, podał Magarafowi plik gazet.

— Cały czas chorowałem — usprawiedliwiał się Magaraf. — Nie pozwolono mi czytać. A po drodze spałem... Jestem... osłabiony. Usiądę.

Przysunięto krzesło, na którym usiadł nie zdejmując palta, i zaczął gorączkowo przerzucać gazety,

— Tu jest czytania na dwa dni — odezwał się Cimmaron. — Na razie spójrz na to. — Wybrał dwie gazety i podał je Maga—rafowi.

„Kurier Argentei” z dnia dwudziestego szóstego lutego przynosił na pierwszej stronie pod ogromnym tytułem: „MORDERCY Z BAKBUKU SKAZANI NA ŚMIERĆ” szczegółową relację z końca procesu.

Magaraf przerzucał kolejno wzrokiem treść wyroku, streszczenie mowy prokuratora Pappuli, następnie pełne oburzenia artykuły, wzywające wszystkich obywateli Argentei, by raz na zawsze wyciągnąć odpowiednie konsekwencje z męczeńskiej śmierci niewinnego młodzieńca Manhama Beroime.

Czyż możemy być spokojni o losy naszych synów i córek, o nasze własne życie, naszą cywilizację i kulturę, dopóki korzystają z wolności ludzie podobni do morderców z Bakbuku lub też ludzie dzielący ich barbarzyńskie poglądy i ośmielający się nie tylko wypowiadać je głośno, lecz nawet roszczący sobie prawo do zasiadania w tym najświętszym sanktuarium naszej demokracji, jakim jest zarówno Parlament, jak i Rady Miejskie kraju. Nie, po tysiącokroć nie!

Takim wiele mówiącym zwrotem kończył się jeden z najłagodniejszych artykułów w tej sprawie.

— Jestem formalnie zaskoczony! — mówił zmieszany Magaraf odwracając wzrok od zadrukowanych wielkich płacht, z których patrzyły na niego przez żelazną kratę oczy doktora Popffa i jakiegoś innego, nie znanego mu człowieka nazwiskiem Sancho Aneiro. — Nie jestem w stanie uwierzyć, by doktor Popff był zdolny do popełnienia morderstwa. Ależ to najmiłszy na świecie człowiek, bezinteresowny, wesoły, bardzo serdeczny... i przy tym wielki uczone! Rozmawiał ze mną jak z równym, ot, jak my teraz.

— Rozmawiałeś z doktorem Popffem? — zapytał zachwycony Cimmaron i zawołał na całą restaurację: — Panowie, słyszeliście? Mój wspólnik Magaraf zna osobiście doktora Popffa!

— Ależ zaczekaj! — powstrzymywał go Magaraf. — Pozwól mi przejrzeć inne pisma.

Tym innym pismem była: „Codzienna Poczta” z dnia dwudziestego ósmego lutego. Połowę pierwszej kolumny wypełniały tytuły złożone ogromnymi czcionkami:

**KORNELIUSZ EDOUF UWAŻA SĄD NAD POPPFEM
I ANEIRO ZA HANIEBNĄ KOMEDIĘ**

*CALY PROCES W BAKBUKU — TO POTWORNA MIESZANINA
NIESPRAWIEDLIWOŚCI I UCHYBIEN PROCEDURALNYCH — OŚWIADCZA KORNELIUSZ
EDOUF.*

DOKTOR POPFF I SANCHO ANEIRO SĄ W TYM SAMYM STOPNIU WINNI ŚMIERCI
MANHAMA BEROIME, CO... TYBETAŃSKI DALAJ-LAMA

„KORNELIUSZ EDOUF STANAŁ W OBRONIE DOKTORA POPFFA!”

Na samą myśl o tym Magaraf owi zrobiło się lżej na duszy. Jeżeli w Argentei był człowiek, który mógł wydrzeć ze szponów „sprawiedliwości” niewinną ofiarę — to był nim niezawodnie Korneliusz Edouf.

Nie było takiego obywatela Argentei, zwłaszcza czytającego pisma, któremu to nazwisko byłoby obce.

Byli, rzecz prosta, w Argentei adwokaci bardziej modni, bardziej elokwentni i reprezentacyjni, ale nie było drugiego przedstawiciela tego zawodu, którego by jedna część ludności tak kochała, jak inna — nienawdziła. Był to człowiek niezwykle utalentowany i bardzo mądry. „Ma złotą głowę” — powiedział o nim kiedyś dziekan Izby Adwokackiej. Mógłby z powodzeniem dodać „...i złote serce”. Ale w Argentei podobne zalety nie obowiązywały cieszących się wielkim powodzeniem adwokatów.

Edouf mógł bez trudu zostać radcą prawnym jakiegoś wielkiego koncernu, mógł być posłem, ministrem. W każdym razie — mógł być bardzo bogaty. W rzeczywistości zaś — był tylko nieco zamożniejszy od myszy kościelnej.

Był to dobrze zbudowany, krępy szatyn o czarnych oczach, uparty i dowcipny, a gdy tego wymagały okoliczności, ogromnie zjadliwy. Odznaczał się wielką pracowitością. Jego znajomość prawa, zdolność interpretacji i komentarze były tak precyzyjne i nieodparte, że oficjalni

przedstawiciele tak zwanego wymiaru sprawiedliwości często mieli z nim dużo kłopotu. Niejednokrotnie udawało się Korneliuszowi Edouf ocalić od śmierci i długoletniego więzienia oskarżonych, których, zdawało się, nic już nie mogło uratować.

Krażyły o nim legendy. Jedni mówili, że jest naturalnym synem jakiegoś potentata finansowego, którego skrzywdzono przy podziale spadku, i że dlatego zaprzysiął zemstę wszystkim bogaczom Argentei. Inni znów zapewniali, że jego rodzice, niegdyś bogaci przemysłowcy, zostali pewnego pięknego poranka zrujnowani przez jakiegoś wielkiego finansistę należącego do „Wielkiej Szóstki”. Jeszcze inni zapewniali, że jest on synem znakomitej aktorki, która przed trzydziestu laty wzruszała teatromanów Argentei niezwykle dramatyczną interpretacją klasycznych ról. Miała ona w kwiecie lat umrzeć w jakiś zagadkowy sposób. Byli też i tacy, którzy twierdzili, iż wiedzą na pewno, że Korneliusz Edouf jest synem robotnika, który pracował w jakiejś hucie i żywcem splonął wpadłszy do kadzi z roztopioną stalą.

W rzeczywistości zaś Korneliusz Edouf pochodził z dość zamożnej rodziny mało znanego prowincjonalnego adwokata, żyjącego jeszcze po dziś dzień. Kształcił się na wydziale prawniczym któregoś dość konserwatywnego uniwersytetu, nie zajmował się nigdy polityką, był zapalonym futbolistą, poza tym był jednym ze zdolniejszych tenisowych graczy akademickiej ekipy i skończył swe studia pomyślnie, aczkolwiek nie nadzwyczajnie.

Jego prawnicza kariera rozpoczęła się w Koncernie Wschodnich Cementowni, dokąd został przyjęty na skutek osobistego polecenia rektora. Przystępując do tej pracy Korneliusz Edouf nie zdawał sobie zupełnie sprawy z tego, jaką rolę wypadnie mu odegrać w konfliktach między pracodawcami a robotnikami. niesprawiedliwości, z którymi zetknął się od pierwszej chwili, oburzyły młodego Edoufa i na pierwszym procesie, na którym występował w charakterze prawnego obrońcy interesów firmy, postąpił tak, jak nigdy jeszcze dotąd żaden z radców prawnych któregośkolwiek koncernu w Argentei nie postąpił: zamiast zwalczać pretensje robotników, Edouf gorąco je popierał.

Z posady wyrzucono go z hałasem, ale Edouf zdążył powielić na maszynie swe podanie o dymisję wraz z obszerną motywacją. Wszystkie większe pisma otrzymały odbitki.

Była to niemal fantastyczna, jak na stosunki w Argentei, demonstracja szlachetnego młodzieńczego oburzenia i dojrzałej prawniczej analizy tych nadużyć, które Koncern Wschodnich Cementowni od szeregu lat popełniał odnośnie norm zarobkowych i ustawy o ochronie pracy.

Od tej pory działalność Komeliusza Edoufa złączyła się nierozzerwalnymi więzami z historią ruchu robotniczego w Argentynie, To on uratował od śmierci na fotelu elektrycznym O'Connora, Evedę i Dorriniego w Mieście Wielkich Żab. On był głównym obrońcą w słynnym procesie szesnastu młodzieńców z Borrow, on wydarł po prostu śmierci Aureliusza Aeroba, którego oskarżono o zamiar wysadzenia w powietrze linii fortów broniących od strony oceanu stolicę Argentyny.

Edouf jeździł z jednego miasta do drugiego, od sądu do sądu, broniąc oskarżonych w procesach, które nawet najwięksi optymiści uważali za beznadziejne. Pracował jak wół i pozwalał sobie na krótkie chwile wytchnienia dopiero wtedy, gdy proces był wygrany i gdy mógł uścisnąć rękę uwolnionemu więźniowi.

Niejednokrotnie wyczerpany do kresu sił, z rozdygotanymi nerwami postanawiał: „Dosyć. Teraz rzucę praktykę i skończę z tym włóczęgowskim trybem życia”. Wtedy siadał do pociągu, wracał do Miasta Wielkich Żab i zaczynał instalować się na stały pobyt. Wszakże gdy znów powiadomiono go o jakiejś krzyczącej niesprawiedliwości, o czyjejs krzywdzie i bezbronności — niepoahamowana potrzeba walki o sprawiedliwość społeczną brała górę nad tęsknotą do spokojnego życia.

Dwudziestego lutego do jego nowego gabinetu w Mieście Wielkich Żab przybyła delegacja „Komitetu Obrony Popffa i Aneiro”, który utworzył się w Bakbuku. Już wtedy było rzeczą oczywistą, iż pomimo rażącego braku wszelkich uzasadnionych poszlak, wydanie wyroku śmierci było przesądzone. Na wzięcie udziału w procesie w charakterze obrońcy było już za późno. Edouf jednak przyjechał do Bakbuku, by zarejestrować wszystkie uchybienia proceduralne, które w toku procesu były popełnione za zgodą sędziego Ursusa i oskarżyciela Pappuli. Najbliższym zadaniem Edoufa było osiągnięcie rewizji procesu. I oto znów — nie wiadomo po raz który — trzeba było odłożyć swą decyzję zaprzestania praktyki i rozpoczęcia spokojnego życia.

Tomaso Magaraf nie bardzo się znał na polityce, a jednak zrozumiał, że skoro Komeliusz Edouf wziął tę sprawę w swoje ręce, to niewątpliwie i doktor Popff i jego towarzyszy z ławy oskarżonych są ludźmi niewinnymi i że wszystko będzie zrobione dla uratowania ich.

Pogląd ten Magaraf wyłożył wszystkim zebranim w restauracji „Dwóch Szanipionów” i wywołał wielki entuzjazm wśród zebranych.

W ten oto sposób rozpoczęło się w Pelepie zebranie organizacyjne „Obywatelskiego Komitetu Obrony Popffa i Aneiro”. Przewodniczącym komitetu obrano powszechnie cenionego Cimmarona

i wkrótce zostało zredagowane pismo do przewodniczącego Sądu Najwyższego następującej treści:

My, obywatele miasta Pelepu, zgromadzeni na zebraniu poświęconym sprawie niewinnie skazanych na śmierć obywateli Argentei: doktora Stephena Popffa i Sancho Aneiro, zwracamy się do Przewodniczącego Sądu Najwyższego z kategorycznym żądaniem zbadania tej tragicznej sprawy. Konstytucja naszej wielkiej Argentei uroczyście zapewnia...

Była to jedna z tysiąca petycji i protestów, z jakimi zwracały się do rządu podobne „Obywatelskie Komitety”, samorzutnie zorganizowane w najmniejszych nawet miastach i miasteczkach całego kraju. Nie ma przeto potrzeby przytaczania tekstu w całej rozciągłości.

Pierwszy podpisał ten protest Eugen Cimmaron, dwukrotny szampion bokserski Argentei. Tomaso Magarafowi zaproponowano, by jako znakomity artysta estradowy, podpisał drugi, trzeci miał podpisać wiceprzewodniczący komitetu i prezes miejscowego Stowarzyszenia Weteranów. Dalej następowały podpisy przewodniczącego i sekretarza oddziału Związku Zawodowego Mechaników i robotników pracujących w miejscowych zakładach bawełnianych, podpis sekretarza Związku Zawodowego Handlowców, przedstawicielek Ligi Kobiet i dwóch spośród pięciu miejscowych lekarzy.

Następnie uchwalono wysłać listy z wyrazami sympatii i współczucia obydwu oskarżonym. Teksty tych listów zostały na miejscu zredagowane, przepisane na maszynie i podpisane przez wszystkich obecnych. Magaraf prosił, by mu je wręczono, gdyż jutrzejszym rannym pociągiem zamierza udać się do Bakbuku.

Słowa Magarafa zostały przyjęte oklaskami. Wszyscy obecni podchodzili, by uścisnąć mu rękę. Wybrano go też drugim wiceprzewodniczącym „Komitetu Obrony”, wystawiono odpowiednie pismo, by mógł zarówno w Bakbuku jak i innych miastach oficjalnie reprezentować „Komitet Obrony Popffa i Aneiro w Pelepie”.

Następnego dnia z rana kilkaset osób zgromadziło się na dworcu, by odprowadzić Magarafa. Na peronie odbył się zaimprovizowany wiec, wyjeżdżającemu złożono życzenia szczęśliwej jirogi i pomyślnego załatwienia sprawy. Wśród okrzyków „hura” Magaraf wyjechał do Bakbuku.

Rozdział dwubziesiąty siódmy

z którego wynika, że nawet Primo Padrele nie jest w stanie przewidzieć wszystkiego

Jednocześnie z rozesłaniem odpisów swego referatu o nadużyciach popełnionych w toku procesu wszystkim wpływowym organom prasowym, instytucjom i organizacjom, Korneliusz Edouf dwudziestego siódmego lutego wręczył sędziemu Ursusowi podanie o anulowanie wyroku z powodu niekompetencji ławy przysięgłych i popełnienia uchybień proceduralnych. Żądanie rewizji procesu poparte było wszechstronną analizą wszystkich okoliczności towarzyszących procesowi, a zwłaszcza ujawniało stronnictwo przewodu sądowego. Do tego pisma dołączono złożone pod przysięgą i potwierdzone szeregiem podpisów zeznanie jednego z przyjaciół przewodniczącego ławy przysięgłych, Jeremiasza Priffa, którego treść sędzia Ursus i bez tego znał dokładnie. Przewodniczący ławy przysięgłych, Jeremiasz Priff, na samym początku przewodu sądowego, zanim jeszcze okazane były jakiegokolwiek dowody winy oskarżonych, oświadczył w obecności kilku przysięgłych: „Tych czerwonych zuchów z boską pomocą wyślemy do ich praocjów!”

Trzeciego marca sędzia Ursus oznajmił, iż odrzuca podanie Edoufa jako nieuzasadnione.

— Jeżeli przy ocenie takiej lub innej okoliczności, która wpłynęła na moją decyzję odrzucenia pańskiej prośby, omyliłem się — oświadczył sędzia Ursus niezmiernie łagodnym głosem Edoufowi, wręczając mu na piśmie odrzucenie podania — jestem tylko człowiekiem! — to pozwalam sobie wyrazić pewność, że Sąd Najwyższy niezawodnie naprawi mój błąd.

Mówiąc to sędzia Ursus był pewien, że stanie się zupełnie inaczej. Najwyższy Sąd, do którego Edouf skierował swe podanie, bynajmniej nie śpieszył się z powzięciem decyzji.

Tymczasem odbyły się już wybory do instytucji samorządowych, których rezultat dostarczył niemało rozczarowań zarówno Primo Padrele, jak i jego politycznym zwolennikom. Już na trzeci dzień po zakończeniu procesu Padrele zrozumiał, że w jego planach i kalkulacjach istniał jakiś poważny błąd. Był zaskoczony reakcją, jaką u milionów prostych ludzi w całej Argentei wywołał los obydwóch skazanych. Padrele zawsze uważał naród Argentei za dość bezmyślne i pokorne stado ludzkie, żyjące jedynie własnymi małymi sprawami. Skąd wzięło się naraz w tych ludziach tak gorące poczucie sprawiedliwości?

Primo Padrele był człowiekiem niegłupim, doświadczony, znający się również na polityce, tak szczerze i głęboko pogardzał szerokimi masami ludowymi swego kraju, że w tej właśnie chwili, gdy fala powszechnego oburzenia groziła katastrofą wszystkich jego zamierzeń, szukał przyczyn tego nad wyraz przygnębiającego zjawiska w akcji wszelkiego rodzaju agitatorów i mącicieli, którym tym razem sprzyjało powodzenie.

Zdaniem Primo Padrele wszystkiemu był winien Korneliusz Edouf. Nie przychodziło mu do głowy, że szerokim masom ludowym nie jest obce poczucie sprawiedliwości społecznej ta myśl. Wydawała mu się równie nieprawdopodobna jak na przykład to, że ustrój kapitalistyczny nie jest wieczny.

Nie było w owych czasach w Argentei ani jednego człowieka choć trochę interesującego się polityką, którego nie obchodziłyby losy Popffa i Aneiro. Komuniści i lewicowi socjaliści, a także znaczna większość robotników zrzeszonych w związkach zawodowych, byli przekonani, że obydwaj skazani są niewinni. Umiarkowani socjaliści i liberałowie wstydliwie wyrażali pogląd, iż proces powinien być ponownie rozpatrzony dla „rozwiązania istniejących wątpliwości” — natomiast reakcyjniści z pianą na ustach domagali się wykonania wyroku na mordercach z Bakbuku.

Osiemnastu członków parlamentu i siedmiu senatorów wystąpiło w obydwóch Izbach z interpelacjami z powodu skandalicznego wyroku. Pomimo rozpaczliwego sprzeciwu konserwatywnej części parlamentu i senatu, po długich i burzliwych obradach, stworzono komisję w celu natychmiastowego i szczegółowego zbadania całej sprawy.

Ale konserwatywni posłowie i senatorowie wchodzący do tej komisji od razu zaczęli uprawiać obstrukcję. Przy każdej najbliższej okazji wygłaszali wielogodzinne mowy usiłując przynajmniej tą drogą zahamować prace komisji. W czasie wyboru przewodniczącego komisji każdy z ośmiu przedstawicieli partii konserwatywnej wygłosił przemówienie trwające przynajmniej sześć godzin. Jeden z nich mówił nawet dziewiętnaście i pół godziny. Mówił o wszystkim, co mu ślina na język przyniosła. Opowiadał anegdoty, deklamował wiersze, szczegółowo przytaczał rozmaite wspomnienia ze swego wczesnego dzieciństwa, a nawet śpiewał piosenki ludowe. Gdy wyczerpał wszystkie możliwości „obstrukcyjnego” natchnienia, wyciągnął z kieszeni mocno sfatygowany egzemplarz jakiegoś kryminalnego powieścidla i nie zatrzymał się, dopóki nie przeczytał od deski do deski.

Po sześciu dniach nie ustających dyskusji komisja nie zdołała nawet ustalić porządku dziennego. Było rzeczą aż nadto oczywistą, że konserwatyści nie pozwolą komisji spełnić powierzonej misji.

Tak się też stało.

Cała Argentea rozpadła się na trzy obozy — pisała „Trybuna Stołeczna” w numerze z dnia czternastego marca. — Jedni uważają doktora Popffa i Aneiro za niewinnych i cierpiących z powodu swych radykalnych poglądów. Inni wierzą w ich winę i twierdzą, że muszą ponieść karę. Wreszcie ci trzeci sądzą, że wszyscy agitatorzy komunizmu czy innego radykalnego programu winni być spaleni na stosie, podobnie jak palono czarownice. Nie należy wszakże lekceważyć poglądu tego trzeciego obozu, który w obecnych czasach odgrywa dość znaczną rolę w życiu publicznym.

Tymczasem w całej Argentei, w najodleglejszych nawet zakątkach kraju organizowano wiece i demonstracje protestacyjne. Istniały już nie setki, lecz tysiące „Obywatelskich Komitetów Obrony Popffa i Aneiro”. Fala powszechnego oburzenia przelała się poza granice kraju i ogarnęła cały świat. Jeden z największych współczesnych pisarzy przysłał do redakcji „Postępowa Argentea” telegram następującej treści: „Ratujcie Popffa i Aneiro! Ratujcie ich w imię własnego honoru, honoru waszych dzieci i przyszłych pokoleń!”

Paryski korespondent konserwatywnej „Trybuny Finansowej” donosił w depeszy z osiemnastego marca co następuje:

Panuje powszechne przekonanie, że dla zachowania międzynarodowego prestiżu Argentei byłaby wskazana interwencja odpowiednich czynników, mająca na celu zawieszenie wykonania wyroku na doktorze Popffie i Sancho Aneiro. Oburzenie, jakie wyrok ten wywołał w Europie, nasuwa przypuszczenie, że korzystniej byłoby zaniechać wykonania wyroku, nawet jeżeli są winni. Dziś dwanaście poważnych pism paryskich poświęca sprawie Popffa i Aneiro cztery razy więcej miejsca aniżeli niepowodzeniom międzynarodowej konferencji morskiej. Cała francuska prasa, od reakcyjnej aż do „L’Humanite”, żąda rewizji procesu. Prasa lewicowa twierdzi, iż dokonana została pomyłka sądowa, a prasa prawicowa radzi rządowi Argentei, by się powstrzymał od kroku, który miliony ludzi na świecie gotowe są potępić.

Dwudziestego szóstego marca z rana Sąd Najwyższy uznał, iż wyrok nad Popffem i Aneira wydany został zgodnie z literą prawa i dlatego musi być zachowany w mocy.

Tego samego dnia wieczorem do pokoju hotelu „Astoria” w Bakbuku, zajmowanego przez Korneliusza Edoufa, przyszły trzy osoby z miejscowego szpitala: doktor Astrolab, jego asystent i sanitariuszka.

— Czym mogę służyć? — zapytał ich Edouf.

— Wracam w tej chwili od spowiednika — powiedziała sanitariuszka.

Edouf spojrział na nią zdumiony.

— Byłam u spowiednika dlatego — mówiła jękając się raz po raz sanitariuszka — bo chciałam zapytać, jak powinien postępować człowiek, który przysiągł przestępcy, że zachowa w tajemnicy jego zbrodnię... Jak ma postąpić, gdy wie, że od ujawnienia tej tajemnicy zależy ocalenie niewinnego człowieka. Spowiednik powiedział mi, że przysięga mająca na celu ukrycie zbrodni nie może być uważana za świętą i że przestrzeganie podobnej przysięgi jest sprzeczne z zasadami moralności. Dlatego więc przyszedliśmy do pana.

Dwudziestego szóstego marca z rana, podczas zwykłego obchodu sal szpitalnych doktor Astrolab w obecności swego asystenta i starszej sanitariuszki zapytał Booco Sootha znajdującego się na drodze do zupełnego wyzdrowienia, czy jest mu wiadome, że Najwyższy Sąd zatwierdził wyrok śmierci wydany na Popffa i Aneiro.

Booco Sooth kiwnął głową i dodał:

— Tak, wczoraj jeszcze czytałem o tym w gazecie.

Wtedy doktor Astrolab zapytał go, czy uważa za słuszne, by dwoje niewinnych ludzi miało być straconych za zbrodnię, których nie popełnili.

Sooth zaniepokoił się, zaczął oglądać się na wszystkie strony i powiedział szeptem:

— Ciszej, na miły Bóg ciszej... jeszcze nas mogą usłyszeć.

— Dlaczego mi pan nie odpowiada na moje pytanie? — odparł doktor Astrolab.

— Przysięgaliście! Wszyscy przysięgaliście! — płaczącym głosem skamlał Booco Sooth. — Gdybym umarł, to co innego, ale przecież żyję.

— Więc jak to będzie? — nalegał doktor Astrolab.

— Musicie mi zwrócić ten papier... Jeżeli nie zwrócicie, powiem, że jest sfałszowany i że sami wymyśliliście to wszystko.

— Ale przecież pan sam domagał się, by zapisać pańskie zeznanie, że to nie Popff i Aneiro dokonali napadu na Manhama Beroime, ale pan! — podniósł głos doktor Astrolab, podczas gdy Booco Sooth w najwyższym przerażeniu spoglądał na pół otwarte drzwi jego separatki.

— Ciszej... i cóż z tego, że sam o to prosiłem., myślałem, że umieram... a skoro nie umarłem, nie jestem taki głupi, żeby się do tego przyznawać!

Na tym rozmowa doktora Astrolaba z Booco Soothem skończyła się. Znajdujący się za na pół otwartymi drzwiami przysięgły stenograf przyprorowadzony przez Korneliusza Edoufa zastenografował w obecności dwóch świadków całą tę rozmowę ex i początku do końca.

W godzinę później zeznanie złożone przez Booco Sootha w pierwszym dniu jego pobytu w szpitalu oraz stenogram ostatniej rozmowy wraz z nowym podaniem domagającym się rewizji procesu zostały wręczone przez Korneliusza Edoufa sędziemu Ursusowi.

Kopie tych niezwykle ważnych dokumentów zostały przesłane przedstawicielom prasy i po upływie niecałych trzech godzin we wszystkich miastach Argentei i całego świata ukazały się dodatki nadzwyczajne z pełnymi tekstami zeznania Booco Sootha i stenogramu. Niewinność Popffa i Aneiro była bezsporna.

Teraz dopiero wyjaśniły się wszystkie tajemnicze szczegóły. Teraz dopiero stało się zrozumiałe, dlaczego Booco Sooth znalazł na ulicy rannego Manhama Beroime, dlaczego spłonął dom, w którym mieszkał doktor Popff i dlaczego zdemolowano jego laboratorium.

Koniec marca i pierwsze dni kwietnia minęły w niecierpliwym oczekiwaniu nowej decyzji sędziego Ursusa. Powszechnie zdziwienie wywołał fakt, że Booco Sooth jeszcze nie jest aresztowany. Dwukrotnie odwiedził go wiecznie uśmiechnięty Pappula, przybyły z Battoga już jako prokurator. Poblężliwość wobec Sootha tłumaczono tym, że jest to bądź co bądź wciąż jeszcze człowiek chory, a humanitarne ustawodawstwo Argentei nie pozwala na aresztowanie chorego leżącego w łóżku. Wszakże czwartego kwietnia do bramy szpitalnej podjechał więzienny samochód i wkrótce dwaj policjanci wyprowadzili drżącego ze strachu Sootha, wpakowali go do samochodu i odjechali.

Szóstego kwietnia agencje telegraficzne rozesłały do wszystkich gazet komunikaty podpisane przez prokuratora Pappulę o aresztowaniu mieszkańca miasta Bakbuku, niejakiego Booco Sootha, oskarżonego o napad rabunkowy na pewnego podchmielonego kupca, dokonany przed czterema laty w mieście Joujar.

Istotnie, w rejestrze wyczynów Booco Sootha figurował i ten grzech. W swoim czasie był sądzony, ale uniewinniono go z powodu braku podstaw. Dopiero w ostatnich dniach ujawniono niezbite dowody winy, które w sposób dość zagadkowy znalazły się na biurku prokuratora Pappuli.

Prokurator bez trudu przekonał Booco Sootha, że lepiej będzie dla niego, gdy stanie przed sądem za napad na pijanego kupca aniżeli za zabójstwo. Było to korzystniejsze z tego względu, że ósmego kwietnia sędzia Ursus powtórnie odmówił rewizji procesu.

Sędzia Ursus motywował odmowę w sposób następujący, dokumenty złożone przez Korneliusza Edoufa nie mają znaczenia, gdyż zeznania złożone przez kryminalnych przestępców, a takim właśnie jest Booco Sooth, nie zasługują na wiarę. Tym bardziej że szpitalne zeznanie Booco Sootha miało być jakoby podpisane lewą ręką, co nie odpowiada wymogom prawnym, a poza tym nie było w należytych czasie uwierzytelnione przez powołane do tego władze.

Zbadany przez prokuratora Pappulę, Booco Sooth na dobitek kategorycznie i pod przysięgą zaprzecza jakiegokolwiek udziału w napadzie na Manhama Beroime. O złożonym zaś jakoby przez niego oświadczeniu — nic nie wie.

W godzinach popołudniowych ósmego kwietnia cały świat z przerażeniem dowiedział się o nowej decyzji sędziego Ursusa. Szeregi demonstrantów ruszyły w kierunku ambasad i konsulatów Argentei domagając się cofnięcia wyroku sądu w Bakbuku, które jest jawnym mordem prawnym.

Dziewiątego kwietnia w południe na wezwanie Federacji Związków Zawodowych w Argentei rozpoczął się strajk powszechny.

Rozdział dwudziesty ósmy

w którym jest mowa o tym, w jakim celu wdowa Gargo i Tomaso wyjechali do Miasta Wielkich Żab i co tam zobaczyli w czasie powszechnego strajku

Siódmego marca Tomaso Magaraf w stanie ogromnego wzburzenia przybył do Bakbuku. Przerzucając gazety, jakie zabrał ze sobą na drogę, Tomaso znalazł stenogram „ostatniego słowa” doktora Popffa, przy czym trafił na nazwisko dyrektora „Wzorowego Domu Wychowawczego”. Pan Alfred Vanderhunt wzbudzał zawsze w Magarafie, podobnie zresztą jak i we wszystkich ludziach, którzy mieli z nim do czynienia, jakieś nieokreślone, ale zdecydowanie przykre wrażenie. Wiadomość, że doktor Popff oskarża niejakiego Alfreda Vanderhunta o przywłaszczenie sobie tajemnicy „Eliksiru Bereniki” zrobiła ogromne wrażenie na Magarafie i jeszcze bardziej pogłębiła uczucie antypatii do jego niedawnego przełożonego. Magaraf owi jednak nawet teraz trudno było wyobrazić sobie, że to on przed dwoma zaledwie miesiącami pomagał Vanderhuntowi w realizowaniu wynalazku doktora Popffa dla tak występnych celów.

Magaraf ulokowały się w niedrogim hotelu, niezwłocznie odszukał „Komitet Obrony Popffa i Sancho Aneiro”, gdzie otrzymał adresy żon obydwóch skazanych, i udał się do nich, by wręczyć im listy od „Komitetu Obrony w Pelepie”.

Berenika dowiedziawszy się, kto jest oddawcą tego wzruszającego listu, jednego z wielu, jakie otrzymywała ona i żona Aneiro, rozplakała się. Zapytała go jak długo zamierza pozostać w Bakbuku. Magaraf odpowiedział, że nie wyjedzie dopóki jej mąż nie odzyska wolności. Później nieco zmieszał się, zaczerwienił i zapytał, czy mógłby jej służyć pomocą pieniężną — w ciągu ostatnich dwóch miesięcy zarobił sporo. Berenika podziękowała oświadczając, iż ani ona, ani żona Aneiro nie odczuwają żadnych braków, gdyż ze wszystkich zakątków świata przychodzą dla nich przekazy pieniężne. One same nie potrzebują tak wiele, toteż lwią część oddają „Centralnemu Komitetowi Obrony”.

— Nawet za mieszkanie nic nie płacę. Ot, jak pan widzi, moi sąsiedzi i serdeczni przyjaciele goszczą mnie u siebie.

Małżonkowie Bamboli, obecni przy tej rozmowie, zmieszała się, a pani aptekarzowa uczuła tak nagłą potrzebę uronienia kilku łez, że wybiegła czym prędzej z pokoju nie pożegnawszy się nawet z przybyłym.

Od Bereniki Magaraf wrócił do „Komitetu Obrony” i oddał się całkowicie na jego usługi.

— Doktorowi Popffowi jestem winien więcej aniżeli życie — oświadczył. — Niczego nie pragnę, jak tylko tego, by został ocalony.

W tym samym czasie do komitetu wpadł na chwilkę Korneliusz Edouf. Poznali się. Edouf spojrzął na Magaraf a i uśmiechnął się do niego, jak gdyby znał go od dawna.

— A więc to taki jesteś, mój przyjacielu, bardzo zabawny proces miałeś. Sam Wells* nie wymyśliłby nic podobnego. Ma pan zamiar długo tu zostać?

Edouf posiadał rzadką i niezmiernie cenną właściwość poznawania się na ludziach od pierwszego wejrzenia. Magaraf zrobił na nim wrażenie człowieka szczerego, przyzwoitego i dość rozgarniętego.

— A wie pan co — rzekł Edouf po pewnej chwili, jak gdyby Olśniony nieoczekiwanym pomysłem — niech pan przeprowadzi się do mojego pokoju. Jest ogromny. Doskonale się zmieścimy. Wypadnie taniej, a mnie będzie weselej i przyjemniej. Ważne jest również i to — tu zniżył cokolwiek głos — że przynajmniej podczas mojej nieobecności przestaną mnie odwiedzać rozmaici nieproszeni goście. Wystarczy, bym na godzinę wyszedł, a różni nacijniercy ciekawo dżentelmeni myszkują w moim pokoju, przerzucają wszystkie papiery, czegoś szukają, coś fotografują i tak dalej. Niechże więc pan przeniesie swe rzeczy do mojego pokoju. Spłątamy figła tym panom. Inaczej gotowi nie tylko ściągnąć jakiś potrzebny dokument, ale, co gorsza, mogą podrzucić coś bardzo przykrego. To przecież ulubiony sposób tych panów przy dokonywaniu wszelkich rewizji.

Magaraf nie zastanawiając się długo przyjął propozycję Edoufa.

Dopiero późną nocą, przed samym udaniem się na spoczynek Magaraf postanowił zwierzyć się Edoufowi ze wszystkich wątpliwości, które nosił w sobie. Opowiedział o tym, jak został zaproszony w charakterze instruktora strzeleckiego do „Wzorowego Domu Wychowawczego dla Sierot”, jak spędził tam dwa miesiące i co tam widział. Przyznał się przy tym, że wprawdzie zobowiązał się do zachowania w tajemnicy tego wszystkiego i że nie wyznałby jej nawet jemu, Korneliuszowi Edoufowi, gdyby nie to, że w ostatnim słowie doktora Popffa zostało wspomniane nazwisko Vanderhunta.

— Bo dyrektor tego „Wzorowego Domu dla Sierot” również nazywał się Vanderhunt. Alfred Vanderhunt. A może to jest ten sam, o którym mówił doktor Popff.

* Wells Herbert George (1866–1946) — pisarz angielski, autor wielu powieści fantastycznych.

Edouf zerwał się, jak gdyby przebiegł go elektryczny prąd. Odrzucił kołdrę, usiadł na brzegu łóżka, zwiesił swe silne gołe nogi człowieka zaprawionego w sportach i spojrzął na Magarald, jak gdyby dopiero teraz po raz pierwszy go zobaczył.

— Zaraz, zaraz! — mówił sam do siebie i z ogromnym pośpiechem zaczął wciągać spodnie.

Gdy zegar na wieży wybił jedenastą, Edouf był już ubrany i sznurował pantofle. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że jest za późno, by udać się gdziekolwiek. Przestał się więc ubierać, usiadł na kanapce, posadził Magarafa obok siebie i zaczął rozpytywać go o wszystkie szczegóły dotyczące „Wzorowego Domu dla Sierot” i o Alfreda Vanderhunta.

— Ano trudno — przemówił wreszcie ziewając, gdy wydobył od Magarafa wszystko, czego potrzebował. — Niech na razie leczy swoich kretynów.

Następnego dnia Magaraf zabrał się do roboty w miejscowym „Komitecie Obrony”. Został czymś w rodzaju dobrowolnego sekretarza Edoufa i spełniał najróżnorodniejsze jego zlecenia. Wstawał bardzo wcześnie. Kładł się po północy. Przemawiał na zgromadzeniach, udzielał wywiadów setkom reporterów, którzy pojeżdżali się w owym czasie do Bakbuku — no i bacznie strzegł papierów swojego szefa przed nadmierną ciekawością niepowołanych „dżentelmenów”.

Pochłonięty codziennymi zajęciami i bieganiną Magaraf coraz rzadziej wspominał o istnieniu „Wzorowego Domu Wychowawczego”, później zaś niemal całkowicie zapomniał o nim. Dopiero pewne nieoczekiwane zdarzenie kazało mu znów zrekonstruować w pamięci niemal każdy dzień spędzony w zakładzie kierowanym przez Alfreda Vanderhunta i doktora Midruba.

Stało się to pewnego pochmurnego, marcowego poranka. Zredagowana została odezwa do kobiet Argentei i całego świata Pierwsze podpisy pod tym apelem miały położyć Berenika i żona Sancho Aneiro. Gdy apel był już ostatecznie zredagowany i przepisany na czysto, Magaraf pojechał po Berenikę. Od aptekarza Bambolego dowiedział się jednak, że pani Popff wyszła z domu, by odwiedzić wdowę Gargo, która w ostatnich czasach zaczęła niedomagać.

Wobec tego Magaraf udał się do wdowy Gargo. Widział ją przedtem parę razy, ale przelotnie. To, co o niej słyszał od Bereniki, a zwłaszcza to, że nosiła takie samo nazwisko jak jego ulubieniec w zakładzie, mimo woli wzbudzało w nim przyjazne uczucie do tej skromnej i małomównej kobiety.

Miał zamiar serdecznie ją powitać, zapytać, jak się czuje, i porozmawiać o ostatnich nowinkach w Komitecie — ale to, co rzuciło mu się w oczy, gdy przekroczył próg pokoju, odebrało mu po prostu mowę: ze złożonych ram fotografii wiszącej na ścianie patrzyło na niego najwierniejsze

odbicie jego przyjaciela — Pedro. Tak, to był Pedro! Ale tym razem nie miał na sobie tego idiotycznego zakładowego kombinezonu, lecz normalne, nieźle uszyte ubranie. Wyraz twarzy być może poważniejszy i bardziej myślący.

Magaraf był tak dalece zaskoczony, że nawet zapomniał przywitać się.

— Kto to jest? — zapytał zwracając się do obydwóch kobiet naraz. — Czyj to portret?

— Gdybym pana nie znała, musiałabym powiedzieć, że jest pan bardzo źle wychowany — odezwała się żartobliwie Berenika.

— Przepraszam, strasznie przepraszam! — zmieszał się Magaraf. — Dzień dobry pani doktorowej, dzień dobry pani Gargo. Jak się pani miewa?

— Dziękuję panu. To jest portret mojego nieboszczyka męża.

— Nieboszczyka męża pani — powtarzał machinalnie Magaraf nie przestając patrzeć na fotografię. — Ach tak, pani męża.

Zauważył, że oczy wdowy Gargo wypełniły się łzami i dlatego przerwał dalsze pytania.

— Niech mi pani wybaczy, że wdzieram się do jej domu nie proszony, ale przyjechałem po panią doktorową.

Magaraf i Berenika wkrótce opuścili mieszkanie wdowy Gargo. Gdy samochód ruszył z miejsca, Magaraf nie zwlekając zasypał Berenikę pytaniami.

— Czy ta kobieta jest zupełnie samotna? — Czy nie ma żadnej rodziny?

Berenika kiwnęła głową potwierdzająco.

— Czy nigdy nie miała dzieci?

— Ach, to bardzo smutna historia. Jeszcze przed kilkoma miesiącami miała dwóch synów, ale przed ubiegłym Bożym Narodzeniem...

Berenika opowiedziała Magarafowi znaną już naszym czytelnikom historię podróży wdowy Gargo do miasteczka Lomm, gdzie znajdował się „Wzorowy Dom Wychowawczy dla Sierot”, przy czym nie zapomniała wspomnieć o tej dziwnej halucynacji, która przywidziała się biednej wdowie, gdy zatrzymała się na chwilę przy żelaznych sztachetach zakładu.

Magaraf czuł, że za chwilę po tym wszystkim, ca usłyszał, zemdleje. Zbladł, czoło pokryło mu się zimnym potem, ręka, gdy sięgnął po chustkę, drżała.

— Co się z panem dzieje? — zaniepokoiła się Berenika. — Pan jest chory?

Magaraf coś tam mówił o grypie. Natomiast gdy spotkał w komitecie Korneliusza Edoufa, nie mógł już odkładać rozmowy na później. Poprosił Edoufa, by niezwłocznie udzielił mu piętnastu minut dla niezmiernie ważnej rozmowy.

Obydwaj przeszli do sąsiedniego, pustego pokoju.

— Za chwilę opowiem panu coś takiego, że pan zapewne będzie chciał natychmiast odesłać mnie do szpitala wariatów — zaczął Magaraf ogromnie wzburzony.

— Doskonały wstęp — uśmiechnął się Edouf — niechże pan mówi dalej. Zaintrygował mnie pan.

— Czy pan zna panią Gargo?

— Znam — odpowiedział adwokat. — To bardzo zacna osoba.

— Czy pan wie o tym, że w początkach stycznia pani Gargo wyjeżdżała z Bakbuku, aby odwiedzić grób swojego młodszego syna?

— Opowiadała mi o tym pani Popff. Zdaje się, że przytrafiła się jej jakaś tragiczna historia zakończona niemal halucynacjami.

— Słusznie. A czy pan wie, jak się nazywał zakład, w którym znalazła mogiłę swego syna?

— Nie wiem. A czy to ma jakieś znaczenie?

— Szanowny panie Korneliuszu Edouf — mówił Magaraf drżącym głosem. — To, co pan za chwilę usłyszysz, zakrawa na jakieś diabelskie igraszki. Ten zakład nazywał się „Wzorowy Dom Wychowawczy dla Sierot”!

— Ach tak! — zawołał po chwili Edouf. — Zabawne, bardzo zabawne...

— To jest okropne! — poprawił go Magaraf. — Chodzi o to, że w styczniu pani Gargo płakała na mogile swego syna Pedro, a czwartego marca opuszczając zakład ja zegnałem się z żywym Pedrem Gargo!

— Zaraz, zaraz! — zerwał się Korneliusz Edouf. — A może tam byli dwaj chłopcy o jednakowych imionach i nazwiskach. Gargo to przecież bardzo rozpowszechnione nazwisko.

— Byłem dziś z rana w mieszkaniu pani Gargo. Widziałem na ścianie portret jej nieboszczyka męża, ale sądziłem, że to jest portret mojego znajomego chłopca z zakładu. Poza tym Pedro Gargo opowiadał mi, że do niego przychodziła kiedyś jego matka i że później położyła się za parkanem. Może chciał przez to powiedzieć, że zemdląca za sztachetami.

— Nic z tego wszystkiego nie rozumiem — zawołał Edouf. — Rozważmy spokojnie. Przypuśćmy, że sprawy mają się tak, jak pan opowiada. Cóż by zależało zarządowi zakładu na tym, by tak okrutnie oszukać kobiety? Powody musiały być ogromnie ważne.

— Ja też niewiele z tego rozumiem. Ale może klucz do odgadnięcia tej tajemnicy leży w tym, że młodszy syn pani Gargo nie ma jeszcze pięciu lat, a wygląda co najmniej na dwudziestoletniego dryblasa. Może wszystko polega na tym, że pan Vanderhunt nie mógł pokazać matce syna, który w przeciągu kilku miesięcy urósł tak bardzo...

— Zaczynam coś rozumieć — zawołał blednąc Korneliusz Edouf.

— Wszyscy wychowankowie tego zakładu robili na mnie dość dziwne wrażenie — mówił dalej Magaraf. — Z daleka wyglądali jak dorośli mężczyźni i dorosłe dziewczęta, a z bliska widziało się zupełnie dziecinne twarze, dziecinne ruchy i słyszało się typowo dziecięcą mowę. Doktor Midrub zapewniał mnie, że to są kretyni, ale teraz dopiero zaczynam rozumieć, że jeżeli ktoś był kretynem w tym „Wzorowym Wychowawczym Domu”, to byłem nim ja sam,

— Zaraz, niech pan zaczeka — przerwał mu Edouf. — Musimy jeszcze zrozumieć, dlaczego zarząd zakładu zawczasu nie przewidział jakiegoś innego wyjaśnienia.

— Zapewniam pana, że tym kretynem byłem ja! — upierał się Magaraf ocierając czoło zroszone potem. — A ci wychowankowie tak samo nie są kretynami, jak nie są dziećmi bogatych rodziców. To są sieroty i właśnie dlatego można było z nimi bezkarnie robić, co się komu podobało. Przypadkowo znalazł się wśród nich chłopiec, który ma matkę. Pan Vanderhunt zastrzykuje swoim wychowankom „Eliksir Bereniki” i dopiero później, gdy już trudno było naprawić to, co się stało, otrzymał list od pani Gargo, w którym zawiadomiła go o chęci odwiedzenia swego syna. Cóż więc pozostawało innemu panu Vanderhuntowi? Musiał skłamać, że syn pani Gargo zmarł.

Strasliwe odkrycie poczynione przez Magarafa musiało być na razie zachowane w najściślejszej tajemnicy. Trzeba było za wszelką cenę zapobiec temu, by Vanderhunt dowiedział się o wszystkim. Trzeba było go złapać na gorącym uczynku, a po to trzeba było działać ostrożnie i z zachowaniem największej tajemnicy.

— Korneliusz Edouf strawił całą noc na sporządzaniu szczegółowego raportu skierowanego do naczelnego prokuratora republiki. Fakty przedstawione w tym raporcie były tak niezbite, że żaden prokurator nie przystąpiłby do rozpatrywania zawartych w tym raporcie oskarżeń bez oparcia się o zeznania wiarygodnych świadków. O urzędowym potwierdzeniu tych sensacyjnych zeznań na

razie nie można było nawet marzyć, gdyż tajemnica mogła być ujawniona przedwcześnie, a wtedy wszystko by przepadło. Nie można też było ręczyć za to, że wdowa Gargo dowiedziawszy się o tym, że jej syn żyje, nie zdradziłaby tej tajemnicy jakimś nieostrożnym słowem.

Chodziło przecież o to, że ujawnienie potwornej działalności Vanderhunta rzuciłoby snop światła na sprawę Popffa i Sancho Aneiro. Doktor Popff opowiadał Edoufowi o odwiedzinach Syndiraka Cphardei i czynionych przez niego propozycjach.

Naradziwszy się więc z Magarafem Edouf uznał, iż najbardziej wskazane będzie, jeżeli uda się wraz z Magarafem i wdową Gargo do Miasta Wielkich Żab i tam, wręczając swój raport naczelnemu prokuratorowi, jednocześnie przedłoży zeznania złożone przez Magarafa i wdowę Gargo. Dla zachowania całkowitej tajemnicy postanowiono, iż cel podróży wyjaśni się wdowie Gargo dopiero po przybyciu do stolicy.

Ta znamienita rozmowa Edoufa z Magarafem odbyła się w nocy z dwudziestego trzeciego na dwudziesty czwarty marca. Dwudziestego szóstego marca, jak już wiemy, Najwyższy Sąd zatwierdził wyrok wydany przez sędziego Ursusa. Wieczorem tego samego dnia doktor Astrolab i jego współpracownicy przynieśli Edoufowi kopertę zawierającą zeznania Booco Sootha.

Dwudziestego siódmego Edouf złożył powtórne odwołanie na ręce sędziego Ursusa, załączając obydwie znane nam już dokumenty. Nie można było wyjeżdżać teraz z Bakbuku, zanim sędzia nie cofnie wyroku, a nikt nie mógł sobie wyobrazić, zwłaszcza sam Korneliusz Edouf, że tym razem sąd nie uwzględni tak przekonywujących dowodów niewinności obydwóch skazanych.

Wieczorem ósmego kwietnia sędzia Ursus wydał swe powtórne orzeczenie, a o godzinie wpół do dwunastej w nocy Korneliusz Edouf wraz z Magarafem i wdową Gargo wyjechali do Miasta Wielkich Żab, by osobiście złożyć przewodniczącemu Najwyższego Sądu skargę na bezprzykładny upór sędziego Ursusa, a dopiero potem zająć się sprawą „Wzorowego Domu”.

Dziesięć godzin podróży minęło bez przeszkód. W południe dziewiątego kwietnia wzdłuż wagonów pociągu przeszedł główny konduktor wraz z maszynistą i oświadczył pasażerom, że pociąg dalej nie pójdzie, gdyż rozpoczął się powszechny strajk. Ruch pociągów zostanie wznowiony dopiero wtedy, gdy doktor Stephen Popff i Sancho Aneiro znajdą się na wolności.

Stało się to na maleńkiej stacyjce noszącej dość zabawną nazwę „Ślicznotka”.

— Jestem Korneliusz Edouf — powiedział adwokat głównemu konduktorowi. — Proszę mnie zaprowadzić do waszego komitetu strajkowego.

Po dziesięciu minutach z brudnego peronu stacji „Ślicznotka” przepełnionego wystraszonymi pasażerami odszedł w kierunku Miasta Wielkich Żab parowóz. Na żelaznych bokach lokomotywy widniały pośpiesznie przygotowane transparenty z napisami: „Żądamy niezwłocznego uwolnienia Popffa i Sancho Aneiro!”

Wbrew wszystkim przepisom kolejowym w kabinie maszynisty znajdowały się trzy postronne osoby: adwokat Korneliusz Edouf, Tomaso Magaraf i wdowa Gargo.

Droga była wolna, lokomotywa bez zatrzymywania się pędziła do Miasta Wielkich Żab. O godzinie siódmej wieczór z minutami samotna lokomotywa zatrzymała się przy bezludnych peronach Wschodniego Dworca.

Jedyni trzej pasażerowie przywiezieni dziewiątego kwietnia przez kolejarzy Argentei do Miasta Wielkich Żab wyszli przez dworzec otoczony pikietującymi kolejarzami na przyległy plac.

Był to ciepły, choć chmurny nieco i wilgotny wieczór wczesnej wiosny w Argentei. Na ulicach było gwarno i tłumnio. Nie był to jednak ów zwykły gwar miejski, którym zazwyczaj witała przyjeżdżających wielomilionowa stolica Argentei. Kolej podziemna, tramwaje, autobusy, trolejbusy i taksówki nie funkcjonowały i dlatego gwar raczej przypominał jakąś wielką ludową zabawę. Zewsząd zmierzały do centrum miasta szeregi demonstrantów.

Po raz pierwszy w okresie ostatnich dziesięciu lat ogromne miasto było pozbawione południowych gazet. Wszystkie drukarnie strajkowały prócz jednej, w której drukowano biuletyn „Centralnego Komitetu Strajkowego”. Nie działało również ani radio, ani telegraf i poczta. Co dwie godziny podawano jedynie przez głośniki piętnastominutowy komunikat radiowy obywatelom Argentei o przebiegu strajku, o pertraktacjach z rządem, dla informowania zaś zagranicą przyjmowano jedynie radiotelegramy korespondentów zagranicznych.

Po mieście jeździły otwarte granatowe samochody, w których po obu stronach siedzieli sztywni i niewzruszeni jak ołowiani żołnierze policjanci, uzbrojeni od stóp do głów. Pomimo iż na ulice miasta wyległy trzy czwarte ludności, porządek nigdzie nie był zakłócony. Nie było to jednak zasługą policji, która raczej interesowała się przebiegiem wypadków. Porządek utrzymywały pikiety robotników, szybko i energicznie likwidujące akty prowokacji.

Kolumny demonstrantów szły w kierunku. Starego Placu Sprawiedliwości, gdzie za drzewami rozkwitającymi na wiosnę pierwszą zielenią widniały masywne budynki Ministerstwa Sprawiedliwości, Sądu Najwyższego i Naczelnej Prokuratury.

Stamtąd demonstranci skierowali się główną ulicą miasta do pałacu prezydenta, położonego w głębi obszernego placu imienia Generała Zooba. Od tego placu do mieszkania Korneliusza Edoufa było zaledwie parę minut drogi. Nasi trzej podróżni przyłączyli się do demonstrantów i z walizkami w rękach, zmęczeni podróżą, lecz podnieceni szli dalej, przejęci ogromem manifestacji powszechnego gniewu i oburzenia.

Wraz z maszerującymi wołali: „Wolność dla Popffa i Aneiro! Wolność dla Popffa i Aneiro!” Śpiewali pieśni, z którymi niegdyś przodkowie szli w bój o wolność i niepodległość, w młodej podówczas jeszcze, ubogiej, lecz miłującej wolność Argentei. Wraz z innymi wołali: „Hura!” w odpowiedzi na hasła, jakie przywódcy „Centralnego Komitetu Strajkowego” rzucali z balkonów maszerującym tłumom.

Minęli w ten sposób kilka bloków, gdy w rosnącym człowieku z walizką w ręce ktoś poznał znakomitego Korneliusza Edoufa.

— Niech żyje Korneliusz Edouf! Niech żyje obrońca ludu!

Uniesiono go w górę i wysunięto na czoło kolumny, Magaraf i wdowa Gargo pośpieszyli za nim.

Plac Sprawiedliwości był otoczony gęstym kordonem policji. Kolumna zatrzymywała się. Przez pierścień policyjny przepuszczano tylko delegacje demonstrantów oraz adwokata Edoufa, który okazał komisarzowi policji raport przywieziony celem wręczenia go przewodniczącemu Sądu Najwyższego.

Delegaci zostali przyjęci przez drugorzędnego urzędnika wylęknionego niezwykle, a jednocześnie dość bezczelnego. Oświadczył przybyłym, że ani przewodniczącego, ani członków Sądu Najwyższego nie ma, że wyjechali gdzieś, zdaje się na jakieś posiedzenie i że on nie jest upoważniony do przyjmowania jakichkolwiek delegacji.

Przybyli chcieli złożyć na jego ręce dla przekazania przewodniczącemu Sądu Najwyższego rezolucję uchwaloną na zgromadzeniu, jednakże urzędnik odmówił przyjęcia. Wtedy zagrożono mu, iż nazwisko jego będzie niezwłocznie podane przez radio do wiadomości obywateli całego kraju, a on chyba nie pragnie podobnego rozgłosu. Wtedy po namyśle urzędnik przyjął wręczoną mu rezolucję.

Pochód skierował się na plac Generała Zooba, który również był otoczony, lecz tym razem nie przez policję, lecz przez oddziały wojska. Policja zatrzymała pochód na skrzyżowaniu alei

Świętego Piotra, która biegła dokoła placu. Wzdłuż alei powoli sunęły granatowe policyjne samochody.

Rokowania o przepuszczenie delegatów do pałacu prezydenta trwały bardzo długo. Najwidoczniej chciano zmęczyć i wyczerpać demonstrujących, ale nikt nawet nie pomyślał o tym, aby opuścić plac. Edouf zauważywszy, iż wdowa Gargo niemal pada z nóg ze zmęczenia, dał jej klucz do swego mieszkania znajdującego się niezbyt daleko i polecił, by tam wypoczęła — Magaraf miał towarzyszyć wdowie Gargo.

Szli wzdłuż alei Świętego Piotra. Obok nich niemal bezdźwięcznie sunęły granatowe samochody wypełnione policjantami, ale ani Magaraf, ani wdowa Gargo nie chcieli patrzeć na nich. Odwracali głowy od jezdni i szli zmęczeni, z utęsknieniem myśląc o wypoczynku.

Naraz z jezdni rozległ się donośny głos:

— Mamo! Patrz, jaki mam piękny karabin!

Wdowa Gargo słyszała już kiedyś ten głos. Magaraf również przystanął. Odwrócili się oboje i zobaczyli szybko mijający ich granatowy samochód. Stał w nim wymachując błyszczącym, nowiutkim karabinkiem Pedro Gargo ubrany w nowiuteńki mundur policjanta. Obok niego, tak samo uzbrojony i ubrany stał barczysty i rumiany blondyn, w którym Magaraf poznał Mina Ashrey.

Oni też zauważyli Magarafa i głośno wołali do niego:

— Wujku! Wujku! Patrz, jakie mamy piękne karabiny!

Ktoś przemocą posadził ich, a samochód zwiększając szybkość znikł na zakręcie.

Usiłując panować nad sobą Magarafa odwrócił się i spojrzał na wdowę Gargo. Nieszczęśliwa kobieta kurczowo trzymała się jego ramienia. Na jej twarzy malował się nieopisany strach.

— Zdaje się, że zwariowałam! — szeptała do Magarafa i jak wtedy przy sztachetach „Wzorowego Domu Wychowawczego” upadła zemdlna.

Usłużni przechodnie pomogli Magarafowi przenieść ją do apteki, gdzie po pewnym czasie doprowadzono ją do przytomności, a następnie karetką pogotowia przewieziono do mieszkania Edoufa.

Edouf wrócił do domu dopiero o jedenastej. Magarafowi udało się uspokoić wstrząśniętą kobietę i przekonać, że to, co widziała — a znów twierdziła, że widziała swego nieboszczyka męża — było jedynie wytworem jej chorej wyobraźni.

Gdy wreszcie wdowa Gargo zasnęła, Edouf opowiedział o wynikach audiencji u prezydenta. Prezydent przyjął delegację bardzo uprzejmie a nawet serdecznie, ale odmówił swej pomocy w sprawie skasowania wyroku sędziego z Bakbuku, motywując swą odmową tym, że konstytucja Argentei nie pozwala wpływać na wymiar sprawiedliwości, że sądy w Argentei są niezawisłe, z czego Argentea jest szczególnie dumna.

Następnie Magaraf opowiedział Edoufowi o spotkaniu w alei Świętego Piotra z dwoma byłymi swoimi wychowankami przybranymi w mundury policyjne i uzbrojonymi w karabiny.

Było rzeczą oczywistą, że Alfred Vanderhunt, kontynuując swe doświadczenia, wytrenował kilku swoich wychowanków dla służby policyjnej. Należało czym prędzej przedsięwziąć energiczne kroki. Zadanie było teraz znacznie trudniejsze: walczący o uwolnienie Popffa i Aneiro prócz Vanderhunta mieli przeciwko sobie zmobilizowaną policję Argentei.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

*w którym jest mowa o tym, jak rząd Argentei z bólem musiał
przekonać się o sile jedności ludu pracującego, a Tomaso Magaraf
powtórnie odwiedza „Wzorowy Dom Wychowawczy dla Sierot”*

Minęły jeszcze cztery dni, strajk powszechny trwał z nie słabnącą siłą, a jednak przewodniczący Sądu Najwyższego nie okazywał żadnego pośpiechu. W całym kraju bez przerwy odbywały się wiece i demonstracje.

Reakcja usiłowała pokazać swoje pazury. Co prawda zakaz odbywania zebrań nie został wydany, ale wszystkie wielkie sale, w których od dawna odbywały się zebrania, dzięki jakiemś dziwnemu zbiegowi okoliczności były zakontraktowane dla popisów orkiestr wojskowych oraz różnych towarzystw śpiewaczych i na szereg tygodni zajęte przez organizacje wojskowe. Wobec tego zaczęto zwoływać zebrania pod gołym niebem, na placach i skwerach. Wkrótce jednak okazało się, że godziny zebrań zbiegają się z... ćwiczeniami straży ogniowej i dlatego dostęp publiczności na przeciąg kilku godzin był tam wzbroniony.

Nie było wprawdzie rozporządzeń znoszących swobodę słowa, ale w Battoga policja aresztowała pewnego mówcę za to, że na publicznym zgromadzeniu odczytał kilka artykułów konstytucji.

Wolność prasy nie była wprawdzie zniesiona, ale do drukarni, w której drukowano biuletyn „Centralnego Komitetu Strajkowego”, przyszedł sekwestратор i nałożył areszt na posiadane zapasy papieru, jakoby za niezapłacenie przez właściciela podatków za ubiegły rok. Co prawda udowodniono, że podatki były zapłacone. Okazano wszystkie kwity, ale wyjaśnienie tego wszystkiego zabrało bardzo wiele czasu i trzeba było gdzie indziej zapewnić sobie możliwość zdobycia papieru. Zdarzało się również, że jacyś nieznani sprawcy rozpoczynali bójki z pikietującymi robotnikami. W niektórych miejscowościach użyto przeciwko demonstrantom łzawiących gazów, a w kilkunastu miastach policja aresztowała przywódców komitetów strajkowych.

Jedenasteo kwietnia wieczorem „Centralny Komitet Strajkowy” ogłosił przez radio, że jeżeli nie będzie położony kres wykroczeniom przeciwko gwarantowanym przez konstytucję swobodom

obywatelskim, komitet unieruchomi wszystkie elektrownie w całym kraju. Groźba ta podziałała. Jednak Sąd Najwyższy w dalszym ciągu nie dawał znaku życia o sobie.

Trzynastego kwietnia Międzynarodowa Federacja Marynarzy Floty Handlowej oraz Robotników Portowych postanowiła przerwać wyładunek okrętów przybywających z Argentei oraz ładunek tych, które miały opuścić porty. Właścicielom wielkich okrętowych linii zaczęło grozić poważne niebezpieczeństwo. Groźba ogromnych strat, a niekiedy nawet i bankructwa zawisła jak czarna chmura nad potężnymi przedsiębiorstwami zajmującymi się eksportem i importem. W portach gniły setki tysięcy ton produktów, dla których zabrakło miejsca w szczelnie wypełnionych chłodniach. Kończyły się zapasy mięsa, cukru i mąki w większości miast. Ogromne zużycie benzyny przez oddziały wojska i policję poważnie zaważyły na komunikacji w miastach i pomiędzy miastami. Unieruchomienie kolei, wszelkich przedsiębiorstw przewozowych i żeglugi przynosiło codziennie wielomilionowe straty.

Ponadto zbliżał się dzień powszechnych wyborów. Każdy następny dzień powszechnego strajku umacniał ludność Argentei, a zwłaszcza jego masy pracujące w woli wytrwania, podnosił popularność Frontu Ludowego.

Primo Padrele najwyraźniej przerachował się. Trzeba było czym prędzej, dopóki nie było za późno, ratować sytuację i wydrzeć Frontowi Ludowemu atut, jakim był ów nieszczęsny wyrok na doktora Popffa i Sancho Aneiro. Czternastego kwietnia prezydent republiki ulegając naciskowi Związku Przemysłowców i Hurtowników zwołał w swojej rezydencji po kolei dwie tajne konferencje.

Piętnastego kwietnia w godzinach rannych odbyła się trzecia konferencja, tym razem niezmiernie burzliwa. Trwała z górą dwie godziny.

Tego samego dnia około godziny drugiej po południu przewodniczący Sądu Najwyższego wezwał do siebie adwokata Korneliusza Edoufa i oznajmił mu, iż po dokładnym zapoznaniu się z całą sprawą, doszedł do wniosku, iż dokumenty, jakie obrona złożyła przy powtórnej apelacji, zasługują na zbadanie. Dlatego też polecił sędziemu Ursusowi rozpatrzyć sprawę w nowym składzie przysięgłych, poprzedni zaś wyrok zostaje anulowany.

Przewodniczący Sądu Najwyższego prosił jednocześnie obrońcę Korneliusza Edoufa, by „Centralny Komitet Strajkowy” został powiadomiony o powyższej decyzji.

Korneliusz Edouf podziękował przewodniczącemu Sądu Najwyższego za zaszczyt, jaki go spotkał, dodał wszakże z ubolewaniem, iż nie posiada żadnych pełnomocnictw dla przekazania komukolwiek tak doniosłej decyzji Sądu Najwyższego uosabiającego sprawiedliwość Argentei.

Wtedy przewodniczący Sądu Najwyższego, którego o mało nie trafiła apopleksja ze złości, polecił wezwać przewodniczącego „Centralnego Komitetu Strajkowego”. Okazało się jednak, że przewodniczący jest bardzo zajęty i zamiast niego zjawił się jego zastępca, młody, rosły blondyn o wesołych, niebieskich oczach.

Był to mechanik pracujący w wielkich zakładach drukarskich, których głównym akcjonariuszem był właśnie tenże przewodniczący Sądu Najwyższego.

Wytworzyła się dość zabawna sytuacja. Przewodniczący Sądu Najwyższego jednak nie był skłonny do traktowania tego zbiegu okoliczności od strony humorystycznej. Zakomunikował mechanikowi swą decyzję i zapytał, jakie w związku z tym zamierza przedsięwziąć kroki „Centralny Komitet Strajkowy”.

Mechanik z gotowością udzielił odpowiedzi: jeszcze dziś zostanie wysłany do Bakbuku specjalny pociąg, który zawiezie tych wszystkich, których obecność na rewizji procesu jest niezbędna. Będzie również uruchomiona na czas procesu linia telegraficzna i telefoniczna łącząca Bakbuk z Miastem Wielkich Żab.

— I to wszystko? — zapytał przewodniczący Sądu Najwyższego, usiłując ukryć swe rozdrażnienie i rozczarowanie.

— Na razie tak — odpowiedział zastępca przewodniczącego „Centralnego Komitetu Strajkowego”. — Nie zamierzamy bynajmniej dyktować naszych żądań trybunałowi, dla uniknięcia jednak wszelkich możliwych niespodzianek strajk trwać będzie do chwili, kiedy Popff i Aneiro, zrehabilitowani i uniewinnieni, wrócą do swoich domów.

Szesnastego kwietnia z rana Korneliusz Edouf udał się specjalnym pociągiem do Bakbuku. Magaraf i wdowa Gargo wraz z delegatem prokuratury pojechali samochodem dzień wcześniej do miasta Lomm, zaopatrzeni w pismo, w którym „Centralny Komitet Strajkowy” polecał wszystkim stacjom benzynowym na drodze z Miasta Wielkich Żab do Lomm zaopatrywać samochód Magarafa w niezbędne paliwo.

Maszyna mknęła jak strzała. Nie zachodziła obawa jakiejś katastrofy, gdyż był to jedyny samochód, jaki pędził na całej przestrzeni liczącej z górą tysiąc kilometrów. Nie spotkano żadnego innego samochodu ani też żaden inny ich nie dogonił. Potężna arteria komunikacyjna łącząca

Wschód i Zachód Argentei była sparaliżowana i nieczynna, podobnie jak wszystkie inne linie komunikacyjne, jak wszelkiego rodzaju fabryki, kopalnie, a nawet szkoły i wyższe zakłady naukowe.

Magaraf siedział przy oknie. Jak ubiegłej jesieni, gdy jechał do Bakbuku, a trafił do Pelepu, uciekały przed nim długie szeregi murowanych i żelazobetonowych gmachów fabrycznych, kominysięgające chmur nisko lecących nad ziemią, wielkie piece hutnicze, zabudowania kolejowe itd. Teraz wszystko to spowiła martwa cisza. Nie widać było maleńkich ludzkich sylwetek na tle ziejących ogniem wielkich pieców, z kominów fabrycznych nie walił kłębamidym, nie rozbłyskiwały języki płomieni nad hutami, nie grzmiały nieustającą muzyką pracy olbrzymie fabryczne hale.

Wszystko to wyprowadziło z równowagi właścicieli tych fabryk, akcjonariuszy i dyrektorów. Byli jednak bezsilni: decydowała wola robotników.

Tym razem Magarafa nie upokarzała już świadomość, że jest takim samym proletariuszem jak miliony tych ludzi w zatłuszczonych roboczych kombinezonach. Przeciwnie — teraz był dumny z tego. Był jednym z tych wielu obywateli Argentei, którzy po raz pierwszy w dniach strajku poczuli, że są członkami potężnej i niezwyciężonej klasy robotniczej, do której należy przyszłość.

Wieczorem szesnastego kwietnia, budząc niemałą sensację w zapadłej mieścinie Lomm, samochód zatrzymał się przed domem, w którym mieszkał miejscowy prokurator. Pomimo spóźnionej pory i ogromnego zmęczenia przybyłych samochód ruszył w dalszą drogę już po upływie dwudziestu minut. Do samochodu wsiadły jeszcze dwie osoby: prokurator i miejscowy przysięgły stenograf. Za nimi mknął samochód miejscowego komendanta policji.

Wkrótce obydwie samochody zatrzymały się przed żelazną bramą „Wzorowego Domu Wychowawczego dla Sierot”. Nie trzeba było długo czekać na otwarcie bramy. Ten sam odźwierny z mało przyjazną twarzą otworzył na oścież bramę i wprowadził przybyłych do domu dyrektora. Jeden z policjantów pozostał przy bramie wejściowej.

Była godzina dziewiąta i na obszarze całego zakładu panowała już zupełna cisza.

Pan Vanderhunt wyszedł na spotkanie swym nieoczekiwanym gościom, a na twarzy jego rozlało się zdumienie, gdy poznał wdowę Gargo. Pierwsze słowa skierował do niej zapytując o zdrowie. Wdowa Gargo nic nie odpowiedziała, tylko podniosła na niego oczy, które wyrażały ból i oburzenie, co nie zrobiło zresztą na dyrektorze żadnego wrażenia. Magarafa natomiast dyrektor Vanderhunt nie poznał i patrzył na niego, jak na zupełnie obcego człowieka.

— Czym mogę państwu służyć? — zapytał dyrektor Vanderhunt.

— Jestem upoważniony do przeprowadzenia natychmiastowej inspekcji pańskiego zakładu — odpowiedział pełnomocnik prokuratury i okazał swój mandat.

— Dziwię się bardzo, ale nie mam nic przeciwko temu — odpowiedział Vanderhunt. — Państwo zapewne są bardzo zmęczeni. Proponuję więc wszystkim umyć się, zjeść kolację i wypocząć po podróży. — Mówiąc to dyrektor nacisnął guziczek dzwonka.

— Dziękuję, proszę się nie trudzić — odpowiedział wysłannik prokuratury. — Chciałbym niezwłocznie przystąpić do inspekcji.

— Jak panowie sobie życzą — zgodził się Vanderhunt i odesłał służącego, który zjawił się na głos dzwonka. — Od czego zaczniemy? Może od sal sypialnych, aby później nie zakłócać dzieciom snu. Zdaje się, że jeszcze nie zasnęły.

Ruszyli razem równymi alejami, po obu stronach których stały świeżo wymalowane ławeczki, szli w kierunku tak dobrze znanego Magarafovi budynku, w którym mieściły się sypialnie wychowanków. Przy wejściu spotkała ich piastunka w śnieżnobiałym nakrochmalonym fartuchu. Aczkolwiek była niepomiernie zdziwiona tak późną wizytą, wydała jednak każdemu z nowoprzybyłych świeży fartuch i zaprowadziła do sypialnych sal, gdzie na czyściutkich, niewielkich łóżeczkach nakryte ciepłymi kołderkami spały dzieci od trzech do pięciu lat.

Pan Vanderhunt patrzył z wyrzutem na przybyłych i raz po raz przykładał palec do ust prosząc:

— Na miły Bóg, proszę nie budzić tych maleństw. Już zasnęły. Istotnie, zarumienione, syte dzieci spały zdrowym, dziecięcym snem. Zdziwienie i rozczarowanie, jakie bez trudu było można odczytać na twarzy Magarafa, niewątpliwie sprawiło niemałą przyjemność Vanderhuntowi, aczkolwiek nie można było tego po nim poznać.

Stąpając na palcach i starając się robić jak najmniej hałasu, obeszli wszystkie sale sypialne znajdując wszędzie tę samą ciszę i rozczulający obraz niewinnie śpiących dzieci.

Dozorca otworzył przed nimi drzwi wiodące do okrągłego budynku podobnego do ujeżdżalni. Tam gdzie do niedawna jeszcze biegły szeregi warsztatników na ruchomej taśmie i rozlegał się metaliczny dźwięk narzędzi, teraz przy skąym świetle jednej lampy zawieszanej u pułapu widniały złożone w sterty ogrodowe ławki, kubły, beczki z cementem, cegły. Była to teraz jakaś rupieciarzarnia czy też skład ogrodowych narzędzi.

Na równej i niezmaconej tafli stawu przybyli ujrzeli kilka niewielkich łódek, na których dzieci odbywały przejażdżki. W wieczornej ciszy rozlegał się jeno rechot żab i szumiały nadbrzeżne

zarośla. Na betonowej przystani, gdzie Magaraf spodziewał się odnaleźć wgłębienia ze stalowymi cygarami torped, stał teraz ładny drewniany pawilonik. W pobliżu widniał nie skończony jeszcze, pachnący świeżym drzewem budynek z kabinami kąpielowymi. Nawet śladu drewnianego krążownika nie podobna było odnaleźć.

— Czy ten pan jest panu znany? — zapytał pełnomocnik prokuratury Vanderhunta wskazując na Magarafa.

— Jeżeli mnie pamięć nie myli, jest to pan Tomaso Magaraf? — odpowiedział pan Vanderhunt pochylając lekko głowę. — Uważnie śledziłem przebieg jego niezwykłego procesu i widziałem co najmniej ze sto jego fotografii w różnych pismach. Zdaje się, że 6ię nie mylę. Bardzo mi jest przyjemnie poznać pana.

— A czy osobiście nigdy nie zetknął się pan z panem Magarafem?

— Nie miałem przyjemności.

— Ależ przepraszam... — przerwał Magaraf — dopiero piątego marca...

— Bardzo pana proszę... — powstrzymał go delegat prokuratury i znów zwrócił się do zachowującego niezmacony spokój dyrektora zakładu.

— A z tą panią, czy spotykał się pan?

— Z panią Gargo? O tak — miałem przyjemność poznać panią, ale niestety w bardzo smutnych okolicznościach. Z tytułu mego urzędu musiałem zaprowadzić panią Gargo na grób jej syna.

— A czy nie chciałby pan nas również zaprowadzić na grób? — zapytał delegat prokuratury i badawczo spojrział na Vanderhunta licząc na to, że na jego twarzy odbije się bodaj cień zaniepokojenia. Ale dyrektor w dalszym ciągu zachowywał niezmacony spokój.

— Proszę — powiedział, a po chwili razem szli w kierunku polany, wśród której widniał pagórek zarośnięty kwiatami.

— Za zgodą pani Gargo proszę pana o wydanie polecenia przyniesienia łopat — zażądał delegat prokuratury.

Jest chyba rzeczą zbyteczną opisywać, jak niewypowiedzianie przykra była chwila, gdy zaczęto rozkopywać grób i rozległ się głuchy łoskot łopat uderzających o wpółzgniłe deski trumny. Wystarczy stwierdzić, iż wbrew oczekiwaniom Magarafa i delegata prokuratury odnaleziono istotnie niewielką trumienkę, a w niej na wpół rozkładające się zwłoki pięcioletniego dziecka. Wdowa Gargo nie byłaby w stanie znieść tego widoku, toteż Magaraf odprowadził ją przedtem na

stronę. Uwolniło to biedną kobietę od ciężkiego ataku sercowego, a pana Alfreda Vanderhunta uchroniło przed więzieniem.

Kiedy bowiem w styczniu zrozpaczona wdowa Gargo opuściła „Wzorowy Dom Wychowawczy dla Sierot”, dyrektor Vanderhunt wezwał do siebie doktora Midruba. Gdy dyrektor zakładu w Bakbuku — „ten idiota” — który przez pomyłkę podrzucił mu wraz z sierotami nieszczęsnego Pedro Gargo, otrzymał już należną odprawę, Vanderhunt zwrócił się z prośbą do doktora Midruba, aby za wszelką cenę zdobył zwłoki jakiegoś pięcioletniego dziecka, które można by było zakopać pod pagórkiem, gdzie przed godziną jeszcze roniła gorzkie łzy pani Gargo.

Nie od razu udało mu się przekonać doktora Midruba, który uważał, iż wszystkie te ostrożności są niepotrzebne. Jednakże doktor Midrub zgodził się wreszcie, wyjechał gdzieś na swojej sportowej maszynie i powrócił następnego dnia przywożąc niewielką trumienkę owiniętą w dywan.

— Musiałem skłamać, że dziecięcy trup jest mi potrzebny dla badań anatomicznych — oświadczył doktor Midrub Vanderhuntowi, który wyrażał mu swą wdzięczność. — Nie była to łatwa sprawa.

Kiedy zakopywano trumienkę z nieznanym dziecięcym trupem, stwierdzono, że ma płowe włoski — Pedro Gargo miał krucze loki! Przy tej okazji znów spadły gromy na dyrektora „Zakładu dla Sierot” w Bakbuku, ale nie podobna było przecież rozpocząć na nowo poszukiwań. Trumienkę zakopano i sprawa ta nie była więcej poruszana. Na wszelki wypadek ogrodnikowi wydano polecenie utrzymywania mogiłki w należyтым porządku.

I oto teraz, gdy na życzenie przedstawiciela prokuratury rozkopywano przy świetle księżycy niewielki pagórek, Vanderhunt szczerze cieszył się z tego, że nie usłuchał w swoim czasie rady Midruba i że polecił mu przywieźć ciało zmarłego dziecka. Jednocześnie zaś serce zamierało w nim na samą myśl, że wszystko i może się wydać. Na szczęście dla Vanderhunta i na nieszczęście wielu setek tysięcy ludzi przy otwieraniu trumny, jakieś już o tym wspominali, ani wdowa Gargo, ani Magaraf nie byli obecni. Nie było więc nikogo, kto mógłby stwierdzić, iż odkopane szczątki były zwłokami Pedra Gargo.

Minęła już północ, gdy obydwa samochody oczekujące u bramy —wjazdowej „Wzorowego Domu Wychowawczego dla Sierot” ruszyły z powrotem. Ekspedycja do Lomm zakończyła się fiaskiem i Dyrektor Alfred Vanderhunt wyprowadził w pole swoich przeciwników.

Niepotrzebnie więc tak starannie i tak długo zachowywali tajemnicę Korneliusz Edouf i Tomaso Magaraf, niepotrzebnie odbyli daleką podróż bezludnymi szosami z Miasta Wielkich Żab do Lomm, niepotrzebnie Korneliusz Edouf stracił dwie godziny z górą, by przekonać naczelnego prokuratora, że raport jego nie jest wytworem fantazji lub majaczeniem umyślowo chorego, lecz straszliwą prawdą.

Niezwłocznie po ukazaniu się w pismach ostatniego słowa doktora Popffa, wypowiedzianego podczas procesu sądowego, Alfred Vanderhunt z właściwą mu pedantycznością opracował plan, którym przewidziane były wszystkie ewentualności. Ogłoszone w prasie zeznanie Booco Sootha było sygnałem, iż nie ma chwili do stracenia. W ciągu dwóch dni wszystkich wychowanków i wychowanice zakładu przewieziono do jeszcze bardziej odległej i bezludnej miejscowości, wraz z nimi usunięto dotychczasowe instalacje i na ich miejsce przywieziono innych wychowanków. A jednak zarówno delegat prokuratury, jak i towarzyszące mu osoby odniosły nieodparte wrażenie, że w tym „Wzorowym Domu Wychowawczym” coś jest nie w porządku.

Dyrektor Vanderhunt mimo woli nieco przesadził, gdy zbyt obojętnie zgodził się na dokonanie inspekcji i bez słowa protestu przystał na rozkopanie grobu. Zbyt łatwo również poznał w Magarafie człowieka znanego mu jakoby z fotografii widzianych przed rokiem. Poza tym zastanawiał komfort, z jakim był urządzony zakład.

Nic więc dziwnego, że doktorowi Vanderhuntowi zadano nad wyraz proste pytanie i z jakich funduszków jest utrzymywany ten „Wzorowy Dom Wychowawczy”? Odpowiedział, że na utrzymanie zakładu łoży z własnych funduszków, które otrzymał za realizację patentu na pewien eliksir. Było rzeczą co najmniej dziwną, dlaczego tak znany biolog, najwidoczniej wybitny uczony, naraz został dyrektorem zwykłego sierocińca.

Owszem — wszystko to było bardzo dziwne, ale jakichkolwiek dowodów potwierdzających zeznania wdowy Gargo lub Magarafa podczas dokonywania inspekcji nie znaleziono. Księgi rachunkowe zakładu były w porządku. W spisie wychowanków przy nazwisku Pedro Gargo widniała adnotacja: „umarł na skutek obustronnego zapalenia płuc dwudziestego siódmego grudnia. Pochowany dwudziestego ósmego grudnia na terytorium zakładu”.

Wszystko znajdowało się w porządku i nie podobna było zahaczyć o cośkolwiek. Trzeba było wyjechać z pustymi rękami.

Alfred Vanderhunt potrafił wyjść sucho z odmętów, które każdego innego, a nawet i samego doktora Midruba mogłyby ściągnąć na dno.

Za późno było puszczać się w daleką podróż do Miasta Wielkich Żab, toteż Magaraf zaproponował swoim towarzyszom podróży, by odpocząć kilka godzin w Pelepie u jego przyjaciela Cimmarona. Chętnie zgodzono się na to.

Były szampion boksu powitał przybyłych ze szczerą serdecznością i gościnnością. Na czas strajku jego restauracja zamieniła się na klub społeczny.

Co dwie godziny lokal wypełniał się tłumnie obywatelami Pelepu, którzy przychodzili wysłuchać kolejnego komunikatu radiowego o przebiegu strajku i dalszych losach Popffa i Aneiro. Teraz, gdy rozpoczynała się rewizja procesu, biuletyn był dwa razy obszerniejszy i trwał z górą pół godziny.

Gdzie się podziała dawna powolność sędziego Ursusa? Zbudowane na piasku oskarżenie rozsypało się pod naciskiem zeznań nowych świadków obrony. Nowy przedstawiciel oskarżenia (Pappula uważał za stosowne tym razem zachorować) nie nalegał, a zresztą nie mógł nalegać, licząc się zwłaszcza z obecnością przedstawicieli prasy całego świata, na utrzymanie w mocy poprzednich bzdurnych zeznań.

Sprowadzony pod konwojem Booco Sooth, były główny świadek oskarżenia, nie wytrzymał konfrontacji z doktorem Astrolabem i jego współpracownikami. Kilka pytań zadanych mu wręcz przez Korneliusza Edoufa doprowadziło go do płaczu. Sądząc z opisów w prasie i relacji radiowej, była to obrzydliwa scena. Sooth zaczął miotać gromy na nieobecnego oskarżyciela Pappulę. Gdyby nie on i jego namowy byłby się od razu przyznał. Ale Pappula nie radził mu się przyznawać, że to właśnie on sam był sprawcą napadu na Beroime, tylko radził przyznać się do ograbienia pewnego kupca.

Wszystkie te zeznania Booco Sootha wywołały niesłychany skandal. Prokurator Pappula znalazł się w bardzo trudnej sytuacji, z której będzie musiał szukać jakiegoś wyjścia.

Dwudziestego kwietnia, czwartego dnia procesu, sędziowie przysięgli jednomyślnie orzekli, że ani doktor Stephen Popff, ani Sancho Aneiro nie są winni zarzucanych im zbrodni.

Słowa przewodniczącego ławy przysięgłych zostały nagrodzone burzliwymi oklaskami całej sali. Nawet sam sędzia Ursus uznał za stosowne przystroić swą twarz w pełen zadowolenia uśmiech, który ujawnił obecnym dwa rzędy oślepiająco białych, sztucznych zębów.

Uniewinnionych wyniesiono z sali sądowej na rękach. Na ulicy oczekiwały niezliczone tłumy. Tuż na miejscu odbyło się ostatnie zgromadzenie zwołane przez „Komitet Obrony Popffa i Aneiro”.

O godzinie szóstej minut trzydzieści wieczorem w Mieście Wielkich Żab odbyło się posiedzenie „Centralnego Komitetu Strajkowego”. W pół godziny później przewodniczący Komitetu przemówił przez radio. Wyszował masom pracującym Argentei i całego świata odniesionego zwycięstwa, podziękował im za wytrwałość solidarność oświadczając, że o godzinie dwunastej w nocy strajk generalny w Argentei zostaje odwołany. Wszyscy strajkujący zostali wezwani do podjęcia pracy.

Doktorowi Stephenowi Popffowi i Sancho Aneiro przewodniczący „Centralnego Komitetu Strajkowego” złożył w imieniu mas pracujących w Argentei życzenia pomyślności i zdrowia oraz wezwał ich do dalszej pracy dla dobra narodu i całej ludzkości.

Rozdział trzydziesty i ostatni

Minęło półtora roku. Doktor Popff od dawna przeniósł się do Miasta Wielkich Żab. Prowadzi on uporczywą, lecz na razie bezskuteczną walkę o swoje prawa do „Eliksiru Bereniki”. Czas wolny od bieganiny po sądach doktor Stephen Popff poświęca poszukiwaniu pracy.

Może się to wydać dziwne, a jednak tak jest. W żaden sposób nie udaje mu się znaleźć pracy w jakiegokolwiek naukowej instytucji Argentei. Dzieje się to tak nie dla tego, że nie uważają go za wybitnego uczonego. Każda naukowa instytucja rada byłaby go widzieć wśród swoich pracowników, ale doktor wysuwa niebывale żądania: żąda gwarancji, że rezultaty jego pracy nie staną się przedmiotem handlowych kombinacji i będą niezwłocznie realizowane na użytek szerokich mas. Ani jedna naukowa instytucja Argentei nie uważa — rzecz prosta — za możliwe zgodzić się na podobne warunki.

Zmęczony, nie tracąc jednak otuchy, pełen wspaniałych twórczych pomysłów, wraca doktor Stephen Popff wieczorami do swego ubożego mieszkania, gdzie oczekuje go Berenika i pocziwa wdowa Gargo, pomagająca prowadzić to nad wyraz skromne gospodarstwo.

Booco Sooth był sądzony przy drzwiach zamkniętych i stracony na krześle elektrycznym z szybkością, która mogłaby się wydać nieco zastanawiająca, gdyby nie wzgląd, że... ten człowiek za dużo wiedział. Zresztą nikt nie chciał stanąć w jego obronie.

Pappula szybko przyszedł do zdrowia po chorobie, która uniemożliwiła mu wzięcie udziału w rewizji procesu. Jest on jak zwykle pełen życia, wesoły i beztroski, a niekiedy nawet i żartobliwy, zwłaszcza przy przesłuchiwanu. Czuje się doskonale i jego zwierzchnie władze mają o nim najlepszą opinię. Prawdopodobnie po pewnym czasie, gdy przebrzmia ostatnie odgłosy sprawy Popffa i Aneiro, zostanie pan Pappula przeniesiony do Najwyższej Prokuratury, gdzie już zdołał sobie zapewnić odpowiednie stanowisko. Zresztą, gdyby się to nie udało, nie będzie się zbytnio martwił. Minie jeszcze pięć czy sześć lat i postawi swoją kandydaturę przy wyborach na gubernatora prowincji Battoga. Ma tutaj wcale niezłe stosunki w sferach wpływowych.

Syndirak Cphardeia z przyczyn łatwo zrozumiałych znajduje się w dłuższej podróży służbowej poza granicami Argentei. Wbrew oświadczeniom doktora Popffa administracja Towarzystwa Akcyjnego „Hamulec” udowodniła za pomocą wzorowo prowadzonych ksiąg, że żaden Syndirak Cphardeia nie figurował na liście pracowników zatrudnionych w Towarzystwie Akcyjnym.

Tutaj wypada złożyć zasłużony hołd zdolności przewidywania pana Procroosta, który wszystkich pracowników w rodzaju Cphardei umieścił na liście innych przedsiębiorstw, należących wprawdzie do Primo Padrele, ale nie mających nic wspólnego z Towarzystwem Akcyjnym „Hamulec”.

Pan Syndirak Cphardeia swe przymusowe wygnanie wykorzystuje jednak nie bez pożytku dla Towarzystwa Akcyjnego „Hamulec”, z którym łączy go tak bliskie więzy. Poza tym — Syndirak Cphardeia jest już bogaty i myśli o ożenku.

Jeżeli chodzi o sędziego Ursusa, to wyniki rewizji procesu nie odpowiadały jego intencjom ani nie ukazały jego działalności w zbyt dodatnim świetle — wobec tego jednak, że zasada niezależności i niezmienności sędziów w Argentei jest bardzo ściśle przestrzegana, więc i sędzia Ursus po dzień dzisiejszy zachował nadal w swych rękach wymiar sprawiedliwości.

Aptekarz Bamboli, jego żona i liczna gromadka dzieci są, chwalić Pana Boga, żywi i cieszą się najlepszym zdrowiem. Gdy poczciwy pan aptekarz już podczas pierwszego procesu w sposób zgoła niedwuznaczny ujawnił swój stosunek do oskarżonych, interesy jego apteki, które i bez tego nie były zbyt kwitnące, zaczęły iść coraz gorzej. Pomogła mu owa butla z eliksirem, którą Bamboli otrzymał na przechowanie od doktora Popffa, a którą w dniu jego uwolnienia wręczył mu z powrotem. Ale doktor Popff odlał zaledwie pięćdziesiąt gramów, resztę zaś oddał poczciwemu aptekarzowi.

Przy tej okazji padło kilka zdań, które wycisnęły szczere łzy z oczu pana Bambolego. Prowadzenie apteki powierzył chwilowo Bamboli swojej małżonce, sam zaś, pożyczwszy z niemałym trudem w banku i u znajomych pewną sumę pieniędzy, udał się do dość odległego miasteczka, gdzie wywołał niemałe zdumienie kupując dziewięćset pięćdziesiąt zupełnie maleńkich, dopiero co narodzonych cielątek. Jeszcze większe zdumienie wywołał, gdy po dwunastu dniach miejscowemu hurtownikowi i handlarzowi bydlęm sprzedał dziewięćset pięćdziesiąt wcale nieźle utuczonych byczków za cenę, która całkowicie odpowiadała zarówno sprzedającemu jak i kupującemu.

Pozwalamy sobie skierować prośbę do szanownych czytelników, by nie rozgłaszali zbyt tego faktu, gdyż ze ściśle prawnego stanowiska wymieniona transakcja była naruszeniem praw właścicieli „Patentu AV”. Doktor Popff i poczciwy Bamboli mogli nawet odpowiadać za to sądownie.

Połowę dochodu uzyskanego z tej ryzykownej transakcji doktor Popff zużył na urządzenie swojego mieszkania. Pożar strawił wszystko, co posiadał. Drugą połowę dochodu, pomimo protestów, musiał jednak przyjąć poczciwy Bamboli. Starczyło tego na zlikwidowanie długów, które pochłaniały wszystkie dochody z apteki, i na poprawienie stopy życiowej licznej rodziny państwa Bambolich.

Brat doktora Popffa, ów skrzypek Filip Popff, który kiedyś usiłował poprawić swe życiowe szanse udając Tomaso Magarafa, wytrwał w obranej przez siebie roli zaledwie do końca tygodnia. Wraz z żoną i synem został bez żadnych środków do życia i znakomity skrzypek gotów był już grać, podobnie jak wielu innych dobrych muzyków, na jakimś skwerku, zbierając datki do kapelusza, gdy na szczęście — jeżeli to można nazwać szczęściem — zwrócił na niego uwagę pewien impresario, na tyle znający się na muzyce, że od razu odgadł w cierpiącym nędzę skrzypku wysoce utalentowanego artystę. Impresario zaproponował Filipowi Popffowi bardzo mizerne, ale bądź co bądź pewne zarobki i bez trudu namówił go do podpisania dziesięcioletniego kontraktu. Wydatki na reklamę zamortyzowały się już po upływie pierwszych dwóch miesięcy. Koncerty Filipa Popffa zapełniały sale, niestety on sam otrzymywał zaledwie dwa procent ze sprzedanych biletów. Tak bowiem opiewał kontrakt.

Trzykrotnie zmieniali się właściciele kontraktu. Filipa Popffa sprzedawano jak towar, aż wreszcie znakomity skrzypek znalazł się w mocy potężnego „Stowarzyszenia właścicieli balowych i koncertowych sal”. Z natchnionego artysty uczyniono coś w rodzaju udoskonalonego patefonu, który grywał tylko te „kawalki”, które zdaniem impresaria miały zapewnione powodzenie i „robiły kasę”.

W kontrakcie bowiem było wyraźnie powiedziane: „Program koncertów układany jest przez biuro koncertowe i wykonawca nie może zgłaszać żadnych zastrzeżeń”. Ponadto w kontrakcie było powiedziane: „Filip Popff obowiązuje się nie występować na koncertach czy jakichkolwiek innych imprezach, które mogłyby uszczuplić dochody Biura Koncertowego”.

Oto dlaczego Filip Popff nie mógł występować na żadnym koncercie, nawet dobroczynnym. Nie wolno mu było nawet wystąpić na koncercie, który „Komitet Obrony” jego brata urządził w którymś mieście. Ba — nie wolno mu było nawet wyrazić na łamach prasy tego, co myśli o swoim bracie, doktorze Stephenie Popffie.

Któż, patrząc na ogromne afisze zapowiadające występy znakomitego skrzypka czy też bijąc mu brawa w największych salach koncertowych całego świata lub czytając entuzjastyczne recenzje

o jego wielkiej sztuce, mógł podejrzewać, że widzi przed sobą ofiarę najbardziej wyrafinowanego i okrutnego kapitalistycznego jarzma? Zapewne nikt nie marzył tak o wolności, jak Filip Popff marzył o wygaśnięciu terminu tego przeklętego kontraktu.

Primo Padrele kieruje interesami swojej firmy jak dawniej bardzo zręcznie i z pożytkiem dla siebie. Teraz stał się filantropem: buduje w całym kraju „Wzorowe Zakłady Wychowawcze imienia Anreliusza Padrele”, do których przyjmuje się jedynie chłopców. Ot, dziwactwo milionera!

Wszystkimi tymi zakładami zarządza Ogastes Carb, jeden z czołowych współpracowników starej firmy i dyrektor funduszy przeznaczonych na cele filantropijne. Niejedna panna „z dobrej rodziny” wzdycha potajemnie do tego skromnego, dobrze wychowanego i świetnie sytuowanego młodzieńca, jakim jest Ogastes Carb. Ale nie spieszo mu do żeniaczki: czas sam pracuje na niego.

Doktor Loys wciąż jeszcze żyje. Jak dawniej, trzy razy dziennie odbywa spacer po Bakbuku, ale ani psów, ani kotów nie trzyma już w domu. Zestarzał się znacznie, zniedołężniał, przestał się interesować nowinkami i nawet myśli o tym, by rzucić praktykę i żyć z renty.

Wdowa Gargo regularnie każdego dwudziestego dzwoni do redakcji „Gazety Robotniczej”, aby przypomnieć o istniejącej umowie. Co miesiąc — już po raz ostemnasty — w dziale ogłoszeń, na ostatniej stronicy umieszczona jest fotografia jej nieboszczyka męża, a pod nią apel do wszystkich, kto zna miejsce pobytu Pedro Gargo, by zechciał powiadomić o tym jego matkę pod adresem: Miasto .Wielkich Żab, 142 ulica, numer siedemnasty.

Nikt, absolutnie nikt nie wie, co się stało z owymi sześćdziesięcioma dwoma dryblasami i dorosłymi dziewczynami, które wyhodował i wymusztrował Alfred Vanderhunt i doktor Midrub.

W jakimś nędznym piśmie, wydawanym na maleńkiej wyspie Silimaka zagubionej wśród bezmiarów oceanu i leżącej gdzieś na uboczu od linii okrętowych, mignęła kiedyś wiadomość o tym, że kilku żołnierzy miejscowego garnizonu dokonało bezmyślnego i okrutnego napadu na miejscowy sklepik, zabiło właściciela i całą jego rodzinę, przewróciło wszystko do góry nogami i nie tknąwszy kasy, zabrało ze sobą kilka blaszanek z tanimi cukierkami.

Możliwe, że gdyby tę notatkę przeczytał Magaraf lub Korneliusz Edouf, dostrzegliby w niej nieco więcej aniżeli banalną wiadomość o gwałtach i samowoli kolonialnych żołnierzy. Ale to piśmie jest wydawane w odległości co najmniej dwóch tysięcy kilometrów od brzegów Argentei i nikt go w stolicy nie czyta.

Mniej więcej przed pół rokiem cały świat obiegra sensacyjna wiadomość o doświadczeniach z torpedami zupełnie nowego typu. Gdzieś w okolicy wyspy Silimaka, przeznaczony do rozbiórki stary krążownik, kierowany za pomocą fal radiowych, został z niezwykłą celnością trafiony przez torpedę, która pędziła za nim zupełnie jak żywa. Na nic się zdały wszelkie zygzaki i raptowne, o sto osiemdziesiąt stopni, zmiany kursu — torpeda dopędziła krążownik, przebiła jego opancerzenie i po upływie dwudziestu trzech minut okręt przewrócił się i zatonął.

Naczelne władze marynarki wojσκowej, pod których kierunkiem prowadzone były te ćwiczenia, nie miały nic przeciwko temu, by pomyślne rezultaty doświadczeń z nową torpedą znalazły szeroki rozgłos w pismach całego świata.

W związku z pomyślnym wynikiem tych ćwiczeń nagrodzono wysokimi odznaczeniami szereg oficerów admiralicji oraz naukowców. W tajnym dekreście prezydenta wśród wielu nazwisk znajdowały się również dwa znane nam: Vanderhunta i Midruba.

Tomaso Magaraf po wielu zabiegach został wreszcie zaangażowany do jednego ze stołecznych music-hallów, gdzie jednak występował nie dłużej niż miesiąc i skąd został zwolniony za usiłowanie zorganizowania sekcji Zawodowego Związku Pracowników Estradowych. Jego nazwisko umieszczono na czarnej liście i możliwość ponownego zaangażowania została dla Magarafa przekreślona raz na zawsze. Sancho Aneiro wyrobił mu posadę rejonowego organizatora w Związku Zawodowym Mechaników. W argentejskich warunkach była to dość niebezpieczna praca.

— Dumny jestem z pracy, którą mi powierzono i którą staram się wypełnić jak najlepiej — pisał do swojego przyjaciela Cimmarona, który na stałe osiadł w Pelepie i jako radny miejscowego zarządu miejskiego sprawiał niemało kłopotu zacofanym „ojcom miasta”.

Korneliusz Edouf po uwolnieniu Popffa i Aneiro postanowił, że tym razem musi ostatecznie przerwać swą praktykę, która kosztowała go tyle sił i nerwów. Ale zaledwie minęły trzy miesiące, gdy wybuchła słynna sprawa sabotażu w kopalniach Penmaric. Edouf znów nie wytrzymał i rozpoczął zażartą walkę z nadużyciami sądów w Argentei.

„A cóż się stało z Sancho Aneiro” — zapyta zapewne niejeden z czytelników. Co robi obecnie towarzysz doktora Popffa z ławy oskarżonych?

Zamiast odpowiedzi pozwolę sobie przytoczyć część sprawozdania z posiedzenia Parlamentu, z którego czytelnicy będą mieli możliwość dowiedzenia się o dalszych losach Sancho Aneiro i o wielu innych rzeczach.

Cytuję według „Gazety Robotniczej” z dnia czternastego września:

Przewodniczący Izby Deputowanych: „Deputowany Sancho Aneiro z prowincji Battoga ma głos”.

Deputowany Sancho Aneiro: „Wysłuchaliśmy przed chwilą odpowiedzi wiceministra sprawiedliwości na interpelację deputowanego, profesora Eldore. Jeżeli dobrze zrozumiałem sens odpowiedzi, wynika z niej, że prawa doktora Popffa jako wynalazcy «Eliksiru Bereniki», noszącego obecnie oficjalną nazwę «Patent AV», nie mogą zdaniem Ministerstwa Sprawiedliwości być sprawdzone, dlatego że Alfred Vanderhunt przebywa obecnie poza granicami kraju. Czyżby istotnie było rzeczą tak trudną odszukanie w ciągu roku, nawet poza granicami Argentei człowieka będącego twórcą tak niezwykłego wynalazku? Oczywiście nie jest to bynajmniej rzeczą trudną. Znaczy to, że albo nikt tego człowieka nie szuka, albo ten uzurpator cudzego wynalazku ma dość poważne przyczyny, by nie wracać do Argentei. Jakież mogą być inne powody aniżeli te, że Alfredowi Vanderhuntowi jak najmniej zależy na tym, by procesować się z tak wielkim uczonym, jakim jest doktor Popff.

Poza tym nasuwają się inne pytania: czyżby nasze władze rozporządzały tak nikłym autorytetem i tak znikomymi prerogatywami, że nie są w stanie zmusić Alfreda Vanderhunta, by przyjechał do Miasta Wielkich Żab? Owszem, mogłyby to zrobić. Czemu jednak tego nie czynią? Narzuca się jedna tylko, i przy tym dość paradoksalna, odpowiedź: oto władzom bynajmniej na tym nie zależy. Jest natomiast rzeczą możliwą, że pytanie, które pozwolę sobie za chwilę skierować pod adresem obecnego na sali posiedzeń ministra spraw wojskowych, przyczyni się do rozjaśnienia tej zagadkowej sprawy.

Proszę, niech szanowni członkowie Wysokiej Izby przygotują się do wysłuchania rzeczy przypominających stronice z jakiejś fantastycznej powieści. Wszakże wynalazek, o którym mówimy, również z początku przez wielu ludzi był uważany za zgoła coś fantastycznego, a nawet za jakieś kuglarskie sztuczki.

Zechce pan minister spraw wojskowych odpowiedzieć mi, czy jest mu znany fakt istnienia w ministerstwie, na którego czele stoi, wydziału noszącego nazwę «Biuro Uzupełniania Kadry», o którym jest mowa w tajnym raporcie zaszyfrowanym jako BUK? Czy wiadomo panu ministrowi spraw wojskowych, na czym polega działalność owego tajemniczego BUK? I wreszcie, czy zna dokument noszący numer 186-475-L8 BUK, z dnia piątego marca bieżącego roku? Nie będę cytował całej treści tego straszliwego dokumentu. Zajęłoby to zbyt wiele czasu. Jeżeli Wysoka

Izba będzie sobie tego życzyła, odczytam go później. Jest to raport szefa BUK, podpułkownika Achestona złożony na pańskie ręce, panie ministrze. Moim zdaniem jest to jedno z najbardziej niezwykłych uzupełnień do planów mobilizacyjnych Ministerstwa Spraw Wojskowych, jakie znał świat.

Otóż przede wszystkim z tego referatu dowiadujemy się, że eliksir wynaleziony przez doktora Popffa, a następnie wykradzony mu i nabyty przez Towarzystwo Akcyjne «Hamulec» u niejakiego Alfreda Vanderhunta, znalazł się w posiadaniu Ministerstwa Spraw Wojskowych. Ceny mięsa, mleka, wełny i skór rosną z dnia na dzień, a przecież Ministerstwo Spraw Wojskowych kategorycznie sprzeciwia się stosowaniu «Eliksiru Bereniki», którego celem było doprowadzenie do potaniaenia wszelkich produktów hodowlanych. Ministerstwo Spraw Wojskowych powiada, że zastosowanie tego wynalazku w drodze normalnej mogłoby spowodować ujawnienie tajemnicy wojskowej.

Czy pan to słyszy, panie doktorze Popff? Czy słyszą to miliony ludzi tęskniących do kawałka mięsa, do szklanki świeżego mleka? «Eliksir Bereniki» nie może być zastosowany tak, jak tego pragnął jego wynalazca, dlatego że jego tajemnicę zachowuje dla siebie Ministerstwo Spraw Wojskowych! Proszę — powiedzcie o tym po prostu i szczerze dziesiątkom tysięcy wynędzniałych dzieci, a przestaną upominać się u swoich rodziców o pożywienie, którego im brak!

Ministerstwo Spraw Wojskowych pochłonięte jest w chwili obecnej troską stworzenia ogromnej siły zbrojnej, odpowiadającej znaczeniu Argentei!» Tak nam dziś oświadczył minister spraw wojskowych. Ale nie chce nam jednocześnie powiedzieć, kto nakłada na nasz kraj ten niezmiernie ciężki obowiązek. Czyżby to naród Argentei i jej szerokie masy ludowe obarczały ministra spraw wojskowych tym zadaniem? Nie. Naród Argentei nie chciał i nie chce wojny. A może jest to presja jakiejś międzynarodowej koalicji wielkich państw? Nie jesteśmy dziećmi i wiemy, jak nasi dyplomaci na międzynarodowej arenie żonglują tym rzekomym «poczuciem odpowiedzialności», jak za pomocą swego krasomównstwa i wycelowanych armat usiłują narzucić Argentei tę «odpowiedzialność», którą jej nikt nie obarcza, ani też o którą nikt jej nie prosi. Kto ma zamiar napaść na nasz kraj? Nikt tej chęci nie zdradza, natomiast istnieją w naszym kraju tacy szaleńcy, którzy w swoich snach widzą cały glob ziemski podbity przez Argentę. I właśnie te ciemne siły naszego kraju z «Eliksiru Bereniki», który we wzmiankowanym wyżej raporcie nosi nazwę «Patent AV» — usiłują ukuć broń dla realizacji tego celu.

Niechże więc członkowie Wysokiej Izby, reprezentanci Argentei, wiedzą o tym, że nasze Ministerstwo Spraw Wojskowych pragnie wykorzystać ów «Patent AV» w celu zaszczepienia nowowynalezonego preparatu setkom tysięcy, a nawet i milionom małoletnich obywateli naszego kraju! (*Halas na sali*).

Przypuszczam, że niejednen z deputowanych zwrócił już uwagę na niezmiernie intensywną działalność filantropijną, jaką rozwija Primo Padrele. Cały kraj został pokryty siecią tak zwanych sierocińców imienia Aureliusza Padrele. Do tych zakładów są przyjmowani jedynie chłopcy. Jeżeli ta okoliczność dziwi niektórych moich kolegów, postaram się ją wyjaśnić. W dokumencie, który trzymam w ręce, jest mowa również i o tych «sierocińcach». Na skutek umowy istniejącej pomiędzy Primo Padrele a BUK, na razie w tych sierocińcach wychowuje się sieroty. Na żądanie jednak ministra spraw wojskowych dzieciom tym zostanie zastrzyknięty «Eliksir Bereniki» i po miesiącu nasz minister spraw wojskowych będzie miał żołnierzy o rozwoju umysłowym i doświadczeniu trzyletnich lub czteroletnich dzieci. Dla robót na tyłach otrzyma żołnierzy o poziomie umysłowym pięciolatków, dla oddziałów saperskich i kawalerii o rozwoju ośmioletnich chłopców, a starszych dla wojsk pancernych i tak dalej.

Cały kraj, jak powiadam, jest pokryty siecią tych potwornych ośrodków «uzupełnienia kadr». Część tych ośrodków już w pierwszych dniach wojny zostałyby przekształcone w jakieś ludzkie wylęgarnie, pozostałe zaś dopiero wtedy, gdy wojna przedłuży się, gdy wystąpią pierwsze objawy zmęczenia i kiedy bardziej niż kiedykolwiek potrzebni będą żołnierze idący na rzeź w obronie interesów garstki finansowych i przemysłowych magnatów.

To, o czym w tej chwili mówię, zakrawa na upiorną powieść, ale jest to fakt niezbity, wiarygodność potwierdza nie tylko dokument, który oto trzymam w swojej ręce, lecz również i bladeść, pokrywająca w tej chwili policzki ministra spraw wojskowych! Eliksir, którego zadaniem było uszczęśliwić ludzkość, ta właśnie klika geszefciarzy i wojskowych usiłuje przekształcić w straszliwą plagę ludzkości!

I niech się nie zdaje zarówno panu Primo Padrele, jak i panom oficerom z BUK, że naród Argentei pozwoli im na realizację tego szatańskiego planu!

Niech się nie zdaje panu Primo Padrele i panu ministrowi spraw wojskowych, że miłujący wolność naród Argentei pozwoli zamieniać swe dzieci, swe przyszłe pokolenia, w jakichś kretynów, w bezwolne i bezmyślne mięso armatnie! «Eliksir Bereniki»...»

Minister Spraw Wojskowych (z ław rządowych): „Nie ma «Eliksiru Bereniki»! Istnieje «Patent AV», którego wszystkie prawa ze względu na bezpieczeństwo Argentei zostały przekazane Ministerstwu Spraw Wojskowych!”

Deputowany Sancho Aneiro: „Jestem .proszony o odczytanie tego dokumentu. Uczynię to chętnie...”

Przewodniczący Izby Deputowanych: „Na wniosek ministra spraw wojskowych ogłaszam przerwę. Osoby postronne zechcą opuścić salę posiedzeń. Dalsza część mowy deputowanego Aneiro będzie wysłuchana przy drzwiach zamkniętych...”

Pisarz radziecki Łazar Łagin urodził się w roku 1903 w Witebsku jako syn robotnika portowego i flisaka.

Ł. Łagin ukończył wydział ekonomiczny Instytutu Gospodarki Narodowej im. Plechanowa w Moskwie, następnie studiował w Instytucie Ekonomii Czerwonej Profesury, wykładał ekonomię polityczną i politykę ekonomiczną w Akademii Planowania i pracował na odpowiedzialnych stanowiskach w redakcjach centralnych czasopism.

Pierwsze utwory Łagina ukazały się w roku 1922.

W roku 1936 wydał zbiór opowiadań satyrycznych pt. „Stu pięćdziesięciu trzech samobójców”, a w roku 1938 — humorystyczną opowieść — bajkę pt. „Staruszek Hasan”.

W pierwszych dniach Wielkiej Wojny Narodowej Łagin znalazł się w szeregach Marynarki Wojennej. Brał udział w bohaterskiej obronie Sewastopola i w akcjach desantowych floty czarnomorskiej.

Zdemobilizowany został w roku 1945. W tym samym roku wydał powieść z życia marynarzy sewastopolskich pt.: „Pancernik Aniuta”.

W roku 1947 Łagin ukończył rozpoczętą jeszcze przed wybuchem wojny powieść „Patent AV”.

W roku 1951 ukazała się powieść satyryczna Łagina pt. „Wyspa Rozczarowania”. Obecnie pisarz pracuje nad nową powieścią satyryczną.

Łazar Łagin odznaczony został orderem „Wojny Narodowej” i medalami: „Za obronę Sewastopola”, „Za obronę Kaukazu”, „Za zwycięstwo nad Niemcami”, „Za ofiarną pracę”, a także medalem „800-lecia Moskwy”.